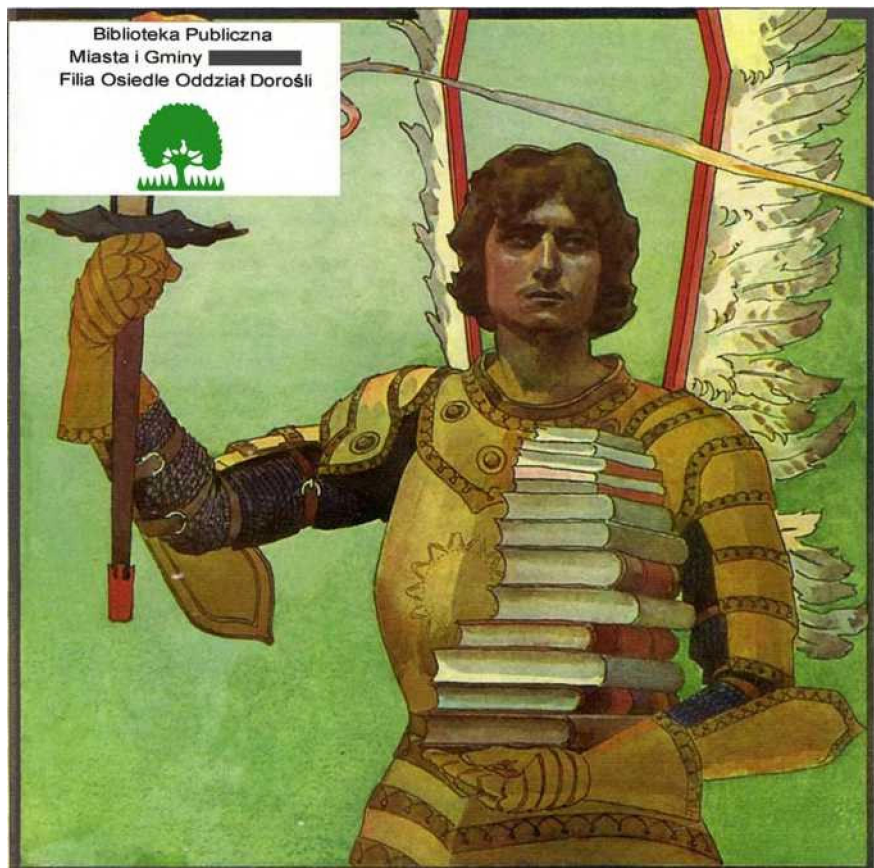


WALDEMAR ŁYSIAK

KARAWANA



LITERATURY





1. Wstęp o dekadencji

Czasy są ciężkie. Także w Polsce. Żyjemy w kraju, w którym bezkarnie można informować prokuraturę i opinię publiczną, że wielki majątek zdobyło się dzięki ruletce, wygrywając 138 razy z rzędu (to jest: 138 razy z rzędu obstawiając numer lub kolor wygrywający), albo że pieniądze na kampanię wyborczą zdobyło się od studentów i emerytów, którzy masowo wpłacali po 15 tysięcy złotych (swe emerytury tudzież stypendia). Dwaj politycy, panowie P. (Piskorski oraz Palikot), tym wyjaśnili swoje krezusowskie przychody i włos nie spadł z głowy żadnemu. Kolumbijski myśliciel, Nicolas Gómez Davila, którego aforyzmy („*scholia*”) bywają doskonałe (zwłaszcza późne), tak komentował podobne drańst- wo: „*Temu, kto z niepokojem pytałby, co wypada w obecnej sytuacji czynić, odpowiedzmy uczciwie, że dziś przystoi*

tylko bezsilna jasność umysłu”¹. Biorąc to sobie do serca, pragnę bezsilnie jasnym umysłem przeanalizować stan współczesnej polskiej literatury (ostatnie pół wieku), a ściślej: wszelkie uwarunkowania tejże, czyli rynkowe, płciowe, trendowe, rankingowe, awangardowe, reklamowe, salonowe, towarzyskie, koleżeńskie, recenzenckie, polityczne, społeczne, medialne, et cetera, et cetera.

Czasy są ciężkie nie tylko dla ludzi przyzwoitych, lecz i dla ludzi inteligentnych, którzy — w przeciwieństwie do półinteligentów i ćwierćinteligentów pozujących na inteligentów (czy nawet na intelektualistów) — lubią dobrą literaturę, nie zaś twory literaturo- podobne, udające literaturę. I nie tylko w Polsce, lecz i we świecie — kryzys literatury ma objętość globalną. A szerzej: kryzys kultury, zwłaszcza „*kultury wyższej*”, której częścią jest prawdziwa literatura. Kto jest temu winny? Według ekstremalnych dewotów Szatan, natomiast według ich przeciwieństwa, ekstremalnych szyderców, Pan Bóg, gdyż jako Wszechmogący mógłby wyhamować degrengoladę, tymczasem z jakichś przyczyn (zaniechanie lub lenistwo) nie czyni tego, vulgo: lekceważąco traktuje swe obowiązki. Amerykański polityk, senator z Nebraski, Emie Chambers, pozwał niewywiążującego się Pana Boga do sądu (sic! — rok 2007), ale to chyba lekka przesada, bo jeśli już, to należałoby raczej pozwać przed trybunał niższych funkcjonariuszy Niebios, odpowiedzialnych za konkretne odcinki wirowania świata. W przypadku literatury byłby z tym jednak pewien kłopot, bo istnieją rozbieżności względem literackiej nomenklatury hierarchicznej; według niektórych: patronem pisarzy jest św. Marek Ewangelista; według innych: św. Hieronim. Przy tym poszczególne kraje mają jeszcze własnych świętych: w Polsce św. Jan Kanta jest patronem literatów.

1 — Tłum. Krzysztof Urbanek.

Kultura intelektualna ostatnich dwóch stuleci (XIX tudzież XX) była kulturą literacką (wcześniej, od Renesansu, raczej filozoficzną), a więc taką, w której w y o b r a ż n i a dominuje p r a w d ę (bądź poszukiwanie prawdy). Miała silną konkurentkę w kulturze naukowej (czyli w empiryzmie), jednak wygrywała. Przegrywać zaczęła na skutek gwałtownego rozwoju mediów elektronicznych i komunikacji internetowej. Walec pop-kultury zepchnął prawdziwą literaturę ku czyściami hermetyzmu, promując pseudoliteracką tandetę/szmirę, której słodziutkim przejawem jest kobieca literatura sercowa, a gorzkim — grafomańskie eksperymentatorstwo, lansowane pseudorecenzjami bezmózgich krytyków jako literacka awangarda. Istnieje też, między tymi biegunami, łatwa produkcja masowa półgrafomanów, często chwalona bezsensownie (za to koniunkturalnie, konformistycznie, oportunistycznie, służalczo wobec pracodawcy lub wobec łapówkodawcy) jako dzieła znaczące, wybitne, głębokie itp.

W pamiętnikach Poli Negri znajduje się kapitalne jej (lub podsunięte jej) zdanko: „*Założenie rodziny nie ma nic wspólnego z hodowlą zwierząt*”. Parafrazując tę quasi-filozoficzną perełkę: mnóstwo razy (99%) napisanie i wydanie powieści nie ma nic wspólnego z literaturą. Szympany nie mogłyby napisać powieści, chociaż szympansy świetnie malują (obrazy szympansów są często mylone przez ekspertów z dziełami renomowanych współczesnych artystów²), lecz już idiota tak, bez większego trudu. Dostępność laptopów stworzyła przeogromną „*literaturę laptopową*” (O by Waldemar Łysiak), a świadomość, że „*śpiewać każdy może*” przełożona na pisanie stworzyła hordy „literatów”, którym glejt pisarski daje fakt, iż w szkole nauczono ich pisać. Ludzie ci

2 — Patrz W. Łysiak „*Malarstwo białego człowieka*” tom II (drugie wydanie, 2010), str. 26, i „*Łysiak na łamach 6 — piórem i mieczem*”, str. 55.

nie szanują (ponieważ nie znają, choć gdyby znali, nie szanowaliby również) łacińskiej maksymy „*In brevitatem labor*” (trud jest w zwięzłości), więc bałamuca czytelnika słowotokiem swobodnym (model: bla-bla-bla, bez rygorów, hamulców, elementarnych reguł); nie męczą się gramatyką, manierą, stylem (Gómez Davila: „*Pisarz, który nie torturował swych zdań, torturuje czytelników*”), i przy tym często — jak biadolił Marian Hemar (wiersz „*Żargonauci*”) — „*Język polski mordujq!! Ratunku!!!*”.

Mordują nie tylko język polski i literaturę polską, gdyż — co już wzmiankowałem — problem uwiądu literatury jest światowy. Myśliciele wielu krajów drą szaty analizując wszystkie związane z tym kwestie. Zajrzyjmy — przykładowo — do Francji. Francuski literaturoznawca, autor krytycznej rozprawy „*Odczarowanie literatury*”, Richard Millet, mówi udzielając wywiadu: „ — *Tylko je- sienią wydano we Francji 727 powieści. To rekord. Pisarzem zostaje byle kto, zaniknęła hierarchia dobrych i złych pisarzy, więc to, co się ukazuje, nie ma już żadnych walorów. Dominuje nędzny kryminał, pierdoły a la Harry Potter, jakieś gówna dla kobiet, udające powieści. Tak to z grubsza wygląda. Język francuski runął w błoto przez banalną stylistykę, rozchwianie składniowe i inne żenujące braki warsztatu*” („*Le Point*” 2007).

Kilka lat temu 727 powieści jesienią — dzisiaj dwa razy tyle i trzy razy gorzej jakościowo. Zbyt długo za szczyt finezji literackiej uchodziło we Francji hołdowanie „*multi-kulti*”, nagradzanie dla samego faktu „*tolerancji wobec odmienności*”, a nie za walory literackie. To zresztą rak całego „*humanistycznego*” Zachodu, dyrygowanego przez lewacko-liberalny Salon. Mimo uszu puszczano przestrogi takie jak poniższa, autorstwa znanego brytyjskiego konserwatysty, wykładowcy filozofii na Uniwersytecie Londyńskim, Rogera Scrutona: „*Winniśmy odrzucić*

wielokulturowy belkot, który mąci życie publiczne Zachodu, i przestać się naigrywać z wielkiej zachodniej tradycji — z dziedzictwa naszych ojców (...) Winniśmy również wskrzesić uczynione przez Johna Locke 'a rozróżnienie między wolnością a bezhamulcową swobodą, tłumacząc naszym dzieciom, iż wolność jest formą ładu, a nie przyzwoleniem na anarchię, na pobażanie i na pobażanie sobie” („City Journal” 2009).

Wyrażona przez angielskiego filozofa krytyka synonimowania wolności z bezhołowiem, suwerenności z rozpasaniem, swobody z anarchią, niezależności z nieodpowiedzialnością — jest (lub raczej winna być) kamieniem węgielnym pręgierza, na jaki zasłużyły kultura i cywilizacja dzisiejszego globu. Emancypacja pornografii (z jej pełną już dostępnością dla dziatwy szkolnej) i zbroceń (z adoptowaniem dzieci przez pederastów), czy brak symetrii tolerancji między islamem a chrześcijaństwem (Zachód przytula rzesze muzułmanów, a na Bliskim Wschodzie, w Indiach czy Indonezji muzułmanie okrutnie mordują rzesze chrześcijan, czemu świat się nie sprzeciwia, jakby nie widział tego) — oto przykłady tak zwanej „wolności”, sprowadzonej do zupełnego (koszmarnego) absurdu. W sztuce (choćby „sztuka skatologiczna” — malowanie, lepienie, rzeźbienie kałem) i w literaturze (awangarda perwersyjna) również nie brak skrajności. Jest mi szczególnie smutno, iż jako rodzimy przykład „wolnościowego” „pomieszania z poplątaniem” muszę wskazać głośną książkę Jarosława Marka Rymkiewicza o Samuele Zborowskim. Szanowany dziś autor miał tu „odjazd” typu „pomrocności jasnej”, wskutek drugiego już — że użyję jego własnej formuły — „ugryzienia przez żubra w dupę” (wcześniej zażarcie hagiografował UB i adorował Michnika), ogłaszając symbolem/godłem wolności polskiej zbrodniczego chuligana, który dybał na najlepszego władcę, jakiego Polska się doczekała w całej swej historii. Dzisiejsza Polska to istotnie

klub disco z piosenki Franka Kimono („ — *Ja w klubie disco mogę robić wszystko!*”), lecz robienie arystokraty-bandyty herbem wolnego ducha Polaków to ewidentne mylenie wolności z anarchią wręcz nihilistyczną. Człowiek oczy przeciera.

Obecne mylenie pseudoliteratury z prawdziwą literaturą — powszechne między Bałtykiem a Tatrami — nie jest nakręcane głupieniem ciemnego „*ludu*” (ten zupełnie nie czyta, ogląda TV-show), ino głupieniem warstw wykształconych, które forsownie kretynięją wskutek właśnie wykształcenia. Takiego, a nie innego wykształcenia. Umasowione studia wyższe, mniej warte od przedwojennych gimnazjów (a dyplomy od tamtych matur), kończą dziś hurtem ćwierćinteligenci, przygłupy niemające bladego pojęcia o fundamentach, filarach i kanonach ludzkiej kultury i cywilizacji. Dawniej głupek po studiach mylił Cortazara z Cortezem, a dziś ten głupol, zmultiplikowany do hordy, nawet nie zna owych nazwisk, jak również nazwisk geniuszy twórczych, nie obył mu się o uszy, niepotrzebny mu taki balast. Mitologię antyczną, grecko-rzymski fundament kultury europejskiej, zastąpiły bajdurzenia Tolkienów i tolkienistów, Szekspira zastąpił Lucas, Leonarda zastąpił „Kod Leonarda”, a Heloizę, Izoldę, Julię, Laurę itd. — nastolatka ciągnąca wampirowi. Gdy przewodnik „*Wiedeń*” (Wydawnictwo Pascal, Bielsko Biała 2005) informuje czytelników, że sławna złota solniczka Celliniego z Kunsthistorisches Museum to obraz „*Solniczka*” namalowany przez Celliniego — dostajemy klarowną ilustrację tej haniebnej (vel komicznej) ignorancji, jaka charakteryzuje polskich niedouków, którym słuszne przyklepiono szyld „*wykształciuchów*”. Zwie się ich także „*młodymi wykształconymi z dużych miast*”, Józef Darski: „*Młodzi wykształceni z dużych miast są w rzeczywistości parweniuszami przybyłymi do dużych miast, niewykształconymi i wykorzenionymi, gdyż nie znają ani kultury*

polskiej, ani tym bardziej europejskiej. Pozbawieni bagażu intelektualnego, starają się świecić światłem odbitym, ale z racji braku wiedzy i smaku wybierają najbardziej prymitywne intelektualne wzorce (...) Charakterystyczny jest dla nich brak umiejętności rozumowania przyczynowo-skutkowego. Dlatego nie są w stanie myśleć, a jedynie potrafią powtarzać kalki zasłyszanych sloganów. O erudycji lepiej nie wspominać. Rozmowa z inteligentem z tradycyjnym wykształceniem jest dla «młodych wykształconych z dużych miast» niedostępna — nie rozumieją większości słów, aluzji, obrazów i odwołań, na przykład do literatury czy historii” („Gazeta Polska” 2011). W internetowym piśmie „Polis” autor o „nicku” Free Your Mind trafnie zauważył: „Jeśli nie zmienimy systemu edukacji na wszystkich piętrach, odwołując się do tradycji przedwojennych — to proces degradowania kulturowego Polski zajdzie tak daleko, że nie będzie go można odwrócić, nie będzie można wydobyć kraju z zapaści kulturowej, w jaką wpędziły nas komunizm i postkomunizm” (2009).

Mamy więc już pierwszych winowajców: metafizycznych (leserujący Pan Bóg lub złośliwy Szatan), pedagogicznych (fatalna edukacja plus rhedia ogłupiające elektronicznie), tudzież politycznych (komunizm i postkomunizm). Komunizm i postkomunizm domagają się szerszej analizy, tedy przyjrzyjmy się jednemu i drugiemu w aspekcie literackim, zanim zlustруем dalszych grzeszników.

2. Sen nocy czerwonej

To były ciężkie czasy dla patriotów; dziś są one wesołym Eldorado dla satyryków. Rządząca po roku 1945 „koalicja talmudystów i pastuchów” (jak to ujął Leopold Tyrmand — wytknijcie mu anty-

semityzm!) czyniła wszystko, by ubawić „masy ludowe” oraz „inteligencję pracującą”. Tę drugą rozśmieszano drukiem, zaś „masy” rozbawiano widowiskiem estradowym lub sportowym. Gdy polski bokser Chychła wygrał w finale mistrzostw Europy (1953) z sowieckim bokserem Szczerbakowem, polscy działacze złożyli... protest przeciwko werdyktowi, który uznali za błędny, bo ideologicznie rzecz biorąc medal należał się „pięściarzowi Kraju Rad” (sic!). Karierę robił też dowcip o meczach piłkarskich Polska-ZSRR: „Polacy strzelili gola, ale bramkarz radziecki nie uznał bramki”. Dzisiejsza młodzież nie ma pojęcia jak było wtedy wesoło w „bratniej współpracy” między imperialnym sąsiadem, ruskim Niedźwiedziem, a kundelkiem PRL-u. Zainicjowana roku 2007 lizusowska „współpraca” rządu Donalda Tuska z reżimem Niedźwiedzia Puti- na to już nie to samo, chociaż prysiudy platformerskiego Układu są też komiczne i wywołują rymowane kpiny internautów:

„Raz ordynarny niedźwiedź, kucnąwszy na łące,

W dość niewybredny sposób podtarł się zającem.

Zając się potem żonie chwalił po obiedzie:

— *Wiesz, rybko, nawiązałem współpracę z niedźwiedziem! ”.*

Wesoła twarz komunizmu objawiała się permanentnie (exemp- lum humorystyczny profil „Radia Erewań”), dzięki czemu mógł się także ujawnić profil humanistyczny komunizmu, i to nie tylko humanizm władzy satelickiej, lecz również centralnej, moskiewskiej, zatroskanej wymagającym regulacji chaosem globu ziemskiego. Weźmy choćby (jako przykład) utyskiwanie „pierwszego sekretarza”, Leonida Breżniewa, którego irytowały różne strefy czasowe ludzkiego padole, czyli fakt, że w różnych miejscach świata

o tej samej porze jest inna godzina, a nawet inne są daty:

— Towarzysze, nie może być tak, że kiedy dzwonię do Fidela, by mu

gratulować rocznicowo, okazuje się, iż rocznica była wczoraj, a kiedy dzwonię do Watykanu z kondolencjami po zamachu na papieża, okazuje się, iż to dopiero jutro!

W literaturze czasów komunizmu było identycznie: nie mogło być tak, żeby każdy sobie pisał co tylko chce, bez żadnej dyscypliny i kontroli. Kiedy dzisiaj widzimy jakie głupoty ludzie wypisują w internecie, w prasie lub w książkach — tamten rygor odgórny, świadome i światłe sterowanie publicystyką i literaturą, jawi się Edenem błogosławionego porządku. Niemcy mawiają: „*Ordnung muss sein!*”, i tak właśnie było, może nie po szwabsku, ino po ka- capsku, ale było. Gdzie te dobre czasy, gdy wysoka władza osobiście interweniowała już nie tylko odgórnie w kulturę, lecz detalicznie/merytorycznie we frazeologię. Przed premierą „Zakonu Krzyżowego” pierwszy wielki dyktator kultury Rzeczypospolitej komu- szej, polski Żdanow, Jerzy Borejsza (Beniamin Goldberg), zmienił Morstinowi frazę „*Bóg tak chciał*” na „*Lud tak chciał*”, wykazując wzorową czujność marksisty. Oczywiście ta czujność spotykała się czasami z nieodpowiedzialną reakcją (ripostą) jakiegoś twórcy, pod warunkiem (*sine qua non*), że ów twórca miał „*plecy*” bez- pieczniackie lub partyjne bardzo mocne, *exemplum* Antoni Słonimski, szef Związku Literatów Polskich nim nastał Jarosław Iwaszkiewicz. W jednym z czasopism literackich minister kultury, Lucjan Motyka, opublikował głupawy list na temat twórczości Słonimskiego, dowodząc, że brakuje jej wstawek ideologicznych właściwego (socjalistycznego) typu. Rozeźlony poeta „*odwinął*” rymem (epigramatem) krążącym bezdebitowo:
„*O Ty, co piszesz listy,*
O Ty, co dajesz wstawki,
O *ty, mój przełożony — z jednej do drugiej*
nogawki”.

Wspomniana czujność marksistowska towarzysza Borejszy była duchowym fundamentem całego „*modus operandi*” drugiej najważniejszej (po Wydziale Kultury KC PZPR) instytucji kulturowej PRL-u: Głównego Urzędu Kontroli Prasy i Widowisk (GUKPiW), czyli cenzury („*cenzury prewencyjnej*”) przy stołecznej ulicy Mysiej. Pełna nazwa tej firmy winna obejmować również kino oraz literaturę, a nie tylko prasę plus estradę, lecz to nie było konieczne, bo każdy wiedział, że chodzi o każde publicznie eksponowane słowo. Gdy polski tłumacz przełożył amerykańską powieść, w której robotnik budowlany konsumuje kanapkę z szynką i wypala cygaro, cenzura kazała to zmienić na „*kromkę czarnego chleba i machorkowy*” (sic! — świadectwo redaktora wydawnictwa Czytelnik, Jana Zakrzewskiego), a gdy TVP chciała wyemitować „Konformistę” Bemardo Bertolucciego, gdzie faszyci ciągle mówią do siebie: „*towarzyszu*” — cenzor kazał zmienić w tłumaczeniu „*towarzyszy*” na „*kolegów*”, żeby dialogi nie budziły głupich skojarzeń (notabene: to samo zrobiono przy produkcji i przy polskiej emisji sowieckiego serialu o Stirlitzu, „17 mgnień wiosny”, nie tłumacząc — ani na język rosyjski, ani na język polski — niemieckiego terminu „*Parteigenosse*”, bo to budziłoby całkowicie prawidłowe skojarzenia). Było faktycznie wesoło.

Prócz wesołości, cenzura budziła także litość, trzeba bowiem mieć serce z kamienia, by nie współczuć ludziom, którzy zostają wepchnięci przez głupie kaprysy lub zawirowania historii (albo nawet przez wadliwy system komunikacji) do wykopanych własnymi rękami wilczych dołów. Błędym świtem przychodziła wiadomość, że w dalekim egzotycznym kraju dokonano lewicowego przewrotu, więc cały dzień prasa, radio i telewizja wychwalały nowych przywódców ile sił, jednak później się okazało, że pierwsze informacje były mylne i jest akurat odwrotnie:

przewrót był prawicowy. Nazajutrz media musiały zmieniać front o 180 stopni i piętnować wczorajszych „mężów stanu” jako cudzoziemskie „marionetki” tudzież „ślugusów międzynarodowego kapitalizmu/imperializmu”, co pociągało za sobą radykalną woltę terminologiczną, bardzo szeroką: „rząd” stawał się „reżimem”, „gabinet” — „juntą”, „demokracja” — „dyktaturą”, „rewolucja” — „kontrrewolucją”, „większość” — „mniejszością”, „sprawiedliwość ludowa” — „masakra”, „bratnia pomoc” — „agresję”, „wyzwoliciele” — „puczystami”, „patrioci” — „renegatami”, itp., itd. Jak tu nie współczuć, nawet jeśli zrywa się boki ze śmiechu?

Tematyka i terminologia były siostrami syjamskimi gdy idzie o to, na co za komuny musiał uważać człowiek pióra. Trzeba było uważać na pojedyncze słowa, bo jedno słowo determinowało tak zwaną „wymowę” (jak u Borejszy — co „Lud”, to nie „Bóg”), jedno słowo mogło być tą miną, na której nieostrożny wylatywał w powietrze, a z punktu widzenia reżimu: tą bombą, która kruszy reżim (Marcin Wolski: „*W imperium kłamstwa jedno wolne słowo ma siłę bomby atomowej*”, „Gazeta Polska” 2011). Żeby nie robić karygodnych błędów (a karą mógł być knebel dla piszącego, czyli „*złamanie pióra*”) — wbudowywano sobie instrument ostrzegawczy, swoisty dzwonek alarmowy vel bezpiecznik, zwany auto- cenzurą. Znam to z własnego doświadczenia — autocenzura była mi chlebem powszednim, jak każdemu kto publikował za PRL-u. W eseju o przyczynach Konfederacji Barskiej, miał pisać: Moskał, pisałem: Rosjanin, po czym redaktor skreślał mi Rosjanina, zastępując go terminem: carski żołnierz, a na końcu cenzor skreślał to pierwsze słowo, i już można było bezpieczeństwa żołnierzy drukować, pod warunkiem, że nie gwałcili kobiet, których dzieci przebili uprzednio ostrzem bagnetu. Cenzor umiał reperować nawet poezję. Gdy w

„Wyspach bezludnych” (1987) dałem rymowanekę chłoszczącą renegatów i społeczeństwo, dla którego bohaterowie to „zdrajcy”, a prawdziwi zdrajcy to swoje chłopaki — wieńczył ją dwuwiersz o

„... kraju, gdzie wciąż jeszcze ropieje ta blizna:

Zdrajców domem, zaś prawych przytulkiem ojczyzna”.

Cenzor skreślił słowa: „wciąż jeszcze ropieje” — na ich miejsce trzeba było dać frazę: „przez wieki ropiała”-, dopiero kolejną edycją „Wysp bezludnych” (1994) reaktywowałem mój oryginalny tekst.

Czasami łatwiej niż problemy terminologiczne dawało się rozwiązywać problemy treściowe — dokumentalne, jak również fabularne — omijając zakazy tematyczne dzięki instrumentom semantycznym, vulgo: przemycając „prohibity” przez sito cenzury umiejętną grą słów. Aluzje inteligentniejsze niż IQ cenzora, anagramy, wyrazy cudzoziemskie, itp. Robiłem to skutecznie wiele razy; później wydałem wspominkową książkę o moich długoletnich grach słownych przeciwko cenzurze PRL-u3. Nawet Katyń, wobec którego cenzura była szczególnie uczulona, przemyciłem do „*pierwszego obiegu*” (legalnego) francuską zbitką, wskazując wymyśloną miejscowość Bourreaugne (Bourreau + gne), czytelną dla znających ten język, gdyż po francusku „*bourreau*” to kat, a francuska końcówka „*gne*” czyta się: ń.

Że wobec ludobójstwa katyńskiego komuchy były szczególnie uczulone — to pewnie nikogo dzisiaj nie zdumiewa. Lecz młodzież może nie uwierzyć, że cenzura PRL-u była uczulona nawet na wzmianki o... niepodległości Polski, chociaż ta Rzeczpospolita Ludowa, aczkolwiek bardzo nieudolnie, grała jednak suwerenne państwo. Dlatego zacytuję odpowiedni cenzuralny paragraf z lat 70-ych XX wieku, a wy, drogie dzieci, czytajcie i przecierajcie ślepką: „*Instrukcja [wylącznie do*

wiadomości cenzorów]: Zbytne podkreślanie suwerenności, czy w ogóle istnienia Polski jako odrębnego państwowego bytu, bywa często wykorzystywane przez wrogie ośrodki w celu rozłamania jedności świata socjalistycznego. Informacje o podobnej treści należy bezwzględnie eliminować, zaś nazwisko autora przekazywać prezesowi Głównego Urzędu Kontroli Prasy i Widowisk”. Fajne, co?

W ogóle było wtedy bardzo fajnie, znaczy: literaturze i literatom, a to dzięki systemowi, który nosi miano „państwa opiekuńczego”. Państwo opiekowało się twórcami, bo ich kochało, zupełnie tak, jak Rosjanie od dawna kochają Polaków. Marszałek Józef Piłsudski celnie to swego czasu ujął (świadeństwo Karola Wędzicia- golskiego): „*Oni są zdolni do uczucia nawet wielkiej przyjaźni i będą was kochać jak brata, póki nie poczują, że w sercu swoim jesteście wolnym człowiekiem i boicie się ich miłości, w której dominującym pierwiastkiem jest żądza opieki nad wami, inaczej mówiąc: żądza władzy*”. No więc władza — „państwo opiekuńcze” — opiekowała się (duchowo i materialnie) literatami i literaturą. Dawała pisarzom wszystko: mieszkania, stołówki, „wieczory autorskie”, „domy pracy twórczej”, talony na pralki i samochody, paszporty i kurorty, honory i honoraria — wszystko. Jak rodzice grzecznym dzieciom. Zbigniew Herbert podsumował to później bez respektu: „*Życie artystów było idyllą. Duże nakłady, kluby, domy wypoczynkowe, wyjazdy za granicę, wysoki standard. Nigdzie w świecie realnego kapitalizmu nie powodziło się pisarzowi tak dobrze. Przeciętny literat na Zachodzie nie może utrzymać się z literatury. Musi być profesorem uniwersytetu, bidaka, jak ma odpowiednie wykształcenie, albo pracować w banku, jak Eliot. Ktoś, kto tam decyduje się pisać, podejmuje ogromne ryzyko, natomiast tutaj opływał w honory, żył w dostatku, znacznie powyżej przeciętnego poziomu fachowca z innej branży. Ryzyko było tylko polityczne...*” (1985).

„*Polityczne*” — słowo klucz. Wszystko to bowiem stanowiło grę polityczną. Polityka „państwa opiekuńczego” wobec literatów była totalitarna jak samo państwo: oczekiwanie/żądanie pełnej lojalności i kiedy trzeba wysługi, czyli wasalizacja twórców. Wysługa obejmowała każdy rodzaj literatury, również literaturę dla pacholąt (Edmund Niziurski, Zbigniew Nienacki i in.), której bohaterowie (partyjni aktywiści, ORMO-wcy, tępiciele „*band AK i WiN*”, etc.) indoktrynowali umysły kilku pokoleń smarkaczy, kokietując młodocianych odbiorców „*panasamochodzikowym*” luzactwem. Literatura dla dorosłych tylko za stalinizmu była toporną hagiografią opresyjnego systemu — na dalszych etapach „*rozwoju socjalizmu*” była raczej kolaboracją bierną (nie licząc donosów agenturalnych, ale to inny temat): zamiast peanów ku chwale kajdan, udawanie, że się nie widzi braku wolności. Przezywano to później rozmaicie: albo rynsztokowo {„*kurewstwo*”, „*prostyucja*”, et cetera), albo salonowo {„*zdrada klerków*”, „*zniewolenie umysłów*”, „*ukąszenie heglowskie*”, „*faustowska transakcja z komunizmem*”, etc.). Słowo „*transakcja*” jest właściwe, gdyż każdorazowo kupowano u kogoś, kto sprzedawał. Sprzedawał własne sumienie i własne pióro, czyli się sprzedawał. Rosjanie mają bardzo stare tradycje kupowania pisarzy (caratgiął złotem karki nawet takich rzekomych wolnomyślicieli jak Puszkina czy Gogol); również pisarzy zagranicznych, exemplum Wolter oraz Diderot, kupieni przez suto płacącą Katarzynę Wielką i solidnie wypełniający swe obowiązki propagandowe (hagiografia caratu, usprawiedliwianie rozbioru Polski jako aktu sprawiedliwości dziejowej i miłosierdzia, etc.). Także Balzakowi paryska ambasada caratu złożyła lukratywną propozycję napisania powieści, w której Rosja zostanie przedstawiona jako ziemski raj. Balzac wyraził zgodę, ale rzecz się wydała i musiał ze wstydem poniechać pracy.

Bezwstyd środowiska literackiego PRL-u Grzegorz Eberhardt podsumował krótko: „*Literatura PRL-u! Te gierki, te układy, te żądności wykreowane na autorów szkolnych lektur!*” (2008). Dzisiaj jest identycznie („*gierki*”, „*układy*”, „*wykreowane żądności*”), z tą wszelako różnicą, że lansowanych obecnie grafomanów nikt (nawet „Gazeta Wyborcza”) nie wciska jeszcze do obowiązującego kanonu lektur szkolnych. Druga istotna różnica to brak jednej organizacyjnej „*czapy*”/„*kopuły*”/„*kryszy*” dla literatów, a wtedy była i rządziła, ergo: tasowała, rozdawała, promowała itp. Władze chciały, aby wszyscy piszący podlegali stowarzyszeniowym rygorom (składki, legitymacje, smycze, bonusy, talony, zebrania, głosowania, sprawozdania etc.). Toteż wszyscy drukowani mieli (nieformalny) obowiązek należenia do ZLP. Szczęśliwie nieformalny (brakowało paragrafu), czyli był to obowiązek nieobowiązkowy (co się zdarza; ze środowiska bibliofilsko-antykarskiego znam szydercze określenie: „*niekompletny komplet*”), raczej rytualny zwyczajowo, noszący miano przywileju. Nikt się nie uchylał, przeciwnie: pchali się wszyscy, bo fawory rozdawane werdyktami Związków Literatów (to on dystrybuował — z ramienia Wydziału Kultury KC PZPR — każdą materialną błyskotkę) były trudne do lekceważenia. Ale każda reguła ma wyjątek potwierdzający ją. Łysiak nie wstąpił. Całe ćwierć wieku (od debiutu, 1974) Wydział Kultury i wierchuszka ZLP (głównie politruk Związku, Jerzy Putrament), prośbą i groźbą, kusząc i strasząc, próbowali mnie zmusić. Ich determinację zwiększała komiczność sytuacji: najpopularniejszy vel rozchwytywany pisarz, którego każda książka była sprzedawana w księgarniach „*spod lady*” i za wielokrotne „*przebicie*” na czarnym rynku (jeszcze ze schyłkiem roku 2010 „Rzeczpospolita” wspominała: „*Książki Łysiaka kupowaliśmy spod lady*”), nie należał do Związku Literatów, gardząc

nobilitującym („*legitymacja pisarza*”) przywilejem! Budziło to furię władz, a co za tym idzie okresowe represje, lecz jakoś przetrwałem wszelkie naciski — kolokwialnie mówiąc — bez „*dania ciała*”.

Że funkcjonowanie ZLP było permanentnym „*dawaniem ciała*” (zmitologizowany, wiernopoddańczo piszczący przeciwko brakowi papieru i cenzurze „*List 34*”, oprotestowało lizusowsko 600 literatów!) dowiadywałem się dzięki relacjom znajomego, wybitnego historyka, Jerzego Łojka, czasami wprost, przy kielichu, a czasami listownie. Zacytuję list z 3/4 maja (nocny) 1978 roku — roku dla mnie nader ważnego, ponieważ właśnie wtedy warszawska ambasada ZSRR, w imieniu władz sowieckich, wystąpiła do rządu PRL z oficjalnym (!) protestem przeciwko książce polskiego pisarza (był to jedyny taki casus w całej historii Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej; trąbiły o tym media Zachodu), wskutek czego w cenzurze poleciały łby (bo się zagapiła), a główny ideolog PZPR, towarzysz Werblan, zażądał na łamach organu doktrynalnego partii, „*Nowe Drogi*” (1979), by przestano drukować książki Łysiaka. Przestano (dwie zdjęto z maszyn drukarskich), lecz wkrótce triumfująca „*Solidarność*” zdjęła ze mnie zakaz (Adam Korsak: „*Książki Łysiaka odblokował dopiero Polski Sierpień 1980 roku*” — dodatek literacki do nowojorskiego „*Nowego Dziennika*” 9-VI-1983)⁴. Później był „*stan wojenny*” (od grudnia 1981), więc podjąłem decyzję, że przestaję publikować w prasie PRL-u, i zakończyłem ten bojkot gazet gdy PRL padła (1989). W dużym eseju o ostatnim półwieczu cenzury Józef Kowalewski tak podsumował mecz rozegrany między Łysiakiem a nożycami cenzora lat 70-ych: „*Czasy Gierka to wielka wojna z Waldemarem Łysiakiem. Łysiak naraził się tym, że potrafił pisać prawdę — to był główny powód nienawiści reżimowców. Za niezależność*

4 — Szczegóły Czytelnik znajdzie w „*Lepszym*”, str. 127-141.

myślenia został ukarany zakazem wydawania książek" („Opcja na Prawo” 2010).

Rozgadałem się o sobie, a miało być o liście Łojka tyczącym Związku Literatów. Cytuję fragmenty: „Przedparu godzinami wróciłem z zebrania Warszawskiego Oddziału ZŁP. To, co się tam działo, było widowiskiem ponurym. Całość przebiegała pod hasłem poddania się czynnikom: nie stawiać się, okazać pokorę, niczego nie postulować, przede wszystkim zaś wypalić gorącym żelazem pomysły pluralizmu ideowo-politycznego w Zarządzie Warszawskiego Okręgu ZŁP — a wtedy władze może udzielią jakichś tam koncesji, laskawiej spojrzą na prośby i błagania literatów, etc., etc. Najgorsze jest to, że ludzie skądinąd znani jako zwolennicy swobody myśli i twórczości dali się wziąć — jak naiwne dzieciątka — na lep tych obietnic i stawali na głowie, aby wybory do Zarządu Warszawskiego wypadły zgodnie z życzeniami Góry. No i wypadły, a cała «procedura wyborcza» była żenująca i obrzydliwa (...) Robiono to wszystko na zasadzie: poddajemy się, Najjaśniejszy Panie, Twoim sugestiom i życzeniom, niczego się nie domagamy, racz jednak naj- miłościwiej wziąć pod uwagę nasze błagania, et cetera, et cetera (...) Naprawdę żenujące, obrzydliwe, ponure! Czołgano się w prochu i pyle przed cieniem obietnic Góry (...) To zebranie było dla mnie doświadczeniem doprawdy przygnębiającym. Dowiodło jak straszliwy jest oportunizm, tchórzostwo i naiwność polityczna ludzi, których posądzaliśmy niegdyś o niezależność myślenia”.

A jednak, mimo tego bagna, literatura polska kwitła za PRL-u. Przynajmniej gdy idzie o ilość: rok w rok lawina nowych książek. Siedzący na emigracji (Londyn) Marian Hemar skomentował to bardzo długim (32 zwrotki) poematem „Rozkwit literatury”, zbyt tasiemcowym, by cały tu przytaczać, zacytuje więc jeno — dla smaku — siedem

zwrotek:

„Wielkim zaiste rozkwitem Literatury polskiej Cieszy się Kraj — od czasu Okupacji mongolskiej.

Wydawnictwa, tytuły,

Nazwiska, pseudonimy,

Jeśli o ilość chodzi,

Oczom wprost nie wierzymy.

Jeśli chodzi o jakość —

Coś jakby się wydawało,

Że pisze wielu, ale Tematów mają mało.

Jak im powiedzieć: Panowie,

Nie szkoda wam ekspensu,

Talentu i atramentu?

Przecież to nie ma sensu.

Za rok, czy za dwa lata,

Z harówki pięciolecia Zostanie sterta bzdury,

Zostanie kupa śmiecia.

Wymiecie się to, wyrzuci,

Spali. Wiatr zdmuchnie dymy —

Tytuły, przymiotniki,

Pochlebstwa, pseudonimy.

Sczeźnie to dzieło blahe,

Zniknie ten temat ponury Z czystych i jasnych kartek Polskiej literatury”.

Dziewicze kartki polskiej literatury krajowej czekały więc, zdaniem emigrantów, na wyzwolenie (odkomunizowanie) Rzeczypospolitej. Co nastąpiło A.D. 1989/1990. Czerwona miała się wtedy przemienić w białoczerwoną. Tymczasem, jakimś cudem, przemieniła się — hokus-pokus — w różową. I to dubeltowo różową: homo-pink oraz michniko-pink.

3. Sen nocy różowej: neocenzura

Roku 2009 lewacka firma/koteria Krytyka Polityczna (wielce dopieszczana, choćby lokalowo, przez mandarynów Platformy Obywatelskiej) wydała 328-stronicowy tom o tytule „Polityka literatury”, będący największą objętościowo analizą polskiej literatury pierwszych 20 lat III Rzeczypospolitej. Grupa 11 starannie dobranych autorów (Kazimiera Szczuka, Olga Tokarczuk, Sławomir Sierakowski, e tutti quanti) wyprodukowała 24 teksty analityczne, a całym przedsięwzięciem kierowała redaktorsko „pierwsza feministka III RP”, osławiona Kinga Dunin, kobieta będąca — jak pisałem już w roku 1995 (pamflet „Ces demoiselles...”) — prymuską tych „*modernistycznych, uczonych, obrotnych «demoiselles», których rodzice do końca życia się zastanawiają gdzie popełnili błąd wychowawczy (...) Feministki bowiem są jak ten staruszek, który w wieku 10 lat odkrył, że krasnale nie istnieją, i nadal jest tym wytrącony z równowagi. Zauważyły swego czasu, że samce i samice różnią się nie tylko kształtem przyrodzenia, i to je doprowadza do furii*”. Lecz ad rem: z książki zatytułowanej „Polityka literatury” (okładka, rzecz jasna, w kolorze wyłącznie różowym) czytelnik czerpie przede wszystkim pewność, iż najlepszą tudzież najważniejszą literaturą 20 lat III RP jest literatura homoseksualna („*gejowska*”), tworzona przez lesbijki, pederastów oraz ich akolitów. Serio! Tyle na razie o homo-pink (do spraw płciowych polskiej literatury współczesnej wróć osobnym rozdziałem), gdyż przedtem trzeba omówić inną różowość III Rzeczypospolitej — polityczną, ergo: oko- łomichnikowską (michniko-pink).

Z całej książki wydanej przez Krytykę Polityczną najwartościowszy jest bez wątpienia tytuł: „Polityka literatury”, mówiący właściwie wszystko. Jeśli bowiem ktoś sądził, że wszechobecne/wszechstronne

polityczne uwarunkowania literatury rodzimej peerelowskich czasów znikną kiedy PRL padnie i narodzi się postkomunistyczna Rzeczpospolita — to ten ktoś bardzo się mylił. W wyniku Kon- szachtu Okrągłostołowego (którego reżyserami były KGB i SB, plus GRU i WSW) władzę przejęły z rąk czerwonych lewackie kręgi „opozycyjne” chowu KOR-owskiego (zwane przez reżim „opozycją konstruktywną”, a przez szydzących patriotów „opozycją koncesjonowaną”), czyli ludzie „różowej” formacji partyjnej UD-UW. Dzierżąc, z nadania wiadomych „służb”, prawie wszystkie media, co zezwala skutecznie ogłupiać społeczeństwo — ludzie ci (wspomagani lub dublowani przez postkomunistów) rządzą już prawie dwie dekady (ich „wypadki przy pracy”, czyli antyróżowe i antykomunistyczne rządy Jana Olszewskiego i PiS-u, trwające łącznie dwa i pół roku, zostały brutalnie zmiecione). Demokracja III RP to dekoracja — parawan niepodzielnie władających „służb” chowu czekistowskiego. Z paprotkami i cekinami („listkami figowymi”), które można wskazywać jako dowody, że panuje pełna wolność. Przykładowo: wolność wypowiedzi publicznej. Dlatego udzielając wywiadu dziennikowi „Rzeczpospolita” (2010), zapytany o mój stosunek do III RP, eksponowałem i tę stronę medalu: „*Cała Trzecia Rzeczpospolita stoi na głowie od samego początku, od dwudziestu lat. Z prostej przyczyny — zbudowana została przez bardzo nieczysty Okrągły Stół. Tam usiadły do rozmów dwie siły, niby opozycyjne wobec siebie, esbecja i tak zwana «konstruktywna opozycja», czyli opozycja KOR—owska, to, co ja nazywam michnikow- szczyzną, udecją, Salonem. W latach 80-ych te dwie lewicowe frakcje walczyły ze sobą o złób. I pod koniec dziewiątej dekady zeszłego wieku postanowiły się dogadać (...)* Prawda jest taka, że dogadali się bandyci z bandytami: «My wam oddamy całą władzę polityczną, a wy nam cały majątek tego kraju». I ten system

trwa (...) Oczywiście nie przysmykam oczu na pewne elementy ewidentnego wyzwolenia, z których za główny uważam ten, że mogą to wszystko mówić publicznie”.

Fakt, iż mogą pewne myśli artykułować publicznie, nie oznacza wszelako, iż III Rzeczpospolita stanowi królestwo stuprocentowej wolności słowa. Wielu rodaków uważa, że wolność słowa — klasyczny fundament demokracji — ma się dzisiaj w ich kraju doskonale. Łukasz Adamski: *„Nic bardziej mylnego. Polska jest krajem, gdzie wolność słowa jest systematycznie ograniczana nie tylko przez «demokratycznych» polityków, ale i przez pelzający totalitaryzm poprawności politycznej”* („Opcja na Prawo” 2011). Słowo „totalitaryzm” jest tutaj całkowicie uzasadnione, wskutek m.in. sądowych pozwów (specjalność Adama Michnika i Lecha Wałęsy) zamykających usta oponentom. Szerzej patrząc — to efekt gier politycznych .

Trwały, każdego roku bardziej bezwzględny (wręcz krwawy, co udowodniły zbiorowe i jednostkowe mordy na pravicowcach, roku 2010) podział sceny partyjnej III RP nie zostawia „ziemią niczyją” żadnej sfery społecznej i kulturowej Sarmatów. Każda jest korodowana polityką. Trudno się tedy dziwić, że postkomunistyczna literatura priwiślańska ma uwarunkowania polityczne (zwłaszcza promocyjne, mecenatowe, rankingowe, medalowe i recenzenckie) równie silne co za PRL-u. Nawet w detalach, czego dowodzi chociażby istnienie cenzury, początkowo formalne (!), później „tylko” praktyczne, realizowane bez biurokratycznego urzędu.

Już podczas Okrągłego Stołu „różowi” pseudowyzwoliciele zaskoczyli niejednego naiwniaka, który wierzył w ich antytotalitaryzm, gdyż bronili racji bytu symbolicznego (wprost definicyjnego) godła tyranii komunistycznej — cenzury! Jerzy Turowicz oraz Krzysztof

Kozłowski, wkrótce baronowie UD (Unii Demokratycznej), proponowali zachować „*cenzurę rewolucyjną*”, argumentując, że... ułatwi ona szerzenie wolności słowa (sic!). „*Strona rządowa*” (esbecka) biła temu brawo, naturellement. I słowo stało się ciałem: pierwszy niekomunistyczny premier III RP („*nasz premier*”), Tadeusz Mazowiecki, były zasłużony piewca „*socjalizmu*”, apologeta „*sojuszu partii z narodem*”, karciciel „*zdradzieckiego kleru*” (torturowanego i mordowanego w lochach bezpieki) — utrzymywał instytucjonalną cenzurę prawie 9 miesięcy, vulgo: przez trzy kwartały swoich rządów! Stąd moja książka „Dobry” z roku 1990 — „*ostatnia książka okrojona przez peerelowską cenzurę*” — miała czyste strony, gdzie figurował niby pieczęć nadruk: „*Ustawa z dnia 31 lipca 1981 roku o kontroli publikacji i widowisk, artykuł 2 punkt 3 [Dziennik Ustaw nr 20, pozycja 99; zmiany 1983, Dziennik Ustaw nr 44, pozycja 204]*”. Nie ukrywam, że sprawiło mi to swoiście perwersyjną przyjemność (być ostatnim ocenzurowanym pieczęcią, czyli paragrafem!), zwłaszcza że uważam się za weterana wśród sekowanych przez urzędową cenzurę męczenników, i za rekordzistę pod względem wieku: pierwszy raz „*Mysia*” wlepiła mi hamulec/knebel gdy miałem 13 lat! Roku 1957 (start tzw. „*liberalizacji Gomułkowskiej*”) popularny dziennik „*Życie Warszawy*” stworzył komiksowe pisemko „*Przygoda*” (pierwszy polski komiks), które ogłosiło wkrótce konkurs historyczny dla nastolatków. Udział wzięły rzesze smarkaczy, a główną nagrodę (radioodbiornik „*Pionier*”) wygrał 13-letni Waldemar Łysiak, o czym poinformowano w numerze z 30-VIII-1957. Komizm sytuacji polegał na tym, że prócz listy 28 nagrodzonych redakcja winna była opublikować też pracę triumfatora, ale nie zrobiła tego wskutek zakazu wydanego przez ulicę Mysią. Cenzor bowiem dostrzegł coś, czego nie zauważyło jury: w ukazanym przeze

mnie kredkami kłębowisku grunwaldzkim wyłowił maleńkie sierpy i młoty na tarczach zuchów formujących hufce smoleńskie, a jak już to zrobił, jeszcze głębiej wetknął nos i odkrył, że te hufce strzelają ku polskiemu rycerstwu, dziurawiąc naszym tyły pancerzy, czyli tzw. plechy. Wróćmy jednak do dnia dzisiejszego:

W III RP nie ma cenzorskich nożyc urzędowych („*czapy*” cenzorskiej oficjalnej/odgórnjej, nadwydawniczej), lecz jest pełno nożyczek wewnątrzwydawniczych, wszędzie tam, gdzie rządzi różowy kolor. Dowodem choćby kultywowanie peerelowskiej tradycji „*półkowników*” — filmów nakręconych dla TV, lecz nieemitowanych, bo wstrzymanych cenzorsko („*Historia Roja*”, „*Operator*”, „*Kern*”, „*Pod prąd*”, „*Plusy* dodatnie, plusy ujemne”, et cetera

— dane z roku 2011). Reżyser Grzegorz Braun: „ — *Cenzura instytucjonalna w Polsce została zlikwidowana, ale trzeba pamiętać, że ta jej forma była tylko wierzchołkiem góry lodowej. Szara robota cenzury była wykonywana na poziomie redakcji, i w tym kształcie cenzura wciąż ma się dobrze*” („*Uważam Rze*” 2011). Cenzorzy są równie nachalni i równie butni co za PRL-u. Naczelnny (od roku 1992) redaktor wydawnictwa Znak, Jerzy Illg, „*hipis z pokolenia '68*” (Agnieszka Rybak, „*Rzeczpospolita*” 2011), chwali się w książce „*Mój Znak*”, że z książki Andrzeja Biernackiego „*Ziemianstwo*” wyciął bez wiedzy autora (!!!) cały fragment mówiący

o stalinowskim ubabraniu Wisławy Szymborskiej, i jeszcze wyraża satysfakcję, że autor, który zobaczywszy swą książkę ocenzurowaną „*dostał szalu*”, nie mógł nic wskórać na drodze prawnej, mógł tylko zgrzytać zębami. Ten casus to prześliczny symbol chamskiej neocenzury III RP. Cenzury konkretnej, nożyczkowej. Funkcjonuje wszakże również gorsza cenzura, odstrzelująca ludzi:

W ciągu minionych 20 lat można było wiele razy obserwować działalność niszczeniową brutalnie terroryzującej środowiska kulturowe i naukowe. Mówię o terrorze szerzonym przez „*różową*” siłę medialną, która mając nieomal monopol opiniotwórczy gra samo- zwańczo rolę superarbitra, sprawuje „*rząd dusz*”. Według jej ofiar: żandarmeria cenzorska przeniosła się z ulicy Mysiej na ulicę Czerską, do gmachu głównej (nakładowo) gazety III RP, vulgo: do centrali „*Michnikowszczyzny*”, skąd wychodzą dyrektywy kogo gnoić, a kogo promować. Gnojenie ma różne formy — od dymisyjnych (relegowanie z pracy) i szlabanowych (blokada zatrudnieniowa), do eliminujących medialnie (wymiatanie nazwiska delikwenta z mediów). Formy pierwsze (etatowe), utrudniające życie „skazańcom”, łamią słabsze charaktery, zapędzając je do posłusznej „*różowej*” psiarni, a twardszych pauperyzują (ratunkiem bywa pisanie książek o tym, jak się zostało wyrzuconym z pracy przez Michnika — exemplum dziennikarz Stanisław Remuszko). Skutki ekstremalne bywają śmiertelne, czego dowodem okropny, parasamobójczy zgon „*kontrowersyjnego*” (istotnie kontrowersyjnego) doktora Dariusza Ratajczaka, historyka, któremu skasowano etat wykładowcy na Uniwersytecie Opolskim, i zwłaszcza samobójstwo niezłomnego publicyisty, Piotra Skórzyńskiego, któremu Adam Michnik, wyrzucając go z roboty, miał powiedzieć (świadcstwo Wojciecha Piotra Kwiatka):

— Nie istniejesz! I nigdy nie będziesz istniał!

Nie dano już Skórzyńskiemu zaistnieć. U schyłku maja 2008 napisał dla „Rzeczypospolitej” kilka gorzkich słów (m.in. o niechętniej wobec Polski wypowiedzi Donalda Tuska z 1986 roku), a 3 czerwca w pożegnalnym liście do żony: „*Nie potrafię godzić się na nikczemność świata*” — i popełnił samobójstwo.

Jestem dobrym przykładem terroru stosowanego przez „*michnikowszczyznę*” wobec jej adwersarzy, ukarano mnie bowiem zarówno dymisją, jak i ciszą recenzencką. W 1992 roku, po kilkunastu latach prowadzenia przedmiotu Historia Kultury i Cywilizacji na Wydziale Architektury PW, zostałem raptownie wyrzucony z pracy, wskutek przyczyn ewidentnie politycznych (choć władze uczelni mówiły faryzeuszowsko o ekonomicznych). Dymisję poprzedziła zmasowana nagonka „*różowych*” mediów, piętnujących mnie za drukowaną wrogość wobec Adama Michnika. Gwałtowne protesty studentów żądających przywrócenia Łysiaka do pracy, tudzież publiczne (prasowe) protesty stowarzyszeń patriotycznych (m.in. kombatanckich) nic nie dały, wywalono „dysydenta” na bruk. „Dziennik Katolicki SŁOWO” ujął wówczas całą tę burzę równie lapidarnie co trafnie: „*Wiele środowisk podejrzewa, iż nie tylko prezentowane podczas wykładów poglądy oraz wykrywanie afer dotyczących się na wydziale (związanych z zaliczeniami, egzaminami itp.) przyczyniło się do usunięcia Łysiaka. Ich zdaniem zadecydowały dwie książki pisarza — «Lepszy» i zwłaszcza «Najlepszy» — w których autor nie pozostawił suchej nitki na lewicy solidarnościowej, a szczególnie na jej guru, Adamie Michniku. Uruchomiono mechanizm vendetty...*”.

Mechanizm vendetty obejmował również procedurę „*zamilczania na śmierć*”. Przez pierwsze lata (do roku 1994) chłostało Łysiaka obszernymi paszkwilami kilka „*różowych*” gazet i czasopism (m.in. „Polityka” i „Wprost”), jednak później, spośród mediów tzw. „*mainstreamowych*”, już tylko wierchuszka „Gazeta Wyborcza”, czasami drukowała duży (zawsze zjadliwy, kłamliwy, stuprocentowo paszkwilancki) tekst o Łysiaku (Antoniego Pawlaka „Łysiak Zbawiciel”, Wojciecha Czuchnowskiego „Waldemar Łysiak, czyli baron Münchhausen IV RP”, i in.), gdyż ten

przywilej był zarezerwowany jedynie dla owej „krysy”, reszta „samych swoich” gazet miała prikaz: ani słowa o Łysiaku! W czasach komuny to się zwało: „zapis”. Kilka lat przed swą śmiercią Jerzy Łojek zdobył tekst „zapisu encyklopedycznego” i poinformował mnie, że decyzją Wydziału Kultury KC PZPR nas dwóch nie wolno uwzględniać w encyklopediach (tak więc najlepszy historyk i najpoczytniejszy pisarz ery PRL-u nie figurowali w PWN-owskich kompendiach aż do roku 1989; później już byliśmy obecni w każdej encyklopedii). Analogiczny „cynk” dał mi po „wyzwoleniu” (lata 90-e wieku XX) znany dziennikarz, Bogdan Rymanowski — że „warszawka” i „krakówek” realizują dyrektywę: „całkowite milczenie o Łysiaku”. Nie byłem jedynym sekowanym tą cenzuralną metodą (vide Narbutt, Urbankowski, Kąkolewski, Zalewski i in.); prof. Jadwiga Staniszkis tak komentowała wówczas tego rodzaju wykluczenia (wskutek których „żołnierzy wyklętych” PRL-u zastąpili „pisarze wyklęci” III RP): „ — Chodzi o to, aby ważne rzeczy mówili tylko swoi. Albo żeby wyglądało, że tylko swoi mają coś do powiedzenia. To jest przerażający mechanizm” („Tygodnik Solidarność”). Fakt — ten „przerażający mechanizm”, instrument ludzi o międzynarodowym wpływie, storpedował wyczekiwanego Nobla dla Zbigniewa Herberta, premiując rodzimą leninistkę-mich-nistkę, aby i w poezji było jak w życiu („tylko swoi mają coś do powiedzenia”).

Prawdomówni dziennikarze (mizerna mniejszość) wielokrotnie odnotowywali tyczący Waldemara Ł. „zapis”. I dawniej, i dzisiaj. W roku 1997 (tym samym, w którym prof. Jadwiga Kołodziejska na łamach „Życia Warszawy” ogłosiła, iż pisarzami szczególnie cenionymi przez Polaków są Dostojewski, Vonnegut, Márquez, Tolstoj, Szekspir, Wharton i Łysiak) Bolesław Zaremba akcentował: „Wokół osoby Łysiaka panuje zmowa milczenia, głównie w mediach lewicowo-liberalnych. Czy przyczyn

tego stanu rzeczy należy szukać w jego jednoznacznej postawie politycznej? (...) Można odnieść wrażenie, że Łysiakowi wcale nie zależy na poprawnych stosunkach z otoczeniem'' („Myśl Polska”). Ponieważ dalej mi nie zależało, takie komunikaty prasowe stały się regułą; cytuję trzy z 2008 roku — Tomasz J. Kostyla: *„Waldemar Łysiak to najbardziej poczytny w naszym kraju pisarz, o którym polskojęzyczne media nieustannie milczą — fenomen polskiej literatury, co mimo przemilczania zdobywa serca (...) Jego twórczość to antidotum na pogłębianie się ogólnego stanu bezmyślenia u tych, którzy nie czują się na siłach, aby wyteńczyć swoje umysły w poszukiwaniu właściwych odpowiedzi''* („Najwyższy Czas!”), Marta Sawicka: *„Recenzenci stosują wobec Łysiaka znowę milczenia''* („Wprost”), Marcin Ha- łaś: *„Salonowi krytycy popularyzują tylko swoich. Natomiast tych, którzy czymś się narazili, karzą zesłaniem w krainę zamilczenia''* („Gazeta Polska”). Pysznie skomentował całą tę sytuację cenzu- ralną Marcin Wolski (2010): *„Gdyby Łysiak wpadł pod tramwaj, rzecz zostałaby przemilczana, albo podana w formie: «Waldemar Ł., kiedyś pisarz, postanowił złośliwie utrudniać pracę tramwajarzom» (...) We współczesnej cywilizacji wykluczeniu podlegają ci, którzy nie dają się prowadzić jak stado baranów''* („Niezależna Gazeta Polska”). Cywilizację (a ściślej kontrecywilizację) przywołał tak samo celnie Bohdan Urbankowski (2010): *„Można więc mówić o nawrocie do barbarzyństwa. Barbarzyńców jednak zawsze niepokoi to, co przewyższa ich pojmowanie. Pewne wartości i ludzi o nich mówiących po prostu się wyklucza (...) Trwa akcja wyrzucania z publicznego dyskursu Jarosława M. Rymkiewicza, Waldemara Łysiaka, Barbary Wachowicz”.* Owa akcja będzie kontynuowana póki Polską będzie rządził mechanizm michnikowski (salonowy), dzięki czemu co roku będę mógł czytać teksty o zamilczaniu Łysiaka przez „mainstream ”, „Gazeta Polska”:

„Waldemar Łysiak, jeden z najwybitniejszych mistrzów pióra, jaki kiedykolwiek stąpał i stąpa po polskiej ziemi, jest zarazem przykładem wykluczenia absolutnego. Nawet gdyby dostał najwyższe wyróżnienie (na przykład Nobla), nie ma co liczyć na to, że rodacy dowiedzą się o tym z salonowych mediów” (2012).

Restrykcyjny (cenzuralny, wykluczający, eliminujący, odbierający) terror lewactwa i „poprawności politycznej” jest zjawiskiem globalnym, spotyka się go we wszystkich krajach. Nawet w USA, gdzie sławny aktor, Mickey Rourke, nie dostał „bankowego”, „ewidentnego”, „pewnego” (jak pisano) Oscara 2009, bo kilkanaście dni przed galą oświadczył w telewizyjnym talk show, iż są mu obce uczucia nienawiści wobec prezydenta Busha (na tej samej zasadzie zdyskwalifikowano Carrie Prejean, absolutną faworytkę do korony miss USA, bo oświadczyła, iż jako chrześcijanka nie może akceptować homoseksualizmu). Żadne środowisko nie jest od tego wolne — „The Wall Street Journal Europe”: *„Chłuba Uniwersytetu Kalifornijskiego, znany astronom Geoffrey Burbidge, tudzież inni dysydenci z obozu Wielkiego Wybuchu, doświadczają silnej cenzury. Utrudnia się im publikacje i nawet dostęp do wielkich teleskopów”* (2000). W Polsce to idzie jeszcze dalej i bardzo twardo. Dziennikarzy „Gazety Polskiej” władze platformerskie (prokuratura i ABW) potraktowały uciążliwymi szykanami (seria rewizji domowych, 2009), o czym naczelny redaktor pisał później: *„Wydarzenia te były jawnym łamaniem prawa, a zgoła nawet zamachem na konstytucję. Kto wydał polecenia prokuratorom i służbom specjalnym? (...) Niszczono nie tylko «Gazetę Polską», ale ingerowano również w nasze rodziny, nie pozostawiając w spokoju nawet dzieci (...) Demokrację zaczyna się zabijać od ograniczania wolności słowa”* (2011). Dziennikarze „Rzeczypospolitej”, którym ABW i prokuratura też urządziły represyjne

śledztwo, napisali: „*Przyglądając się działaniom tajnej policji w sprawie naszego artykułu — zadawaliśmy sobie pytanie: czy to jeszcze Polska, czy może już Białoruś?*” (2011).

Dzisiejszy polski knebel na wolność słowa ma jakże często charakter „*dymy*” (mówiąc językiem Nikodema D.), czyli pozbawienia pracy. Mój przypadek sprzed dwudziestu lat (1992) nie był wyjątkiem, a różniło go od innych tylko to, że został głośno upubliczniony protestami patriotów. Tak jak niedawna sprawa TW „*Bolka*”. Rzetelne upublicznienie brzydkich sekretów eksprezydenta Wałęsy spowodowało lawinę represji, nie tylko ze strony „*różowych*” środowisk, lecz i platformerskich władz: autor książki, młody historyk Paweł Zyzak, utracił etat (został wywalony na bruk z takim wilczym biletem zatrudnieniowym, że pracę znalazł dopiero w magazynie supermarketu, jako „*fizyczny*”, ergo tragarz); promotor rozprawy Zyzaka, zasłużony profesor Andrzej Nowak, został bezzwłocznie skreślony z listy uczestników konferencji naukowej i spadły na niego rozmaite dalsze draństwa; Uniwersytet Jagielloński, gdzie powstawała rozprawa Zyzaka, został zagrożony karnym obcięciem dotacji i ministerialną kontrolą dyscyplinującą!

Ten sam represyjny/cenzuralny nurt polityki „*różowych*” władz spowodował brutalną czystkę telewizyjną: gdy w 2010 roku platformersi (PO) i postkomuniści (SLD) całkowicie zawładnęli telewizją publiczną (TVP), natychmiast wyczyścili ją z wszystkich (co do jednego) nielewackich programów i redaktorów. Ostatni wyciepany (2011), redaktor Jan Pospieszalski (program „*Warto rozmawiać*”), powiedział „*Rzeczypospolitej*” wprost o Donaldzie Tusku, szefie Platformy Obywatelskiej, byłym uczestniku nocnego neo-esbeckiego sabatu, na którym wykończono prawicowy rząd Jana Olszewskiego: „— *Premier rządu oficjalnie odebrał mi prawo wykonywania zawodu*”. Nic nie dają

tłumne demonstracje uliczne przeciw neocenzurze III RP (prawdziwy ewenement na terytorium Unii Europejskiej), jak choćby głośna warszawska manifestacja pod hasłem „Precz z cenzurą!!!”, dnia 19 stycznia 2011, przed kancelarią premiera w Alejach Ujazdowskich.

Kancelaria kolejnego „różowego” premiera jest mocno cenzurogenna, i jest żarłoczna. Usilne starania reżimu PO, by przejąć dziennik „Rzeczpospolita”, będący jedną z ostatnich redut wolnego słowa III RP, odbiły się szerokim echem w całej Zachodniej Europie jako klasyczny syndrom „*aksamitnego totalitaryzmu*” vel „*soft-to-talu*”. Szczególnie ostro atakowały za to rząd Tuska media brytyjskie, bardzo uczulone na problemy niezależności medialnej. Wskazywano, że łaszący się do Kremla Tusk chce iść śladem Władimira Putina, który całkowicie wyrugował wolność słowa w Rosji, przejmując prawie wszystkie media elektroniczne i papierowe. Pisząca z Londynu dla „Gazety Polskiej” Elżbieta Królikowska-Avis wyszczególniła listę niedopuszczalnych działań polskich władz: „*Próby likwidacji mediów publicznych bez precedensu w Unii Europejskiej; nękanie przeciwników politycznych; publiczne lincze na nieposłusznych; eliminowanie z zawodu historyków, których prace nie podobają się PO; eliminowanie z sesji naukowych uczonych będących na indeksie PO; karanie wyższych uczelni za przyznawanie stopni magisterskich naukowcom mówiącym prawdę*”.

Istnieją także w III RP tematy tabu, zakazane lub źle widziane, nie tylko współpraca Wałęsy z komunistyczną bezpieką, lecz i ważniejsze, jak choćby ludobójstwo, którego Ukraińcy dokonali na Kresach Wschodnich, mordując Polaków. Odwołanie przez rektora Uniwersytetu Wrocławskiego konferencji naukowej „Prawda historyczna a prawda polityczna w badaniach naukowych. Przykład ludobójstwa na Kresach Wschodnich w latach 1939-1946” — to typowy casus twardej polityki

cenzorskiej reżimu, partyjny kneblowy modus operandi PO, PSL i SLD. Notabene: wieloletnie lizusowskie wręcz kokietowanie przez władze III RP postkomunistycznych państw „buforowych” (Litwa, Ukraina, Białoruś), które niegdyś stanowiły nasze Kresy Wschodnie — to był żenujący spektakl, stymulowany „*ideą Jagiellońską*” (prawica) i „*poprawnością polityczną*” (lewactwo). Już w 1995 („Łysiak na łamach 4”) nazwałem te wysiłki „*nonsensownymi, lokajskimi, jednostronnymi umizgami Polaków do nienawidzących ich Litwinów, Białorusinów i Ukraińców*”. Później pukałem w główki polityków piórem jeszcze parę razy, perswadując, że hańbimy się tymi prysiadami wokół Ukraińców i Litwinów — bez skutku żadnego, nikt nie chciał mnie słuchać. Aż rok 2010 przyniósł quasi-pokerowe „*sprawdzenie*”. Ukraina tylko chwilowo, i tylko dzięki wspólnemu turniejowi Euro 2012, tonowała jawną wrogość wobec Polski (od 2011 wręcz prowokacyjnie buduje się tam pomniki ludobójcom z OUN i UPA, rozwieszane są plakaty sławiące dywizję SS-Galizen, itp.), a Litwa nawet przez chwilę nie próbowała udawać propolskich sympatii, jej parlament stale mocno wyrażał wrogi nam stanowisko (dopiero po kilku latach demonstrowania przez Litwinów twardego antypolonizmu „*różowe*” priwiślańskie media płaczliwie miauknęły, że cały 20-letni wysiłek fratemizacyjny poszedł psu w odbyt, tout court).

Polska cenzuriada rozwija się forsownie. Jak sobie z tym radzić? Gdy „*Michnikowszczyzna*” wydała dyrektywę: cisza o Łysiaku!, co znaczyło, że moje książki nie będą recenzowane przez większość mediów — radziłem sobie maksymą, którą sformułował Nicolas Gómez Davila: „*Reakcyjny pisarz musi pogodzić się z dyskretną sławą, albowiem nie może zyskać przychylności imbecyli*” (1986). Drugą metodę radzenia sobie z cenzorskimi imbecylami wyluszczył Marian Hemar dawno temu:

*„Jedna jest na to rada, jedyna kuracja:
Humor i wykształcenie i cywilizacja”.*

Stosowałem tę receptę nim uwieńczyłem licealne wykształcenie maturą. Podczas klasówki z Krasickiego, zamiast oddać tzw. „rozbiór”, czyli analizę, spłodziłem kontreżimowy wiersz a propos hasła „*Prawdziwa cnota krytyk się nie boi*”. Nie jest to utwór miary pamasowej, lecz wiek autora („*nieletni*”) winien tu być okolicznością łagodzącą: „*Prawdziwa cnota krytyk się nie boi, gdy już lby poukręca całej armii gieroi, którym święta naiwność pozwoliła uwierzyć, że w cnotę można zawsze krytyką uderzyć.*

Lecz cnota pochlebstwami bez przerwy głaskana być nie może, bo wówczas byłaby podejrzana jej cnotliwość mająca konsystencję dogmatu. Mądra cnota próbuje prezentować się światu w liberalnej maseczce, toteż właśnie w tym celu kształci nowych krytyków, którzy nawet z burdelu za pomocą krytyki czynią Eden złocisty.

Tu pytanie: czy są to Stańczykowie... czy glisty?

Z glistą żaden się inny typ krytyka nie równa — nie nosi kręgosłupa, jest giętka jak sznur gówna i wydziela śluz biały, który nie bez przyczyny działa w sposób magiczny, tak jak krem z wazeliny.

*Póty cnota drwić będzie ze wszelakich napaści, póki ostrze krytyki tonie w warstwie tej maści, bowiem cóż może ostrze, które wiecznie się ślizga?
Razi cnotę, czy raczej się do cnoty umizga?”.*

Dedykuję ten mój młodociany satyryczny produkt dzisiejszym sitwowym mediom (Tusk Vision Network i cała reszta „*różowych*” medialnych wazeliniarzy), które mają monopol opiniotwórczy bliski 90%, wskutek czego „*politycznie poprawna*” reżimowość nie jest zagrożona ze strony baraniego elektoratu. Dedykuję go również dzisiejszym dzierzymordom neocenzuralnym, co różnymi urzędowymi i zakulisowymi

sposobami reaktywują peerelowską ulicę Mysią. Natomiast wszystkim „*ludziom pióra*” III RP, także tym laptopowym, przypominam credo, które wielki pisarz francuski, Albert Camus, sformułował tuż przed śmiercią (znaleziono tę dewizę pośród kart brulionu do „Pierwszego człowieka”): „*Szlachectwo zawodu pisarza jest w opozycji stawianym uciskowi, a więc w zgodzie na samotność*”.

4. Maskowy bal wszystkich świętych

Najwyższy czas, by trochę częściej zaczęło padać w tej książce słowo: Salon. „*Różowy*” Salon. Ukułem taki termin dla „*micznikowszczyzny*” 20 lat temu, a samemu zjawisku poświęciłem dwie obszerne książki monograficzne⁵ tudzież dużo miejsca wewnątrz paru książek tematycznie bardziej różnorodnych⁶ (Sebastian Duda: „*Wyrażenie «salon» Ziembkiewicz i inni publicyści przejęli od Waldemara Łysiaka, który poświęcił Salonowi kilka książek*”, „*Newsweek*” 2008).

Publicystyczną walkę z Michnikiem, faraonem priwiślańskiego Salonu, zacząłem A.D. 1990, rozwścieczony sejmową obroną majątku PZPR przez Michnika. Szczególnie gorące podczas pierwszego etapu tej batalii były lata 1992-1994, gdy w artykule „*Ministerstwo prawdy*” (na łamach „*Tygodnika Solidarność*”; tekst został przedrukowany w

5 — W. Łysiak, „*Salon — Rzeczpospolita kłamców*” (2004) i „*Salon 2 — Alfabet szulerów*”, t. I-II (2006).

6 — M.in. W. Łysiak „*Stulecie kłamców*” (2000), „*Mitologia świata bez kłamek*” (2008), oraz kilka eseistyczno-publicystycznych (plus wywiady) tomów serii „*Łysiak na łamach*” (1993-2001).

polonijnych czasopismach USA, Kanady i Australii) piętnowałem „Gazetę Wyborczą” jako kłamliwą gadzi - nówkę, samego zaś Michnika w książce „Najlepszy” jako łotra. Salon rozpętał wtedy piekło przeciwko mnie — urzędowe (wywalenie z akademickiej posady) i medialne. Druga i trzecia armata Salonu („Polityka” i „Wprost”) ostrzeliwały Łysiaka salwami burtowymi. Zdarzało się, iż w wyrafinowany sposób. Np. „Wprost” zaczęło jeden ze swych dużych antyŁysiakovych tekstów chwalać „*magiczną sprawność pióra Łysiaka*”, dzięki której „*był dobry, bardzo dobry, często najlepszy*”, a później konkludując, że jako prześladowca Adama Michnika (zwano mnie „*wrogiem numer 1 Adama Michnika*”) Łysiak osiągnął dno moralne. Co ciekawe: skutek nieustępliwego rozstrzeliwania przez Łysiaka salonowej mitologii, tenże „Wprost” uplasował mnie na czołowym miejscu listy ludzi, którzy „*Potrząsnęli Polską '94*”. Być może wpływ miał tu również fakt, że tego roku — wbrew Salonowi — moja powieść „Statek” zdominowała wszystkie listy bestsellerów, deklasując całą konkurencję (TVP ogłosiła ją „*książką roku 1994*”; Witold Grzybowski, szef „Echa Krakowa”, pisał: „*To bezdyskusyjnie najlepsza książka ostatnich lat*”).

Wybitny poeta i świetny komentator realiów III RP, Bohdan Urbankowski, stwierdził: „*W Salonie straszą upiory PRL*” (2010). Straszły już na progu, tuż po upadku PRL-u. Tak gdy idzie o Salon polityczny (michnikowski: „— *Odp..... cie się od generała!*”), dzięki czemu Jaruzelski, Kiszczak, Urban e tutti quanti to dzisiaj nie skazańcy, lecz „*ludzie honoru*”, jak również gdy idzie o Salon kulturowy, m.in. literacki. Ten ostatni zawsze był mafią. Podczas komuny, kiedy miał swoich silnych (masońskich) wodzirejów (choćby Antoniego Słonimskiego), zwano go Dworem (tak go określał m.in. Adolf Rudnicki, co zaświadcza swym pamiętnikiem Marek Hłasko). Salon

literacki III RP to ewidentna kontynuacja, czego najlepszym dowodem hołdowanie, brązowanie i mumifikowanie literackich „upiórów PRL-u”; tworzenie panteonu czy olimpu salonowych bóstw, sui generis świętych, których nie wolno karcić, niczym hinduskich „świętych krów”, trzeba tylko oklaskiwać. Galeria lepszych lub gorszych twórców, którzy za młodu grzeszyli marksizmem-leninizmem-stalinizmem, czyli apologią despotyzmu, ale musimy im to wybaczyć, zapomnieć, nie wracać, nie grzebać, nie ubolewać („morda w kubel!”), bo chociaż Salon jest lewacki vel ateistyczny, jednak biblijny model Szawel-Paweł został przezeń wzięty jako reguła kanonizacyjna, a bezwarunkowe wszechmiłosierdzie papieża Wojtyły jako credo. Wrogowie tego bezwarunkowego (bez skruchy) rozgrzeszania dawnych stalinistów przypominają napomnienie George’a Orwella: „Raz się skurwisz — kurwą zostaniesz”, lecz to o ścianę rzucany groch. Salonowi święci literaccy mają cokoły zbyt już wysokie, żeby prawicowo-konserwatywna formacja mogła je rozkruszyć kilofami wzgardy i gniewu.

Chcąc owo kanonizowanie tudzież hołdowanie literackich „upiórów PRL-u” nazwać jednowyrazowo, trzeba byłoby użyć słowa: kult. Broń Boże nie jestem przeciwnikiem literackich kultów. Sam darzę kultem Marka Twaina, Antoine’a de Saint-Exupéry, Jana Kochanowskiego, Juliusza Słowackiego i paru innych. Trudno zresztą, bym kłął to słowo, gdy używano go również wobec mnie, tak podczas PRL-u (Jan Zbigniew Słojewski alias Hamilton: „Zaczyna kielkować coś w rodzaju kultu Łysiaka”, 1978), jak i podczas III RP (Leszek Reinisch: „Już wiele lat funkcjonuje w pewnych kręgach społeczeństwa kult Waldemara Łysiaka, o czym nieraz pisano”, 1995). Jednak kultury kreowane przez Salon na bazie amnezji sterowanej nie budzą — delikatnie mówiąc — mojego entuzjazmu. Literaccy święci Salonu III RP kurwili się promarksistowsko

i pro- stalinowsko za pieniądze, a nie ideowo czy z naiwności, choć niektórzy próbowali to tłumaczyć w ten właśnie sposób. Tymczasem jedyne sensowne tłumaczenie to zysk — w „Moll Flanders” Daniela Defoe stara prostytutka rzuca frazę zgoła logiczną: „ — *Jeżeli cokolwiek pozwala wybaczyć kurwienie się, to tylko korzyści, jakie ono przynosi*”. Inna sprawa, że przynosiło też męki twórcze, bo nie jest łatwo wychwalać zbrodnię lub krzywdę, albo brak żywności czy praworządności, a oni to robili każdego dnia. Jan Sztudynger ujął rzecz celnie frazką „Męki twórcze”:

*„Mój Boże, jakże strasznie się męczymy,
By z pustych serc dobyć pełne rymy”.*

Inna jego frazka, zatytułowana „Szumi”, charakteryzowała efekt tej propagandy uprawianej przez dzisiejszych świętoszków:

*„Szumi drętwa mowa,
Jak muszla klozetowa”.*

Trudno się tedy dziwić, że dzisiejsi literaccy święci, nim Salon ich kanonizował, stosowali usilne zacieranie śladów. Stanisław Lem wykpiwał to na łamach „Odry”: „*Wielu piszących Polaków odcina sobie tę przykrą część dorobku, która im się napisała za komuny. Przemilczają owe brzydoty*”. Mówiąc tak, zapomniał o własnych stalinowskich „brzydotach”, lecz wkrótce antykomuna mu przypomiała. To już Czesław Miłosz był uczciwszy, wyznając: „*Uprawiałem prostytutkę*”.

Miłosz, Lem... — padają duże nazwiska. Bo święci literackiego Salonu III RP to nie w kij dmuchał, świętymi nie mogą być literackie ciury. A więc same duże „firmy” — prócz wymienionych: Wisława Szymborska, Stanisław Mrozek, Stanisław Barańczak, Kazimierz Brandys, Tadeusz Konwicki, Ryszard Kapuściński, Konstanty Ildefons Gałczyński, Adam Zagajewski, Julian Komhauser, et consortes.

Szyborska za komuny pluła rymami na religię jako brudną wodę i na antykomunizm jako nihilizm, deifikując Lenina, oplakując Stalina, hagiografując czerwoną partię, itp. Brandys swymi powieściami („Obywatele” itp.) wlaził komunie bez wazeliny, jak u Mickiewicza: „*aż do środka głębiny*”. Mrozek wzywał kolegów, by zachowywali „*czujność pisarza (...) na podstawie marksistowskiego światopoglądu*” Lem gromił zachodni system „*rządzenia terrorem*”, przekonując, że „*całkowicie odmiennie jest w społeczeństwie budującym socjalizm*”. Gałczyński liie szczenił talentu, by „*trwać na straży socjalizmu*” („*Ból nasz wielki po wielkim Stalinie. Umarł Przyjaciel*”). Kapuściński, autor poematu „*Brygada Dzierżyńskiego*”, oznajmiał: „*Chciałbym całym sobą, jako członek Partii, służyć nieśmiertelnej idei Stalina, który nam wszystkim pozostawił doprowadzenie swego dzieła do końca. Przyczynić się jak najwięcej na ile potrafię do wykonania jego testamentu — to moje najświętsze pragnienie*”. Probolszewickie lizusostwo Miłosza gniewało Zbigniewa Herberta: „*Nasz Noblista pisywał felietony w prasie codziennej. Tylko strach może zmusić zdrowego na ciełe i umyśle mężczyznę do takich ekscesów kłamstwa i konformizmu*”. Osobista znajomość z Miłoszem zezwoliła Herbertowi zapamiętać również gorsze rzeczy: „*Był 1968 czy 1969 rok. Powiedział mi — na trzeźwo — że trzeba przyłączyć Polskę do Związku Radzieckiego. Ja na to: «Czesiu, weź lepiej zimny tusz i chodźmy na drinka». Myślałem, że to żart czy prowokacja. Lecz gdy powtórzył to na kolacji, gdzie byli Amerykanie, którym się to nawet bardzo podobało — wstałem i wygarnąłem (...) Wszystkie kłopoty wynikały z cech jego charakteru. Powiedział mi kiedyś: «Rozumiesz, ja chciałem i chcę służyć...»” („Tygodnik Solidarność” 1994).*

Wszyscy oni chcieli służyć, bo im za to sowicie płacono (Miłosz brał

pieniądze nie tylko jako publicysta-propagandzista, lecz i jako stalinowski dyplomata). Dla krytyków takiego zaangażowania „*ludzi pióra*” szczególnie drażniące były wysługi poetów, gdyż poeta ma w Polsce status barda, wieszczka itp. Czy prostytuujący się rymopisowicie uważali, że ten status legitymizuje ich służalczość? Emigrant Marian Hemar kpił:

„Poecie wolno szkód przyczynić,

Wolno się załgać i ześwinić,

Merdać ogonem i uciekać,

Pod stół wleźć i hau-hau odszczekać,

Wolno ze słowa zrobić łajno —

Jak tylko wierszem, to już fajno!

Wolno mu zdradzać — jak do rymu,

To nie weźmiemy za złe my mu,

To już nie błąd, to już zaleta,

Bo pan poeta! Pan poeta!’’.

Spośród poetów kanonizowano lub beatyfikowano w III Rzeczypospolitej co najmniej sześciu „*umoczonych*” bolszewicko — prócz Miłosza, Gałczyńskiego i Szymborskiej, także Barańczaka, Kornhausera i Zagajewskiego. Emigracyjny publicysta, Marek Bateria, pisze o nich: „*Stanisław Barańczak rzucił partyjną legitymację dopiero w 1975 roku, a więc pięć lat po masakrze na Wybrzeżu, jaką PZPR urządziła swojej klasie robotniczej. Dziwne zresztą, że człowiek inteligentny, znający genezę PRL-u, w ogóle zapisuje się do partii. Bardziej wybredni (jak np. Adam Zagajewski czy Julian Kornhauser) powoływali się tylko na marksizm lub inkrustowali swoje wiersze nazwiskami wodzów rewolucji, co było skuteczną przepustką do druku, bez względu na poziom utworów*” (australijski „*Tygodnik Polski*” 1995). O tej samej trójce tak pisze Bohdan Urbankowski: „*Programowym dziełkiem nurtu młodych marksistów,*

nazwanych po latach Nową Falą, była książka Stanisława Barańczaka «Nieufni i zadufani», w której atakując niesłuszny, «anarchistyczny» romantyzm, przeciwstawiał mu romantyzm słuszny, to znaczy dialektyczny, czyli marksizm. Marksizm to wedle Barańczaka «najbardziej romantyczna filozofia wszystkich czasów» i «najbardziej żywa filozofia, jaka kiedykolwiek powstała». Wtórowali mu poeci z Krakowa: wykładowca marksizmu-leninizmu Adam Zagajewski oraz kontemplator Róż (zwłaszcza Różę Luksemburg) Julian Kornhauser (...) Zagajewski na łamach «Studenta» tworzył nawet dla młodych mitologię «marksistów siódmego pokolenia», a w wierszach kiepskich, ale słusznych, wychwalał rewolucyjnych matrosów. Jeszcze gorzej pisał Kornhauser, uczłowieczając lirycznie Lenina i Różę Luksemburg (..) Wiersze Kornhausera a promowały sowietyzm podobnie jak organ KC «Polityka»: w opakowaniu wytworzonego, pachnącego papieru toaletowego» („Gazeta Polska” 2009).

Gdy przyszedł właściwy czas („nowy etap dziejów”), wszyscy ci mający czerwonkę rymopisowie, jak i prozaicy, odkomunizowali się na różowo, albowiem ludzie tego pokroju (tego charakteru) zawsze płyną z głównym nurtem, to jest, pardon, z głównym nurtem, choć ta „literówka” celniej oddaje istotę rzeczy. Przy okazji warto zauważyć, iż nie tylko Polska, lecz cały świat jest pełen wszelakich pisarskich ekszosztystów (dawnych stalinistów, trockistów, maois- tów etc.), którzy niegdyś namiętnie reklamowali jakąś cięższą lub lżejszą lewackość, pałając gorączkowo do „antymperialistycznych rewolucji”, zwalczając „krwiożerczy kapitalizm”, edukując ciemną ludzkość doktrynami „jedynie słusznych” proroków (Marks, Engels, e tutti quanti). Tak kompromitowało się wielu głośnych i nagradzanych (Portugalczyk Jorge Amado, Kolumbijczyk Gabriel Garcia Márquez, Niemiec Ginter Grass), a

dziś są otaczani nimbem jako klasycy i przyzwoici ludzie.

Mitologizowanie paskudnych lewaków (skrajną, chociaż regularną formą tego procederu są np. takie hece, jak fakt, że A.D. 2009 kulturowa elita Francji, 1500 osób, podpisała list w obronie włoskiego terrorysty, wielokrotnego mordercy, Ce-

sare Battistiego) — to rutyna Salonu ery dzisiejszej. Rutynowe są też wybielacze delikwentów — świątków literackich. Prócz „*młodzieńczego idealizmu*”, chęci rewolucyjnego zbawienia ludu — pech geograficzny (fatalna lokalizacja na mapie) tudzież presja niefortunnego etapu historii, wpływ czasów, których, podobnie jak lokalizacji, się nie wybiera.

Tadeusz Konwicki, zawzięty stalinowiec („*Nasza miłość do Stalina nie jest abstrakcyjna*”), reżimowy peerelowski żandarm „*na odcinku kultury*” — w „*Kalendarzu i klepsydrze*” tłumaczył, że wredne czasy wymuszały wredność ludzi parających się prozą i poezją. Chodziło mu o wredne dekady komunizmu. Jeszcze sprytniejsze alibi wynalazł Jan Brzechwa (Jan Lesman), genialny bajkopisarz, lecz także człowiek, który piórem spełniał najbrzydlwsze usługi dla reżimu stalinowskiego: gdy Hemar przyłożył mu z Londynu za serwilizm, Brzechwa ripostował tekstem (notabene świetnym artystycznie) odwołującym się alibizująco do czasów równie wrednych, lecz ciut wcześniejszych, czyli do okupacji hitlerowskiej, a konkretnie do terroru niemieckiego (do łapanek, rozstrzeliwań, obozów koncentracyjnych i krematoriów):

„Drogi Panie Marianie, Pańska epistoła Dotarła wreszcie do mnie, ale inna zgola,

Niż się mogłem spodziewać po latach tak wielu.

Cóż... Dziękuję za pamięć, drogi przyjacielu.

Wojna nas rozdzieliła. Pan siedział w Londynie,

A ja w kraju, w Warszawie. Wisła nadal płynie,

I ona tylko jedna nie uległa zmianie.
A myśmy się zmienili. Tak, Panie Marianie.
Nie znamy się na żartach i żółć nami targa,
Pan gromi mnie i karci niczym drugi Skarga.
Komu Pan chce dogodzić? Kumoszkom z Windsoru? Szkoda, że Pan już
stracił poczucie humoru.
Po co strugać Rejtana? Niech Pan zdejmie toge, Chciałbym z Pana się
pośmiać, a w todze nie mogę. Skoro zaś Pan się musi okrywać draperią,
To może raczej — krepą. Lecz pomówmy serio.
Gdybym siedział spokojnie gdzieś na emigracji, Gdybym nie miał za sobą
piekła okupacji,
Gdybym nie był głodzony w niemieckim obozie, Gdybym lat tych nie
przeżył w niewoli i grozie, Gdybym nie trwał w Warszawie do końca
niezłomnie, Ja bym tak nie napisał, jak Pan pisze do mnie.
Bo by mnie nieustannie trapiła obawa,
Że ja tych ludzi w kraju uczyć nie mam prawa.
Pan wojnę zna z widzenia, Niemców ze słyszenia, Rozumiem, że to Pański
światopogląd zmienia.
Ściga Pan swoją wzgardą «żoldactwo» sowieckie, Chciałby Pan widzieć
inne stosunki sąsiedzkie,
Może Pan wobec tego zmieni geografję Tej części Europy? Bo ja — nie
potrafię.
Dla Pana tylko frazes i tylko historia,
A dla nas tu dymiły sześć lat krematoria,
Dla nas była Treblinka, Oświęcim, Majdanek — Myśmy to znali z życia,
Pan — tylko ze wzmianek. Nie było takiej nocy, ażeby Gestapo Nie waliło
do bramy zakrwawioną łapą.
Gdyby «żoldak» sowiecki nie przyszedł, broń Boże, Któżby z nas się nie

*dusił w gazowej komorze? Ludzie, gdy o tym myślą, z przerażenia bledną,
Pan rozumie, że dla nas to nie wszystko jedno.*

Że jeśli dzisiaj żyję, i te słowa piszę,

To tylko dzięki temu, że ów «żołdak» przyszedł”.

Tekst Brzechwy jest dużo dłuższy, nie ma sensu cytować całego. Pełno w nim pretensji, złośliwości („*Owszem, trafił Pan kulą, lecz zabrakło płotu*”), rozmaitych kpinek, kuksańców, i reklamujących własną kindersztubę przygan dla znieważania adwersarzy:

„Czy taką Pan swobodę szanuje i ceni?

Niech Pan spyta Anglików. To są dżentelmeni”.

Wszystkie te aluzyjki, docinki, szpile są kapitalne — można powiedzieć: słowne perełki — Brzechwa miał bardzo biegłe pióro. I straszliwie zakłamanie, obłudne, a czasami nawet bezczelne, chociaż nigdy wobec „*przywódców Partii i narodu*” (czyli wobec reżimowego „*aparatu*”), ino wobec „*mas pracujących*” (czyli wobec „*proletariatu*”). Exemplum „*wymiana pieniędzy*” 1950. Nagłą decyzją (niedziela wieczorem) reżim Bolesława Bieruta (agenta NKWD wsadzonego przez Moskwę na fotel prezydenta Polski satelickiej) skasował wszystkie oszczędności Polaków, unieważniając „*stare pieniądze*” dla dobra „*Planu 6-letniego*” i „*Socjalizmu*”. W poniedziałek rano cała Polska obudziła się golusienka (prócz nomenklatury partyjnej i cinkciarzy tudzież spekulantów, którzy swoje zasoby trzymali w obcej walucie lub w złocie). Buchnął gremialny płacz. Pacyfikowano tę rozpacz groźbami i rymami; Brzechwa (wiersz „*Wymiana*”) walnął bez ogródek:
*„Ludzi pracy wymiana może dotknie nieco —
Cóż robić! Gdzie drwa rąbią, tam i wióry lecą”.*

Najkomiczniejszy fragment jego odpowiedzi Hemarowi dotyczy wolności słowa. Z totalitarnego kraju, gdzie jedynym sponsorem

i edytorem była władza, i gdzie jednej sylaby nie można było wydrukować bez pisemnej zgody cenzury — „*udający Greka*” vel „*różący głupa*” Brzechwa wmawia adresatowi co następuje:

„Nie należę do partii. Nic nie chcę od rządu,

Nikt nie jest w stanie kupić mojego poglądu.

Nie pracuję w urzędzie, w handlu, ni w przemyśle, Jestem wolnym człowiekiem i piszę co myślę”.

Czuje się w tej argumentacji, w tych fleszach, filipikach, wygibasach i piruetach słownych biegłość szczerwanego „*papuga*”. Jan Brzechwa z wykształcenia i z fachu pierwotnie praktykowanego był adwokatem, umiał więc pyskować elokwentnie i mamici werbalnym kuglarstwem, wulgo: fechtować manierą profesjonalnego krętacza.

Konflikt Hemar-Brzechwa przywołałem nie bez powodu. Takie konflikty eksplodowały międzynarodowo (między „*piórami*” polonijnymi a krajowymi) i wewnątrz PRL-u (exemplum długie publiczne starcie: Sandauer—Słonimski). Na gruncie III RP wojenki „*piór*” — równoległe do batalii międzypartyjnych — są też gorące, często dużo gorętsze. Polityka rządu rodzimą literaturą, a jeszcze silniej (dużo silniej) publicystyką:

5. Jak to na wojence ładnie

Gdy nowi-starzy święci literatury polskiej robili salonowe neokariery w odkomunizowanej rzekomo III Rzeczypospolitej, i gdy prawica wypominała im paskudne prysiudy stalinowskie lub gomułkowskie — Andrzej Lewmar zadał pytanie a propos: „*Czy warto, czy należy, wreszcie czy wolno wytykać człowiekowi grzechy przeszłości? Czy warto przypominać Polakom stalinizm, kolaborację, podłość?*” („*Gazeta Polska*” 1996). Otóż było warto, i nie było. Było warto z punktu widzenia

wrogiego maskaradzie — z punktu widzenia prawdy: społeczeństwo dowiadywało się (m.in. dzięki takim antologiom komunistycznych wypocin znanych twórców, jak „Czerwona msza” Bohdana Urbankowskiego, „Liber lizusorum” Stefana Kobierzyckiego, czy „Paranoja — zapis choroby” Andrzeja Romana), że Miłosz, Konwicki, Szyborska i spółka to świnię, które szerzyły antyakowskie, antypolskie i antykatolickie plugastwo dla ukontentowania „partii” będącej „siłą przewodnią” czerwonego despotyzmu. Ale z pragmatycznego punktu widzenia nie było warto, bo człowiek wypominający salonowym świątkom rene- gację lub prostytutkę — automatycznie stawał się wrogiem omni- potentnego Salonu i jego tarczą strzelecką. Niejedno znakomite pióro (m.in. Narbutt, Kąkolewski, Urbankowski) zostało zepchnięte w cień, nie dostało należnych wawrzynów tudzież należnej publicznej owacji/aklamacji — tylko i wyłącznie przez zapiękłą wrogość ze strony opiniotwórczo decydenckiego Salonu.

Kiedy się to rozpoczynało (lata 1990-1992), funkcjonowały jeszcze złudzenia, iż w wyzwolonej, odkomunizowanej Rzeczypospolitej zrobi się przyzwoicie, vulgo: polityka przestanie odgrywać jakąkolwiek rolę na arenie waloryzowania (oceniaania) literatury. Piotr Sarzyński pisał: *„Tracą wartość polityczne deklaracje. Przez długie dziesięciolecia stanowiły silny fundament budowania kariery. Niwelowały braki talentu i wyobraźni artystycznej (polecam czytelnikom gorąco lekturę archiwalnych materiałów prasowych o nagrodach państwowych, o spotkaniach przywódców politycznych z twórcami, informacji o nakładach książek). Historia wprawdzie boleśnie zweryfikowała ów panteon wielkich karier, ale i tak wiele wieńców utrzymało się na siwych już głowach”* („Polityka”, luty 1992). Te „wieńce na siwych już głowach” to był neokult salonowych świątków, który omówiłem wcześniej, przejdźmy więc do głównej tezy

Sarzyńskiego. Dał on swemu artykułowi „Weryfikacja Panteonu” wytłuszczony „lead”: „Dziś artyści w wyścigu do stawy nie mogą liczyć na polityków i decydentów”. Sądził, że o wszystkim będzie decydował tzw. „wolny rynek”. Był to gruby błąd. Wrogość polityczna (i „poprawnościowo polityczna”) między Salonem (czyli różową gwardią wspomaganą przez czerwoną gwardię, znaczy: przez postkomunistów) a białogwardzistami (prawicą) szybko zyskała takie natężenie furii i jadu, że permanentnie gorączkująca/szalejąca scena polityczna musiała wessać/objąć również całą estradę twórczą. Piekielna, nieustająca wymiana ciosów medialnych posiadała (i dalej posiada) prosty, oczywisty dla wszystkich klucz: wzajemną bezbrzeżną nienawiść. Jej heroldem, żywym godłem jej wersyfikowania, stała się poetessa Wisława Szymborska, specjalistka, która miała „nienawiść” na warsztacie podczas całej swej kariery. Za PRL-u rymowała swą nienawiść do nienawidzących „socjalizmu” nikczemników („imperialistów”), do klechów (i do religii jako takiej), do wrogów umiłowanej PZPR („siły przewodniej narodu i państwa”), do całego niebolszewickiego świata, ze szczególnym uwzględnieniem Jankesów, którzy nas nienawidzą:

„Nienawidzą naszego węgla.

Nienawidzą cegieł i przędzy.

Nienawidzą tego, co już jest.

Nienawidzą wszystkiego, co będzie.

Naszyc okien i kwiatów w oknach.

Naszyc lasów i ciszy leśnej.

Nawet wiosny, bo to nasza wiosna.

Nawet szkoły z wesołymi dziećmi.

Rozpruli atom jak pancerną kasę,

lecz nic prócz strachu nie znaleźli w kasie.

*O, gdyby mogli, gdyby mogli tym strachem
uderzyć w domy i fabryki nasze”.*

Za III RP, kiedy spanikowana otwieraniem „*teczek*” postesbec-ja (byli konfidenci plus „*oficerowie prowadzący*”) likwidowała nocą (1992) antysalonowy rząd Jana Olszewskiego (brał w tym udział późniejszy szef PO, premier Donald Tusk), i gdy trzeba było „ustawić” opinię publiczną przeciw temu rządowi — Szymborska opublikowała, korzystając z łamów gazety michnikowskiej, wiersz wyrzucający kult nienawiści Olszewskiemu i jego ministrom:

„Religia nie religia — byle przykleknąć na starcie.

Ojczyzna nie ojczyzna — byle się zerwać do biegu.

Niezła i sprawiedliwość na początek.

Potem już pędzi sama.

Nienawiść. Nienawiść.

Twarz jej wykrzywia grymas ekstazy miłosnej”.

Za tę prosalonową przysługę (i za wszystkie inne) „*wielka dama polskiej literatury*” (słowa Michnika) dostała Nobla kosztem Zbigniewa Herberta, a wzajemna nienawiść dwóch polskich stron barykady, sięgająca swym natężeniem „*ekstazy miłosnej*”, funkcjonowała bez żadnej przerwy, nie dając żadnemu „*pióru*” szans nawet na neutralność, gdyż obowiązywały zasady typu: „*Kto nie z nami, ten przeciwko nam!*”. Jedni o drugich wyrażali się jak najgorzej. Antysalonowcy (antymichnikowcy) piętnowali propagandową ofensywę Salonu słowami wyjętymi z ust Mariana Hemara:

„I piszcza, wrzeszcza, wyją,

Że faszyzm! Że bandytyzm!

Że antymuzułmanizm

I że antysemityzm!”.

Hemar był również jak znalazł do pokazywania zgiętego łokcia:

*„Pismakom wańkom-wstańkom,
Zaprzaićcom, pomagierom,
Kurduplom, pucybutom,
Łapolizom, przecherom”.*

Antysalonowy dziennikarz Robert Mazurek lapidarnie podsumował stan rzeczy 20-lecia III RP, zwracając się do Salonu: *„Nasze książki uznajecie za grafomanię, my nie potrafimy zrozumieć jak można czytać ten wasz belkot”* („Rzeczpospolita” 2010). Raz jeszcze mówię coś, co wzmiankowałem już: ten problem, to zjawisko nie jest sarmacką *„spécialité de la maison”*, to przypadłość globalna. Taki konflikt Salonu z Antysalonem tycający ocen literackich występuje *„all over the world”*. Weźmy chociażby Kolumbijczyka Márqueza, którego Salon uważa za geniusza, gdy Antysalon niekoniecznie; Stephen Schwartz: *„Brytyjcy oraz amerykańscy wydawcy i krytycy literaccy narzucili gigantycznej rzeszy czytelników własną fascynację poglądami lewicowymi, czego przykładem może być promocja kolumbijskiego pisarza Gabriela Garcii Márqueza. Jednak owa kasta salonowych intelektualistów—biznesmenów rzadko płaci za swoje błędy”* („The Spectator” 2005). Takie przykłady, jak właśnie Márquez czy niemiecki lewak Giinter Grass można rzucać garściami, od polemik zachodnie media puchną. Exemplum Ismail Kadare (*„albański pisarzyna”, „bezcelny agent totalitarnego systemu”, „marionetka dyktatury”, „ulubiona kurtyzana komunistycznego przywódcy, Hodży”* — cytaty ze „Spectatora”), któremu Salon zrobił niebotyczną klakę jako geniuszowi, czego zwieńczeniem była pierwsza edycja nagrody literackiej Man Booker International Prize (2005). Albo Michaił Bułhakow, którego „Mistrza i Małgorzatę” Salon wielbi, lecz zarówno w Polsce (Józef Hen i in.), jak też w ojczyźnie Bułhakowa

(Wiktor Jerofiejew i in.) są pisarze, co głoszą, że to nędzna literatura. Z naszego rodzimego podwórka można również garściami brać przykłady, nie omijając czołowych nazwisk, złotych medalistów (także noblistów), jak Miłosz, Szymborska, Gombrowicz e tutti quanti, którzy w ferworze wzajemnego okładania się Salonu z Antysalonem dostają brawa i kopniaki na przemian. Mówię teraz o komplementach i kuksańcach dotyczących wartości artystycznej utworów (nie zaś o wypominaniu lub tuszowaniu grzechów politycznych, serwilistycznych, renegackich itp.), czyli o tym, o czym wzmiankował Mazurek. To właśnie „*grafomania*” i pseudoliteracki „*bełkot*”:

Przedwojenny (także powojenny) idol Salonu, Witold Gombrowicz, chociaż wynoszony pod niebiosa dytyrambami salonowych jurorów jako geniusz — z flanki obrywa bardzo ciężko jako patentowany grafoman. Robert Tekieli: *„Spadło ze mnie salonowe chomąto (...) Zobaczyłem, że ironiczna grafomania Gombrowicza jest po prostu śmieszna w swoich filozoficznych pretensjach”* („Gazeta Polska” 2007). Dużo wcześniej pastwił się nad Gombrowiczem wybitny pisarz emigracyjny, *„niereformowalny antylewicowiec”* Józef Mackiewicz: *„Tajemnica powodzenia Gombrowicza jest, moim zdaniem, dosyć prosta. Gombrowicz nie umiał pisać i nie miał nic do napisania. Zastosował więc chwyt, jakiego używają malarze, którzy nie umieją malować i nie mają nic do namalowania: ukrycie treści, a raczej jej braku, pod niezrozumiałą dla otoczenia formą. Czym mniej treści, tym bardziej niezrozumiała forma. Trzeba się tylko nie obawiać absurdu (...) Rzecz oczywista, że nie każdemu taki trik się udaje, lub udać się może. Pomijając zakulisowe okoliczności, o których tu mówić nie będę — wymaga to swoistego talentu”* (londyńskie „Wiadomości” 1969). Natomiast Stefan Kisielewski (głośny „Kisiel”) nie bał się wzmiankować tych lobbystycznych „*zakulisowych okoliczności*”,

więc po śmierci Gombrowicza lekko obsikał jego pomnik, pisząc: „*I nigdy już nie będę się mógł dowiedzieć, czy był pederastą, czy impotentem, czy — jak twierdził K. — «zwykłym onanistą»*” („Dzienniki” 1969).

Pedałem był również Czesio Miłosz (co ujawnił spółkujący z nim megapedał Jarosław Iwaszkiewicz, o czym detaliczniej powiem, gdy dojdziemy do pitawalu — do skandali rodzimego literackiego środowiska). Miłosz posiada miłość członków i wyznawców Salonu, których przekonano, że to wielki poeta i eseista, godny panteonu Skałki. Wszystkich obywateli jednak nie przekonano. Nie przekonano mnie, i nie przekonano Jerzego Narbutta, który prokomunistyczną pisaninę Miłosza określił jako „*przykład belkotu i demagogii*” („Tygodnik Solidarność” 2004). Nie przekonano także poetki Agnieszki Osieckiej, która w swym dzienniku z czasów PRL-u (lata 70-e) napisała: „*Miłosz jest dla mnie zupełnie już jałowy i nadęty jak balon. Zresztą nadęty był zawsze*”. I nie przekonano poety Zbigniewa Bieńkowskiego, który zanegował poetycki talent Miłosza: „*— Miłosz wtedy był poetą, kiedy jeszcze jak najmniej sięgał do półfabrykatów (...) Nie cenię poezji Miłosza. Ona mnie nie grzeje*” („Polityka” 1993). U poetów Miłosz miał zresztą już dawno kiepską opinię — Jan Lechoń parsknął: „*Jego poezja to psie gówno*”, dodając: „*Uważam naprawdę, że Miłosz jest talentem trzeciej klasy*” („Dziennik” 1953). Notabene: równie nisko oceniają Miłosza cudzoziemcy; wybitny zachodni krytyk literacki rosyjskiego pochodzenia, Lew Navrozow, twierdził, że Miłosz „*to poeta gorszy nawet od Brodskiego*”.

Michnikowskie „GW” — centralny/doktrynalny organ Salonu między Bałtykiem a Tatrami — przez pierwszą dekadę III RP usilnie lansowało dwóch prozaików, Andrzeja Szczypiorskiego i Jerzego Kosińskiego, jako wirtuozów pióra (felietonista Maciej Rybiński zwał takich „*grafomanami*

ze stażem”, 2006). Szczypiorski, za PRL-u literacki dygnitarz, któremu media kładły regulaminowo, obrywał wówczas tylko od emigracji, gdyż w Paryżu, w Londynie, w Rzymie, w Sydney, w Toronto, w Buenos Aires czy w Nowym Jorku kręgi polonijne uważały, że jest to kliniczny grafoman. Marian Hemar wyraził istotę rzeczy rymem:

*„ Wezmę z kąta jakiegoś Pokątnego autorka,
Jakiegoś Szczypiorskiego,*

Szczypiórka, czy Szczypiorka.

*I dobroduszenie — bo choćbym Złośliwie chciał, to
nie mogę —*

Zamioć nim parę razy Emigracyjną podłogę”.

Od roku 1990, na skutek regularnej agitacji ze strony „michnikowszczyzny”, zrobiło się o Szczypiorskim głośno, i przez całą dekadę salonowcy zapewniali, że to prawdziwy literacki geniusz. Anty-salonowcy mieli zdanie zupełnie różne; według Lecha Dymarskiego „Andrzej Szczypiorski dowiódł, że nie umie pisać, a literatura jest dla niego żywiołem całkowicie obcym” („Tygodnik Solidarność” 1992). Rafał Ziemkiewicz parokrotnie w latach 90-ych pluł na łamach prawicowych gazet: „Pisarz Szczypiorski z ledwością szyje drętwe produkcyjniaki bez krzty oryginalności i talentu”. Tomasz Łubieński i Krzysztof Mętrak uznali Szczypiorskiego za „literata, który zrobił karierę szczególnie niewspółmierną do swego talentu” (głośna ankieta „Polityki” 1992). Identycznie oceniała jakość pisarstwa Szczypiorskiego liczna grupa fachowych komentatorów (między innymi Robert Tekieli, Tomasz Burek, Krzysztof Koehler, Andrzej Nowak, Janusz Sławiński). Lecz salonowi jurorzy byli nieugięci, dalej przekonując, że Szczypiorski to wielki pisarz. W roku 1991 krakowski konserwatywny dwumiesięcznik „Arka” przyznał nagrodę „Intelektualnego Knota Sezonu” salonowemu hagiografom:

„wszystkim (a imię ich legion) polskim apologetom literackiego mistrzostwa Andrzeja Szczypiorskiego”. Szczypiorski odrzekł na to, iż jego książek nienawidzi „polski Ciemnogród”. Ten rodzimy „Ciemnogród” bardzo źle potraktował także innego salonowego kandydata do Olimpu, Jerzego Kosińskiego, mianowanego przez „michni-kowszczyznę” arcymistrzem prozy. Pisarz i krytyk Antoni Libera wyartykułował wprost, że Kosiński to „zwykły hochsztapler, farmazon i grafoman”, którego uczyniła gwiazdorem „cieleca otwartość szerokiej polskiej publiczności na balamuctwo”, chociaż „wartości literackie i myślowe jego twórczości są bliskie zeru” (paryska „Kultura” 1992).

Prócz Andrzeja Szczypiorskiego i Jerzego Kosińskiego — faworytami Salonu, chwalonymi za rzekomą literacką wybitność, byli od początku III RP wierszokleta Stanisław Barańczak, pseudofilozof Józef książdz Tischner i socweteran prozy Tadeusz Konwicki. „Góralowi” Tischnerowi „Arka” również przyznała — za „belkotliwy język książek” — nagrodę „Intelektualnego Knota Sezonu”, a Rafał Ziemkiewicz doprecyzował: „Wielki pono filozof, książdz Tischner, to w istocie lokalna sława «warszawki» i «krakówka», którą tylko belkotliwy i śmiertelnie nudny styl broni przed zdemaskowaniem umysłowej płycizny” („Najwyższy Czas!” 1994). O Barańczaku i Konwickim — o jakości artystycznej ich prac — nader cierpko wyrażał się poeta Zbigniew Bieńkowski: „ — Barańczak czasem bywa kompromitujący. Te wierszyki... (...) Kiedy się patrzy jak się napina, wysila, by dowieść sklecić! Przecież tylko on się śmieje”, „ — Filmy Konwickiego — wszystkie straszne. W książkach też pokazał siebie od najgorszej strony — wszystkie okropne (...) To nie jest literatura. Pokazał się także jako lichy poeta. To geniusz bez talentu ” („Polityka” 1993).

W tej wojence Salonu z Antysalonem również mnie się oberwało.

Dowaliła mi — jakżeby inaczej — „**Gazeta Wyborcza**”. Roku 2001 sztab „*Michnikowszczyzny*” przerwał na moment egzekwowanie wyroku pt. „*Zamilczcie Łysiaka!*”, publikując wielki tekst pod tytułem: „**Łysiak Zbawiciel**”. Autor, „*cyngiel*” Michnika, niejaki Antoni Pawlak, zawiadomił społeczeństwo, że pisarstwo Łysiaka to „*kompletne brednie, których skomplikowanie intelektualne nie jest wyższe niż poziom froterki*”, gdyż Łysiak to „*Lepper polskiej literatury i publicystyki*”. Nie ukrywał przy tym, że pisze antyŁysiakowy paszkwil wskutek gniewu, bo Waldemar Łysiak ciągle obraża jego szefa tudzież cały Salon. No i ubolewał, że „*książki Łysiaka szturmem zdobyły rynek*”, oraz że prawicowi komentatorzy, nie wiedząc czemu, pieją peany na temat warsztatu froterkowego Leppera. Wszystko to — i moja froterkowa twórczość, i jej rynkowa popularność, i jej recenzencka aplauzyjność — budziło obrzydzenie „*cyngla*”. Nie użył jednak słowa „*grafomanstwo*”, ono bowiem było zarezerwowane dla szefa szefów. Michnik już roku 1992 (wywiad we „**Wprost**”) poinformował Monikę Olejnik, że Łysiak jest „*trzeciorzędnym grafomanem*”. Zrobiło mi się wtedy przykro, miałem żal, iż superarbiter trochę przesadził, bo rzetelna diagnoza winna chyba plasować mnie ciut wyżej — powiedzmy jako drugorzędnego. Lecz co tam! — wielcy pisarze mają prawo do ostrych werdyktów, zaś redaktor Adam Michnik to wielki pisarz. Państwo o tym nie wiedzą? Wstyd! Proszę sięgnąć choćby do archiwalnych tekstów łódzkiego socjologa, Andrzeja Rostockiego, znanego układcza list bestsellerów, który każdą książkę Adama Michnika plasował swymi „*ochami*” i „*achami*” na wyżynach geniuszu. Lub do „**Małej Encyklopedii PWN**” z roku 1995. W małych (jednotomowych) encyklopediach wszystkie hasła muszą być bardzo zwarte, ulegają więc ogromnej kondensacji, wymienia się tylko rzeczy i nazwiska niezbędne, kanoniczne, czołowe. I tak właśnie autorzy

tego kompendium zrobili z polską literaturą współczesną, tą po roku 1976: wymieniono nazwiska tylko sześciu twórców, w tym Adama Michnika oczywiście.

Ta zabawa trwa; kilka lat temu (2008) Michnik opublikował listę Polaków, których szczególnie nie lubi — moje nazwisko było tam wysoko. Bohdan Urbankowski: „*Peerełowska безпеaka stwarzała listy ludzi «wykluczonych» (...) Dokładnie tym samym śladem podąża Michnik drukując listę «nielubianych» przez siebie pisarzy (...) Nagonka na Waldemara Łysiaka trwa...*” („Niezależna Gazeta Polska/Nowe Państwo” 2011).

Szukam puenty rozdziału, i znajduję kilka smacznych rymów. Każda wojenka ma to do siebie, że obie walczące strony pocieszają się identyczną metodą, czy raczej identyczną konstatacją, którą tak ujął swego czasu Marian Hemar:

*„I to nas niesłuchanie Na duchu podtrzymuje,
Że przeciw nam są zawsze Idioci i tylko szuje”.*

6. Wokół nocnika

Uważny Czytelnik niewątpliwie był już łaskaw zauważyć swoistą anachroniczność poprzedniego rozdziału, w którym dałem wybrane opiniotwórcze casusy z lat 90-ych, czyli z ostatniej dekady XX wieku. Tymczasem zaczęła się już druga dekada wieku XXI, czyli trzecia dekada III RP, wypadałoby tedy rzucić na stół trochę świeższego mięsa z jatki sprzecznych literackich sądów. Konflikt okołoliteracki między Salonem i Antysalonem trwa bowiem bezur- lopowo — strony pałują się cały czas. Niżej przytoczę kilka szczególnie ważnych casusów tej wojny, które

miały miejsce niedawno, w latach 2007-2010.

Przez pierwsze dwie dekady III Rzeczypospolitej Salon nie tylko kanonizował gwiazdy stalinowskie (jak Szymborska, Miłosz czy Konwicki) i hagiografował weteranów rodem z PRL-u (jak Szczypiorski, Zagajewski czy Barańczak), ale wypromował też kompanię swych nowych literackich pupilów (Gretkowska, Tokarczuk, Kuczok, Tryzna, Huelle, Chwin, Pilch, Stasiuk, e tutti quanti). Nagradzano ich ceremonialnie tudzież zagłaskiwano piórami salonowych recenzentów, a kto miał inne zdanie, ten był oszołomem z Ciemnogrodu, i kropka. Taki modus brązowania „swoich” i chłostania bądź ośmieszania „*tamtych*” jest przez Antysalon — według którego nowi literacy faworyci Salonu sprzedają (by użyć terminologii Mazurka) drukowany „*belkot*” — zwany „*intelektualnym terroryzmem*”. Jego zgrabną definicję dał Jean-François Revel: „*Terroryzm intelektualny to sposoby, jakimi posługują się ludzie, którzy bardzo dobrze wiedzą, że nie mają racji. Posługują się tymi sposobami dla własnych korzyści, dla obrony swoich interesów i dla blokowania zarzutów pod swoim adresem. Ich metody są brudne, ale oni innych metod nie znają. Te metody wypracował przed laty bolsze-wizm, za sprawą Lenina, który był wielkim terrorystą intelektualnym*” („*Le Figaro Littéraire*” 2000). Rozumiejąc to — łatwiej pojąć dlaczego Wisława Szymborska hołdowała Leninowi jako „*Adama nowego człowieczeństwa*”. Zaś Stalina wręcz deifikowała. Też słusznie — pamiętajmy, że chociaż Lenin owe metody „*wypracował*”, to Stalin je wyszlifował. Roku 1943 tak nauczał swoich podwładnych: „*Przeciwników nazywajcie faszystami lub antysemitami. Trzeba tylko wystarczająco często powtarzać te epitety*”.

Głównym salonowym dystrybutorem łask opiniotwórczych tudzież nagród literackich nieomal państwowych (Nike) jest w III RP gazeta

szczyca się rekordowym nakładem, osławione „ministerstwo prawdy” — organ Michnika. Zdaniem Antysalonu, „GW” to krajowa centrala Salonu, czyli centralne biuro „terroru intelektualnego” III Rzeczypospolitej, swoiste echo peerelowskiego Wydziału Kultury KC PZPR, krótko mówiąc: coś à la tamta „Partia”, której moralność i omnipotencję sławiły pióra wielkich dupolizów (Szyborska: „*Oto Partia — ludzkości wzrok./Oto Partia — siła ludów i sumienie*”, Brzechwa: „*Kto przeciw nam — pila go złamie!/Któr- ry tam? Z drogi! Partia kroczy./Maszerować! Partio prowadź!*”). W ciągu kilkunastu pierwszych lat III RP opór wobec „terroru intelektualnego” „GW” był raczej sporadyczny — był dziełem nielicznych desperados, wiadomo bowiem było, że „ *kto przeciw nam, pila go złamie*”. Stąd duże zdziwienie wywołał roku 2007 całokolumnowy artykuł „Rzeczypospolitej” o trójce literackich pupili Salonu. Zdziwienie, bo chociaż „*Rzepa*” uchodziła za jeden z nielicznych bastionów wolnego (niesalonowego) słowa III RP — to przecież wzięcie na widelec laureatów, których Salon ustawicznie gloryfikował mianem chluby polskiej literatury najnowszej, było aktem bulwersującej odwagi.

Już sam tytuł artykułu Zbigniewa Bidakowskiego — „**Ich Troje**” — mówił właściwie wszystko, nawiązywał bowiem do tandetnego zespołu pop-music, zarabiającego piosenkami klasy badziewia. Bidakowski przeanalizował (solidnie, detalicznie) kilka książek Stefana Chwina, kilka książek Pawła Huellego i kilka książek Olgi Tokarczuk. Powieści. Werdykt wobec każdego z pisarzy, tudzież wniosek ogólny, był jeden: nieznośny bełkot, ewidentne grafomaństwo. Kilka fragmentów analizy: „*Pod względem treści i formy książki te tchną sztucznością i artystycznym fałszem*”, „*W usta bohaterów autor wkłada rozważania tak banalne, że nigdy by się zapewne nie zdecydował na wypowiedzenie ich we własnym*

imieniu”, „*Ludzie, ich czyny, myśli, a przede wszystkim język, jakim mówią, są tak samo martwe jak otaczające ich przedmioty*”;
„*Opowiadania skonstruowane są starannie, jak gdyby autor uczęszczał na kursy twórczego pisania u Izabeli Filipiak i właśnie odrobił lekcje*”.

Parokrotnie Bidakowski przyrównuje język trójki lansowanych przez Salon pisarzy do języka uczniów, których nauczono w szkole pisać (stąd później każdy może być pisarzem, bo nauczono go pisać): „*najprostszy gatunek literacki występujący w szkole — forma wypracowania*”, „*łatwość pisania jak dobry z polskiego uczeń*”, itp. Okazuje się, że trzy literackie gwiazdy mają z polszczyzną elementarne kłopoty — Bidakowski daje soczyste przykłady (cytaty) i co akapit załamuje ręce („*osobliwa polszczyzna*”, „*szkolna, drętwa, nieciekawa polszczyzna*”, „*zaskakująco nieporadny język*”, „*płatki i matowy język*”, „*drewniany język i styl*”, „*rozmazywianie języka*”, „*kłopoty z polskim i z logiką*”).

Gdyby tylko z polszczyzną i z logiką! Bidakowski w kilkunastu recenzowanych powieściach znajduje też furę innych literackich grzechów („*nieudolna kompozycja i narra- ej a*”, „*mizdrząca się mityzacja na siłę*”, „*wyrównana walka pretensjonalności ze stereotypem*”, „*kuriozalne*”, „*banal i rezonerst- wo*”, etc.). Najgorszy jest efekt tego wszystkiego: „*pretensjonalna nuda*”, „*przygnębiające uczucie nudy*”.

Bidakowski, konstatując, iż dla czytelników tego rodzaju utworów „*głównym problemem jest nuda*” — radzi odbiorcom, by „*dla obrony przed tandetą sami wyhodowali w sobie odpowiednie filtry*”. Puentując („*Taki jest nasz — pożał się Boże — Parnas literacki dzisiaj*”) — Bidakowski stawia pytanie: jakim cudem partaczom literackim udaje się robić literackie kariery? I odpowiada: „*To, że tak im gładko poszło, jest symptomem poważnego schorzenia smaku — raczej jednak recenzentów niż*

konsumującej literaturę publiczności". W tej odpowiedzi brakowało antysalonowcom jednego: wskazania, że idzie o re- cenzenckich pseudoznawców (pseudoekspertów, pseudokoneserów) wypełniających rozkazy Salonu (Salonu prowadzącego pseudointe- lektualną kampanię terrorystyczną).

Natomiast salonowcy uznali tekst Bidakowskiego za szczególnie złośliwy paszkwil, co stało się pocieszeniem dla tria sflekowanych pamasistów. Różnice smaków (łacinnicy mówią: „*de gustibus*”, Anglosasi: „*every man to his taste*”) to balsam. Zawsze kiedy ktoś mazał kredą na murze: „*Juzek jezd gupi!*”, ktoś inny dopisywał obok: „*Zenek jezd gupi!*”, i był remis, chociaż dla każdej strony „*ze wskazaniem*”, rzecz jasna. Gdy w PRL-u Werblan, Stomma, Toeplitz, Groński, Górnicki, Koźniewski e tutti quanti perswadowali drukiem, że Waldemar Łysiak nie umie pisać, więc czytająca go masowo publika błądzi — zawsze komuś (Seidler, Łojek, Czapińska, Rymusz- ko, Radgowski, Maciejewski, Słojewski i in.) udawało się odpysk- nąć, że „*szanowni koledzy*” nie mają racji. Gdy czołowy literacki „*arbiter elegantiarum*”, Adam Michnik, ogłosił, iż jestem „*trzeciorzędnym grafomanem*”, tłumacząc Monice Olejnik: „— *Żeby się o tym przekonać, wystarczy przeczytać jego książki i moje. I porównać*” („**Wprost**” 1992) — Leszek Reinisch bezzwłocznie „*odwinął*” (1993) listą dawnych proŁysiakovych komplementów re- cenzenckich (głównie z roku 1981, kiedy pod naporem triumfującej „Solidarności” cenzura nie funkcjonowała aż do 13 grudnia). Wziął tę listę z jakiejś pracy magisterskiej o moim pisarstwie, której autorka załączyła kserokopie recenzji książek Łysiaka (przytaczam z „**Łysiak na laniach 2**”): „*Pisarstwo fascynujące*” (Jerzy Łojek, „**Literatura**”), „*Zupełnie bezkonkurencyjne*” (Barbara Ka- nold, „**Dziennik Bałtycki**”), „*Piękne i osobliwe*” (Eugeniusz Boczek, „**Stolica**”), „*Niestychane*” (Iwona

Rajewska, „**Panorama Północy**”), „*Wyjątkowe w swojej wymowie*” (Sylwester Jabłoński, „**Literatura**”), „*Niezmiernie ciekawe*” (Barbara Seidler, „**Życie Literackie**”), „*Odkrywcze i doskonale — wyśmienite*” (Marek Ry- muszko, „**Prawo i Życie**”), „*Nieomal groźne — to wulkan*” (Bogdan Maciejewski, „**Sztandar Młodych**”), „*Jakpiekielnie dużo dobrej techniki pisarskiej, ręce opadają z zazdrości*” (Juliusz Foss, „**Walka Młodych**”), „*Ijak się to wszystko czyta!*” (Beata Sowińska, „**Życie Warszawy**”), „*Zapiera dech*” (Henryk Górski, „**Prawo i Życie**”), „*Budzi zachwyty*” (Adam Korsak, „**Przegląd Polski**”, dodatek literacki do nowojorskiego „**Nowego Dziennika**”), „*Prawdziwie wielka sztuka, wielki pisarz*” (Wiesława Czapińska, „**Panorama Polska**”), „*Uważam go za geniusza*” (Andrzej Sowa, „**Zarzewie**”), „*Potrafi nieomal wszystko*” (Feliks Netz, „**Tak i Nie**”), „*Świetne pióro*” (Feliks Chrzanowski, londyński „**Dziennik Polski**”), „*Jest swobodny jak ptak*” (Michał Radgowski, „**Polityka**”), „*Autentyczny fenomen*” (Marek Ruszczyk, „**Nowe Książki**”), „*Fenomen naszej literatury ostatnich lat*” (jki, „**Przekrój**”), „*Gwiazda naszej najnowszej literatury przez duże L*” (Ludwik Piasecki, „**Kultura**”), „*Cesarz Łysiak*” (Stanisław Zieliński, „**Nowe Książki**”), „*Krytyka staje wobec niego bezradna*” (Bogusław Sławomir Kunda, „**Pismo Literacko-Artystyczne**”), „*Nawet surowi zazwyczaj recenzenci nie szczędzą pochwał*” (Kazimierz Targosz, „**Panorama**”), „*Wszystkie dzieła Waldemara Łysiaka kupię*” („**Dziennik Zachodni**”, 27—29—III—1981), „*Komplet książek W. Łysiaka kupię*” („**Życie Warszawy**”, 1—3—V—1981), „*Poszukuję wszystkich pozycji Łysiaka*” („**Ekspres Wieczorny**”, 11—IV—1984).

Chwin, Huelle i Tokarczuk również mają bogate teczki wycinków, którymi mogą sobie kurować ego zmaltretowane przez gazetę antysalonową, w końcu salonowi opiniotwórcy wieszali im lau- ry

ciurkiem, zaś wrogowie wieszali na nich psy sporadycznie, tu nie ma remisu. Nie tylko zresztą ta trójka musi szukać pociechy wskutek rzeczzonego artykułu, gdyż Bidakowski ruszył przy okazji kilka bocznych wątków, między innymi problem plagiatowości i quasi-plagiatowości współczesnej literatury rodzimej. Dwa hasła: „*stereotypowa wyobraźnia połączona ze sprytem*” oraz „*brak własnych pomysłów*” inicjują w jego krytycznym artykule konstatację następującą: „*Brak pomysłów podniesiono do rangi znaku firmowego współczesnej literatury*”. Efektem inkryminowanego braku są według autora „*utwory naśladowcze*”. Dostaje się tu kilku pisarzom (m.in. Huellemu za ściąganie z Hrabala i Tomasza Manna), lecz najciekawszy jest fragment o modnej przed dekadą powieści Antoniego Libery „**Madame**”: „*Aleksander Jackiewicz wydał w 1963 roku powieść pt. «Madame», opowiadającą o miłości ucznia do nauczycielki francuskiego. Powieść Libery z 2000 roku pod takim samym tytułem opowiada — przypomnijmy — o tym samym*”. Bidakowski przypomniał również, że Libera „*parantelom literackim, wskazywanym przez krytykę, agresywnie zaprzecza*”. Zaprzeczanie jest w takich wypadkach (wypadkach?) reakcją rutynową/obligatoryjną — „*necesse est*” (Plutarch).

Wojenka Antysalonu z Salonem o cześć, czyli o jakość twórczości (co na jedno wychodzi) rodzimych literatów zadźwięczała pięknym akordem u schyłku roku 2010. Tematem sporu został Sławomir Mrożek, pupil Salonu wieloletni, lubiany także przez kontr- salonowców, ponieważ „Tango” to rzecz dobra. Mrożek wydał akurat pierwszy tom swego „Dziennika”, i Salon — rzecz prosta — eksplodował zachwytem chóralnym. Typowy był tam głos Cezarego Michalskiego, niegdyś (lata 90-e) prawicowca, któremu się odmieniło, więc przeszedł na drugą stronę barykady (doszłusował do lewaków), by tak samo żarliwie lansować

poglądy różniące się o 180° od własnych wcześniejszych. Jego wolta wywołała dużo cierpkich lub wzgardliwych komentarzy, kwestionujących honor i „*elementarną przyzwoitość*” delikwenta; radzono mu pukać się w głowę, ale nikt mu chyba nie sugerował dewizy Alighiera Chiusano: „*Nie bądź jako krytyk służą mody, idź pod prąd, krytyku*”. Michalski został i służą mody (salonowa „*polityczna poprawność*”, te rzeczy), i służą polityki (firma: Krytyka Polityczna, pełny goszyzm), więc jako krytyk oznajmił (we „Wprost”): „*Ten tom «Dziennika» to jedna z najważniejszych polskich książek (...) Sławomir Mrożek znowu wychodzi na chłodnego analityka polskiej narodowej mitologii*”. Ripostował (jemu i całemu salonowemu chórowi chwalców Mrożka) Andrzej Horubała, korzystając z łamów „Rzeczypospolitej”. Przypomniwał, że Mrożek od pewnego czasu próbuje par force zyskać status mędrca narodowego, lecz te „*próby stania się mędr- cem owocują dziełami pokracznymi, nieudanymi, takimi jak skłamaną «Portret», z finałem, gdzie donosiciel emeryt czyta zadenu- cjowanemu przez siebie przyjacielowi wiersze Miłosza, czy «Alfa», nad którym zasłonę milczenia chciał spuścić nawet życzliwy ponad miarę Mrożkowi Jan Błoński. A «Miłość na Krymie», pełna banałów i niezręczności, która dopiero po gruntownych przeróbkach i dodatkach nadaje się do konsumpcji? Niestety: «Tango» pozostanie na zawsze szczytem twórczości Mrożka*”. Horubała uznał „Dziennik” za ponowne nieudolne struganie mędrca, za kolejną próbę zostania nim: „*Jak zostać mędrce? Mrożek postanawia nadąć się (...) Obserwujemy więc tę ślepą uliczkę, tę wynikającą ze złego zdiagnozowania własnych talentów szamotaninę, tę grafomanię (...) Książka jest pokraczna, w wielu miejscach żenująca i zwyczajnie nudna (...) Nie zmieniaj tego reklamarskie okrzyki*”. Takich głosów było więcej przez kolejne dwa lata; Elżbieta Morawiec: „*«Dziennik», będący świadectwem*

niebywałego neurastenicznego narcyzmu (...), stanowi swoistą odskocznnię w psychiczny lament nad samym sobą iro- nisty świadomego faktu, że nigdy nie będzie należał do «pierwszej ligi» literatury światowej» („Niezależna Gazeta Polska/Nowe Państwo” 2012). Również tę ligę miał na myśli Horubała, gdy — tuż po użyciu słowa „*grafomania*” — sugerował konieczną wątpliwość co do „*lokowania Mrożka w hierarchii literackiej*” (2010).

Od nikogo podczas pierwszej dekady XXI wieku hierarchie literackie (i prawie wszystkie artystyczne) nie dostały silniejszego kopniaka niż od reżysera i pisarza Andrzeja Żuławskiego. Znakomity twórca, autor nie tylko głośnych filmów polskich tudzież francuskich, lecz i rozchwytywanych książek (prozaik, eseista, memuarysta) — zanurkował w piekielko kulturowe III RP jako człowiek z zewnątrz, nieomal cudzoziemiec (Paryżanin). Ciosy, które zadał Salonowi, dlatego były najcięższe, że zostały wymierzone nie przez regularnego żołnierza Antysalonu, lecz właśnie przez intruza, quasi-obcokrajowca, ergo: przez arbitra bardziej — wskutek tej „neutralności” — obiektywnego i wiarygodnego.

Żuławski skopał priwiślański Salon dwukrotnie. Najpierw (2009) ukazał się wywiad-rzeka z nim, przeprowadzony przez Piotra Mareckiego i Piotra Kłętowskiego. Padło tam wiele ciężkich słów pod adresem kulturowych bożyszczy Salonu (/. lej książki publika dowiedziała się m.in. o żenujących kulisach sukcesów i artystycznych porażek Andrzeja Wajdy), lecz wszystko to był mały pikuś w porównaniu z książką następną (2010). Żuławski dał jej formę diariusza i zatytułował: „Nocnik”, co miało bardzo czytelne dubeltowe znaczenie: nocnik jako odwrotność dziennika (paralelna odwrotność — chodzi o pisanie nocą, a nie w dzień), i nocnik jako naczynie, do którego lecą lub w którym leżą nieczystości.

Pomysł nie był oryginalny stuprocentowo, bo już Stefan Kisielewski („*Kisiel*”), który swym antysalonowym „Dziennikiem” przyprawił o furję wychłostanych przezeń dygnitarzy i gwiazdorów Salonu — użył tej samej metafory/symbolu, pisząc: „*Trzeba im kupić szklany nocnik — żeby zobaczyli co narobili*”.

Gdy Żuławski „Nocnikiem” wyłożył Polsce co narobili salonowcy przez dwie ostatnie dekady — Salon, rzecz jasna, dostał szału. Gorączkowo myślano: jak tu uwalić sukinsyna?! Piętnowanie go za wrogość polityczną (czyli za strzelanie z szzańców prawicy) nie wchodziło w grę, gdyż facet nie pieścił się również z prawicą, bezkompromisowo krytykując choćby braci Kaczyńskich. Polemizowanie na temat wykpionej twórczości pupilków Salonu (a więc zbijanie argumentów estetycznych perswadowaniem, iż to, co dla autora „Nocnika” jest „*be*”, w istocie jest „*cacy*”) również nie byłoby zręczne, bo wyluszczałoby rzeszom ludzi, którzy nie czytali „Nocnika”, iż twórczość nagradzana przez Salon bywa tu i tam uważana za badziewie. Zdecydowano się wyrzucić cenzuralnie książkę z rynku. To samo chciano zrobić wcześniej z kilkoma też „*skandalicznymi*” („*politycznie niepoprawnymi*”) książkami, które dokumentacyjnie udowadniały współpracę Lecha Wałęsy (TW „*Bolka*”) z bezpieką, ale zabrakło solidnego (prawnego) pretekstu, tutaj natomiast trik się znalazł. Otóż Żuławski w swej książce kilkanaście razy wzmiankował (bezpruderyjnie i beznazwiskowo) swoją byłą metresę. Ta skierowała sprawę do sądu (z kilkumiesięcznym opóźnieniem!), żądając zakazu rozprowadzania książki, sąd natychmiast się przychylił, i „**Nocnik**” wycofano z księgarń (dzięki czemu na „*czarnym rynku*” zyskuje ceny astronomiczne).

Przez kilkadziesiąt tygodni między legalnym ukazaniem się i cenzuralnym zakazaniem „**Nocnika**” — Salon nie kontratakował medialnie.

Ściślej rzecz biorąc: nie kontratakował merytorycznie. Telewizje milczały, tabloidy i „*babskie pisma*” szczypały autora za złe potraktowanie ekskochanki, natomiast prasa poważniejsza tylko wzmiankowo opluwała książkę, i to ogólnikami, nie cytując bolesnych dla Salonu konkretów. Exemplum: antyŻuławskie plwociny w salonowym magazynie „**Kultura**” (dodatku do gazety „**Dziennik/Gazeta Prawna**”), gdzie Jacek Wakar nazwał „**Nocnik**” książką „*haniebnie złą, nic nie wartą artystycznie*” i „*paraliterackim ścięciem*”, dając jako przykład właściwej diariuszowej literatury salonowe pieścidełko, „*znakomitą książkę Tadeusza Konwickiego «Kalendarz i klepsydra»*” (2010). Pechem maszynistów tej kampanii gnojenia Żuławskiego okazał się postęp techniczny: wynalazek inter- netu. Tygodnik „**Angora**” przedrukował głosy internautów o „**Nocniku**”, te bardzo krytyczne, będące dziełem salonowców i prosalonych „*pożytecznych idiotów*”, jak również te pochlebne, przykre dla Salonu („*«Nocnik» to poprostu dobra książka*”-, „*Książka świetna, bardzo podobna do «Dzienników» Tyrmanda w narracji i w formie*”-, „*Nie da się ukryć, że wiedzę oraz spostrzegawczość wobec ludzi kultury Żuławski ma ogromną*”-, „*Widząc rozczarowanie Żuławskiego kilkoma osobami (Michnikiem, Miłozsem, Wajdą), a przede wszystkim jego świadomość osiadania establishmentu w wygodnej tandecie i szmirze — trudno nie docenić jego inteligencji (...) Niewiele zostaje z wielkości wielu person*”, itd., itp.).

W „Nocniku” została zakwestionowana „*wielkość*” rozmaitych „*person*” nie tylko priwiślańskich, także cudzoziemskich promowanych przez międzynarodowy „*politycznie poprawny*” Salon. Jako reżyserów, „*na których patrzeć się nie da*”, wskazał Żuławski kilku pieszczołów Salonu (Almodovar, Jarmusch, von Trier, itd.). Jako literatów „*nieczytelnych*”, „*nudnych*”, „*grafomańskich*”, „*pustych*”,

„*belkotliwych*” wymienił światowe gwiazdy (Saramago, Murakami, Pamuk, Märaiu, Pessoa, Fo, Le Clezio, Jelinek, itd.). Równocześnie piętnował głupotę recenzentów chwających to „*barach- lo*”. I dokładnie tak samo (surowo) obszedł się z gwiazdorami polskiej literatury tudzież krytyki literackiej, zastrzegając przy tym, że stawia werdykty bez uprzedzeń i prywaty („*Nic tu nie jest nieszczerze i nic tu nie jest oszczerstwem*”). Trzeba dodać, że stawiał je także bez eufemizmów, czasami — nie tylko wobec literatów — językiem dosadnym (Wojciecha Manna nazwał „*kokieteryjną pur- chawą*”). Są w „*Nocniku*” twarde sądy ogólne („*Ach, jakże śmierdzi mi kultura establiśmentu... Ten zaścian bez drożdży, bez prawdy, bez ciętości stylu, jasności doświadczeń, celności języka*”) i równie surowe osądy personalne, gdy Żuławski charakteryzuje pisarzy i krytyków. Ich wspólną działalność, owocującą salonowym kultem miernot, zwie „*lepieniem bałwana*”!. „*Takiego bałwana lepia Pilch, Głowacki, Myśliwski czy, jak mu tam, Stasiuk, nawet maleńki Hen grafoman; koszetki, nudziarze i wymądrzający się spod pióra...*”. W innym miejscu: „*Pilchy, Huellowie, pogubienie Gretkowskiej i następujące rozbeltanie Masłowskiej (...), płytkość Tokarczuk i gliny Myśliwskiego, tych rodzimaszków*”.

Tego typu werdyktów, pełnych modnych tytułów i nazwisk, jak również utyskiwań pod adresem rodzimej literatury („*czarna dziura*”, „*belkot*”, „*mętniactwo*” itp.), Żuławski nie szczędzi czytelnikom na prawie 650 stronach „*Nocnika*”. Puenta dotycząca literatury: „*Nędzarze, wśród nich korzystnie wyróżnia się proza Łysiaka (jest taki?), którą można ze zgrozą nazwać faszystowską*”. Zgrabne, bo nawias („*jest taki?*”) symbolizuje zmowę milczenia Salonu o Łysiaku, a słowo „*faszystowską*” sygnalizuje antylewackość/antysalonowość mojego pióra. Zgrabne więc, ale czy trafne jako werdykt?

Tym, których uwiera fakt, że Żuławski pochwalił tylko Łysiaka, więc sądzą, iż teraz Łysiak rewanżuje się broniąc „Nocnik”

— oświadczam: zarówno komplementy pod adresem mojej twórczości, jak i jej dezawuowanie, są mi całkowicie obojętne, albowiem są bez znaczenia. Kilka już razy, w drukowanych wywiadach, tłumaczyłem, że jedyny sensowny (nieomyślny) arbiter to według mnie Czas. Gdy za 100 lat moja literatura będzie jeszcze czytana i chwalona — wygrałem. Jeżeli nie — przegrałem. Kropka. Mam wobec owej kwestii taki sam zdrowy stosunek, jaki miał wobec swojej poezji Marian Hemar:

„Te moje przygodne rymy - Mniejsza z tym ile warte, Za sto lat zobaczymy”.

7. Karuzela rankingów

W wojnie politycznej (bo przecież nie estetycznej vel jakościowej vel rzetelnie waloryzującej — to nie te klocki) Salonu z Anty- salonem o niższą i wyższą literaturę — bardzo istotną rolę grają wszelakiego rodzaju nagrody, wyróżnienia, uwzględnienia i plasowania. Głównie rozdawane przez Salon, on bowiem dysponuje gigantyczną większością mediów. Prócz klasycznych dorocznych nagród, liczą się wszelakie „listy”, „rankingi” i „kanony”, czy nawet „reprezentacje” (Anno Domini 2012 „Newsweek” opublikował pa- raiutbolową propozycję „reprezentacji” polskiej literatury dzisiejszej — atak: Andrzej Sapkowski, Jacek Dukaj, Marek Krajewski; pomoc: Janusz Głowacki, Wiesław Myśliwski, Waldemar Łysiak; obrona: Olga Tokarczuk, Hanna Krall, Edward Redliński, Andrzej Stasiuk; na bramce Teresa Torańska — zdumiewający kogiel-mo- giel), najmniej zaś liczy się głos czytelnika, bo „konsument” nie jest od rządzenia.

Między pisarzem a czytelnikiem funkcjonuje nie tylko księgarnia (to jedynie sklep), lecz i hersztowie oraz służący im motorniczowie rynku

literackiego. Niektórzy pisarze skracają ów dystans spotkaniami z czytelnikami (wieczory autorskie, targi książki, promocje itp.), a niektórzy czytelnicy skracają go korespondencyjnie, śląc do pisarzy listy (papierowe lub elektroniczne), czasami nawet paczki. Wewnątrz tych paczek są maszynopisy młodych początkujących (dzisiaj także dyski), którzy chcą wyłudzić opinię autorytetu. Umberto Eco w wywiadzie dla „La Stampa” (2009) przeklinał ten proceder „szukania poparcia u sławnego pisarza”, twierdząc, że to „skończona beczelność”, na którą on reaguje szewską pasją i od razu wyrzuca przesyłkę do śmieci.

Istnieje powiedzonko: „czytelnicy głosują przy kasach”, które sugeruje, iż prawidłowa ocena jakości literatury (lepiej-gorsza) to ocena rynkowa, dokonująca się dzięki zaletom systemu demokratycznego. Kłopot z tym, że również wskutek jego wad, vulgo: duża liczba głosów oddanych na jakąś figurę (Hitler) lub na jakąś książkę („Miłość wampira”) nie świadczy o dużej klasie wybranych. Można by, rzecz jasna, ogłaszać literackie plebiscyty, aby publika wybierała z myślą o pisarskich (artystycznych) wartościach, lecz tu znowu przeszkadzałyby: względność wartości i mentalna (kone- serska) słabość elektoratu. W plebiscycie na polski wokal wszech czasów (2007) zwyciężyła Doda. Demokratycznie — dostała największą liczbę głosów. W innym rankingu, nieformalnym (nieogło- szonym), lecz trwającym permanentnie, a mierzonym liczbą wypowiedzi dla mediów — rankingu wśród polskiej inteligencji salono- wej — Gombrowicz zwycięża jako polski pisarz wszech czasów. Czy jest tu analogia? Owszem, i to stuprocentowa, mierzona skalą braku smaku, rozmiarem głupoty tudzież parametrem siły instynktu stadnego. Jeden oraz drugi sondaż dowodzą, że gust i rozum są nad Wisłą zjawiskami bardziej deficytowymi aniżeli nielepkie ręce, i tylko brak honoru wyprzedza je pod względem zasięgu w procesie gangrenowania mas oraz

elit.

Elita odbiorców literatury to ludzie czytający pisma kulturowe (literackie, artystyczne, muzyczne itp.), oni więc byłiby elektoratem sensowniejszym niż tępe masy — dokładnie tak rozumowała redakcja tygodnika „Kultura”, ogłaszając (1988) wśród swych czytelników wielki plebiscyt pt. „*Wybory Nieśmiertelnych – Honorowa Akademia Literatury*”. W zamierzeniu było to swoiste echo Akademii francuskiej, której członków zwie się „*Nieśmiertelnymi*”.

Polskich „*Nieśmiertelnych*” miało być 15. Czytelnicy zgłosili 265 kandydatur, a fotkami portretowymi „*złotej piętnastki*” triumfatorów „**Kultura**” wytapetowała całą stronę tytułową numeru wieńczącego plebiscyt. Na miejscu 15 moje kwadratowe ze zdumienia oczy ujrzały fizys najmłodszego „*Nieśmiertelnego*” — Waldemara Ł. Pierwsze miejsce zajął Żukrowski, drugie Bratny, a u szczytu roilo się od równie zasłużonych PZPR-owców, WRON-owców, PRON-owców i SB-ków (Czeszków, Krawczuków, Kuśniewiczów, Konwickich, Nienackich, Dobraczyńskich itp.). Głupio zrobiło się dopiero wtedy, gdy rozgłośnia Wolna Europa podała, że prawdziwym triumfатorem plebiscytu został Łysiak, którego zdegradowano kamie o czternaście miejsc, bo 13 grudnia 1981 (wprowadzenie „*stanu wojennego*”) przestał publikować w reżimowej prasie (do 1989 publikowałem tylko w prasie podziemnej i zachodniej). Te wieści niezbyt mnie uskrzydlały, bo mam „*kalafiorowy*” vel „*kilo- kitowy*” (chodzi o zwis) stosunek do wszelakich wyróżnień, i zaufanie do jednego tylko arbitra, co ciągle powtarzam, żeby wszystko było jasne. O tym superarbitrze — o królu Czasie — często napomykał Marian Hemar, cytuję go znowu:

„*I nie dla mojej sławy Niech twarz obróci ku mnie,*

Mnie sława nie bawiła Za życia, tym mniej w trumnie”.

Dzisiejsze (III RP) literackie rankingi, publikowane przez salonowe media, mają (wedle antysalonowców) identyczne wady co rankingi peerelowskie oraz prosty cel: narzucenie (wpojenie) publice hierarchii salonowej jako jedynie słusznej, prawdziwej. „*Przekonywanie przekonanych*” jest tu zbędne — główny „*target*” to przekonanie adwersarzy. Już bolszewicki literaturoznawca, Anatolij Łuna- czarski (**„Istorija zapadnojeuropejskiej litieratury”, „Litiera- turnyje siluety”, „Kriticzieskoje etiuudy”**), twierdził: „*Ci, którzy są przeciw nam, też są z nami, tylko tego jeszcze nie wiedzą, ale my im to uświadomimy*”. Że nakłonienie człowieka do takich radykalnych wolt jest możliwe, świadczą przypadki wielu konwertytów i neofitów (choćby casus lewackiego eksprawicowca Cezarego Michalskiego, czy casus salonowego eksantysalonowca Tomasza Wołka). Trzeba tylko stale, regularnie lansować te same werdykty, śpiewać te same wersety opiniotwórcze — i muezini literaccy to czynią. Klarowną analogię stanowią tu sondaże polityczne, które według Antysalonu są w III RP od dawna brutalnie fałszowane na niekorzyść prawicy. Ciągłe duże „wpadki” (?) — kilkunastoprocentowa (!) rozbieżność między prognozami sondażowymi a rezultatami wyborów — zmusiły wreszcie OFBOR (Organizacja Firm Badania Opinii Rynku) do przeprowadzenia sumiennego audytu firm sondażowych (2010/2011). Zbadano 39 sondaży pięciu firm (CBOS, TNS OBOP, GfK Polonia, PBS/DGA i SMG/KRC). Efekt audytu był kompromitujący dla „*sondażowni*”: permanentnie przeszacowywały prognozowane wyniki salonowców, a niedoszacowywały prognoz dotyczących antysalonowców, co było ewidentnym oddziaływaniem na elektorat. W raporcie audytowym słowo „*falszerstwa*” nie padło, ale nie musiało paść, wszystko było jasne...

Jedną z metod lansowania przez Salon „*swoich*” literatów są

ogłaszane przez „mainstreamowe” media listy bestsellerów książkowych, w których przypadku fałszowanie stanowi już właściwie praktykę rutynową. A.D. 1992 krytykował to publicznie znany edytor i księgoznawca Piotr Szwejcer, wskazując m.in. moją powieść „**Najlepszy**”, usuwaną z list bestsellerów bądź spychaną niżej z wysokich miejsc tych list. Ta praktyka nie jest wynalazkiem „różowych” macherów, czerwoni stosowali ją dużo wcześniej. Listy rankingowe książek, mające w III RP regularny rytm (co miesiąc, co kwartał, co pół roku i co rok; swego czasu magazyn kulturowy „**Dziennik**” publikował nawet listę tygodniową) — za PRL-u ukazywały się okazjonalnie, doraźnie, czyli nieregularnie. Najpopularniejszą była bodaj lista bestsellerów „**Kuriera Polskiego**”, starająca się o prestiż solidnego rankingu. Moje książki — chociaż miały rekordową poczytność — stale zyskiwały na tej liście drugie i trzecie miejsca, nigdy pierwszego. Szczególnie zdumiewający okazał się przypadek „**Francuskiej ścieżki**”, bo „*cala Warszawa*” (również księgarze) mówiła, iż rzecz jest „*pozycją bezkonkurencyjną*”, tymczasem na liście rankingowej „**Kuriera**” wyprzedził ją gniot autora „*lepiej widzianego*”. Kulisy tego „*cudu nad urną*” zdradził mi później dziennikarz wyrzucony z „**KP**”: „**Francuska ścieżka**” zwyciężyła w głosowaniu księgarzy i czytelników, lecz spadła na drugie miejsce decyzją redaktorów. A.D. 1981 rzecz została ujawniona publicznie i śmiał się z tego nawet Londyn, gdy polonijny „**Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza**” opublikował recenzję z „**Francuskiej ścieżki**” zatytułowaną: „**Fascynująca książka!**”.

Lecz wróćmy do III RP. Piotr Szwejcer wyśmiał pewną „renomowaną” listę bestsellerów, argumentując: „*Na cytowanej liście nie znalazła się doskonale się sprzedająca ostatnia książka Łysiaka, «Najlepszy» (nakład większy niż co najmniej trzy tytuły z pierwszej*

dziesiątki literatury polskiej!)” („**Notes Wydawniczy**” 1992). Rok później Rafał Ziemkiewicz też zakwestionował (w „**Spotkaniach**”) rzetelność list bestsellerów. Trzy lata później „**Gazeta Wyborcza**” opublikowała listę hitów książkowych roku 1996, na której nie było żadnej książki Łysiaka, chociaż dwa moje produkty były wtedy rekordy liczbowe sprzedanych nakładów. Fałszerstwa tego typu często przybierają formę wręcz komiczną, jak wówczas, gdy opublikowano listę książek najlepiej się sprzedających przez pierwsze półrocze 2000: książka Lema zdobyła złoty medal, wyprzedzając moją książkę o kuriozalnie precyzyjną liczbę 687 egzemplarzy (sic!). Hurtownicy i księgarze zatrzęśli się ze śmiechu...

Salon natomiast trzęsie się ze strachu. Ale tylko w jednym rankingowym przypadku — w przypadku szkolnej listy lektur obowiązkowych, bo to jedyny „ranking”, którego nie sposób bezczelnie fałszować. Można drzeć koty o Gombrowicza (co się zdarzało), ale nie można utworów Mickiewicza zastąpić utworami Chwina, Wiśniewskiego lub pani Gretkowskiej. I to jest ból. Marcin Wolski kpił a propos: „*Gdyby listy lektur obowiązkowych układał Salon — to z nacjonalisty Sienkiewicza ostałyby się ogryzki, a za wymawianie nazwiska Łysiak groziłaby grzywna*” („**Wprost**” 2007). Ale ponieważ Salon nie może jeszcze narzucać Polakom listy lektur obowiązkowych — nie powiodła się także (2008) rozpętana przez goszy- zujący Związek Nauczycielstwa Polskiego (konkretnie: przez łódzki zarząd ZNP) inicjatywa wywalenia ze szkół kilku pisarzy „*antysemitów*”, zwłaszcza Żeromskiego, Reymonta i Prusa. U Reymonta („**Chłopi**”) pijany Antek Boryna ryczy do Jankiela: „— *Psiakrew, Żydzie, bo cię zakatrupię!...*”. U Prusa subiekt Wokulskiego mówi: „— *Jak te kanalie Żydy cisną się!*” (są tam zresztą i gorsze zdania, exemplum: „— *Poszły parchy! Won!*”). U Żeromskiego („**Ludzie**

bezdomni”) czytamy: „*Wrzeszczało (...) kilkanaście sztuk dzieci folwarcznych, Żydków z miasteczka i innej hołoty*”. Komentujący to tygodnik „**Przekrój**” dodał (2008), iż zagrożony jest również Zygmunt Krasiński, bo w „**Nie-Boskiej komedii**” Żydzi źle mówią o krzyżu, a Szekspir może oberwać wskutek swojego antysemityzmu z „**Makbeta**” czy „**Kupca weneckiego**”. Inicjatywa została solidnie nagłośniona przez salonowy „*mainstream*”, lecz nie wypaliła, gdyż nie dostała „*przychylenia społecznego*”. Ciemny ten nasz lud, broniący literackich „*antysemitów*”.

Gdy już przy tym jesteśmy — trzeba nadmienić, że w swych próbach rugowania twórców, których nie chce akceptować dzisiejsza „*polityczna poprawność*”, Salon priwiślański małpuje Salony cudzoziemskie — tak Salon europejski, jak i Salon amerykański. Sięgnijmy po przykład z każdego kontynentu. W Europie gromko ujawniono „*antysemityzm Szekspira*”, piętnując zwłaszcza „*Kupca weneckiego*”, którego się przez to coraz rzadziej wystawia. Charakterystyczne jest tu zrzęczenie brytyjskiego reżysera i teatrologa, laureata Oscara, Jonathana Mayersona: „*Weźmy choćby «Kupca weneckiego». Wyobraźmy sobie, że oznajmiasz dzisiaj, iż chcesz napisać sztukę oczerniającą rasową mniejszość w duchu rasistowskim, aby dowieść, że przedstawiciele tej mniejszości są właśnie tacy, jakimi ich maluje tuszcza rasistów: wredni i absolutnie haniebni. A czarnym bohaterem uczynisz należącego do tej mniejszości drania, który ponosi klęskę materialną (jako finansista) i moralną (jako ojciec). Inne figury twego dramatu nie zostawią na nim suchej nitki. Jak umotywujesz jego wszechstronne bankructwo? Winna będzie jego uparta żydowskość, po prostu. Fakt, że takie coś wciąż się jeszcze wystawia — to chyba efekt niezrozumiałości archaicznego języka Szekspira. Szczerze mówiąc — wolałbym już obejrzeć «Springtime for Hitler», bo tu nikt nie wyobrazi*

Hitlera takim, jakim nie był” („The Independent” 2001).

Z kolei takim, jakim nie był, frontmeni „*political correctness*” prezentują cudownego pisarza, Marka Twaina — jako przebrzydłego rasistę. Chodzi im głównie o genialną powieść, którą noblista Ernest Hemingway nazwał prawdziwą kolebką amerykańskiej literatury — o „Przypadki Huckleberry Finna”. Piekło rozpętało się A.D. 1996, gdy czarnoskóry literaturoznawca, John Wallace, uznał tę książkę za „*rasistowski śmieć*”, i stwierdził, że każdego belfra, który poleca ją, „*trzeba bezzwłocznie wywalić na zbity pysk ze szkoły jako rasistę*”. Salon rutynowo podzielił tę opinię — pisarka Jane Smiley wysunęła egzegezę (1997), iż „*kanonizacja Twaina, uznanego wielkim pisarzem — to spisak białych krytyków i literatów: Eliota, Trillinga i Hemingwaya*”. Rozpoczęło się radosne wywalanie dzieła „*na zbity pysk*” z bibliotek amerykańskich, dzisiaj trudno je tam znaleźć. Notabene: Eliza Sarnacka-Mahoney wypichciła wówczas (1998) tekst analityczny o „Przypadkach Hucka”, rozwodząc się cały czas nad tym, iż bohater powieści, Huck Finn, jest Murzynem (sic!!!), co świadczy, że nawet nie trzymała tej książki w ręku. Lecz to już anegdota pasująca bardziej do tematu Salon i kobieta, my zaś przerabiamy właśnie temat Salon i rankingi: Chociaż — jako się rzekło — Salon nie daje jeszcze rady wywracać do góry nogami listy szkolnych lektur, to już układać wszelkie „*kanony literatury*” może bezhamulcowo, i bardzo często tę formę lansowania „*swoich*” praktykuje. „*Lans*” ów ma różne formy, na przykład serii wydawniczych typu „*Polska literatura współczesna*” (exemplum „Polityka” drukująca „*Bibliotekę «Polityki»*”, czyli książki Tokarczuk, Pilcha, Chwina, Huellego, Myślińskiego, Redlińskiego, Krallówny itp.), bądź kompendiów typu „*Lektury współczesnego świata, które powinieneś mieć na półce*” (exemplum „Newsweek” proponujący „*każdemu*

czytelnikowi z ambicjami inteligenta” dzieła Brandysa, Stasiuka, Michnika, Barańczaka, Kuczoka, Pilcha, Andermana, Tokarczuk, Tryzny, Krallówny, Redlińskiego, Zagajewskiego, Huellego itp.). Nie jest to prawnie zabronione, jak zresztą wygadywanie wszelakich głupot na jakiegokolwiek tematy prócz Holocaustu (przykładowo: roku 2011 aktor Daniel Olbrychski w wywiadzie prasowym oświadczył serio, z głęboką czcią, że hucpiarski skandalista Janusz Palikot to „bardzo inteligentny filozof”, i nikt tego Daniela nie wsadził do domu wariatów, gdyż tych przypadłości się nie leczy, one są — jako zjawisko kulturowe bądź sockulturowe — produktem ubocznym politycznej wojny Salonu z Antysalonem nad Wisłą).

Produktem ubocznym „*literackich kanonów*”, lansowanych nie bezinteresownie przez salonowe „*autorytety*” i salonowe media, jest coś innego, dużo ciekawszego: literackie mody, zazwyczaj tendencyjne, fałszywe, dmuchane, balonowe, które Czas bezlitośnie obnaża. Kolumbijski filozof Nicolas Gómez Davila mówił: „*Kłamliwie wychwalanie jakiejś literatury nie zwiedzie przyszłych pokoleń nie dlatego, że te generacje będą inteligentne, tylko dlatego, że Czas zezwoli tekstowi przemówić własnym głosem*” („Scholia”). Nasz Stanisław Jerzy Lec ujął to dosadniej fraszką:

„*Najwyższa stajenna ranga nie zmieni osła w mustanga*”.

Zjawisko usychania, wypalania się literackich mód, budowanych przez interesowne rankingi, listy i kanony, jest sędziwe jak literatura. Nie sięgajmy zbyt daleko, starczy nam dla zobrazowania problemu wiek XX. Artur Rumpel przypomniał niedawno (w „*Najwyższym Czasie!*” 2009) o książce profesora Jana Stanisława Bystronia „*Publiczność literacka*” (1938), gdzie autor cytuje Tadeusza Boya-Żeleńskiego i komentuje ruszoną przez tamtego kwestię trwałości literackich mód. Żeleński

gawędził, że jako młody człowiek czytał wszystko „*co szanujący się inteligent czytać powinien*”⁷. Stimera, Schoppenhauera, Garborga, Ibsena, Brandesa, Maeterlincka, Nordaua, d’Annunzia, Bjórnsena, Andrejewa, Strindberga, Gorkiego i Nietzschego. Bystron skomentował tę listę po latach: „*Jak się to wszystko zmieniło! O Garborgu można w ogóle nie wiedzieć, Brandesa i Nordaua można wzmiankować z lekceważeniem, Stimera pozostawia się uczonym historykom idei, d’Annunzia i Maeterlincka wypada znać, ale nie można się nimi zachwycać. Klasyczny bigos pozostał, ale składniki uległy zmianie; dzisiaj w skład tej osobliwej mieszaniny (...) wchodzi Pirandello, Paul Valéry, Céline, Galsworthy, Tomasz Mann, Dreiser, ale i to szybko ulega zmianie*”⁷. Gdy ja byłem młody, uchodziło za „*comme il faut*” deklarować, że się czyta Sartre’a, Joyce’a i Faulknera; później, że Mârqueza, Musila i Kunderę; jeszcze później, że Prousta, Gombrowicza i Bułhakowa. Gdy w połowie lat 90-ych XX wieku pisałem jako pięćdziesięcio-latek artykuł „**Spóźniona projekcja**”⁷, gazety zachodnie pełne były sformułowań odbrązowiających niedawnych literackich gwiazdorów — lanie dostawali idole, świeże jeszcze tuzy: Pavese i Sciascia („*runęli z piedestalu*”), Moravia i Calvino („*przecenieni*”), Strehler („*nużące spektakle*”), Handke („*mało wart; sztuczne, nudne wydziwianie*”), Gross („*banalny, przeciętny, nudny*”), dalej Boli, Kundera i nawet Sołżenicyn (Dominique Fernandez: „*Dziś, gdy już nie chłoniemy jego twórczości przez pryzmat terroru sowieckiego, trudno dobrać z siebie choć trochę zachwyty, a jego ostatnia powieść to ciężki, zakalcowaty gniot, nadający się tylko do kosza*”, 1994).

Sytuacja odwrotna (wyniesienie kogoś niedocenionego dawniej) zdarza się rzadko — szukając jakiegoś przykładu widzę raczej kino niż

7 — Patrz „*Łysiak na łamach 4*”, 1995.

literaturę. Za mojej młodości krytycy zgodnie opluwali „*spa- ghetti-westerny*” Sergia Leone jako badziewie, zupełny filmowy ob- ciach, a dziś, po kilku dekadach, zgodnie cmokają, głosząc chwałę tych „*kultowych filmów*” (coś analogicznego mamy lokalnie z filmami Barei). Więc każdy „*inteligent*” poczuwa się do chwalenia mistrza Leone, tak jak każdy polityk (im większy baran, tym skwapliwiej) recytuje, że czci „**Czarodziejską górę**”, „**W poszukiwaniu straconego czasu**”, „**Ulissesa**” i Dostojewskiego. Młodzi krytycy literaccy i stare recenzentki prostytutki wyznają zgodnie te same kanony światowych literackich mód, niczym Papuasi kult „*cargo*”, i współdziałają ze sobą przy tworzeniu lokalnych, rodzimych. Pisarz Piotr Giedrowicz parsknął zgryźliwie: „*Oto Polska — tutaj ze zwykłych cweli robi się nobliwców*” (2006).

Gdy Czas nieubłaganie dewaluuje modne kanony — ich twórcy i wyznawcy zawsze mogą się pocieszać, że w literaturze to nic nie kosztuje (prócz wstydu, lecz salonowcy nie mają wstydu). Dużo cięższa jest sytuacja frajerów w sztuce — ci na Zachodzie, co ulegli modom artystycznym lat 60-ych, 70-ych, 80-ych czy 90-ych XX wieku i kupowali mniemane (lansowane, wmawiane) arcydzieła płacąc miliony dolarów, dzisiaj nie mogą odzyskać nawet jednego dolara, bo nie mogą sprzedać tych „*awangardowych*” bzdetów. Taka jest cena tępoty. Ale jeszcze raz powtarzam: w sztuce i w literaturze każdy ma prawo do własnej tępoty (ja również —jestem na tyle tępy, że nigdy nie zrozumie i nie zaakceptuję literackiego hitu z roku 1965, sławnego listu polskich biskupów do biskupów germańskich: „*Przepraszamy i prosimy o przebaczenie*”, który, identycznie jak czerwoni, uważam za nonsens, za przejaw kościelnego obłądki, mimo że permanentnie jestem katolikiem i anty- komunistą).

Wierzchołkiem promocji „*swoich*” literatów Salon uczynił nagrody

literackie. Im trzeba poświęcić osobny rozdział:

8. Upolityczniony ring nagród

Ryszard Legutko: „*Współcześni intelektualiści wytworzyli sobie coś w rodzaju świeckiej religii, która ma swojego boga, swoich aniołów, swoje świętości, swoje dogmaty, a nawet sakramenty*” („Nowe Państwo” nr 7/2004). Tymi „sakramentami” są nagrody wszelakiego rodzaju, nie tylko literackie, lecz i filmowe, teatralne, telewizyjne, dziennikarskie, malarskie, rzeźbiarskie, muzyczne etc. W Polsce źle się mówi o nich (jako o koteryjnych), co ciekawe: źle się mówi po obu stronach barykady, czy raczej po obu stronach linii frontu. Przykładowo: duet lewicowych (a więc salonowych) publicystów, Marek Sobczak i Antoni Szpak, schlaśtał salonową telewizyjną nagrodę Wiktor jako „śmieszna i wazeliniarska” („Angora” 2009), drwiąc przy tym z laureatów (kardynał Dziwisz — „*li-zus*”, Tomasz Lis — „*chodząca obłuda i hipokryzja*”, Piotr Krasko — „*słodko pierdzące komentarze*”, Monika Richardson — „*łaząca się do wszystkich możliwych*”, etc.). Przy okazji Szpak i Sobczak zauważyli, iż tego typu nagrody przyznaje sobie „*Towarzystwo Wzajemnej Adoracji*”, co jest świętą prawdą.

Nagrody literackie w III RP są liczne, mniej lub bardziej prestiżowe, i zarówno te salonowe, jak i te antysalonowe, renomę mają równie kiepską co nagrody z innych kulturowych czy artystycznych dziedzin. Literaturoznawca Zbigniew Bidakowski: „*Mamy do czynienia z natręctwem przyznawania na siłę dorocznych nagród i wyróżnień — chociaż kandydaci nie zasługują nawet na nagrody pocieszenia (raczej czytelnikom należy się pocieszenie!). Nie służy to niczemu poza satysfakcją biurokratów literackich i czyni spustoszenie w świadomości czytającej publiczności, utożsamiającej nagrodzone z wartościowym*”

(„Rzeczpospolita” 2007). Pełne (stuprocentowe) utożsamianie rzeczy nagrodzonych z rzeczami wartościowymi miałyby miejsce, gdyby funkcjonował jeden tylko dystrybutor nagród (centralny), Salon, czyli gdyby w tej dystrybucji istniał monopol taki, jak w polityce wewnętrznej państw autorytarnych: system władzy jednopartyjnej (bezopozycyjnej). Platforma Obywatelska konsekwentnie zmierza ku temu, stosując chwyt quasi-talitarne (exemplum: przeforsowany większością parlamentarną — i dopiero dużo później unieważniony przez sąd — zakaz reklamowania się partii politycznych płatnymi spotami w radiu i TV, co druzgotało szanse wyborcze prawicowej opozycji, a zupełnie nie szkodziło PO, bo ta jest stale promowana przez salonowe media, do których należą prawie wszystkie radia i wszystkie telewizje!).

Póki jeszcze opozycji nie zakazano (dekretem sejmowym) nagradzać literatury — nagradza kto chce. I każdy nagradzający stara się dać swej nagrodzie możliwie duży rozgłos. Rzecz prosta, rozgłos rozgłosowi nierówny — zależy od rangi nagrody, tę zaś kreuje siła reklamujących ją mediów, i tak wracamy do bazy: Salon nagradzający ma tu dużą przewagę. A mając przewagę, może ustalać dowolne reguły gry. Ustalił reguły proste jak cep: *„Największy sukces można przemilczeć, najdrobniejszemu głupstwu zaś można nadać wymiar wydarzenia epoki”* (Piotr Sarzyński, „Polityka” 1992). Trzy lata później (1995) kulturoznawca Krzysztof Rutkowski, dywagując o grafomaństwie Milana Kundery, scharakteryzował takie *„nadawanie wymiaru wydarzenia epoki”* jako *„mechanizm dmuchania wielkości literackich”* i *„przemysł kreowania polskich Kunder”*. Dużo wcześniej (1967) Leopold Tyrmand zwał to samo: *„przepisem na robienie kogoś z nikogo za państwowe pieniądze”*. W III RP już nie tylko za państwowe, co wszakże nie zmienia istoty sprawy.

Pieniądze — które pono „*szczęścia nie dają*” — są tak ważne dla każdego, że Czytelnicy byłiby pewnie zawiedzeni, gdybym formułę „*nie tylko*” zostawił bez rozwinięcia. Któż tedy w zdepeerelizowanej ojczyźnie jest, prócz państwa (Ministerstwa Kultury), szafarzem wyróżnień i nagród? Koncerny, korporacje, grupy medialne itp. Potrafią właściwie wszystko — z debutanta łatwo robią geniusza, to kwestia tanich recenzji. Krzysztof Skiba: „*Gdyby dziś Mrożek czy Hlasko debiutowali poza przyzwoleniem koncernów — to recenzje ich książek moglibyśmy przeczytać co najwyżej w «Głosie Pszczelarza»*” („Wprost” 2010). Dla tych gigantów jakość produktu jest drugorzędna, trzeba tylko nakręcić sprzedawalność; Krzysztof Majchrzak: „*Agresywne korporacje medialne —przodujące wilki siermiężnego polskiego kapitalizmu, powodowane jedynie dość czytelną żądzą zysku — generują produkty drugiej lub trzeciej kategorii przeznaczone dla tak zwanej, jak mówią, «ludożerki», lub, taktowniej, szerokiego odbiorcy. Wysługują się one bandą cwaniaków, ser-wilistów, karierowiczów, lansiarzy przedreptujących niecierpliwie nóżkami, żeby tylko «zaistnieć». Nieważne w jakim stylu. Dodajmy do tego zwyczajnie niezdolnych nieudaczników, i będziemy mieli w miarę pełny obraz*” („Newsweek” 2011). Nie całkiem pełny, bo trzeba jeszcze wspomnieć, że pieniądze tych korporacyjnych olbrzymów są w coraz większym stopniu kapitałem zagranicznym; Rafał Ziemkiewicz: „*Polskie elity intelektualne żyją w ogromnym stopniu za niemieckie pieniądze, ścigając się do zaproszeń, grantów i nagród fundowanych przez rząd niemiecki. Polscy pisarze, filmowcy i inni twórcy nie interesują się polskimi losami i polską duszą, tylko dawnym Breslau, dawnym Danzig, albo ogólnie unijno-politpoprawnym belkocikiem, bo takie dzieła dają szansę na płatne twardą monetą przekłady i zaproszenia*” („Rzeczpospolita” 2009). Owszem: przekłady tam i

zaproszenia tam, a tutaj, między Tatrami a Bałtykiem, nagrody, bo tutaj ludzie muszą kupować lansowany produkt.

Bywa (i to wiele razy), że ów produkt jest niczym porzekadło- we jajeczko „częściowo nieświeże”, cuchnie grafomaństwem, huc- piarstwem, cienkuszem, nudą, złą polszczyzną, a nawet fatalną gramatyką. Amerykanie określają takie utwory dźwięcznym wyrazem „shit” (gównno), słusznie rymującym się z „hit” (przebój), bo często jest to produkt ten sam. Nie tylko oni zresztą tak przeklinają — francuskie „merde” (gównno) trafiło spod Waterloo do legendy za sprawą generała Cambronne’a, dzisiaj natomiast Francuzi używają tego wyrazu dla określania dzieł niesłusznie honorowanych (głośny francuski reżyser François Truffaut mówi: „gównno na piedestale”). My również mamy w tej materii (jakie to celne słowo!) dorobek; zacytuję trzy fraszki Jana Sztaudyngera. Pierwsza nosi tytuł „Brak samokrytyki”:

*„Ach, czyż gównno by pachniało,
Gdyby samo się wąchało?”*

Druga dostała tytuł „Rozmowa z ekscelencją”:
*„Ekscelencjo, pozwolisz, że ci zejdzem z drogi.
Tak do gównna przy drodze powiedziały nogi”.*

Wreszcie trzecia została zatytułowana „Polskie porządki”:
*„Tak uradziła babka z babką:
Gównno najlepiej przykryć czapką”.*

Tymi „czapkami” są właśnie nagrody. Nie chcę przez to powiedzieć, iż wszystko, co się w kraju nagradza, to literackie bzdety, lecz powiedzieć trzeba, że zbyt dużo nagradzanych utworów to produkty miałkie, literatura niegodna laurów. A gdy przy ocenie wchodzą jeszcze w grę racje polityczne, partyjne, koteryjne, czyli wzajemna nienawiść Salonu i Antysalonu — robi się gorąco. Exemp- lum książka prawnicowego

„człowieka pióra” Bronisława Wildsteina **„Dolina nicości”** (2009). Jest to powieść o tematyce antysalono-wej (antymichnikowskiej) od okładki do okładki, więc Salon „przyłożył” bardzo mocno, tak autorowi, jak i kapitule Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza, która uhonorowała dzieło. Cytuję z salonowej „**Kultury**” (weekendowy dodatek „**Dziennika**”) tekst Patrycji Pustkowiak i Piotra Kofty: „*Nagroda (wyłącznie) za prawo- myślność. Z nagrodami literackimi jest u nas jak z tylną częścią ciała — każdy ma swoją. Podziały towarzyskie i polityczne sprawiają, że do grona nominowanych albo na samo podium trafiają książki, które w innych okolicznościach nie miałyby w ogóle szans zaistnieć w literaturze wysokiej — głównie ze względu na swoją niską jakość. Doskonałą, choć nie jedyną ilustracją tego zjawiska jest kariera «Doliny nicości» Bronisława Wildsteina — słabej, koniunkturalnej, stereotypowej satyry politycznej, będącej czymś w rodzaju pozytywistycznej powieści zbudowanej na schematach rodem z programu Prawa i Sprawiedliwości. Te ewidentne, dyskwalifikujące wady nie przeszkodziły książce Wildsteina w zdobyciu tegorocznej Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza. Szanowna kapituła postanowiła, jak rozumiemy, chwilowo oślepnąć*” (2009).

„*Szanowna kapituła*” Nagrody im. Józefa Mackiewicza miała też kłopoty wskutek silnych wewnętrznych konfliktów (rozmaite dywersje kryptosalonowców udających konserwatystów, lub animozje neonedeków i piłsudczyków, nie mówiąc już o prywacie lobbystycznej, od której nie jest wolna kapituła żadnej nagrody), dlatego werdykty bywały wypracowywane bardzo ciężko, zwłaszcza że „*grand prix*” przyznawano tam częściej pracom historiograficznym/historiozoficznym, eseistycznym lub memuarystycznym aniżeli beletrystycznym. Dzieła historyków czy pamiętnikarzy sprawiają polskim jurorom dużo większe kłopoty niż dzieła

prozaików czy poetów, bo „*literatura piękna*” to wyłącznie kwestia smaku estetycznego, gremium towarzyskiego (Salon lub Antysalon, kumple lub obcy) tudzież konsorcjum sponsorującego (niekoniecznie w tej kolejności), gdy historiografia/historiozofia i memuarystyka wyzwalają demony polityczne subpartyjne, osobiste, prywatne, tkwiące głęboko w sercu, związane m.in. z ideowym „pochodzeniem” arbitra, przy czym nie mam tu na myśli kwestii rasowych (choć i one grają czasami rolę), ino familijne, rodzaj wychowania bądź otoczenia domowego, vulgo: kult którejś z „*dwóch polskich trumien*” kluczowych dla świadomości inteligentów. Brakuje, niestety, obiektywnych reguł; rozprawy historycznej (podobnie jak „*literatury pięknej*”) nie da się ocenić wagą, suwmiarką bądź linijką wzorowaną na Sèvres. Stąd regułami/zasadami/normami/kryteriami/kanonami żongluje się niczym talerzami bądź piłeczkami w cyrku, a mistrzem żonglerki jest Salon, w którym zawsze lansowano relatywizm (choćaby moralny relatywizm). Widząc, że Salon niszczy książkę Pawła Zyzaka o kapusiu Wałęsie i równocześnie gloryfikuje książkę Jana Tomasz Grossa o polskim antysemityzmie, Artur Rumpel wytknął: „*Zarówno Zyzak, jak i Gross, pracują tą samą metodą, zaimportowaną do historii z nauk społecznych, a opartą na świadectwach ustnych. W przypadku Grossa metoda ta jest wychwalana jako nowatorska i przełomowa, w przypadku Zyzaka zaś jest odsądzana od czci i wiary jako dyletancka i nienaukowa. Przykłady tego rodzaju można by mnożyć bez końca*” („Opcja na Prawo” 2011).

Nagroda Literacka im. Józefa Mackiewicza to czołowa nagroda wręczana przez rodzimym Antysalon, gdy nagrodą numer 1 wręczaną przez polski Salon jest Literacka Nagroda Nike, dziecko „*Gazety Wyborczej*”, organu centralnego. Między tymi dwiema nagrodami funkcjonuje

przepaść medialna zupełnie oczywista, bo Salon — jak już wzmiankowałem — dostaje wsparcie ze strony 90% głównych polskich mediów. Trudno się więc dziwić, że Nike ma gigantyczne nagłośnienie, a konkurentka śladowe, c'est la vie. Porównywalna jest natomiast skala wrogości wzajemnej. Antysalonowcy kpią, że o ile w wyborach miss sformułowanie „*dać za wygraną*” nabiera zupełnie innego znaczenia — o tyle w wyborach procedowanych przez „GW”, czyli w werdyktach ferowanych przez jury nagrody Nike, można mówić o politycznym „*dawaniu*”, ergo: „*micznikowszczyzna*” nagradza służących jej „*samych swoich*”, lub przynajmniej samych grzecznych, nierobiących Salonowi wbrew. Salon ripostuje, że tamci (antysalonowcy) robią identycznie — nagradzają „*swoich*” — więc tego rodzaju krytyka to czysta hipokryzja. Wśród argumentów świadczących o wyższości Nike Salon wskazuje listę promowanych twórców „*zapoznanych*” lub debiutantów. Niekoniecznie nagrodzonych, lecz samo nominowanie do nagrody jest już hołdem, podobnie jak w przypadku filmowych Oscarów. Na polskiej arenie literackiej jest to wyjęcie młodego lub „*zapoznanego*” pióra z cienia. Trudno przeczyć, tak jest w istocie. Ten aspekt wymaga ode mnie dygresji dotyczącej rodzimych debiutantów.

Początki zawsze bywają trudne. Góralski tenor, Andrzej Bach-leda-Curuś, ukończywszy katowickie konserwatorium miał pierwszy publiczny występ w zakopiańskim parku Morskie Oko. Śpiewał arie Moniuszki, pieśni romantyczne, itp. Gdy doszedł do frazy: „ — *Jakże cię mam brać, dziewczyno, jakże cię mam brać?*”, siedzący na sali koledzy, lekko wstawieni już, ryknęli:

— Za dupę, Jędrus, za dupę!

Wybuchł skandal, koncert przerwano. Ta śliczna anegdota (czerpię ją z eseju Agnieszki Rybak o góralach zakopiańskich) nie przekłada się

wszakże na literaturę, bo gdy „Gazeta Wyborcza” plus inne salonowe („*mainstreamowe*”) media chórem śpiewają chwałę jakiejś nowej promowanej przez siebie gwiazdy, a Kontrsalon ryczy wściekle, że chwalone dzieło to kupa łajna — nikt nie przerywa koncertu, ryczący są zwyczajnie zagłuszani (oklaskami, czyli „*recenzjami*”). Bez aprobaty (lub, jeszcze lepiej, protekcji) Salonu żaden debiut literacki nie ma w III RP jakiegokolwiek szansy na sukces, nic a nic. Powiedzmy sobie szczerze: chociaż sytuacja debiutantów była zawsze trudna, od wieków, dzisiaj jest dużo łatwiejsza, gdyż problemem przestał być odwieczny kłopot startowy, inicjacyjny — druk. Wydrukować własną bądź siostry, kuzyna czy też kumpla książkę (zwłaszcza w niedużym nakładzie) jest bardzo łatwo, kosztuje to grosze, dlatego wielu to robi. Maszyny drukarskie tłoczą rocznie setki takich debiutów, zazwyczaj żenująco nieporadnych i monotematycznych (Krzysztof Masłoń: „*Nie brakuje młodych autorów, którzy natychmiast ochoczo podzielą się z nami wrażeniami po pierwszym stosunku czy też konstatacją, że świat jest zły, a życie ciężkie*”, „Rzeczpospolita” 2009). A więc nie w tym problem, by wydać — problem w tym, by sprzedać, vulgo: zaistnieć. Bez mecenatu czy patronatu — mówiąc dzisiejszym językiem: bez dużego sponsora — debiutant jest bez szans. Żadne chęci i piski nie wystarczą, nie ma mowy.

Jednak nawet z dużym sponsorem może nie być lekko. Czyż wśród patronów priwiślańskich jest większy od koncernu Agora wydającego „GW”? I czyż nagroda Nike nie jest w III RP królową literackich nagród? Tymczasem — i to duża ciekawostka — nagradzane są tam często takie bzdety, że Salon pęka (ze śmiechu oraz z gniewu, gdyż ma dosyć kompromitacji, nie chce dłużej dostarczać amunicji konkurentom) i jakiegoś jego frakcje krzyczą: „*votum separatum!*”, wbrew centrali omnipotentnej. Klasyczny przykład takiego „buntu” stanowi ferment wywołany przez

poezje Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego (tomik „Piosenka o zależnościach i uzależnieniach”), nagrodzone A.D. 2009. Wściekł się tym werdyktem salonowy bard/tuz/gwiazdor/pupil Tomasz Jastrun, uznając nagrodzoną twórczość za „plewy” (sic!) i tak ją batożąc w salonowym, notabene, tygodniku: „*Nie chodzi o to, że są to złe wiersze. One są poprawne, przeciętne, a Nike była dotąd przyznawana za rzeczy nieprzeciętne. To może świadczyć o tym, że albo jury się pogubiło, albo tegoroczna nagroda odzwierciedla dosyć niski poziom poezji w Polsce*” („Przegląd” 2010). Przypomnijmy sobie: jury nagrody antysalonowej „*postanowiło oślepnąć*”, a tutaj jury nagrody salonowej „*pogubiło się*” — słyhać nieomal rym.

Jury ślepe lub pogubione funkcjonuje również — według Anty-salonu — w tygodniku „Polityka” przyznającym drugą pod względem prestiżu i rozgłosu nagrodę literacką Salonu, zwaną Paszport (chodzi o paszport na Olimp). Dla krytyków i literaturoznawców niepodzielających gustów Salonu — Paszporty „Polityki” są, oczywiście, regularnym „*chłopcem do bicia*”. Spośród wielu przykładów zacytuję (fragmenty) jako znamienne publikowany niedawno duży esej na temat obecnej literatury polskiej, pióra poety/kulturo- znawcy/eseisty/publicyisty Bohdana Urbankowskiego. Czemu akurat ten? Z przyczyn subiektywnych i bezwstydných tout court — bo w tym esejju Urbankowski za najlepszych polskich pisarzy dzisiejszych uznał Łysiaka, Rymkiewicza, Rylskiego i Krasińskiego. Pisząc o Paszportach sięgnął do źródeł peerelowskich: „*Dla manipulowania tak zwaną inteligencją stworzono organ KC PZPR «Polityka». Zgromadzono w niej świetnych propagandzistów, mistrzów cynicznych kłamstw. Do dzisiaj linię tego pisma wytyczają: Toeplitz, Passent, Kapuściński, Kałużyński, Garlicki, Giełżyński, Urban. Tylko jeden z wyliczonych przed chwilą — Urban — nie był tajnym kapusiem,*

nie musiał włożyć w tyłek czerwonym. On nigdy z niego nie wychodził" („**Niezależna Gazeta Polska/Nowe Państwo**” 2012). Lista kiepskich autorów nagradzanych Paszportami lub też będących „*pupilami* **«Polityki»**” jest w cytowanym eseju duża: Słobodzianek, Tkaczyszyn, Pilch, Kuczok, Tokarczuk, Masłowska, Stasiuk, Huelle, Witkowski, Chutnik, Karpowicz, Dehnel, Bargielska, Alt-hamer, Janion. „*«Paszport» odgrywał dla tych autorów rolę świadectwa poprawności*” — pisze Urbankowski, i podobnie rozprawia się z autorami nagradzanimi „*wybiórczą*” Nike. Zwie ich „*pisarzami słabymi*”, a kiedy ich wymienia — padają te same nazwiska. Niektórych rozlicza bardziej szczegółowo, choćby Tadeusza Słobodzianka („*autor koniunkturalnego gniotą «Nasza Klasa»*”), Stanisława Barańczaka („*autor drętwych przekładów i równie wymęczonych wierszy*”) czy Mariana Pilota. Powieść tego ostatniego „**Pióropusz**”, nagrodzoną Nike 2011, wprost rozstrzeluje: „*Książka zmarnowanych szans (...), przegadana, pisana bełkotliwą gwarą (...), tonie w powodzi prymitywnych konceptów (...), poezji w niej tyle co w desce klozetowej (...), a firmuje ten bełkot prestiżowe Wydawnictwo Literackie*”.

Powiedzmy sobie jeszcze niezbędny w tym rozdziale truizm: błędy czy hochsztaplerskie werdykty tych czy innych jury to nie jedynie sarmacka przypadłość. Gdy prawdziwe arcydzieło, „**Tajemnice Los Angeles**”, przegrywa oskarową batalię z kiczowatym „**Titani-kiem**” — to znaczy, że sprawiedliwość nie istnieje. Gdy w Nike dobra literatura przegrywa z kiepską — Antysalon się cieszy, bo może krytykować Salon zachowując czyste sumienie, ergo: nie grzesząc brakiem obiektywizmu. Urbankowski: „*Jurorzy Nike tworzą świat urobiony z odpadków «postępowych» kultur europejskich, tandetnie imitujący wielką sztukę — jak biżuteria z bazaru Różycyckiego*” („**Gazeta Polska**” 2008). Ale może właśnie w tym — w nagradzaniu tandety, w promowaniu rzeczy prawie

dobrych, w głaskaniu ąsasi-badzewia — jest sprawiedliwość? O niej właśnie (o nagradzaniu tandeciarzy, których nie nagrodzi arbirer Czas) myślał poeta Marian Hemar, pisząc wiersz pt. „**Sprawiedliwość**”:

„Musi być jakieś za życia Odszkodowanie

Dla tych, z których po śmierci Nic nie zostanie.

Muszą być dla nich nagrody, Departamenty,

Order jeden i drugi U cycka przypięty.

Muszą być dla nich Pen-Cluby I Akademie,

Ażeby miał ich kto żegnać, Składając w ziemię”.

Wierszyk ów można spokojnie dedykować również całej (olbrzymiej) galerii grafomanów, których wyróżniono główną światową nagrodą literacką — Noblem:

9. Czy Nobel to bubel?

Wykiwanie interesowności vel pseudoobiektywizmu jurorów nagród krajowych jest o tyle bez sensu, że kapituła Nobla (Komitet Literackiej Nagrody Nobla) robi błędy dużo gorsze — gorsze przez to, iż werdykty mają prestiż tudzież rozgłos światowy. I do tego robi je seryjnie — trafne werdykty to nie więcej aniżeli 20% laureatów. Gdyby trzeba było wskazać instytucję jeszcze głupszą pod tym względem aniżeli szwedzka Akademia, musielibyśmy wytknąć noblowski komitet Stortingu (norweskiego parlamentu), który przyznaje Pokojową Nagrodę Nobla. Kilka lat temu przyznał ją debiutantowi Barackowi Obamie, za nic, literalnie nic, wyłącznie z nadzieją, że ten człowiek zrobi coś w przyszłości, ergo: nowo obrany prezydent Stanów Zjednoczonych dostał nagrodę za kolorową skórę. Tę samą nagrodę, której nie przyznano apostołowi pokoju, Mahatmie Gandhiemu, a przyznano (1973) duetowi Henry Kissinger i Le Duc Tho za kapitulanki pakt, wskutek którego komunistyczny (Północny)

Wietnam mógł zbrojnie napaść i całkowicie wchłonąć Wietnam demokratyczny (Południowy). Lecz wróćmy z Oslo do Sztokholmu, czyli do literatury:

Literacka Nagroda Nobla ma prestiż międzynarodowy, mimo że nie przyznaje jej międzynarodowe gremium, tylko sami Szwedzi, członkowie Akademii sztokholmskiej, będący pisarzami, poetami, krytykami, tłumaczami, filologami, literaturoznawcami, et cetera. Jest ich 18 (Osiemnastu — pisze się dużą literą, jak Nieśmiertelnych francuskich Akademików); definitywnie głosować musi przynajmniej 12 spośród nich; całą procedurą wielomiesięczną (typowanie listy kandydatów) i ostateczną (nagroda) kieruje kilkuosobowy (5 lub 6 osób) Komitet — sztab Nobla Literackiego. Ten akurat fakt, że to „*sami Szwedzi*”, nie jest krytykowany nigdzie, wszędzie bowiem znane są przekręty (koszmarne) międzynarodowych gremiów, tych kilkupaństwowych lub wielopaństwowych zespołów arbitrów, którzy rozdają nagrody muzyczne (o rozdźwiękach i targach wewnątrz jury, tudzież o lobbystach wokół jury, mogliby dużo powiedzieć znawcy kulis Konkursu Chopinowskiego), filmowe („ — *Ty głosujesz na ten film, my wtedy na tę aktorkę, a jak nie, to...*”), teatralne, sportowe etc. Owa „*sama szwedzkość*” tylko raz w ciągu ponad 110 lat przyznawania nagrody wywołała skandal, roku 1974, gdy Nobla dano ex aequo Eyvindowi Olofowi Johnsonowi i Harry’emu Martinsonowi. Skandal nie dlatego, że obaj byli Szwedami, lecz dlatego, że obaj byli członkami... szwedzkiej Akademii przyznającej nagrodę! Oczywiście nie brali udziału w deliberowaniu, typowaniu i głosowaniu, jednak to nie uchroniło Komitetu od zmasowanej krytyki — cały świat i cała Skandynawia z gniewu kipiały wprost. Renomowany szwedzki prozaik i historyk literatury, wykładowca Uniwersytetu Uppsala, Sven Delblanc, parsknął, że werdykt jest „*humorystyczny i hańbiący*”. Obaj

laureaci tak się przejęli tą wrzawą, iż szybko umarli wskutek zawałów.

Niewielu laureatów sztokholmskich przejęło się skandalami wokół werdyktów równie mocno. Notabene: sami laureaci wywoływali skandale (niektórzy nie przyjęli nagrody) i gorszące spektakle, bywało, że podczas ceremonii wręczania lauru. Norweg Knut Hamsun (1920) przyszedł na uroczystość pijany „w trupa”, zbeształ Akademików koszaroworynsztokowym słownictwem, po czym dopadł wiekową już pisarkę Selmę Lagerlöff, chcąc ją „przelecieć” przy wszystkich gościach, nie bez trudu go od niej oderwano. Jednak publiczność globalna (zwłaszcza eksperci) dużo bardziej jest zainteresowana skandalami okołojurorskimi (intensywny lobbing, łapówki, naciski biznesowe tudzież polityczne, etc.), głównie werdyktowymi, to oczywiste. Trudno, by tych brakowało, podobnie jak trudno, by Akademia bądź Komitet nie robiły błędów (często grubych błędów) — od Starożytności wiadomo, że „*tylko ten nie robi błędów, kto nic nie robi*”. W końcu decydują o Noblu nie bogowie, lecz ułomni ludzie. Wyboru dokonują głosując, co nie znaczy, że wewnątrz Akademii panuje idealna demokracja, gdyż tak jak w każdej demokracji są tam równi, równiejsi i najrówniejsi, Komitet zawsze miał swoich „*wire-pullerów*” (marionetkowych) i mandarynów. We wczesnej fazie (1901-1912) dyktatorem był przewodniczący Komitetu, sekretarz Akademii Szwedzkiej, Carl David af Wir-sén (poeta i krytyk literacki), później wieloletni sekretarz Lars Gyllensten (powieściopisarz i eseista) oraz wieloletnia „*szara eminencja*” Komitetu, najbardziej wpływowy członek noblowskiego jury, dr Artur Nils Lundkvist (literaturoznawca, lingwista, poeta, krytyk i tłumacz). Lundkvist wymusił nagrodzenie niejednego przeciętniaka i zablokował nagrodzenie niejednego wybitniaka (m.in. Grahama Geena’a). Gyllensten też miał dużo „*za uszami*”. Ferowali mnóstwo dziwnych lub dziwacznych werdyktów.

Złe werdykty każdorazowo znajdowały krytyków, więc nieomal co roku Akademyści musieli się bronić, gdy sfera dziennikarska wymuszała odpowiedź na pytanie: „ — *Dlaczego?!!*”. Standardowe alibi miało jako fundament względność pojęć dotyczących wartości literatury — formuła „*de gustibus*” każe różnym odbiorcom rozmaicie traktować „*dobre*”, „*piękne*”, „*wybitne*”, „*genialne*” itp. Nie wszystkim podoba się to samo, więc nie ma się co dziwić lub złościć. W 1977 roku zaatakowany przez dziennikarzy Gyllensten (nagrodzono bowiem mało znanego hiszpańskiego poetę Vicente Aleixandre’a) bronił się bardzo zgrabną frazą: „ — *Przyznania Nagrody Nobla nie należy utożsamiać z wyznaczaniem najlepszego obecnie pisarza na świecie. Jest to zadanie całkiem niewykonalne*”. Lecz dwa lata później (1979), rozwścieczony sporem wewnątrz Komitetu, rzucił (wraz z pisarką Kerstin Ekman) posadę jurora, odchodząc. Wpływ musiał tu mieć werdykt roku 1978 (nagrodzono Brytyjczyka Williama Goldinga), krytykowany przez... samego Lundkvista jako „*zbyt śmiałe uderzenie*”, Lundkvist powiedział dziennikarzom, iż według niego Golding to „*pisarz niezły, jednak z trudem mieszczący się w klasie Nagrody Nobla*”. Pośród przyczyn wymieniano nie tylko osobliwe czy nonsensowne preferencje jurorów sztokholmskich, ale też wszechobecny w noblującej Akademii Szwedzkiej „*syndrom kompromisu*”. Klasycznym przykładem takiego noblowskiego kompromisu był casus roku 1908, gdy sekretarz Akademii, Wirsén, chciał przeforsować swojego faworyta, brytyjskiego poetę i dramaturga Algemona Charlesa Swinburne’a, lecz koledzy optowali za szwedzką pisarką Selmą Lagerlöf — kompromisowo wybrano „*tego trzeciego*”, marnego niemieckiego filozofa Rudolfa Eucken. Ile razy „*zgnile kompromisy sztokholmskie*” tak właśnie dały Nobla trzecioligowcom?

Już „*pierwsze koty za płoty*” zwiastowały katastrofę (hańbę wer-

dyktową regularną), niby kłątwa: pierwszego Nobla Literackiego dostał — wygrywając z gigantami (z Emilem Zolą i z Lwem Tołstojem) — „*zacny*”, „*wytworny*” francuski poeta Sully Prudhomme, ewidentny trzecioligowiec. Cały świat literacki zatrząsł się wskutek oburzenia; 42 szwedzkich pisarzy, poetów i artystów wystosowało oficjalny protest i wysłało do Tołstoja list hołdowniczy. Wobec tego w roku kolejnym (1902) Tołstoj był „*murowanym faworytem*”, wszyscy byli pewni, że otrzyma laur. Tymczasem Nobla otrzymał niemiecki historyk Theodor N. M. Mommsen, o którym w dzisiejszych encyklopediach (tych dużych) nie ma nawet wzmianki. Dlaczego? Bo wódz Akademii Szwedzkiej, Carl David af Wir- sén, nie lubił Tołstoja, uważał go za amatora tanich sensacji i obrońcę anarchizmu. W kolejnym roku (1903) „*murowanym faworytem*” był wybitny dramaturg norweski Henrik Ibsen, lecz ku globalnemu zaskoczeniu pokonał go drugorzędny rodak Bjarnstjerne Martinius Bjarnson. W roku 1904 świat literacki czekał, iż nagrodzony zostanie genialny szwedzki pisarz, poeta i dramaturg August Strindberg, ale wygrali ex aequo francuski poeta Frédéric Mistral i hiszpański dramaturg José Echegaray y Eizaguirre, całkowicie bezznani (Strindberg, jako „*alkoholik, rozwodnik i bluźnierca*”, nie miał szans dożywotnio). Notabene: nazwisko Mistral stało się przekleństwem szwedzkiego Komitetu, bo cztery dekady później (1945) znowu zostało uhonorowane — Nobla otrzymała chilijska poetka Gabriela Mistral, zupełnie nieznaną nawet we własnym kraju, bijąc takie sławy jak William Faulkner, André Gide, Jules Romains i Benedetto Croce. Dlaczego? Znowu kłania się nieśmiertelne „*dać za wygraną*” — Georges Menant: „*Pani Gabriela Mistral zawróciła głowę pewnemu jurorowi Nobla, który tak pięknie przełożył jej wierszyki na szwedzki i rozdał je w formie tak czarująco wydanych książeczek, iż udało mu się przeforsować werdykt*” (1973).

Nikomiu i nigdy nie udało się przeforsować werdyktu honorującego Kafkę, Twaina, Tołstoja, Joyce'a, Pounda, Prousta, Dreisera, Greene'a, Wellsa, Brocha, Brechta, Borgesa, Herberta, Lawrence'a, Musilę, Claudelę, Céline'a, Nabokovę, Czechowę, Jamesa, Conrada, Ibsena, Mandelsztama, Malrauxa, Garcíę Lorca'ę, Pessoa'ę, Valéry'ego, Gorkiego, Hardy'ego, Achmatową tudzież wielu innych gigantów. Nagrodzono panią Pearl Buck kosztem Virginii Woolf. Wyróżniono Noblem wielu nic nie znaczących „*ludzi pióra*”. Czy słyszeliście o takich noblistach literackich jak (wymieniam chronologicznie): Carducci, Hauptmann, Heidenstam, Gjellerup, Pontop- piolan, Spitteler, Benavente y Martinez, Deledda, Karlfeldt, Jensen, Lagerkvist, Jimenez, Quasimodo, Andrić, Seferis, Agnon, Sachs, Yasunari, White, Johnson, Martinson, Seifert, Simon, Soyinka, Gorkimer, Walcott, Ôe, Heaney? Nie wymieniłem nikogo z ostatniego ćwierćwiecza (po 1995), gdyż to nazwiska zbyt świeże, więc mogą się jeszcze kołatać w głowach konsumentów mediów. Ba, również pewne nazwiska wyższe niż trzecioligowe (powiedzmy: drugoligowe), mające jakąś renomę literacką, są kwestionowane bez pardonu. Już kilka dekad temu „**Paris Match**” wykpiwał laureatów francuskich: „*Któż czyta dziś Romaina Rollanda, Anatola France'a, Rogera Martin du Garda, tych orłów o skrzydłach z wosku?*” (1973).

Wśród przyczyn „*nietrafionych*” (mówiąc delikatnie) vel „*kretyńskich*” (mówiąc dosadnie) werdyktów, jako zasadnicze — prócz personalnych aberracji wpływowych członków jury — piętnuje się „*względy polityczne*”. Przykładów (mniej lub bardziej rażących) nie brak. Chociażby rok 1939. Ku powszechnemu zdumieniu nagrodę otrzymał Fin Frans Eemil Sillanpää, którego główną zasługą było to, że próbował wprowadzić w Finlandii język szwedzki jako urzędowy. Szwedzi dali mu

Nobla nie tylko przez wdzięczność — nagradzając Fina zajęli demonstracyjnie antysowieckie stanowisko wobec wojny radziecko-finskiej. Sam laureat miał to gdzieś. Wziąwszy pieniądze, spłacił swe ciężkie długi i przystąpił do przepijania reszty w ramach „*oblewania*”, a jego dzieci biegały po ulicach Helsinek, wrzeszcząc:

— Tatuś ma forszę!!

Noblowską forszę dostał również (1960) kompletnie niezasługujący francuski poeta Saint-John Perse (Alexis Saint-Léger Léger). Dużo później baron komitetu, Artur Lundkvist, wygadał się brytyjskiemu dziennikarzowi z „**The Sunday Times**”, Peterowi Lennowi, iż nagroda dla Saint-Johna Perse’a została wymuszona przez sekretarza generalnego ONZ, Szweda Daga Hammarskjolda (który — notabene — podobno „*kręcił*” jak chciał Akademią Szwedzką), bo laureat był antygaullistą, zaś Hammarskjöld nie lubił rządzącego wtedy Francją generała Charlesa de Gaulle’a. Hammarskjöld też ktoś chyba nie lubił, bo rok później (1961) zestrzelono go nad Afryką. Z kolei Francuzi czekali aż do śmierci André Malraux (czyli do 1976 roku), że ten dostanie zasłużonego Nobla, a konsekwentne pomijanie ich faworyta tłumaczono faktem, iż Malraux był dygnitarzem rządowym u de Gaulle’a (najpierw ministrem informacji, później kultury) oraz przyjacielem generała. Gaulliści mieli w Sztokholmie „*przerąbane*”, zaś anty gaulliści mieli tam fory.

Podobnie — lub jeszcze mocniej — było z lewakami i kontrlewakami. Ci drudzy byli przez Sztokholm zawsze źle widziani, ci pierwsi byli tam zawsze faworyzowani. Francuzi niedawno obliczyli, że na 13 francuskich zdobywców Literackiej Nagrody Nobla

— tylko dwóch pierwszych (1901 i 1904) demonstrowało zero lewactwa, reszta wykazywała większą lub mniejszą lewicowość (czyli —

według sztokholmskiego Komitetu — „postępowość”). Tym tłumaczono, że takie „pióra” jak Claudel czy Montherlant (prawicowcy) musiały obejść się smakiem. Z kolei lewica tłumaczyła, iż jest to zgodne z testamentem fundatora nagrody, Alfreda Nobla, który żądał, by nagradzano za „idealizm” — według lewaków „idealizm” to goszyzm: sierp i młot. Georges Menant: *„Przyznaje się literackiego Nobla ze względów prawie wyłącznie pozaliterackich, głównie politycznych — przez sympatię dla lewicy — co jest osobliwą interpretacją «idealizmu», czyli warunku, jaki postawił fundator (...) Tak więc Nobel literacki stał się orężem politycznym, nagrodą za dobre sprawowanie, a im większy lewak, tym łatwiej dostaje laur — Neruda czy Sartre mieli przez swój goszyzm gwarancję laurów” („Paris Match” 1973)*.

Niektórzy laureaci mówili publicznie, że Nagrodę Nobla otrzymali z przyczyn „całkowicie pozaliterackich”, exemplum Brytyjczyk Harold Pinter (2005): *„ — Mój Nobel jest tak samo polityczny jak kilkanaście Nobli poprzednich, dostałem go za kopniaki wymierzone w dupę prezydenta Busha”*. Owa „pozaliterackość” tyczy również polskich laureatów. Już wówczas, gdy nagrodzono Henryka Sienkiewicza za **„Quo vadis”** (1905), mówiło się, iż uczyniono tak tylko dlatego, że szwedzka Akademia, twardo dyskryminująca Tolstoja, szukała jakiegoś innego Słowianina, którego można by uhonorować Noblem. Rozpatrywane były kandydatury Sienkiewicza i Orzeszkowej, którą popierało duże grono profesorów uczelni polskich (ich list tłumaczył na francuski Zenon Przesmycki-Miriam), a Sienkiewicz jednak wygrał, bo powieść historyczna lansująca Starożytność stała się wtedy bardzo modna dzięki **„Ben Hurowi”** Amerykanina Lewisa Wallace’a. Względy — chociaż może i „pozaliterackie” — nie były tu więc stricte polityczne, szło raczej o gierki personalne, lecz dwie dekady później (1924), gdy rywalizowali

Żeromski i Reymont, można już mówić o politycznych, bo Niemcy zablokowali spodziewany laur dla Żeromskiego — nie wybaczyli mu „**Wiatru od morza**”. Z kolei bardzo silną (jak mówiono) kandydaturę Sergiusza Piaseckiego, którego „**Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy**”, wszędzie tłumaczony, robił na Zachodzie furorę — utraciły w 1938 antykomunistyczne przekonania pisarza, zbyt ciężkostrawne dla lewicującego sztokholmskiego Komitetu. Dopiero 42 lata później i 58 lat później przyznano Polakom dwa kolejne Noble literackie, oba „*polityczne*” tout court.

Gdy w roku 1980 triumfalnie zaistniał Związek „Solidarność”, osiągając światowy nimb — jasne było, że nagrodę zdobędzie Polak. I tak się stało — bezzwłocznie (1980) uhonorowano emigracyjnego poetę Czesława Miłosza, twórcę miłego międzynarodowemu Salonowi choćby dlatego, że był filokomunistą, że był kosmopolitą (Jerzy Narbutt: „*Za podlizywanie się międzynarodowce kosmopolitów i antypolonistów zapłacono mu Noblem*”, „Tygodnik Solidarność” 2004) i że nauczył się języka hebrajskiego („*Od wczesnych lat swego życia był ściśle związany z Żydami i sprawami Żydów*”, „The Jewish Journal” 2002). Kiedy dekadę później Polacy skasowali PRL — mówiono, że znowu Literacki Nobel przypadnie Polakowi. Za „*pewniaka*” uchodził Zbigniew Herbert. Tymczasem mijały lata, nagradzano jakichś fanatycznych lewaków i egzotycznych drugoligowców, a Herberta pomijano. Sztokholm tłumaczył się w kularach, że owszem, chce dać Polakowi Nagrodę, lecz sami Polacy to utrudniają — z Polski płyną fluidy szlabanujące Herberta. Te fluidy wysyłał priwiślański Salon. Toczyła się właśnie polsko-polska wojna o dekomunizację i lustrację (o ujawnienie kapusiów), a Herbert zajął w tej bitwie jasne antybezpieczniackie, antykonfidenckie, antysalonowe stanowisko. Rodzimi salonowcy, nie

wyobrażając sobie nagrodzenia człowieka, który głośno demaskował Michnika jako łotra, a Salon jako pandemię, wysunęli kontrkandydaturę: Wisławę Szymborską. Świetnie się nadawała, miała bardzo liczne zasługi (partię komunistyczną mordującą bojowników antysowieckich opiewała jako „*to najpiękniejsze co zdarzyć się może*”, rewolucję bolszewicką sławiła jako „*wodę źródlaną, z miłością podaną spragnionemu*”, itp.), dostała więc Nobla (1996). Plotkowano wewnątrzśrodowiskowo, że ambasadorem-pełnomocnikiem zagranicznym Salonu był w tej grze wcześniejszy noblista Miłosz, który — sam już syty lauru — nie miał nic przeciwko Szymborskiej, i nie mierzyła go jej stalinowska przeszłość („Miłosz ci wszystko wybaczy...”), bo sam też „*uprawiał prostytutkę*”. Miał za to dużo przeciwko Herbertowi, bo twórczość Herberta jest lepsza niż twórczość Miłosza, oraz dlatego, że Herbert toczył z nim (jako z salonowcem, niepoprawnym lewakiem i antypolskim renegatem) wojnę śmiertelną. Także rymami. Charakterystycznym przykładem są ich wiersze o moczu. Miłosz w wierszu „Toast” gdał następująco:
*„Nie cierpię ludzi, którym uderza do głowy ten moczopędny środek narodowy,
czyli nadmierny patriotyzm”.*

Herbert ripostował cudownym wierszem „Wilki”, o „*żołnierzach
wyklętych*” (antykomunistach walczących 1945-1956):
*„Ponieważ żyli prawem wilka historia o nich glucho milczy pozostał po nich w
kopnym śniegu żółtawy mocz i ten ślad wilczy”.*

Trzy niedawne dekady (1981-2009) Nobla Literackiego były krytykowane ostrzej niż którakolwiek poprzednia i uznane za kompromitację zupełną. Od uwieńczenia Austriaka Eliasa Canettiego, tylko przez to, że był Żydem (Ferdinand Mount: „*Pisarczyk dziwaczny, prostacki, prymitywny*”, 2005), nagradzano samych lewicowców, komunistów i stalinistów, czasami wręcz „*szurniętych lewaków*” (jak Włoch Dario Fo

czy Hiszpan Camilo José Cela) lub „*kopnięte feministki*” (jak Austriaczka Elfride Jelinek czy Amerykanka Toni Morrison). Mając dosyć owej trwałej lewackiej tendencji, profesor Knut Ahnlund zrezygnował z członkostwa Akademii Szwedzkiej (2004), a kroplą, która przepełniła mu czarę goryczy, było uhonorowanie Frau Jelinek („*Koledzy przyznali najbardziej liczącą się nagrodę literacką autorce książek ubogich estetycznie i myślowo, pozbawionych artystycznej konstrukcji, pasożytniczych, stanowiących mieszankę pornografii i gwałtu. Uczynili to nawet nie czytając tych wypocin — starczyła nihilistyczno-ekshibicyjna i lewacka renoma pani Jelinek*”). Szefowa działu kultury popularnego szwedzkiego dziennika „Dagens Nyheter”, Maria Schottenius, trzasnęła wówczas duży tekst o przekrętach noblowskiego jury („*Skandal goni skandal. To jedno zatrzważające kłębowisko korupcji, kłamstw, oszustw, intryg, łamania prawa i fałszowania dokumentów*”).

Drugim, obok lewicowości, „kryterium”, według którego Sztokholm już kilka dekad rozdaje laury, jest salonowa (vel „*politycznie poprawna*”) egzotyka: seryjnie nagradza się kolorowych (zwłaszcza Murzynów z Afryki, Ameryki i Karaibów) krytykujących cywilizację zachodnią (vel „*cywilizację białego człowieka*”). Już dawno temu pisał o tym Paul Gray: „*Nie jest tajemnicą, że decyzje Szwedzkiej Akademii często skłaniają się raczej ku motywacjom geopolitycznym niż literackim. Ta postawa skierowana przeciwko zachodniej hegemonii była bardzo kształcąca: raz po raz świat musiał stawać wobec zapoznanego pisarza nieznanego języka*” („Time” 1983). Gray wskazał też laureata stosującego język wszystkim znany, Anglika Goldinga, nagrodzonego za „*bezkompromisową krytykę cywilizacji Zachodu*”. Oczywiście, nawet w najgorszych dekadach Nobla Literackiego zdarzały się werdykty sensowne (takim „*wyjątkiem potwierdzającym regułę*” był A.D. 1990

meksykański poeta i eseista Octavio Paz). Trzeba sobie życzyć, by nagrodzenie doskonałego Peruwiańczyka, Mario Vargasa Llosy (2010), zainicjowało trend uczciwości/sprawiedliwości w Sztokholmie, a nie było tylko chwilowym figowym listkiem, mającym alibijnie przykryć lewackość noblowskiego Komitetu. Szwed Tomas Transtrómer (2011) należy jednak do nurtu salonowego.

Andrzej Żuławski w swym „Nocniku” (2010) co chwila pieklił się przeciwko literackim Noblom trzech ostatnich dekad: „*Fatalne te Noble ostatnie, Jelinek, Fo, Szymborska, to lewactwo szwedzkie, salonowe, koteryjne*”, „*Te Clézia, Saramagi, Jelinki, Pamuki, co za miał...*”, itd., itp. Dołożył też recenzentom chóralnie wyzłajającym „*to barachło*”: „*Stadowate, lizusowate Pamuki, Coetzee, Ozicki, Murakami — co tutejsze króliki, podśmierdziałe liski, żmije i zające tchórzliwe, niewykształcone sroki i papugi spod ogona lubią wychwalać. W ich stęchłych szponkach pachnie to mdlą, psującą się na skórze perfumą, konwenansem*”.

Zdarzyło mi się wszakże znaleźć antynoblowski głos klinicznego salonowca („*wyjątek potwierdzający regułę*”!). Oto Piotr Kofta, komentując werdykt roku 2008, napisał: „*Podniosły się głosy, że Nobel dla Jeana-Marie Gustave’a Le Clézio to kolejny dowód na osobliwą arbitralność szacownego jury, które nagradza twórców według kryteriów raczej politycznych niż merytorycznych. Coś w tym chyba jest...*” („Kultura”, magazyn „Dziennika”, 2008). Ano jest, nie da się ukryć.

10. Wycena generalna

Czas wycenić (generalnie, dopiero potem bardziej detalicznie) ro-

dzimą literaturę najnowszą.

Co może znaczyć termin: „*polska literatura najnowsza*”? Literatura ostatnich 5 lat? Ostatnich 10 bądź 15 lat? Ostatniej ćwiartki wieku? Wspomóżmy się polityką, sytuacją ustrojową, i przyjmijmy, że „*polska literatura najnowsza*” to literatura III RP, czyli ta produkowana/oferowana po przełomie roku 1989 (termin „*polska literatura współczesna*” zarezerwowałem dla ostatniego półwiecza, lub nawet szerzej: dla literatury, którą pisano po II Wojnie Światowej, czyli po 1945 roku). Tylko ignorant mógłby bredzić, iż przed rokiem 1989 warunki tworzenia literatury były cięższe, albowiem system był stricte totalitarny, barbarzyńska cenzura krępowała pióra literatów, itp. Wielowiekowa historia literatury światowej uczy, że żadna reżimowa opresyjność nie wpływa na poziom literatury obni- zająco, ba! — często wpływa podwyższająco. W systemach represyjnych tworzone prawdziwe arcydzieła, i w łagodnych również, nie ma tu reguł. Przejdźmy tedy do meritum: jakiej klasy jest polska literatura ery III Rzeczypospolitej?

Najpierw kilka stwierdzeń oczywistych, czyli banalnych (znaczy truizmów), a później celne pytanie. W Polsce chory jest cały system służby zdrowia i opieki medycznej (katastrofalny stan szpitali, tasiemcowe kolejki do specjalistów, itp.). W Polsce chory jest cały system biurokracji (nieustannie rosnąca kasta urzędników, którzy pasożytują na budżecie państwa, a interesy państwa tudzież interes obywatela petenta rutynowo lekceważą). W Polsce chory jest cały system inwestycji i wdrażania biznesu (trzeba wielu miesięcy i stosu opieczętowanych papierków, by założyć firmę lub rozpocząć działalność gospodarczą, gdy w innych krajach formalności trwają od kwadransa do kilku godzin). W Polsce chory jest cały system sportowy, zwłaszcza futbol (wszechobecny doping, wszechobecne pijaństwo, megakorupcja sędziów, trenerów i zawodników,

degeneracja działaczy, lipne wyniki, miałość reprezentacji, itd.). W Polsce chory jest cały system sprawiedliwości (przekupni, stronnicy, upartyjnieni sędziowie i prokuratorzy, policja notorycznie współpracująca z kryminalistami, seryjne więzienne „*samobójstwa*” sprawców, którzy zbyt dużo wiedzą, oraz likwidowanie świadków, którzy mogliby za dużo zeznać, itp.). W Polsce chory jest cały system polityczny ergo partyjny (we wszystkich partiach brakuje ludzi uczciwych i z klasą — 90% członków i aktywistów każdej partii to mniej lub bardziej ogładzone szumowiny, figury szemrane, według nomenklatury Łysiaka: „*szemrańcy*”). W Polsce chory jest cały system fiskalny (kompletna bezkarność dygnitarzy i biurokratów fiskusa, którzy niesprawiedliwymi, niezgodnymi z paragrafem decyzjami niszczą świetnie funkcjonujące firmy, rujnując przy okazji życie właścicieli tych firm). W Polsce chory jest cały system komunikacji (brak autostrad, brak obwodnic, fatalne kolejnictwo, itp.). W Polsce chory jest cały system uliczny (dziurawe jezdnie, brak miejsc do parkowania, bezkarność właścicieli psów masowo obsrywających chodniki, itp.). Mógłbym wymieniać jeszcze długo — w III RP chore są wszystkie systemy. Teraz zapowiedziane pytanie: jeżeli tak jest, to dlaczego, u diabła, zdrowa miałyby być literatura polska? Literatura tego okresu wszechstronnej degrengolady, maskowanej ogwiazdkowanymi niebieskimi flagami UE. Jest z nią identycznie jak z ulicami naszych dzielnic, którymi wędrują codziennie kulturalni ludzie alias „*miłośnicy zwierzęt*pełno gówna.

Biorąc do ręki dzisiejsze wydawnictwa książkowe, miłośnicy literatury pięknej, autentyczni koneserzy/esteci, zgrzytają zębami nie tylko przez kiepską formę literacką (tzw. szatę edytorską, np. okładki, poprawiono już dawno temu), ale i przez nędzną typografię, zwłaszcza przez kompletny upadek kunsztu „*składania*” tekstów literackich.

Dawniej była to robota zecerów, ręczna i maszynowa, i można było korygować wszystko, cyzelować, dopieszczać, gdy dzisiaj „skład” jest komputerowy i nikt nie zawraca sobie głowy reagowaniem na partactwo komputerowego programu. Stąd rozliczne teksty są złożone/wydrukowane niechlujnie: wiersz gęsty sąsiaduje z wierszem luźnym, pełnym takich dziur między wyrazami jak przysłowiowe „wrota stodoły”. Wygląda to obrzydliwie — niczym użębienie pełne dużych luk po wybitych albo wyrwanych zębach. Taki jest efekt komputerowego zbijania kosztów. Zbija się je również eliminując tradycyjną staranną korektę merytoryczną i „li-terówkową”, stąd mnożą się rozprawy pełne erudycyjnych głupot i romanse pełne uczuciowych głupot oraz literowych błędów (czasami po kilka lub kilkanaście na jednej stronie!). Tandeta wypiera dobrą jakość gdzie tylko się da to zrobić.

Dla czytelników wszakże główną bolączką nie są potknięcia korekty, typografii czy „składu”, ino bessa jakości artystycznej tekstów. Jest ona także bardzo mocno związana z ekspansją komputeryzacji, gdyż bezwzględna większość dzisiejszej literatury to coś, co ja przezywam „literaturą laptopową” (© copyright by Waldemar Łysiak 2004). Pan (lub pani) jedzie sobie pociągiem i na swym ślicznym nowoczesnym laptopie trzaska beletrystykę, biografistykę, eseistykę i co tam jeszcze przyjdzie do mózgu. Łatwizna. Potem tylko trzeba wydrukować i sprzedać, by trafiła do mózgu (i serca) tzw. „odbiorcy”. Problem w tym, że ona, przez swą laptopową jakość, trafia do mózgu co bardziej wyrobionego „odbiorcy” dentystycznie. Tacy „odbiorcy” mężnie się starają przeczytać całą treść, ale to im sprawia ból. Już kilkadziesiąt lat temu pisał o tym Hemar:

*„Realizm chwałą, trzeźwość,
Takt, umiar oczywisty.
Sam się tak zawsze chwałę W poczekalni dentysty.*

Żem dzielny, mężny, trzeźwy,

Że cierpienie ulepsza.

A on mi potem świder Przez ząb do mózgu wpięprza”.

Oczywiście ów ból — jak już rzekłem — katuje elitę czytelników, tych prawdziwych smakoszy, którzy biorą „na ząb” polską literaturę ostatnich dwóch dekad. Reszta (zwłaszcza akolici Salonu) daje się odmóżdzać salonowym arbitrom (jak nie ma mózgu, to nic się do tej próżni przez ząb nie wpięprza) — łyka entuzjastyczne recenzje, i czytając chwalone badziewie cmoka, bo tak wypada. Gdy się nie cmoka, to się nie jest człowiekiem kulturalnym, inteligentem. Podobnie: nie jest się nim, gdy się nie chodzi do teatru na Warlikowskiego, Lupe i Dupę robiącą kupę. Znowu pada u mnie „shit” vel „merde”, ale to nie tylko Łysiak używa tego pachnącego słowa. Jako alibi zacytuję opinię znanego współczesnego pisarza, Jerzego Pilcha, który tak scharakteryzował literaturę rodzimą dzisiejszą: „*Generalnie poziom nieudacznictwa literackiego — za sprawą seriali (masowy wzrost, pozał się Boże, świadomości dramaturgicznej) — nieco się podniósł, grafomani mniej są wykrywalni, najzjadlejszych łatwo jednak poznać po pisaniu kluczem umaczanym w gównie*” („Kultura”, dodatek weekendowy do „Dziennika”, 2009). No właśnie.

Marek Hłasko kpił, że wedle racji zdrowego rozumu Polska winna mieć — dzięki historycznym fatom — najlepszą literaturę świata: „*Logicznie rzecz biorąc, mało który naród ma tak wiele szans na dobrą literaturę jak my, Polacy. Mamy wszystko: nieszczęścia, mordy polityczne, wieczną okupację, donosicielstwo, nędzę, rozpacz, pijaństwo — czegoż jeszcze trzeba, na Boga?*” („Piękni dwudziestoletni” 1966). Otóż trzeba — gdyż same fata nie starczą — przede wszystkim „prawdy”, ale tej, o której mówił Oscar Wilde: „*Prawda jest kwestią formy*”. Tymczasem

polska beletrystyka ostatnich dekad zbyt często jest daleka od owej „prawdy”, czyli od przynajmniej poprawnej formy literackiej — od pięknego (artystycznego) stylu. Szeleści papierem, miast śpiewać talentem. Mariusz Cieślak: „*Co jest największą wadą bohaterów większości współczesnych polskich produkcji? Papierowość. Tacy ludzie po prostu nie istnieją, a nawet jeśli istnieją, to z powodu braku właściwości nie nadają się na bohaterów literackich*” („Rzeczpospolita” 2009).

Mówiąc o formie jako o literackiej prawdzie, lub raczej o jej braku u pisarza, mówimy o grzechu bazowym, matce wszystkich detalicznych grzechów — o niepoprawnej, nieuleczalnej amatorszczyź- nie, czyli o miałkości tzw. „warsztatu”. Mnożący się jak pleśń pseu- dopisarze nie rozumieją (lub nie szanują) mechanizmu szlachetnej męki twórczej, i tej świętej reguły, którą pięknie sformułował kolumbijski myśliciel Nicolas Gómez Dávila: „*Prawdziwy artysta tworzy z mentalnością rzemieślnika*”⁸. C’est tout! Talent (to „coś” od Pana Boga) jest bardzo ważny, ale jubilerska praca nad melodią frazy, składnią, poetyką, nad każdym akapitem, zdaniem, wyrazem i przecinkiem, ergo: nad kunsztownością maniery — jest nieodzowna. Właśnie ona leży u podstaw „literatury wysokiej”Literatura niska rekompensuje to sobie metodą hu-hu: hucpiarskim huczkiem reklamowym. Determinowane mniemaną łatwością tworzenia literatury (klawiatura komputera plus umiejętność pisanie wyniesiona ze szkoły podstawowej bądź średniej) produkcje pseudoliterackie, gdy zrzędzeniem siły wyższej (choćby Salonu czy innej sitwy lokalnej, rodzinnej, kumpelskiej, itp.) natrafią na równie durnych recenzentów-niedouków czy na sprzedajnych krytyków, zostają zaklasyfikowane oficjalnie (medialnie) jako literatura sensu stricto, dzięki

czemu mamy literackie bagienko mieniające się Olimpem, Panteonem, Parnasem i Cymesem. Wychwalany debiutant, autor rzekomego arcydzieła o „*gejach*” lub innych zbokach, o „*miłości*” przez internet lub wirującym seksie sado-maso, o Sherlockach Holmesach w Danzig lub Breslau, o domowej kuchni rozlewającej się na Mazurach, itp. — czuje się półbogiem, istotą już nieśmiertelną, statuą w Muzeum Literatury. Nie wie, bidula, że swego czasu we Francji znakomitościami tamtejszej literatury byli Dorât, Mauchat, du Bar-tas, Sully Prudhomme i inni równie plaskaci, a w Polsce legion otaczanych bałwochwalczym kultem grafomanów, jak Kaczkowski, Łuszczewska (Deotyma), Hajota, Brycht, e tutti quanti. Szybki rozgłos, koniunkturalny aplauz, dmące trąby Salonu — to jeszcze nie jest przepustka do historii literatury, meine Frauen und Herren, ladies and gentlemen, mesdames et messieurs, darogije towarzyszczi, i jak tam jeszcze, pane Havranku.

Użyłem kilku języków, by zasygnalizować, że problem jest nie tylko nasz, ino międzynarodowy, globalny. Francuski literaturoznawca i krytyk, Richard Millet, mówi, że na współczesnym rynku księgarskim dominują „*jakiś gówna udające powieści*” oraz „*pierdoły z żenującymi brakami warsztatu*” („Le Point” 2007). Niemiecki tłumacz i literaturoznawca, Olaf Kiihl, biadoli, że w Niemczech i w całej Europie „*promuje się zbyt dużo jednosezonowych gwiazd. Wydawcy wkładają mnóstwo pieniędzy w nazwisko, więc każdy debiut musi być genialny, niewyobrażalny. Takie coś na dłuższą metę psuje gust czytelników*” („Gazeta Wyborcza” 2005). Cytowany już filozof i literaturoznawca, Nicolás Gómez Dávila, twierdzi: „*Literatury XX wieku przeszły od tonu zbolalego do tonu prostackiego, nie uderzając w ton męski (...) Proza zamieniła swój dźwięczny rytm z XIX wieku na skomlenie psa*” („Nuevos escolios” 1986). Et cete- ra, et cetera — można przytaczać

opinie Anglików, Holendrów, Rumunów, Włochów, Szwajcarów czy Greków, będą takie same. I takie same padają coraz częściej (tudzież coraz dobitniej) u nas: Kilkanaście niżej cytowanych opinii o polskiej literaturze najnowszej (1990-2011) wybrałem z całej ich masy. Nie ma sensu cytować wszystkich, są bowiem powtarzalne — jak się to mówi — „do bólu”. Reżyser Jerzy Gruza, zapytany o absorbowanie tej literatury: „*Po co mam czytać jakieś bzdurne książki udające literaturę?*” („Bluszczy” 2010). Michał Paweł Markowski: „*Polska literatura cierpi na niedowład zagęszczenia i uwieloznacznienia relacji między językiem i światem (...) W polskiej literaturze są pociągowe czytadła, z których pojedyncze ciało może mieć pożytek, pojedynczy rozum mniej*” (tekst „Niskie loty” w „Tygodniku Powszechnym” 2009). Krzysztof Rutkowski: „*Drukowane w polskiej prasie serie artykułów o tak zwanej nowej literaturze czytam ze starczym chichotem, choć czasami wyrwie mi się z piersi jęk*” („Gazeta Wyborcza” 1995). Bohdan Urbankowski: „*Nawet w czasach PRL ukazywały się arcydzieła literatury (...), a dziś zaczyna działać zasada, wedle której zły pieniądź wypiera lepszy. Jako «wydarzenia» reklamowane są gnioty, książczydła Gretkowskiej i Witkowskiego, a nawet Grocholi*” („Niezależna Gazeta Polska/Nowe Państwo” 2011). Henryk Skwarczyński, udzielając wywiadu Tomaszowi Zbigniewowi Zapertowi, postulował „*napisanie odkłamanej historii literatury polskiej. Tej po roku 1945, ale i tej po roku 1989, nacechowanej nagłaśnianymi przez wpływowe media mieliznami, po której brodzą coraz mniej wymagający czytelnicy*” („Rzeczpospolita” 2009). Rafał Ziemkiewicz, oceniając literaturę tworzoną u nas po roku 1989: „*Są takie epoki, które, choć nie braknie w nich pisarzy utalentowanych i pracowitych, niczego potomności nie zostawiają*” („Rzeczpospolita” 2011). Stanisław Bereś, prowadzący przez kilkanaście lat „Telewizyjne Wiadomości Literackie”: „ — *Mówiąc*

szczerze, czytanie polskiej prozy z biegiem czasu sprawia mi coraz większą przykrość. Denerwuje mnie, bo jest wymęczona, egotyczna, nastawiona głównie na to, żeby być lustrem duszy lub psychiki autora — niestety na ogół dość pokręconej lub neurotycznej. Literaci interesują się tylko sobą. A ja chciałbym, żeby opowiadali mi ciekawe i mądre historie. Tymczasem oni uważają, że wyłącznie oni są ciekawi, podczas gdy niczego w życiu nie widzieli, niczego nie przeżyli i niczego nie potrafią mi opowiedzieć, tylko smędzą (...) Pisarze uważają, że już nie muszą opowiadać. Pasjonujące opowiadanie jest «démodé» (...) Te wszystkie dzieła kreacyjne, autotematyczne, egotyczne wypełnia tylko jedno jedyne uczucie: uwielbienie dla samego siebie (...) Człowiek do pewnego wieku daje się oszukiwać, że wybitna proza musi męczyć i nudzić, a człowiek przy czytaniu winien się czuć tak, jakby mu kto zęby rwał lub robił lewatywę. Ja już sobie nie dam tego zrobić (...) Jeśli więc miałbym czytać jakieś kolejne narcystyczne nudziarstwa, wolę śmierć” („Przegląd” 2011).

„Najgorszy z wszystkich grzechów: nuda” — mawiali Byron, Słowacki tudzież inni Romantycy. Podkreślana jako kalectwo literackie przez wielu krytyków (Bereś et consortes), stanowi gangrenę nie tylko u nas, to problem światowy. W kwietniu 1995 roku „Literaturna Gazieta” urządziła dyskusję specjalistów zatytułowaną: „Czy literatura musi być nudna?”. Podobne pytania padają na wszystkich kontynentach — jest to bunt wymierzony w terror Salonu praktykującego, według gustu salonowych elit, modernistyczne/postmodernistyczne „*flaki z olejem*” jako awangardę literacką. Wskutek owego terroru przyjęło się uważać literaturę mającą żywą akcję lub uporządkowaną narrację za pisarstwo drugorzędne, a gra- fomański bełkot i wszelkie pseudofilozofowanie maskowane terminami „*literatura refleksyjna*”, „*literatura trudna*” itp. — za twórczość

olimpijską. Niektórzy europejscy i amerykańscy krytycy coraz głośniej oprotestowują „*przymus nudy*”, wschodnim echem tego był ów panel dyskusyjny „*Litieraturnoj Gaziety*”, podczas którego krytyk Ała Łatynina rzekła co następuje: „ — *Ciężko dziś znaleźć recenzentów, którzy napiszą, że książka jest dobra, bo ciekawa. Raczej odwrotnie — chwalimy, że utwór wymaga wielkiego wysiłku intelektualnego, że to lektura trudna, że usatysfakcjonuje tylko wyrobionego czytelnika, i nakłaniamy odbiorcę do wysiłku lubienia książek nudnych! Uczymy pogardy dla atrakcyjności, traktując atrakcyjność jako cechę literatury niższego rzędu, chociaż przeczy temu cała wielowiekowa historia literatury*”. Współczesnemu pisarstwu nad Wisłą owej atrakcyjności ewidentnie brak. Andrzej Żuławski klasyfikuje rodzimą literaturę ostatnich dekad jako „*coś w rodzaju dziury, czarnej, zasysającej magmę tego, co mniej ważne*”, i dopełniającą parska: „*Belkot, jeśli nie intencji, to wykonania*”, by uwieńczyć diagnozę puentą: „*Nie znoszę książek pisarskich, pisanych dla pisania, mętnych, oklaskiwanych jako literatura, bo napisanych, zamiast nienapisanych*” („*Nocnik*” 2010). Są „*patrioci*”, którzy uważają, że „*nienapisane*” winny być nie tyle takie książki, ile takie arcykrytyczne opinie o książkach. Bo to wstyd dla renomowanej ojczystej kultury. Cicho sza! — wedle reguły, iż „*w domu wisielca nie mówi się o sznurze*”. Drudzy — przeciwnie — twierdzą, że nie tylko należy o tej zapaści literackiej mówić, lecz i walić po łapach, karać. Olga Doleśniak-Harczuk: „*A tak z zupełnie innej beczki — czy wiedzieli Państwo, że za oszukanie (zarówno umyślne, jak i niezamierzone) na wadze, powiedzmy kilograma jabłek, grozi w Polsce kara do ośmiu lat pozbawienia wolności? (...) I dlatego «oszustka» z warzywniaka za złotówkę zarobioną na wagowym przekręcie może iść za kratki, a pan od oszukańczej kolei, minister Grabarczyk, dostaje bukiet i całusy od koleżanek*” („*Niezależna Gazeta Polska/Nowe Państwo*” 2011). Za kiepską (a promowaną jako świetną) literaturę karani powinni być

— mówi zwolennik Drakona — edytorzy, sponsorzy, redaktorzy i recenzenci. Ci ostatni najdotkliwiej, bo lansują knoty, wciskając ów „*literacki badziew*” czytelnikom. Wiadomo wszakże, iż jedyna realna kara dla wytwórców i sprzedawców złego produktu to brak popytu na ten produkt, vulgo: ukarać grafomanów, wydawców i mecenasów mogliby tylko czytelnicy nie kupując złych książek. Wszelako: jak mniej rozgarnięty (mniej samodzielny intelektualnie) czytelnik ma rozróżniać złe i dobre książki, jeśli od dawna mąci mu w głowie łąze-krytyka? Przecież takie mącenie — co już wiemy — „*na dłuższą metę psuje gust czytelników*” (Olaf Kühn 2005). Można zresztą jeszcze podzielić włos na czworo i dodać: jak ów niesamodzielny opiniotwórczo czytelnik (a takich jest, niestety, większość) nie ma głupiec, gdy jeden recenzent wynosi książkę pod niebiosa, a drugi chlastają bez pardonu? Jest to zjawisko bardzo u nas częste, które można tłumaczyć prawem „*de gustibus*”, lub prawem korupcji, lub prawem partyjnej polityki, lub tylko prawem rynku książkowego.

Te dywagacje ogólne mogą nie być przekonujące bez konkretnych przykładów, czas więc dać taki casus, jeden czy dwa spośród wielu zanotowanych. Musi on być mocny, sugestywny, dlatego jako symptomatyczne exemplum trzeba wybrać rzecz nie tuzinkową, tylko taką „z górnej półki” księgarskiej — bardzo dobrze się sprzedającą i mnogo recenzowaną książkę głośnego pisarza. Wybieram dwie książki opublikowane w 2010 roku: „**Dziennik pisany później**” Andrzeja Stasiuka i „**Good night, Dżerzi**” Janusza Głowackiego: Stasiuk ma wielbicieli i wśród czytelników, i wśród komentatorów, ale tylko salonowych. Stanisław Bereś (krytyk, tłumacz i historyk literatury) uważa go za jednego z nielicznych interesujących „*ludzi pióra*”: „ — *Jest tylko kilka osób, takich jak Andrzej Stasiuk, których coś naprawdę ciekawi, gdzieś*

niesie (...), więc ich książki są świeże. Reszta siedzi udręczona własną bezczynnością i patrzy w lustro (...) Tacy ludzie, jak Stasiuk, którzy czegoś naprawdę doświadczyli i coś zobaczyli, nie aplikują mi kolejnej antynarracyjnej trucizny o tym, że życie jest bez sensu, że bez picia żyć się nie da, że kobiety to niewierne kurwy, a kumpel nie przyszedł albo przyszedł, ona zaś kocha albo i nie kocha' („Przegląd” 2011). „Dziennik pisany później” Stasiuka był gromko oklaskiwany w lewicowych (salonowych) mediach: przez Tadeusza Sobolewskiego („Gazeta Wyborcza”), Justynę Sobolewską („Polityka”) czy Aleksandra Kaczorowskiego („Newsweek”), który uznał autora za najważniejszego polskiego pisarza doby obecnej. Tymczasem Andrzej Horubała dużym tekstem analitycznym wychłostał „Dziennik pisany później” jako „pamflet na Polskę, nietrafny, łączący ignorancję z próbą sugerowania głębszych znaczeń”, jako „kicz w warstwie intelektualnej, będący też kiczem w warstwie literackiej”, i jako — tout court — „literacki belkot” („Uważam Rze” 2011). Jeszcze gorętsze emocje wzbudziła książka Głowackiego:

„**Good night, Dżerzi**” („Dobranoc, Jureczku”) to powieść o Jerzym Kosińskim (Jerzym Lewinkopfie), żydowsko-polskim pisarzu, który zdobył w Stanach Zjednoczonych duży rozgłos książką „**Malowany ptak**” (1965), reklamowaną jako więcej niż paradokument — jako dokument fabularyzowany. Ów bestseller opowiadał sadyście/pornograficznie o okrucieństwach zdziczałych Polaków wobec Żydów. Literacka kariera Kosińskiego, stymulowana brawami i hołdami Salonu, zakończyła się nawet nie wtedy, gdy włożył sobie na głowę plastikową torebkę i popełnił samobójstwo (1991), tylko kilka lat później, gdy zaczęto pisać o nim prawdę. Joanna Siedlecka udowodniła z aptekarską precyzją („**Czarny ptasior**” 1993), że cała treść „**Malowanego ptaka**” to paszkwilanckie wymysły, zero realiów, ergo: że

Kosiński, wmawiając mediom, iż wszystko to przeżył i widział, po czym dał „*świadectwo*” (sic!) — łąał bezwstydnie. „*Profesjonalnym kłamcą i fałszerzem*” nazwał go James Park-Sloan („*The New Yorker*” 1994). Nic nowego, już dawno ci, którzy znali Kosińskiego, uważali go za krętacza, za patentowanego kłamcę (Agnieszka Osiecka: „*nieprawdopodobny łgarz*”, Mira Michałowska: „*absolutny mitoman*”, itp.). Gorzej dlań, iż odmawiano mu talentu pisarskiego, którego istotnie nie miał i tylko salonowcy krzyczeli, że to literacki geniusz. Te same media („*Gazeta Wyborcza*”, „*Polityka*”, „*Tygodnik Powszechny*”, itp.), które hołubiły Kosińskiego, brutalnie napadły na Siedlecką za „*Czarnego ptasióra*”. „*Grafomanem*”, „*plagiatozem*” i „*cynicznym kombinatozem*” zwało Kosińskiego wielu „*ludzi pióra*” (Stanisław Dygat, Janusz Minkiewicz, Antoni Libera, Waldemar Łysiak, Bohdan Urbankowski i in.). Janusz Głowacki zwał go delikatniej: „*wielkim mistyfikatozem*”, i uhonorował powieścią.

„*Good night, Dżerzi*” stała się bestsellerem (wierzchołek rankingów). Salon kocha „*Głowe*” (m.in. za publicznie wyrażaną wrogość wobec ilustracji, gdy zdemaskowano jego przyjaciela, reżysera Marka Piwowskiego, jako konfidenta SB TW „*Krosta*”)-, czytelnicy okołosalonowi też go kochają (nie tylko za salonowość, lecz i za literacką biegłość). Grad jednobrzmiących recenzji ozłocił książkę. Recenzenci cytowali co smaczniejsze „*kawalki*” (najczęściej ten o tym, jak bohater podwiózł Karola Wojtyłę pod nowojorski kiosk pełen porno-okładek z rzeźniczo rozwartymi krociami pań) i oznajmiali glorię. Aż tu raptownie zgrzyt na szkle. W kontrsalonowych pismach eksplodowała fala recenzji perswadujących, iż „*Good night, Dżerzi*” to kliniczne grafomaństwo. I ta opinia odbija się echem do dziś — Wojciech Wencel: „*Na początku nie wierzyłem, że Wajda zamówił scenariusz «Walęsy» u takiego praktyka*

*kiczu, jakim jest autor «Good night, Dżerzi». Widocznie jednak polityczne zacierzwienie wzięło w nim górę nad resztkami poczucia dobrego smaku” („Gazeta Polska” 2012). W „Rzeczypospolitej” ukazała się (2011) całokolumnowa recenzja pisana przez niepokornego krytyka, Zbigniewa Bidakowskiego, który zawyrokował, iż „Good night, Dżerzi” to kompromitująca słabizna: „**Banalna prawda jest taka: to książka o niczym (...) — ponowoczesna powieść śmietnik w stylu Olgi Tokarczuk. Albo jakimś innym stylu. A wszystkie te style łączą: brak odwagi oraz niechęć do poważnej pracy**”. Uuups!*

Bidakowskiemu jednak nie tyle chodziło o zrzucenie na ziemię tego akurat bestsellera, ile o całą dzisiejszą rodzimą literaturę. Gdy już wypunktował wady literackie książki „*Głowy*” — pokazał, iż używa jej jako pretekstu/przykładu dla oceny całej naszej dzisiejszej literatury beletrystycznej: „**«Good night, Dżerzi» jest jak pogładowy preparat do demonstrowania w szkole. Temat lekcji: dlaczego w Polsce nie ma dobrej powieści? (...) Jaka jest ostatnia książka Janusza Głowackiego, taka jest rzeczywistość polskiej powieści. Brak researchu, pomysłu (oczywiście zawsze można odpowiedzieć wykrętnie i postmodernistycznie, że pomysłem jest brak pomysłu), dziury zapychane przypadkowymi historyjkami (...) Nie chodzi mi tu jednak o wystawianie cenzurek mniej lub bardziej popularnym pisarzom, lecz o wskazanie zjawiska groźnego, bo infantyilizującego i zanudzającego czytelników oraz oszukującego ich, że mają do czynienia z literaturą. Nie chodzi też o wyrzucanie z siebie inwektyw: ten leniwy, tamten beztalencie, lecz o zastanowienie się z jakiego klimatu umysłowego bierze się ta literaturka (termin Anny Nasilowskiej), ta bezczelna, bo wspierana przez wielu krytyków dominacja bylejakości w polskim powieściopisarstwie” (2011).**

Słowem: nie jest charaszo. Czy gwoli osłodzenia tej gorzkiej polewki, wrzucenia łyżki miodu do tej beczki dziegciu, da się w polskiej literaturze

ostatnich dekad wskazać coś jednak pozytywnego? Coś, czym moglibyśmy się szczyć, puszyć, chwalić? Tak! Nieodzownym elementem życia literackiego każdego kraju są skandale związane z literatami i literaturą (exemplum zdemaskowanie Kosińskiego jako falsyfikatora) — pod tym względem Kraj Priwiślański jest prymusem, czołówką światową. Garść przykładów:

11. Dojmujący smrodek

Wszędzie na świecie literaci się wzajemnie niekoniecznie miłują. Konkurencja to konkurencja. Więc wszędzie się okładają — polemiki, przytyki, złośliwostki bywają bardzo ciekawe, kłótnie czasami zażarte. Wśród złośliwostek moją ulubioną jest emigracyjna, wymierzona przez Ferdynanda Goetla Melchiorowi Wańkowiczowi. Cały emigracyjny Londyn wiedział, iż dwa literackie tuzy, Wańkowicz i Goetel, nie darzą się sympatią. I cały bił brawo, gdy „**Wiadomości**” urządziły literacką ankietę, pytając rodzimych pisarzy: „**Kim chciałbyś być, gdybyś nie był pisarzem?**”, a Goetel odde- szował: „**Chciałbym być Melchiorem Wańkowiczem**”. Równie subtelne wymiany ciosów zdarzają się rzadko — na całym świecie kłótnie pisarzy są bardziej obcesowe. Ale chyba tylko w Polsce tak piekielne, że urastają w środowisku literackim do rangi megaskanda- lu. Priwiślańscy „**ludzie pióra**” wytykają sobie nie tylko brak talentu, „**warsztatu**”, erudycji, vulgo: wszelkie wady literackie, lecz i brak charakteru, sumienia, ogłady, vulgo: wszelkie wady duchowe! Klasycznym przykładem są utyskiwania antysalonowców na mentalność salonowców. Zwłaszcza na ich fałszywą sympatyczność, dwulicową humanitarność, obłudną dobroć, generalnie: na hipokryzję ludzi Salonu.

Leopold Tyrmand pisał: *„Zawsze ciążyło mi przeświadczenie, że jakaś płytkość moralna kryje się w tradycji franciszkańskiej, w jednakiej dobroci, łagodności i wybaczeniu dla wszystkich. Nie lubię ani nie cenię tych przez wszystkich kochanych, podziwianych, uznanych za świętych, najlepszych, niepokalanych, tych pochylających się nad każdym ptaszkiem i wyrozumiałych dla każdego drania, tych, co wszystkich szanują i cieszą się nimi”* (1979).

Tyrmand mówił o takich (kochających każdego) ludziach jak pupilka Salonu, Wisława Szymborska, która — gdy wytknięto jej pro- stalinowską stachanowszczyznę — tłumaczyła się, że robiła to dlatego, iż *„kochala ludzkość w całości”*. Bredząc tak, udawała, że nie rozumie, iż chwalenie wtedy stalinizmu nie było hołdowaniem ludzkości, tylko hołdowaniem nieludzkości (nieludzkości reżimu) — że pisząc te bałwochwalcze rymy stawiała się współniczką oprawców torturujących patriotów. Trudno się dziwić awersji Tyrmanda, który niepotrzebnie się usprawiedliwiał: *„Jest to mój odruch psychiczny, być może nie świadczący o mnie dobrze”*. Cytuję dalszą część jego wywodu: *„Są pośród nas lotry takiego kalibru, że przez długie, pełne sukcesów życie udaje im się stworzyć wokół siebie tak gęstą aurę fałszywej skromności, bezbronności i wrażliwości, że już nigdy nikomu nie udaje się obnażyć ich przecherstw i jadu. Znam takich w Warszawie i wierzę, że czytając te słowa, o ile do nich dotrą, z miejsca pojmą, że to o nich chodzi”*. Gdzie indziej dodał, że ci ludzie charakteryzują się *„dyskretną obłudą, której nie sposób oddzielić od dobrego wychowania i manier”*. To samo — czarusiowość i bon-ton lewicowych intelektualistów (salonowców) — piętnował w „Nocniku” Andrzej Żuławski: *„Ciśnie się na usta słowo: czarujący. Jak odczarujesz, ujrzysz arogancką twarz bezwzględnej obłudy. Że jest ordynarnym chamem, nie liczy się”* (2010). Klasyczny przykład to pseudoprofesor (nie ma żadnych stopni akademickich, nawet niskich) Władysław Bartoszewski, określający

swych przeciwników politycznych i ich elektorat mianem „*bydło*”. Niestety — zbyt rzadko wskazuje się po nazwisku; Jan Tadeusz Stanisławski wskazał konkretnego delikwenta, znanego salonowego dziennikarza, Tomasza Lisa: „*Człowiek o chytrym nazwisku, cały czas starający się ukryć kim jest naprawdę*” (dodatek telewizyjny do „*Dziennika*” 2006). Sam wskazywałem wiele figur, vide esej pt. „*Fary- zeizm — o obludzie vel hipokryzji salonowej*”⁹ plus teksty biograficzne poświęcone salonowcom**.

Ci salonowi faryzeusze, którym (jak pisał Tyrmand) dzięki wirtuozowskiej hipokryzji długo (bywa, że dożywotnio i dłużej) udaje się kultywować wokół swej osoby mit człowieka prawego, nieomal świętka — czasami (niestety, zbyt rzadko) przegrywają, gdy wybucha skandal demitologizujący. Jak w Czechach, kiedy wyszło na jaw, że bolszewicki pisarz Julius Fucik, autor biblii komunistów („*Reportaż spod szubienicy*”), bohater narodowy, wielbiony przez lewicę wszystkich kontynentów — był zajadłym agentem Gestapo. Lub we Francji, kiedy się dogrzebano, iż mieszkający tam czeski pisarz Milan Kundera, autor „*Nieznośnej lekkości bytu*”, bezpieczeniackim kapowaniem zapewnił rywalowi (chodziło o dziewczynę) kilka dekad łągru. Albo w Niemczech, kiedy się okazało, że socjalistyczny pisarz, noblista Gunter Grass, autor „*Błaszanego bębenka*” (notabene pełnego antypolskich sformułowań, które zniknęły w polskim tłumaczeniu!), był kadrowym hitlerowcem, członkiem SS! Jednym się udaje, innym nie. Wymigać. Nad Wisłą ciągle się udaje Pawłowi Jasienicy, wokół którego Salon stworzył mitologię

9 — Patrz W. Łysiak, „Salon 2—Alfabet Szulerów” tom I, 2006.

9 — Patrz „Łysiak na łamach 6 — piórem i mieczem”, 2001.

9 — W. Łysiak, „Salon — Rzeczpospolita kłamców”, 2004, rozdział „*Literacki geniusz «Mirek»*”.

9 — Patrz „Łysiak na tamach 3”, 1995.

nieomal martyrologiczną, bo pisarz ten swego czasu szkalował wrogów Salonu, pisarzy an ty lewicowych (wielkiego patriotę, Józefa Mackiewicza, wprost zgnoił, jako tchórza i hitlerowskiego kolaboranta, tekstem „**Moralne zwłoki szlachcica kresowego**”, w tygodniku „**Świat**”, 1955), wychwalając prosowieckich politruków literatury. O kontrMackiewiczowskim tekście Jasienicy prof. Włodzimierz Bolecki, literaturoznawca, autor biografii Mackiewicza, rzekł krótko: „**Wstyd czytać**”. Wstyd czytać także inne podobne teksty Jasienicy. Salonowcy, broniąc go, przypominają, że został aresztowany przez UB jako akowski partyzant. Leopold Tyrmand pytał w „**Dzienniku**” czemu tak szybko Jasienicę wypuszczono (tylko jego) i dziwił się zdumiewającemu „parasolowi”, jaki esbecja nad Jasienicą trzymała. Warto przypomnieć salonowym mitotwórcom coś więcej, dlatego niżej to czynię:

Paweł Jasienica (Leon Lech Beynar), aresztowany za przynależność do „**bandy «Łupaszkii»**”, napisał w celi (latem 1948) list do władz UB i do władz PPR, będący autobiografią, historiozofią i swoistym „**wyznaniem wiary**”. Został wypuszczony (zwrócono mu wolność) tuż po wysmażeniu tego tekstu, w którym m.in. gromi Watykan, papieża i klerykalizm, namawia, by czerwone państwo stawiało twardy opór wpływom Kościoła, a także rozpatruje wartość (celowość) „**sojuszu z ZSRR**” i sens przynależności Polski do bloku krajów komunistycznych. Pyta: „**Czy tę przynależność traktować mamy jako coś koniunkturalnego, czy też trwalego?**”. I wyjaśnia: „**Opowiadam się za tą drugą koncepcją**”. Gdy roku 1990 „**Polityka**” opublikowała ów obrzydliwy tekst Jasienicy, Salon wziął pisarza w obronę, perswadując (exemplum Dariusz Fikus), że nie można traktować serio więziennej pisaniny zaszczonego człowieka, który przy pomocy proreżimowych bzdur i kłamstw starał się odzyskać wolność. Tłumaczenie (wybielanie) nie było jednak ben trova- to, co

udowodnię za chwilę, po krótkiej dygresji. Ta dygresja jest konieczna, bo mieliśmy drugi taki (sui generis analogiczny) casus: W roku 1985 pisarz i dziennikarz Józef Szaniawski został aresztowany i skazany, formalnie za kontakty z rozgłośnią Wolna Europa, aczkolwiek szef MSW, generał Czesław Kiszczak, parokrotnie dawał półsłówkami do zrozumienia, że za nielojalność wobec jego „*firmy*”. Z celi Szaniawski wysłał do szefostwa służb specjalnych (konkretnie do generała Edwarda Poradko, szefa WSW) list, w którym przypominał swoje wieloletnie wysługi, sympatie i antypatie: że ochotniczo donosił na kolegów już jako student; że zawsze aktywnie zwalczał „*opozycję*”, że wielbi gen. Wojciecha Jaruzelskiego, a nienawidzi „Solidarności”; i że chce kontynuować „*współpracę z organami przeciwko wrogom Polski Ludowej, w tym zwłaszcza przeciwko wywiadowi amerykańskiemu i opozycji wewnętrznej, w takim zakresie, w jakim będzie to możliwe*”. Skomlał: „*dam z siebie wszystko*” (sic!). Roku 1994 Krzysztof Dubiński i Iwona Jur- czenko opublikowali książkę „*Być szpiegiem*”. Kilka stron poświęcili Szaniawskiemu. Ważnych stron. Można się było dowiedzieć, że Szaniawski był przez lata wykładowcą Akademii MSW i aktywistą TPPR (Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej); że MSW dało mu mieszkanie („*lokal*”), spectelefon i specjalną przepustkę („*R*”) zwalniającą od kontroli drogowych; że znajomym się chwalił, iż jest oficerem MSW tudzież kumplem generała Mirosława Milewskiego (uważanego za „*spiritus movens*” kaźni księdza Popiełuszki), itd., itp. Książka przeszła jednak bez echa, i dopiero 4 lata później gniewny artykuł pt. „*Pełnomocnik*”^{*} (Szaniawski w latach 90-ych kręcił się przy pułkowniku Ryszardzie Kuklińskim jako jego „*pełnomocnik*”!), który opublikowałem na łamach „*Najwyższego Czasu!*”, wywołał huczek czyli skandal. Szaniawski musiał zejść ze sceny, Salon bronić tego akurat kapusia nie chciał, więc przygarnął go inny miłośnik kapusiów (biskupa

Wielgusa etc.), ksiądz Tadeusz Rydzyk. Tymczasem wiemopoddańczy list Jasienicy do bezpieczeństwa został mu darowany przez Salon, bo „*zaszczuty więzień*” itp. Rzecz atoli w tym, panowie salonowcy, że 8 lat po swoim brzydkim liście Jasienica powtórzył swój stalinowski hołd już bez żadnych rzekomych szykan więziennych, z głębi serca! Oto szczegóły:

W 1956 Jasienica, ciesząc się odzyskaną przez Polaków wolnością słowa („*właściwie teraz po raz pierwszy prasa polska przeżywa okres zupełnej wolności*”), precyzuje, iż był stalinistą z własnego wyboru, bez przymusu, i że nie przeszkadzała mu wyznawać komunizmu wiedza o zbrodniach stalinizmu! Pisze: „*Dawno już doszedłem do wniosku, że w roku 1945 Polska weszła na drogę, która w ogóle wiodła w przyszłość. Plan Sześćdziesiątka trafił w samo sedno marzeń o ojczyźnie, która by nareszcie przestała być cywilizacyjną martwicą*”. I kilkanaście akapitów dalej:

„*Wspomniałem uprzednio*

o swym przekonaniu, że w roku 1945 Polska weszła na jedyną drogę, która wiodła w przyszłość. Doszedłszy do tego wniosku, zdecydowałem się na popieranie kierunku politycznego, któremu wtedy patronował Józef Stalin. Zdecydowałem się — bardzo dokładnie w i e d z ą c . . . Gdybym dziś (...) raz jeszcze znalazł się wobec tego samego problemu i raz jeszcze musiał wybierać — wybrałbym to samo co wtedy. Przyznaję się do pełnej odpowiedzialności za własne decyzje, ale ich nie żałuję. Powtórzę raz jeszcze, że Polska nie ma innej drogi (...) Kto się decydował w i e d z ą c , ten tym bardziej musiał sam siebie pilnować i nie przekraczać granic bezwzględnej konieczności dziejowej”. Więc może ciszej nad tą trumną, panowie salonowcy! Nie wciskajcie ludziom kitu o świętym Pawle PRL-u!

Gorliwymi stalinistami byli również dwaj panowie K. — dwa mitologizowane pieszczochy Salonu: Konwicki („*Nasza miłość do Józefa Stalina nie jest abstrakcyjna*”) i Kapuściński („*Chciałbym całym sobą, jako*

członek Partii, służyć nieśmiertelnej idei Stalina ”). Ten drugi starał się później nie komentować swego skurwienia bolszewickiego, lecz Tadeusz Konwicki, etatowy funkcjonariusz żandarmerii kulturowej (cenzuralno-nakazowej) reżimu, ustosunkował się książką „**Kalendarz i klepsydra**” (1976), przekonując, iż parszywe czasy wymuszały nikczemność ludzi jego sortu. Ale nie posypał głowy popiołem — przeciwnie, pokazał „**wala**” tym, którzy chcieliby go piętnować, zgrzytnął bowiem zębami, iż może go teraz „**dopaść każda menda, którą ktoś przypadkowo poczył dzie sięć lat za późno, i wyruchać bezwstydnie na oczach rozbawionej gawiedzi**”. Słowem: ci młodzi nie mają zbrukanych rąk i sumień tylko dlatego, że mieli fart — spłodzono ich zbyt późno, aby stalinizm mógł ich spodlić tak, jak jego spodlił. Trik był retorycznie sprytny, wszelako logicznie nie był *ben trovato*, bo prócz spóźnionych małolatów zachowali dziewictwo we wrednej epoce także niektórzy rówieśnicy Konwickiego, nie każdy z nich poszedł na płatny serwilizm. I właśnie te odporne „**mendy**” rówieśnicze miały pełne moralne prawo „**ruchać**” byłego kulturowego stupajkę. Mimo wszystko jednak — bezczelna niezłomność Konwickiego, ta hardość typu „**pocalujcie mnie wszyscy w dupę!**”, musi budzić trochę szacunku. Zawsze imponował mi Julian Tuwim (też stalinista, choć nie fedrujący, ino duchowy), który umiał wygarnąć swym współ-towarzyszom-salonowcom (zarzućcie mu antysemityzm!):

*„Izraeliccy doktorkowie,
Wiednia, żydowskiej Mekki, flance,
Co w Bochni, Stryju i Krakowie Szerzycie kulturalną francę;
Którzy chlipiecie z «Naje Fraje»
Swą intelektualną zupę,
Mądrate, ocytane faje —
Całujcie wy mnie wszyscy w dupę!”.*

Ryszarda Kapuścińskiego, faworyta wszelkich Salonów (lokalnych i cudzoziemskich), nie stać było na łokieć zgięty — mówiąc językiem przestępców — tak „*charakternie*”. Lubił powtarzać znajomym ruską maksymę: „*Tisze jediesz, dalsze budiesz*”. Całymi latami (zwłaszcza po roku 1989) trząsł się ze strachu, iż wyjdzie na jaw jego kolaboracja z którąś specsłużbą czerwonego reżimu („*Süddeutsche Zeitung*”: „*Panicznie bał się ujawnienia akt SB*”, 2010), i ten ciągły stres, rujnujący wieńcówkę, skrócił mu życie mocno. Reputację zrujnowały mu dwie rzeczy: lustracja „*teczkowa*”, która wykazała, iż gorliwie „*współpracował*” z SB i służbami wojskowymi (TW „*Poeta*”, TW „*Vera Cruz*”), choć wysuwane są przypuszczenia — exemplum „*Newsweek*” 2007 — że głównie z KGB; oraz biografia „*Kapuściński non-fiction*” (2010) napisana przez Artura Domosławskiego. Żona Kapuścińskiego rozpaczliwie próbowała zablokować dystrybuowanie i sprzedawanie książki, złożyła pozew do sądu, ale „*mleko się już wylało*” — gruchnął gigantyczny skandal. Międzynarodowy, Kapuścińskiego bowiem tłumaczono i oklaskiwano wszędzie jako wzór rzetelności, arcymistrza reportażu.

Książka Domosławskiego, której ukazanie się było we wszystkich krajach, gdzie wydawano i ceniono Kapuścińskiego, „*newsem*” telewizyjnym pierwszej rangi — została napisana piórem sympatyka. Autor demonstruje przychyłność (momentami wręcz czułość) wobec swego bohatera nieomal przesadnie, i był za to karcony (Paweł Lisicki: „*Domosławski na głowie staje, piruety wyczynia, byle tylko dla Kapuścińskiego fanfaronady i blagierstwa znaleźć odpowiednie wytłumaczenie, by uchronić mistrza przed zarzutem zmyślania, konfabulacji i fałszerstwa*”, „*Rzeczpospolita*” 2010). Równocześnie jednak Domosławski starał się być sumiennym biografem-de-tektywem,

odsłaniającym wszelkie aspekty życia i działalności Kapuścińskiego, także te grzeszne i wstydlive. Nie pominął więc niczego, zaczynając od fascynacji stalinowskich, gdy Kapuściński płodził probolszewickie wierszydła:

„Rozpalmy w sercach naszej woli płomień.

Mocniej się ramię Pokoju napina.

My —

silniejsi miliardem dłoni,

potężniejsi

myślą Stalina”.

Nie zabrakło również „współpracy” ze „*szużbami*” oraz brudów intymnych (cudzołóstwo, fatalne stosunki rodzinne), czyli tych źródłowych detonatorów skandali z życia literatów, które będą stanowiły treść kolejnego rozdziału mojej książki, ale które u Domosławskiego okazały się marginesem, planktonem, przykryło je bowiem coś dużo grubszego. Gdyby Kapuściński był tylko kapusiem esbeckim (fakt, że paskudnym, za pieniądze kablującym nawet seksualne tajemnice denuncjowanych), i gdyby zdradzał żonę używając długopisu tak, jak prezydent Clinton użył cygara — dla opinii światowej nie byłyby to sensacje zbyt dużego kalibru, jest ona bowiem przyzwyczajona do analogicznych „*newsów*”, wręcz znudzona ich powtarzalnością. Mowy by więc nie było o skandalu międzynarodowym, globalnym. Ale kiedy się okazało, że „*król reportażu*”, „*cesarz reportażu*”, „*reporter stulecia*” etc., wszędzie prezentowany studentom dziennikarstwa jako wzór dziennikarskiej sumiennosci, arcykapłan prawdy, to notoryczny blagier, konfabulator i mitoman, który swoje zmyślenia sprzedawał jako autopsyjne reportaże — eksplodowała bomba atomowa. Domosławski udowodnił wiele tych kłamstw, zaś reporterzy śledczy całego globu, czując „*smell of blood*”, ruszyli (do

Afryki, do Azji, do Ameryki Łacińskiej i do byłego ZSRR, zwłaszcza zaś chętnie do Etiopii oraz Iranu), by weryfikować kolejne detale — i wielki pomnik runął, rozsypał się w proch i pył. Okazało się, że wszystkie głośne reportaże Kapuścińskiego — „Cesarz” (o Etiopii), „Szachinszach” (o Persji), „Jeszcze dzień życia” (o Angoli) i kilka innych — to stek wyspanych z palca bzdur. Kapuściński kłamał o swych przyjaźniach z wielkimi lewakami (z Che Guevarą w Boliwii, z Salvadorem Allende w Chile, z Patricem Lumumbą w Kongu, etc.) — nie widział ich żywych na oczy. Kłamał o swojej walce w marksistowskiej partyzantce Angoli, MPLA — nie wziął do ręki karabinu. Kłamał o wszystkim, wszystko okazało się łgarstwem. Literalnie wszystko!

Szczególny huk musiały wywołać brednie wypełniające od okładki do okładki „Cesarza” (1978), gdyż ta książka była światowym bestsellerem, numerem 1 „*cesarza reportażu*”. Ośmieszając tym woluminem i dezawuuując jako wzór tyranii cesarza Etiopii, Hajle Selasje, Kapuściński używał chwytów piramidalnych wręcz (np. opisywał jako aktualne, praktykowane wokół cesarza, zwyczaje i ceremonie dworskie, które w Addis Abebie zarzucono przed... kilkuset laty!). Nie to jednak było najgorsze, lecz to, że majstrował książkę na polecenie „ *służb*”.

Ubecja/esbecja była motorem powstania niejednej rodzimej książki (choćby „**Popiołu i diamentu**” Jerzego Andrzejewskiego, co udowodnił Krzysztof Kąkolewski pracą „**Diament odnaleziony w popiele**”) czy filmu (choćby „**Uprowadzenia Agaty**” Marka Piwowskiego alias TW „**Krosta**”, gdzie producentem był Lew Rywin alias TW „**Eden**”, a chodziło o wykończenie niezłomnego prawicowego polityka, posła Andrzeja Kerna). KGB kilkakrotnie próbował obalić Hajle Selasje zamachami (kolejny puczył się udał i po liberalnym władcy rządu przejął marksistowski bestialec, który błyskawicznie doprowadził Etiopię do hekatomb i

ruiny), a jednocześnie mobilizowano pióra i media lewicowe, by wspierały „rewolucję etiopską”. Marian Miszański pisze o tym tak: *„Zachodnia «postępowa opinia publiczna» i jej słynni «intelektualiści» sympatyzowali wówczas z Moskwą, więc zamordowanie Hajle Sela- sje i ludobójstwo płk. Mengistu «połknęli» bez zmruczenia oka (...) Właśnie w 1978 roku, podczas apogeum ludobójstwa w Etiopii, ukazała się (co za zbieg okoliczności!) książka Kapuścińskiego «Cesarz», przedstawiająca obalonego Hajle Selasje jako zacofańca i wstecznika, ciemniźcydła własnego narodu. Ta propagandowa ba- jęda była tak naprawdę oparta na relacjach sowieckich agentów i «przykrywała» (mówiąc językiem tajnych służb) ludobójstwo własnie dokonywane w Etiopii przez komunistę, agenta sowieckiego. Zaraz też książka zaczęła ukazywać się w całym świecie (...) Propagandą była również wcześniejsza książka Kapuścińskiego «Chrystus z karabinem» (Guevara jako Chrystus!). Kim był Che Gueva- ra? Realizatorem sowieckiej polityki «eksportu socjalizmu» — rozpalenia «stu Wietnamów» (...) A kim był Kapuściński? Słychać, że był «Żydem z Pińska», i to rasowe kadyzido okadzało go nieustannie (...) Czy można się dziwić, że książki Kapuścińskiego były nadymane i propagowane przez lewicowy «demi— monde» jako «wybitne reportaże», jako «literatura faktu?»” („Najwyższy Czas!” 2010).*

Dziwić się nie można, podobnie jak trudno się dziwić, że okłamany Zachód rozeźlił się na Kapuścińskiego. Thomas Urban: *„Lewica wykreowała kult Kapuścińskiego, a on po prostu zmyślał. Nie tylko fakty i realia, lecz nawet wypowiedzi konkretnych, rzekomo «cytowanych» figur!”* („Süddeutsche Zeitung” 2010). Gabriele Lesser: *„Kiedy opowiadał którąś ze swych zmyślonych historii, czynił to z rozbajającym uśmiechem, całkiem jasno mówiącym: «Skoro pragniecie być okłamywani — to proszą bardzo»”* („Die Tageszeitung” 2010). Okazało się jednak, że nie wszyscy lubią być robieni w balona. *„Sprzedaż książek Kapuścińskiego na świecie gwałtownie*

się załamala” („**Rzeczpospolita**” 2010). Do dzisiaj zachodnie media przypominają ten obrzydliwy casus: „*To dziwne, że egzystując w systemie opartym na kłamstwie Kapuściński nie miał więcej szacunku dla prawdy*” („**The Economist**” 2012).

Czy potężny, wszechmocny medialnie, międzynarodowy Salon lewaków nie mógłby wybronić Kapuścińskiego? Mógłby, gdyby tylko chciał. Ale nie chciał, bo przy okazji wyszło na jaw, że „*Kapuściński związał się z antysemicką frakcją PZPR-u — z aparatczykami, którzy rozpetali w 1968 hecę antysemicką (...) Starannie pielęgnował te związki z czołowymi aparatczykami, zawsze przywoził im prezenty z wojażu*” („**Süddeutsche Zeitung**” 2010). Zważywszy plemienną zawartość Salonu w Salonie — było to niewybaczalne. Takie rzeczy to tylko w Polsce — jedynie nad Wisłą Salon czasami takie numery wybacza. Generał Jaruzelski był swego czasu kierownikiem akcji „*aryzacyjnej*” (sic!) w Ludowym Wojsku Polskim, vulgo: szefem kampanii „*odżydzania*” LWP, a jednak guru priwiślańskiego Salonu, Adam Michnik, przebaczył generałowi i kazał wszystkim „*odpić*” się od niego. Od Kapuścińskiego też — „**Gazeta Wyborcza**” nie przestała hagiografować „*reportera stulecia*”, a Polska Agencja Prasowa ustanowiła Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego dla najbardziej rzetelnych i obiektywnych materiałów dziennikarskich (sic!). Co tak rozwścieczyło Bronisława Wildsteina, że ogłosił projekt nowego dziennikarskiego regulaminu; cytuję trzy pierwsze paragrafy: „*1. Kłam, ile wlezie. Ważne, abyś znalazł silnych popleczników, którzy wyjaśnią, że kłamałeś we właściwej sprawie, a więc właściwie mówiles prawdę. 2. Fakty się nie liczą. Zasadę tę przedstawił jako swoją teorię Włodzimierz Iljicz Lenin, prorok tak drogich «mistrzowi» Kapuścińskiemu lewicowych rewolucji, z pogardą piszący o «fakcikach». 3. Możesz najmówać się na służbę najbardziej odrażającym instytucjom. Poplecznicy (patrz wyżej) zawsze wytłumaczą to historyczną koniecznością*”

(„Rzeczpospolita” 2010). Przypominam radę pana Beynara: „**nie przekraczać granic bezwzględnej konieczności dziejowej**”.

Głos Wildsteina był głosem prawicy, czyli Antysalonu. Tak u nas, jak i za granicą, Antysalon nie chce wybaczać tym, którzy służyli „**najbardziej odrażającym instytucjom**”. Brytyjski prawnik filozof Roger Scruton (sława światowa) powiedział Jędrzejowi Bieleckiemu: „ — **Kapuściński mógł podróżować i wydawać książki tylko w porozumieniu ze służbami specjalnymi (...)** Kiedy pierwszy raz przeczytałem jego książkę o cesarzu Etiopii, od razu zrozumiałem, że ten człowiek pracuje dla służb specjalnych. To było oczywiste. **«Cesarz» ukazał się w momencie, kiedy Związek Radziecki przejmował to państwo**” („Dziennik/Gazeta Prawna” 2010).

Większość skandali dotyczących literatów w III RP miała za źródło ujawnienie współpracy pana pisarza z „**najbardziej odrażającymi instytucjami**” komunizmu:

12. Niedyskretny urok Lustracji

„**Kablowanie**” to praca nudna i brudna jak seks oralny. Znaczy: monotonna i paskudna, a dużą przyjemność daje tylko osobie obsługiwanej, czyli „**oficerowi prowadzącemu**”. Vulgo: mnóstwo twórców epoki PRL-u donosząc (głównie na kolegów literatów) przeżywało turbulencje psychiczne rozmaitego kalibru (od leciutkiego dyskomfortu, po krańcowe autoobrzydzenie), jednak mieli alibi werbalizowane konstatacją: „ — **Cóż, takie czasy...**”. Czasy czerwonego zamordyzmu.

Komunistyczny poeta, eseista i prozaik Aleksander Wat słusznie uważał, że donos jest swoistą kwintesencją komunizmu, zaś donosiciel filarem totalitaryzmu. Można rzec, iż wynalazek donosicielstwa był dla totalitaryzmu czymś równie błogosławionym jak wynalazek koła dla transportu, wynalazek cukru dla deseru i wynalazek telefonu

komórkowego dla pań. Po precyzyjniejszą wykładnię sięgnijmy do tekstu blogera „Free Your Mind”: *„Komunizm ze swej istoty to forma rządów agentury — agenturokracja. Rządy tego typu zasadzają się na tworzeniu binarnej rzeczywistości: iluzorycznej «oficjalnej» i prawdziwej opresywno-przestępczej lub konclagro-wej (w zależności od skali terroryzmu państwowego). Agentura ma to do siebie, że działa w ukryciu, podstępem, inscenizuje przeróżne zjawiska (ze sceną polityczną włącznie), maskuje się, dezinformuje obywateli itd., ale przede wszystkim — co chcę szczególnie podkreślić, ponieważ jest to klucz do zrozumienia zagadki powodzenia komunizmu i neokomunizmu — nie podlega żadnej społecznej kontroli. Działa poza i ponad prawem. W ten sposób zarówno powojenna demokracja socjalistyczna, jak i (od 1989) demokracja neokomunistyczna są ustrojami o charakterze totalitarnym, a więc trudnym do obalenia metodami stricte pokojowymi czy legalistycznymi, ze względu na stopień spetryfikowania struktury państwa przez agenturę”* (internetowe czasopismo „Polis” 2010).

Stopień agenturalnej korozji środowiska literatów był zawsze dużo wyższy niż stopień nasycenia całego społeczeństwa agenturą — grubo przekraczał 50% (według niektórych: 80%, ale to dotyczy raczej dziennikarzy). W książce *„Konfidenci są wśród nas...”* (1992) — napisanej przez pracownika Wydziału Studiów Urzędu Ochrony Państwa, Tomasza Tywonka, i wydanej (pod pseudonimem: Michał Grocki) za krótkich, ledwie półrocznych antykomunistycznych/antysamobójczych rządów premiera Jana Olszewskiego — czytamy: *„Związek Literatów Polskich był bardzo nasycony agentami. Dość powiedzieć, że na jednym ze zjazdów tej organizacji, z jednego tylko województwa na Sześciu delegatów przyjechało sześciu agentów. Oczywiście żaden z nich nie wiedział o roli kolegów”*. I zaczęło się to wszystko prawie siedem dekad temu, u progu *„Ludowej”*. Ponieważ w PRL-u warunkiem przyjęcia do Związku Literatów było wydanie dwóch książek — krążyło szyderstwo: *„Żeby*

zostać członkiem ZLP, trzeba wydać dwie książki i dwóch kolegów". Był wtedy ZLP swoistym „dziewiątym kręgiem” z „Boskiej komedii” — kręgiem, który Dante przeznaczył dla „szerzycieli waśni”: dla renegatów, manipulatorów, zdrajców politycznych, ale i dla tych, co zdradzają własną rodzinę, ludzi sobie bliskich, przyjaciół. Bliscy i familiancy pisarzy byli w nich wpatrzeni jak w tęczę, bo legitymacja członkowska ZLP, dająca formalny status pisarza, była godłem prestiżu. Konstanty Ildefons Gałczyński, poeta świetny, choć (podobnie jak Brzechwa) człowiek bardzo mamy, kpił wierszykiem „Niedzielny spacer konfidenta”:

„Tatuś—konfident idzie z rodziną na spacer.

Niedziela. Poranek beztroski.

W mężowskie baczki patrzy żona rozrzewniona I mówi: — Mój ty książę Józef Poniatowski”.

Ciekawe, czy pisząc to myślał też o sobie? Jego zażyłość z „organami” była oczywista (czerwoniec), ale czy sformalizowana, czy tylko towarzyska oraz ideowa? Tego nie wiadomo. Powiedzmy sobie szczerze: mimo wielu ujawnień, zdemaskowań, rozszyfrowań — wciąż nie wszystko wiadomo. Wiadomo tylko, że nie znamy nazwisk czołowych konfidentów bezpieki, albowiem te są chronione (przed dostępem i upublicznieniem) w czeluści Zbioru Zastrzeżonego IPN. Mówi się, iż jest to około 300 najważniejszych figur ze świata polityki i kultury, i że gdyby ujawniono nazwiska, Polska stanęłaby na głowie (Adam Danek: „*Otwarcie swobodnego dostępu do tych materiałów byłoby wyrokiem śmierci dla polskiej demokracji — mogłaby ona nie przeżyć takiego wstrząsu*”, „*Najwyższy Czas!*” 2009). Tu i tam — w pismach pravicowych — migają czasami te wielkie nazwiska: „*Premier Buzek, zarejestrowany przez SB aż pod dwoma pseudonimami*” (Stanisław Michalkiewicz, „*Najwyższy Czas!*” 2009), „*Bronisław Geremek, którego*

prawdziwy życiorys tonie w mrokach Zbioru Zastrzeżonego IPN” (Marian Miszański, „Najwyższy Czas!” 2011), itp. Wielu tych ze Zbioru Zastrzeżonego rządzi dziś Polską, a są to kukielki, od których nitki biegną do Moskwy i Berlina. Bloger „Free Your Mind”¹ „*Państwo pod rządami agentury jest ze swej istoty dysfunkcyjne, więc funkcjonalność może ono odzyskać wyłącznie na drodze trwałego wyeliminowania agentury z życia społeczno-politycznego*” (2010). Marzenia!

Tymczasem literatura wcale nie jest dysfunkcyjna, gdy czołowi literaci są konfidentami; można nawet rzec, iż przeciwnie. „*Kabel*” UB, Marek Hłasko, twierdził, że styl literacki wyrobiły mu donosy, które smarował („*nabrałem miłości do formy krótkiej i zwięzłej*”), więc młodym adeptom literatury radził: „*Każdy z was powinien przez jakiś czas popracować dla tajnej policji, aby wyrobić sobie styl i jasność myślenia*” („*Piękni dwudziestolenni*” 1966). Można zresztą mówić nie tylko o przydatności delatorstwa dla stylu, lecz również dla fabuł w książkach szpiegowskich i kryminalnych (czyli we wszelkich „*thrillerach*”) tudzież psychologiczno-obyczajowych (rozterki wewnętrzne lub ich brak, wycie sumienia lub kwilenie zadowolenia, cierpienie lub kłopoty denuncjowanych, itp.); Marcin Wolski: „*Czy Andrzej Zaniewski (TW «Orłowski») bez tajnej współpracy napisałby równie sugestywnego «Szczura»?*” („*Gazeta Polska*” 2009). No właśnie.

Że każde ujawnienie esbeckiej kolaboracji literata wywoływało w pierwszych dwóch dekadach III RP (1990-2010) większy skandal publiczny aniżeli ujawnienie kolaboracji polityka — to normalne, bo politycy nigdy nie cieszyli się zbyt dużym szacunkiem Sarmatów, gdy pisarze („*wieszczowie*”, „*inżynierowie dusz*”, „*krzepiciele serc*” itp.) owszem. Tylko konfident TW „*Bolek*” (Lech Wałęsa) przebił hukiem skandalu wszystkich zdemaskowanych „*ludzi pióra*”, jednakże to wyjątek

potwierdzający regułę, a zresztą Wałęsa nie był przez naród traktowany jako polityk, lecz jako bóstwo. Że rozgłos skandalu każdorazowo równał się popularności literata (im większe nazwisko, tym huczek większy) — to też normalne. Że wszyscy przyłapani piszczą, iż zostali zarejestrowani (jako TW) bez ich wiedzy oraz zgody, a wszelkie dokumenty (w tym odręczne sygnatury) sfalszowano — normalne jest również. Wreszcie normalną (ergo: całkowicie zrozumiałą) jest trauma czytelników — wielbicieli, fanów, bywało, że wręcz wyznawców pana pisarza. Tak ładnie pisał, tak przekonująco perswadował, tak żarliwie uczył miłości ojczyzny, taki patriota i esteta, a tu — proszę — zwykły kapuś. Płatny. Nikt spośród tych zawiedzionych, zasmuconych, zaszokowanych nie czytał czterowiersza Mariana Hemara (bo antykomunisty Hemara nie wydawano w PRL-u, trzeba było mieć tomiki z Londynu), który już na początku czerwonej Polski (1947) wiedział, iż „*krajowi*” medialni heroldowie patriotyzmu są kundlami UB:

*„Na cmentarzu zgliszcz i zgnilizny Tak się nasze zwycięstwo święci —
Nas to uczą najemni agenci Świętej miłości ojczyzny... ”.*

Później się okazało, że także świętej miłości polszczyzny — gdy reżyser Grzegorz Braun oskarżył profesora Jana Miodka o kolaborację pod kryptonimem TW „*Jam*”. Raptem „Ojczyzna-polszczyzna” Miodka przestała urzekać serca, a cała antykomuna splunęła na miodoustego lingwistę, lekceważąc wyrok sądu, do którego odwołał się Miodek. Co natomiast miał robić przeciętny konsument kultury, gdy raz po raz mu dowodzono, że kulturowe gwiazdy mediów (vulgo: czołowi celebryci) to esbecy konfidenci — szlochać czy tylko kłąć? Kiedy słyszał, że szef RWE, conradysta Zdzisław Najder, to TW „*Zapalniczka*”, a szef TVP, rusycysta Andrzej Drajewicz, to TW „*Zbigniew*” i TW „*Kowalski*”, że lider „*kina moralnego niepokoju*”, Krzysztof Zanussi, to TW „*Aktor*”, że

Marek Piwowski, autor pono „*kultowego*” „*Rejsu*”, to TW „*Krost*”, że znani profesorowie, koryfeusz Uniwersytetu Lubelskiego Jerzy Kłoczowski i koryfeusz Uniwersytetu Krakowskiego Aleksander Krawczuk, i koryfeusz Uniwersytetu Toruńskiego Janusz Kryszak, i koryfeusz Uniwersytetu Warszawskiego Andrzej Garlicki, to TW „*Historyk*”, TW „*Chata*”, TW „*Krzysztof*” i TW „*Docent*”, że głośni dziennikarze: Krzysztof Teodor Toeplitz, Ernest Skalski, Wojciech Giełżyński, Tadeusz Sznuć i Małgorzata Niezabitowska, to TW „*Senator*”, TW „*Jerzy Stefański*”, TW „*?*”, TW „*Arat*” i TW „*Nowak*”; że arcypopularna pionierka telewizyjnych interviews, Irena Dziedzic, to TW „*Marlena*”, że lubiany aktor Maciej Damięcki to TW „*Bliźniak*”, że gwiazdor felietonistyki PRL-u, „*Bywalec*” Daniel Passent (mąż Agnieszki Osieckiej, opluwającej emigrację paryską tudzież londyńską epistołami dla SB, i piszącej proszalne listy do Mieczysława Moczara), „*za swoje informacje brał od służb specjalnych PRL pieniądze*” („*Gazeta Polska*” 2010). Ten czytelnik miał bolesny dyskomfort kiedy czytał choćby u Łysiaka*, że literacki pupil „*Gazety Wyborczej*”, prozaik Andrzej Szczypiorski (TW „*Mirek*”), przez kilkadziesiąt lat „*kapował*” w Polsce na kogo tylko się dało, a więc całkowicie pasuje do cenzurki z Hema-rowskiego dwuwiersza o kanałach utrzymujących się piórem:

„*Cóż za szmata Pod pozorami literata!*”.

„*Kapując*” w kraju na przyjaciół i bliźnich, Szczypiorski równocześnie „*kapował*” za granicą na rodaków. Zwłaszcza w Niemczech, gdzie regularnie piętnował Polaków jako urodzonych antysemitów, prawdziwych sprawców Holocaustu (co Niemców szalenie cieszyło, bo było bardzo wiarygodnym świadectwem zmniejszającym ciężar ich winy — wiarygodnym, gdyż dawał je pisarz-Żyd, vulgo: bezkonkurencyjny znawca problemu). Do tego inny Żyd, krytyk literacki Reich-Ranicki,

eksfunkcjonariusz UB, oceniał grafo- mańską pisaninę Szczypiorskiego jako wybitną, „GW” ten niemiecki werdykt przedrukowywała, by dmuchać wielkość Szczypiorskiego, i kółko się zamykało. Ale się rozleciało, kiedy ujawniono bez- pieczniackość Szczypiorskiego i Ranickiego (tuż przed 2000 rokiem), więc „GW” natychmiast znalazła sobie nowego faworyta literackiego, Ryszarda Kapuścińskiego, lecz jak się to skończyło, już wiemy. Sumując: ostatnia dekada XX wieku (1990-2000) literacko należała w „Gazecie Wyborczej” do Szczypiorskiego, a pierwsza dekada XXI stulecia (2001-2010) do Kapuścińskiego.

„*Warszawka*” salonowa czeka: kogo swym trafnym wyborem namaści literaturoznawca Adam Michnik w drugiej dekadzie bieżącego wieku?

Salonowy „*krakówek*” też nie ma lekko. Skandal goni skandal (okołoliteracki), i również — tak jak w nowej stolicy — wałą się legendy czółowe, murszeją mitologie frontowe, kruszą się pomniki główne, rozsypują się klejnoty, świętości, imponderabilia i regalia. Gdy bibliofil i naukowiec, kochany przez Kraków profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Stanisław (nomen omen) Szczur, zostaje aresztowany (2006), bo kradł starodruki i pokątnie handlował nimi (okradł m.in. Bibliotekę Wyższego Seminarium Duchownego w Sandomierzu), a do tego później „*kapuje*” na antykwariusza, któremu sprzedawał te książki jako swoją własność — krakowski Salon kwiczy z bólu, bo Szczur był jego chlubą. Kiedy miłośnik literatury i publicysta, Lesław Maleszka, gwiazda pośród krakowskich dysydemtów walczących z komuną, okazuje się drapieżnym agen- tem-prowokatorem SB (TW „*Ketman*”, TW „*Return*” i TW „*Elm*”)

— krakowski Salon ma kaca. Gdy literacki filar legendarnej krakowskiej „Piwnicy pod Baranami”, Michał Ronikier, okazuje się konfidentem SB (TW „*Zygmunt*”) — krakowski Salon płacze ze wstydu (2008), i to

dubeltowo, bo w końcu: arystokrata, z zasłużonej hrabiowskiej rodziny! Ta dubeltowość chyba niepotrzebna, drogie Krakusy. Przecież kiedy Michał hrabia Ronikier „*kablował*” na was — równolegle, tylko gdzie indziej, „*kablował*” na swoich Wojciech hrabia Dzieduszycki, „*zasłużony wrocławski animator życia kulturalnego*”. A my mieliśmy w grodzie stołecznym Stanisława hrabiego Tarnowskiego, którego Emigracja londyńska (także wojskowa, gen. Kopański i in.) uważała za agenta UB, więc darzyła ostracyzmem, wskutek czego wrócił do kraju i tu został przez płk. Gdulę (prawą rękę gen. Kiszczaka) zatrudniony w... KC PZPR! Czyli że to normalne. Arystokratyczność, moi mili, nie gwarantuje przyzwoitości nawet tzw. elementarnej, czego dowodem legion polskich arystokratów-renegatów, którzy wiek za wiekiem sprzedawali ojczyznę jej wrogom. U płci pięknej to samo — herb nie chroni od kurewstwa. Dowodem warszawski elitarny dom publiczny „*międzywojenny*” przy ulicy Marszałkowskiej 31, którego twórczynią i burdelmamą była hrabina Irena Mielżyńska. Pani hrabina zatrudniała wyłącznie „*panie z towarzystwa*”, szukające okazjonalnej rozrywki, gdyż rola „*przyzwoitej kobiety*” nudziła je mocno. Takie burdele z prostytutkami były w wielu krajach, Luis Bunuel zrobił o tym zjawisku film „*Belle de jour*”. Ale wróćmy na ziemię: Jeszcze nie wywietrzała trauma spowodowana dżumą „Pod Baranami”, a tu znowu bum! — kolejny krakowski skandal. Tym razem z inną, równie cenną legendą krakowską — z „*Tygodnikiem Powszechnym*”. Przez kilka dekad PRL-u organ Jerzego Turowicza uchodził za cudem trwający bastion antykomunizmu, za latarnię morską dysydentów, za brylant wśród precjozów „*różowego*” Salonu rywalizującego o złób z PZPR. Francuska „*Liberation*” napisze po latach, że był „*głosem liberalnej i często filosemickiej inteligencji*”. Ale już w 1970 roku współpracownik „*TP*”,

lubiany felietonista „*Kisiel*” (Stefan Kisielewski), parska gniewnie, że tygodnik „*gładko utożsamil sobie społeczne cele Kościoła z interesem komunizmu. Co to ma wspólnego z katolicyzmem? Tfu, rzygać mi się chce na nich i na Jerzego Turowicza*”. Dwa lata później (1972), też w swym diariuszu i też pełen gniewu, notuje: „*Oni w «Tygodniku» umieszczają różne państwowotwórcze, deklaratywne bzdury (...) «Tygodnik» staje się nie do zniesienia, po prostu organ MSZ, dlaczego ja mam to firmować? (...) Obrzydł mi ten «Tygodnik» i sam siebie się brzydzę, że w nim piszę, ale przecież nie mam gdzie!*”. Owe „Dzienniki” Kisielewskiego (publikacja 1996) zawierają quasi-jas- nowidzącą frazę (z 1970 roku) o pracownikach „TP”: „*Ci moi dawni przyjaciele nie wytrzymali dwudziestu pięciu lat komunizmu, przerobiono im mózgi...*”. Jak bardzo przerobiono — pokazał w 2011 Roman Graczyk książką „Cena przetrwania? SB wobec Tygodnika Powszechnego”. Okazało się, że płatnymi konfidentami bezpieki było kilkunastu członków redakcji, w tym czworo z kierownictwa — ze sztabu. Uuups! — taki wstyd dla Salonu, nie tylko krakowskiego, ale całego priwiślańskiego! Aleksander Kaczorowski: „*Graczykowi jest wstyd za bohaterów jego książki, których przecież na ogół zna osobiście. Czytelnik również się wstydzi, a czasami już tylko bezsilnie rehocze, gdy np. TW «Olaf», przedwojenny oficer kawalerii, dawny ziemianin, w donosie z 8 czerwca 1970 roku skarży się swoim mocodawcom na niedostatki organizacyjne SB*” („Newsweek” 2011). Rzeczywiście, „*Bolki*” można zrywać ze śmiechu.

Gdy książka Graczyka się ukazała, runął na autora grad zarzutów ze strony prominentnych figur Salonu (szczególnie kąsał były udec- ki szef MSW, Krzysztof Kozłowski). Komentując tę salonową wściekłość, ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski napisze: „*Środowiska zwalczające lustrację czynią to nie z powodu troski o dobro społeczne, ale najczęściej z lęku przed*

ujawnieniem swej przeszłości". I doda: „*Książka Graczyka przerywa znowę milczenia wokół środowisk tzw. grupy krakowskiej, czyli «Znaku», «Tygodnika Powszechnego» i Klubu Inteligencji Katolickiej, które za rządów Unii Demokratycznej uchodziły za nietykalne*” („*Gazeta Polska*” 2011). Prezes wydawnictwa „Znak”, Henryk Woźniakowski, odmówił wydania książki Graczyka, wolał wydać szkalującą Polskę książkę Grossa.

Kim jest Roman Graczyk? Publicystą, byłą gwiazdą dziennikarską Salonu, długoletnim pracownikiem „*Gazety Wyborczej*” i „*Tygodnika Powszechnego*”. Z „*GW*” musiał odejść, gdyż nie chciał bez końca akceptować kontrlustracyjnych kłamstw, trików i manipulacji brygady Michnika. Robertowi Mazurkowi wyznał: „ — *Byłem flagowym publicystą «Gazety Wyborczej» (...) Myślałem wtedy Michnikiem (...) Dopiero po sprawie Maleszki otworzyły mi się oczy, zobaczyłem wyraźnie, że Michnik prowadzi politykę historyczną wielkiej ścierny, a ja byłem w niej pożytecznym idiotą*” („*Rzeczpospolita*” 2011). Budujący przykład Szawła-Pawła: salonowiec otrzeźwiony i nawrócony! Z „*GW*” uciekło lub zostało wykopanych już kilkudziesięciu takich fanów Michnika, którzy przejrżeli. Większość jednak dalej wyznaje michnikofilię bałwochwalczą i potulnie słucha wodza. Notabene: taka jest branżowa cecha wielu polskich dziennikarzy — słowo naczelnego redaktora to alfa/omega, z którą się nie dyskutuje. Marek Ławrynowicz: „*Szef im powie, że największym Polakiem jest Michnik, będą słać Michnika. Powie, że Łysiak — Łysiaka. O jedenastej będą proamerykańscy, o dwunastej — prorosyjscy. Szef pokaże im wroga — zagryzą. Pokaże przyjaciela — padną mu u stóp. Ludzie z plasteliny*” („*Gazeta Polska*” 2005).

W cytowanym wyznaniu red. Graczyka dwa sformułowania są

kluczowe: „*myślałem Michnikiem*” (bo wszyscy akolici polskiego Salonu — cała ta pseudointeligentka rzesza leninowskich „*pożytecznych idiotów*” — „*myślą Michnikiem*”), oraz „*polityka wielkiej ścierny*”, bo Michnik, guru Salonu i generalissimus antylustracji, oszukuje swoją trzodę baranów. Dlaczego to robi? Czemu całym swym jestestwem zaangażował się w zwalczanie dekomunizacji (jako poseł nie zezwalał sejmowi odebrać PZPR majątku) i lustracyjnej de- agenturyzacji RP? Jedni twierdzą, że dlatego, iż jego brat, Stefan Michnik, jako stalinowski prokurator skazywał na śmierć polskich patriotów. Inni głoszą coś gorszego. Nie mając dostępu do tajnych archiwów, sugerowałem tylko (powieść „*Najlepszy*”, 1992), że Wielki Abolicjonista to Wielki Agent bezpieczeństwa, zaś inni, choć trochę później, poszli dalej. Wiceprzewodniczący NSZZ „Solidarność”, Andrzej Gwiazda, oświadczył publicznie: „ — *Jak wiemy z analiz dokonanych przez byłego ministra Spraw Wewnętrznych, Antoniego Macierewicza — Michnik był współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa od 1968 roku*” (australijski „*Tygodnik Polski*” 2002, rozmowa ze Zbigniewem Koreywo). Krążyły po kraju kserokopie z fragmentami „*rozmowy werbunkowej*” Michnika („ — *Nie za ostro, dostaniesz czasami w mordę, ale wam się to opłaci*”, etc.). Stefan Dętka pisał: „*Donosy Michnika na Kuronia z lat 60. i inne dokumenty wskazujące na współpracę Michnika z SB znajdowały się w archiwum pewnego zmarłego już adwokata. Znane jest też mi miejsce ich obecnego przechowywania*” („*Najwyższy Czas!*” 2005).

Antylustracyjną nadzieją Salonu zasypywanego gradem zdemaskowań jego członków jako delatorów są — prócz głównej (nakłado-wo) gazety III RP i jej arcykapłana — telewizje i trybunały III RP. TVP od lat wymiennie przechodzi w różne salonowe (czerwone i „*różowe*”) ręce, zaś telewizje prywatne od samego ich początku były oskarżane przez

„*niszowe*” prawicowe media o to, że ich szefowie dostali koncesje na nadawanie, bo współpracowali z komunistyczną bezpieką. Zygmunt Solorz skierował sprawę do sądu przeciwko „**Gazecie Polskiej**”, która ujawniła detale jego zarejestrowania, natomiast TVN Mariusza Waltera zrobiła to samo przeciwko Stanisławowi Michalkiewiczowi z „**Najwyższego Czasu!**”, bo ten ciągle pisze o „*razwickowym*” (czyli „*slużbowym*”) rodowodzie tej stacji. Równą jak telewizje kontrustracyjność wykazują sądy, zwłaszcza gdy idzie o duże figury, czego przykładem wyroki łaskawe dla Wałęsy bądź dla Mariana Jurczyka (TW „*Święty*”), szefa „Solidarności” szczecińskiej, mimo ewidentnych rękopisowych dowodów. Salon bije wtedy brawo, a jego owczarnia czuje ulgę. Tymczasem te sprawy — wbrew szczekaniu antyustratorów — są proste niby wycior, a to, że tak łatwo się komplikują, bazuje na trywialnej ludzkiej skłonności, by ufać bliźniemu. Bliźniemu, który krzyczy, że jest „*not guilty*”, i że źli ludzie, „*łowcy czarownic*”, inkwizytorzy, kaci, oprawcy krzywdzą go pomówieniem plus sfalszowanym dokumentem. W te kłamstewka wierzy jeszcze, lub przynajmniej próbuje wierzyć, legion poczciwców. Ci ludzie nie absorbują setek już oświadczeń ekspertów IPN-u tudzież funkcjonariuszy SB, że przed rokiem 1989 „*firma*” nigdy nie fałszowała dokumentów, oraz że „*lipnych*” rejestracji nie było. Dygnitarz IPN-u, Jan Żaryn, zeznał przed sądem: „ — *Nigdy nie spotkałem się z tym, by SB fałszowała dokumenty. Fałszowanie teczek nie było możliwe chociażby ze względu na mechanizmy kontrolne obowiązujące w MSW*” („*Gazeta Polska*” 2010). Baranki salonowe — przestańcie wierzyć, że choćby jednemu literatowi „*teczuszkę*” sfalszowano!

13. Skandale obyczajowe (hetero-

libero i homo-wiadomo)

Gdy roku 2008 Instytut Pamięci Narodowej (IPN) opublikował listę „*OZI w środowisku twórczym*” — ludziom włosy podniosły się na głowach z przerażenia (z przerażenia „*nazwiskami*” tudzież ich liczbą). OZI to „*osobowe źródła informacji*”, czyli TW („*tajni współpracownicy*”), K („*konsultanci*”), KS („*kontakty służbowe*”) i KO („*kontakty operacyjne*”). Przedstawiciel IPN-u, Sebastian Ligarski, pisał: „*Każda z wyżej wymienionych osób to przypadek indywidualny, zarazem jednak ich losy jako agencji bezpieczeństwa posiadają wiele stycznych punktów. Większość z nich na współpracę godziła się chętnie i bez oporów. Co więcej, wielu z nich brało za tę pracę wynagrodzenie: najczęściej pieniądze i dobra materialne*” („*Rzeczpospolita*” 2008). Plus medale i ordery, również te główne, i nie tylko w PRL-u, ale jeszcze w III Rzeczypospolitej, jakkolwiek kuriozalnie to brzmi. Znany pisarz Andrzej Kuśniewicz (TW „*Andrzej*”) dostał pośmiertnie (1993) Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski (przyznany przez prezydenta Wałęsę), a znany literaturoznawca/publicysta/edytor Wacław Sadkowski (K „*Olcha*”) dostał przedśmiertnie Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski (przyznany przez prezydenta Kwaśniewskiego). Żeby było komiczniej: obaj panowie, tak Kuśniewicz, jak i Sadkowski, należeli do szczególnie zacieklej, najregularniej, najobszerniej i najdrastyczniej „*kablujących*” konfidentów SB, a raporty obydwu roily się wprost od wstawek antysemitycznych; pod tym względem — stężenia antysemityzmu — mógł z nimi konkurować tylko głośny redaktor „*Życia Warszawy*” Henryk Korotyński, który w 1966 roku, dla oficera SB Kazimierza M., „*napisał długi elaborat, opisując zażyczenie redakcji*” (Barbara Stanisławczyk i Dariusz Wilczak, „*Pajęczyna*” 1992).

Podczas pierwszych dwóch dekad III RP ukazało się kilka książek, w których duże partie zajmowała kwestia kolaboracji „*ludzi pióra*” z peerelowską bezpieką, a pracą fundamentalną — całkowicie poświęconą kwestii „*współpracy*” — jest wnikliwe dzieło Joanny Siedleckiej „**Kryptonim «Liryka» — Bezpieka wobec literatów**” (2008). Dzięki tej 444-stronicowej książce, pełnej zreprodukowanych dokumentów Służby Bezpieczeństwa, gdyż opartej na kwerendzie wewnątrz archiwów IPN-u — Salon mógł się dowiedzieć ilu to i jakiej rangi jego luminarzy „*kablowało*”. Wiarygodność ujawnionych „*kwitów*” nie powstrzymała wszakże salonowców przed „*odwinięciem*” — próbowano rozprawę Siedleckiej dezawuować. Wściekły publiczny atak przypuścił salonowy pisarz Kazimierz Orłoś (z którym wymieniałem drukowane epitety już w latach 90-ych*), zaś Siedlecka ripostowała: „*Odklamywanie PRL jest dla Orłosia «chaosem, agresją, brakiem kultury». Cóż, skądś już znamy te stare, odgrzewane kotlety (...) Mimo wysiłków Orłosia i innych — nie dla wszystkich donoszenie jest moralnie obojętne*” („*Rzeczpospolita*” 2009). Ano nie dla wszystkich, tak jak nie na wszystkich literatów-kapusiów spada kara zdemaskowania — wciąż nie znamy nazwisk kilku orłów bezpieki uprawiających stachanowszczyznę donosielską (TW „*Tatra*” i inni).

Mimo wspomnianych luk, społeczeństwo mogło dzięki książce Siedleckiej przeżyć stan oświecenia, poznając „*drugie twarze*” hołubionych pisarzy. Sam, aczkolwiek wcześniej dużo „*kumalem*” i pisałem o tym, byłem wniebowzięty, bo zyskałem pewność wobec dwóch „*ludzi pióra*”, którzy za PRL-u niszczyli mnie piórem bezlitośnie — okazało się, że Wiesław Górnicki i Kazimierz Koźniewski to TW „*Kawa*” i TW „*33*”. Dysydenci polityczni ery PRL-u musieli być chyba najbardziej zniesmaczeni faktem, że Włodzimierz Odojewski, ikona antykomunizmu,

długoletni szef Działu Kultury monachijskiej RWE (Rozgłośnia Wolna Europa), przez 5 lat donosił jako TW „**WO**”. Natomiast tzw. „szary czytelnik” musiał być szczególnie wstrząśnięty rozdziałem o ukochanej tekściarce przebojów piosenkarki Maryli Rodowicz, poetce Agnieszce Osieckiej.

Osiecka nie była TW. Ale miała częste kontakty z SB, gdyż ciągle walczyła o paszport. Kontakty nie tylko ustne — zachowały się jej pisemne obrzydlistwa typu raport. Pichciła te nikczemności, „**bo podróże były dla niej równie ważne, jak pisanie, mężczyźni, alkohol. Gnał ją gdzieś wieczny niepokój, ubóstwiała nie tyle podróżować, ile kręcić się po świecie, iść w cug, na gigant, wyjeżdżać, a nie przyjeżdżać, mieszkać w hotelach i pensjonatach. Złamała się więc...**” (Joanna Siedlecka 2008). Jej pierwszy, kilkustro- nicowy tekst dla bezpieki pełen był ostrej krytyki kół emigracyjnych paryskich i londyńskich, które ją ciepło gościły, więc zawiązała tam przyjaźnie. Faraona emigracji paryskiej, Jerzego Giedroycia, opisała jako szkodnika politycznego („**polityk niewysokiego lotu**”, „**nie ma racji, upiera się przy pozycjach, które są stracone i niepoważne**”, „**walczy o nieprawdę**”, „**politycznie to mój potencjalny przeciwnik**”, „**najlepiej byłoby, gdyby pan Giedroyc zmienił poglądy, zajął się zbieraniem znaczków i od czasu do czasu wyplakiwał swoje smutki**”, etc., etc.). Emigrację londyńską, gdzie miała nie tylko serdecznych przyjaciół, lecz i familiantów, opisała jako żmijowisko „**biadolących ex-ziemian, expułkowników, żyjących mitami przeszłości, wyobrażających sobie sprawy polskie tak idiotycznie, że nie warto z nimi dyskutować ani się nimi zajmować**”. Środowisko RWE charakteryzowała jako grupę ludzi niepoważnych, którzy „**traktują swoje posady dość cynicznie i wyłącznie zarobkowo**”, a samą rozgłośnię jako szemraną instytucję („**nawet na emigracji instytucja ta nie ma opinii czystej**”). Równie — lub bardziej

cuchnąca — jest lizusowska epistoła Osieckiej wysłana przez nią do gen. Mieczysława Moczara; brzydko też pachną stenogramy jej rozmów z oficerami SB, podczas których własną ciotkę mieszkającą w Londynie zwała „*reakcjonistką*” i lała kubły pomyj na przeciwników komunizmu. Wiadomo — była to taktyka rozpaczliwej walki o paszport — ale jednak nos człowieka swędzi...

Takie sensacje są ciekawe jedynie dla ludzi, którzy mają umysły polityczne, lecz dla gawiedzi rozrywkowej dużo ciekawsza jest sfera obyczajowa, zwłaszcza erotyczna. I tu Osiecka — żona dwóch farmazonów (Wojciecha Frykowskiego oraz Daniela Passenta), kochanka rozlicznych kłownów — daje materiał na gorące „*harlequi-ny*”. Jej kolejny „*narzeczony*”, pisarz Marek Hłasko, mówił eufemistycznie, że Agnieszka posiada „*niepohamowaną zmysłowość*”. Fakt — nie hamowała. W liście do „*kochanego Misia*” (Janusza Minkiewicza) wyznawała: „*Iw ogóle — mam czasem cipę zamiast mózgu*” (1971). Nie ona jedna, i właśnie te mózgowie sfery pań tudzież panów najbardziej interesują konsumentów. Ulubionym żartem ludzi znających realia jest od dawna powiedzonko: „*Za Sanacji młody człowiek, który chciał zostać literatem, musiał przejść przez łóżko Zofii Nalkowskiej, a za PRL-u — przez łóżko Jarosława Iwaszkiewicza*”. Słyszac takie diagnozy, odbiorcy domagają się detali — nazwisk i okoliczności. Skandale obyczajowe (seksualne, awanturnicze, alkoholowe, finansowe) w środowisku literatów zawsze były i zawsze będą wysoko cenioną lekturą w szerokich kręgach czytelników, co martwi komentatorów życia literackiego:

Piotr Bratkowski stwierdził („*Newsweek*” 2009), że „*społeczne znaczenie pisarzy kształtują nie tylko ich książki*”, bo „*ważna jest także obecność ich twórców w życiu publicznym*”. Więc „*gdyby spojrzeć z tego punktu widzenia (...) na najgłośniejszych debiutantów literackich ostatniego*

dwudziestolecia, co nam wyjdzie? Co o polskich pisarzach wie czytelnik ich książek?". I tu pada odpowiedź: „*Wie, że Jerzy Pilch zmaga się z chorobą alkoholową, a Tomasz Piątek z uzależnieniem narkotykowym. Ze Michał Witkowski jest gejem (...), a Izabela Filipiak lesbijką (...)* Dorota Masłowska *to ta młodzianka debutantka, która potem urodziła córeczkę (...), a Andrzej Stasiuk, tak jak ten piosenkarz Maleńczuk, kiedyś siedział za ucieczką przed wojskiem...*". Spośród wymienionych z nazwiska tylko Jerzy Pilch „*odwinął*". Rozwścieczony upublicznieniem jego wstydlivego garbu (Czesław Miłosz: „*Literatura to turniej garbusów*”), zareagował wściekłą tyradą w kulturowym magazynie weekendowym „Dziennika” (2009), warcząc: „*Jeśli literatura dzisiejsza jest wyłącznie duchowym upadkiem, wyłącznie literacką klęską, wyłącznie jakimś narkodewiacyjnym biznesem...*”, i tak dalej. Pisma mniej elitarne i tabloidowe reagowały spokojniej lub wręcz weselej. „Angora”, przedrukowując (2009) smaczniejsze fragmenty artykułu Bratkowskiego, dodała komentarz pióra Ewy Wesołowskiej: „*Co tam książki! Najważniejsze, żeby było o czym w towarzystwie poplotkować*”.

Przez cały PRL różne „*towarzystwa*” (literackie i okołoliterackie) miały dla plotek żer bardzo bogaty. Salon plotkował chętnie na przykład o małżeństwie autora „*Pożegnań*”, Stanisława Dygata, z aktorką Kaliną Jędrusik, której wydatne i mocno eksponowane piersi denerwowały pono „*przywódcę*”, Władysława Gomułkę (a jeszcze bardziej żonę Gomułki). Konkiety Kaliny — zmieniającej gachów częściej niż rękawiczki — bulwersowały żądnych sensacji plotkarzy, jednak tylko formalnie były cudzołóstwem, praktycznie bowiem były usprawiedliwione postępowością małżeństwa Dygatów: szeptano (nie bez racji), iż małżonkowie dali sobie pełną swobodę erotyczną. Z kolei „*towarzycho*” esbeckie rajcowały erotomańskie donosy literatów-konfidentów, chociażby TW „*Andrzeja*”

(Andrzeja Kuśniewicza), który się chętnie rozpisywał o kochankach aktorki Haliny Mikołajskiej, o członkiniach KOR-u *„panie z KOR-u to rozhisteryzowane, niewyżyte seksualnie baby, i na tej drodze działalności politycznej szukają wrażeń”*) lub o kolegach literatach (o pewnym pisarzu dyplomacie: *„umożliwił własnej żonie stosunki z szoferem konsulatu, i do tego w swojej własnej obecności”*). Cymesikami szczególnymi były robione ukrytą kamerą zdjęcia czołowych polskich aktorek biorących udział w orgiach, lub (bez ukrywania kamery) pozujących do zdjęć porno. W latach 70-ych takie zdjęcie rodzimej gwiazdy filmu i sceny (pani L. K.), gołej wśród kilku chędożących ją gołych samców, wypadło z książki przyniesionej przez klienta do warszawskiego antykwariatu „Logos” — gdy kolega antykwariusz mi to pokazał, oczy zrobiły mi się *„kwadratowe”*.

Sprawy męsko-damskie stanowiły dla Służby Bezpieczeństwa płaszczyznę bardzo cenną w wielu przypadkach (szantaże, prowokacje itp.), a szczytem wirtuozerii bezpieczeniackiej *„na zagadnieniu literackim”* (sic!) były zwerbowane jako agentki (lub podsunięte) żony literatów. Przypadek najbardziej znany to TW „Ewa” vel TW „Max” vel TW „Ewa-Max”, żona Pawła Beynara Jasienicy, którą mu podsunięto bardzo sprytnie. Konfidentką została już jako studentka Uniwersytetu Warszawskiego, a do Jasienicy skierowano ją jako wielbicielkę pisarza. Przychodziła na wszystkie jego spotkania z czytelnikami, siadała w pierwszym rzędzie, *„pożerała wzrokiem.”*, a później zadawała wnikliwe pytania dotyczące twórczości idola (te pytania starannie przygotowywał odpowiedni wydział SB). Wreszcie pisarz zainteresował się wierną i mądrą fanką, umówili się, przyjaźnili, a po śmierci żony Jasienicy dama wprowadziła się do pisarza i wyszła za niego, zostając panią Zofią Beynarową O’Bretnny. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie było

specjalnie ciekawe sekretów jej męża — nie o Jasienicę im chodziło. Chodziło im o to, że u Jasienicy zbierali się najgłośniejsi polscy pisarze (lub Jasienica u nich bywał, lub razem z nimi gdzieś bywał) i dyskutowali o wszystkim, a esbecja chciała właśnie znać wszystko. Swoisty komizm sytuacji leżał w tym, że niektórzy interlokutorzy Beynarów także byli TW, więc często się zdarzało, że TW „Ewa” donosiła na TW „Andrzeja”, on zaś na nią — równocześnie. Pracownik UOP-u (Urzędu Ochrony Państwa) z czasów ministrowania Antoniego Macierewicza (1992), Tomasz Tywonek, zaświadczył: *„Pisała bardzo długie meldunki, doskonałym językiem*

— *literackie, dowcipne, niezwykle szczegółowe. Widać z nich, że praca sprawiała jej przyjemność. To był agent cenniejszy niż złoto”* („Konfidencom są wśród nas...” 1992). Oficer SB, Adam G., wspominał: *„O «Ewie» myślałem: a to kurwa, i jednocześnie zacierałem ręce. Ona robiła więcej niż do niej należało (...) W końcu Jasienica umarł. Podczas pogrzebu stała nad grobem w czarnym ubraniu. Zachowywała się jak przystało na smutną wdowę po wielkim pisarzu. Potem zwierzyła mi się, że najtrudniejsza była stypa, bo córka Jasienicy powiedziała do niej: — To pewnie ty przez cały czas kapowałaś, bo nikt inny nie mógł tego zrobić. «Ewa» zachowała spokój. Podejrzenie zbyła jakimś żartem. Do rozmowy już nie wracano’* („Pajęczyna” 1992).

Do tych spraw wraca się po odtajnieniu kolejnych akt IPN-owskich. Kolejna otwarta „teczka” — i kolejna siurpryza. Przypadek TW „Ewy” nie był jedyny — damy PRL-u ochoczo pracowały jako agentki UB i SB, dzielne następczynie polskich agentek NKWD, takich jak choćby dwie pisarki, Julia „Luna” Bristigier-Prejs (autorka m.in. „Krzywych liter”) i Wanda Wasilewska (autorka „Ojczyzny”, „Tęczy” etc.), ta ostatnia ze świetnej patriotycznej rodziny (córka znanego „niepodległościowca”,

piłsudczyka Leona Wasilewskiego), co jednak nie chroni przed prostytutką. „*Międzywojenny*” polski pisarz, Józef Łobodowski, twardy antykomunista, napisał o Wasilewskiej fraszkę, która zaczyna się tak: „*Wasilewskiego córka, krwi zacnej panienka, razem ze złodziejami?!...*”.

A kończy się tak:

„*Czasami i z senatora narodzi się k _____ !*”.

Rodzime „*k...*” pracujące dla komunistycznych „*złodziei*” nie oszczędzały „*figurantów*” (według terminologii SB osoba inwigilowana czyli „*rozpracowywana*”), nawet jeśli byli to własni mężowie bądź kochankowie, aczkolwiek często, tak jak w przypadku Beynara i TW „*Ewy*”, bardziej chodziło esbekom o rozmówców zdradzanego niż o niego samego. Exemplum KS „*Krystyna*”, żona głośnego reżysera teatralnego Konrada Swinarskiego, aktorka Barbara Witek-Swinarska, która donosiła i na męża, lecz cenniejsze były jej raporty o jego rozmówcach, gdyż Swinarski miał stały kontakt z czołówką polskich artystów i literatów. Tymczasem pisarz

Peter Raina („*Kardynał Wyszyński i Solidarność*”, etc.) miał stały kontakt z czołówką polskich antykomunistów (głównie około-kościelnych), więc jego „*kablująca*” żona (Barbara Wereszczyńska-Raina, konfidenckie pseudonimy: „*Weba*” i „*Sehu*”) dawała esbekom fantastyczny łup. Gdy się dowiedział, przeżył szok i napisał o swym zbrukany małżeństwie dramatyczną książkę („*Bliski szpieg*” 2007).

Moje małżeństwo (trwające 23 lata) też nie było czyste (zwłaszcza przez ostatnią dekadę: 1978-1988). Znany dziennikarz śledczy, Leszek Szymowski, poinformował mnie listownie (2012) o wyniku swej kwerendy wśród esbeckich „*niejawnych dokumentów* „*Jednym z głównych źródeł informacji na Pański temat w latach 70. i 80. była Pańska żona*”. Nie powiedział mi nic nowego — przegnałem tę kobietę w roku 1988, gdy

tylko dowiedziałem się o jej nikczemnych sprawkach, i od ćwierć wieku nie mam z nią kontaktu, jest to dla mnie afera zamierzchła, prehistoria (wzmiankowałem rzecz całą roku 1990, w pierwszym wydaniu powieści „Dobry”, załączoną na końcu tomu adnotacją o konfidencim „robactwie”, które spaskudziło mój prywatny świat). Nie była dla mnie również nowością czerpana z esbeckich papierów informacja redaktora Szymowskiego o niezłomności Waldemara Ł., którego SB nie potrafiła złamać żadnym sposobem (mogła tylko kaptować jako konfidentów jego przyjaciół i znajomych). Nowością było co innego: że w III RP (1990-2012) służby specjalne wszczęły przeciw Łysiakowi aż cztery operacje wywiadowcze (ostatnią w kwietniu 2012), bo to oznacza, że jako wróg reżimu inwigilowany jestem już prawie 50 lat! Pies was trącał, kanalie (mówię to do osobników ze „służb”), bujajcie się na drzewie! Wtedy i tak przegraliście ze mną.

Swoistymi skandalami, czy raczej skandalikami tyczącymi środowiska literackiego bywają też problemy męsko-damskie niezwiązane z bezpieczeńką, a wyłącznie z hormonami, czyli z biologią. Melchior Wańkowicz w swej literaturze opisywał własne małżeństwo jako niezmaconą idyllę, więc sporym zaskoczeniem była relacja Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, która mając 23 lata i robiąc o 80—letnim wówczas Wańkowiczu pracę magisterską, usłyszała coś zupełnie innego i teraz to upubliczniła: *„Według jego relacji nie byli dobranym małżeństwem, a także twierdził, że w drugiej połowie lat 20. pani Zofia odeszła od niego do jego wieloletniego przyjaciela Tadeusza Lechnickiego, ojca chrzestnego młodszej córki Marty. Córki Wańkowiczów, Krystyna i Marta, po odejściu matki zostały posłane do ciotki Reginy, siostry pisarza. Po niecałym roku Zofia Wańkowiczowa wróciła do męża. Małżeństwo zostało sklezione, ale ponoć do końca życia pani Zofii w 1969 roku miało bardzo «trudne momenty».*

Wańkowicz wybaczył żonie, jednak nie umiał zapomnieć

(„Rzeczpospolita” 2010).

A ja o mały włos zapomniałbym, że miłość fizyczna to nie tylko stosunki hetero, lecz i relacje homo. Te drugie bardzo forsownie się na świecie emancypują (równouprawniają), choć nie wszyscy są jeszcze wystarczająco „**politycznie poprawni**”, by je akceptować. Wstecznicy mojego pokroju ciągle uważają, iż „**gay is not okay**”, gdyż wyznają teorię publicysty religijnego Tadeusza Żych- niewicza, który z wykształcenia był specjalistą od silników samolotowych. Według relacji Jerzego Illga („**Mój Znak**” 2009) Żych- niewicz tak mówił o homoseksualizmie: „ — **Tłok winien pracować w cylindrze, a nie w rurze wydechowej**”. Święte słowa, lecz jednak — kiedy przywołuję skandale obyczajowe środowiska literackiego — sprawiedliwość musi być, ergo: nie mogę dyskryminować pedałów.

Homoseksualizm — mimo własnych stowarzyszeń, knajp, klubów typu „Le Madame” czy „**parad gejów**” — ciągle jest w Polsce przez „**lud**”, przez „**katoli**” i przez „**strasznych mieszczan**” (czyli konserwatystów) źle widziany, uważany za wstrętne wynaturzenie. Stąd rozmaite skandale ujawnieniowe lub „**dialogi na cztery nogi**”, jak w programie Kuby Wojewódzkiego (TVN 2011), którego spytała polsko-kongijska piosenkarka Patrycja Kazadi:

— Ty jesteś singlem teraz?

— Tak.

— A czemu zostawiłeś Jurka?

Speszony Wojewódzki wymamrotał:

— Słuchaj... co to za pytanie!?

I już publika ma o czym myśleć, zwłaszcza że plotkarskie pisemka dla pań przypisywały mu „**chodzenie**” z różnymi damami (np. z Anną

Muchą). Tymczasem jedno nie przeszkadza drugiemu, istnieje bowiem biseksualizm. Pisarz Marek Hłasko był żonaty (podobnie jak inni pisarze: Oscar Wilde, Witold Gombrowicz, Jarosław Iwaszkiewicz, etc., etc.), co nie przeszkadzało mu być pede- rastą. Ujawniła to Barbara Stanisławczyk („**Gry miłosne Marka Hłaski**” 2009), a Rafał Ziemkiewicz skomentował: „*Hłasko homoseksualistą, by tak rzec, naturalnym, nie był (...) Jego. związki z prominentnymi pederastami, jak ich w owych czasach prostolinijnie nazywano, służyły wyłącznie karierze*” („**Rzeczpospolita**” 2010). Nie tylko jego własnej karierze, co zrozumiałe, gdy się pamięta opinię pisarza Leszka Proroka, który zwał pedałów „*najbardziej wpływową mafią w literaturze*” (w literaturze PRL-u). Barbara Stanisławczyk doprecyzowała zasięg tego wpływu: „*Najważniejszymi pismami literackimi kierowali — bezpośrednio lub pośrednio — homoseksualiści. Sekretarzem redakcji «Nowej Kultury» był Wilhelm Mach. Redaktorem naczelnym «Przeglądu Kulturalnego» Jerzy Andrzejewski. «Nowiny Literackie» założył w latach 40. Jarosław Iwaszkiewicz (...) W późniejszym okresie wywalczył sobie możliwość wydawania «Twórczości». Kierownikiem najważniejszego działu — prozy — był Julian Strykowski (...) Następcą Strykowskiego został Henryk Bereza...*”. Berezę swego czasu zwano „*papieżem peerelowskiej krytyki literackiej*” — jego pochwały nobilitowały chwalonych. A do wymienionych przez Stanisławczyk tytułów można dodać inne jeszcze, niekoniecznie literackie, chociaż mocno zajmujące się literaturą. W 1975 Antoni Słonimski, rozmawiając z Adamem Mauersbergerem, grzmiał, że „**Tygodnik Powszechny**” jest własnością „*dwóch Izraelitów pedeckiego pochodzenia*” (chodziło mu o Pawła Hertza i Henryka Krzeczковского). Niektórzy również „**Kulturę**” paryską zaliczali do opiniotwórczych centrów „*pe- deckich*”. Pisarz Stanisław Cat-Mackiewicz, chociaż nie został zarejestrowany jako TW, informował

esbecję, że Jerzy Giedroyc zrywa romans z Józefem Czapskim, gdyż ten się zestarzał i utracił seksualną atrakcyjność.

W czołówce literatów PRL-u było wielu gejów (Strykowski, Zawieyski, e tutti quanti), lecz figurami pierwszoplanowymi stali się Jerzy Andrzejewski („**Popiół i diament**”, „**Bramy raj**”, „**Miazga**”) i Jarosław Iwaszkiewicz („**Czerwone tarcze**”, „**Lato w No-hant**”, „**Sława i chwała**”), długoletni prezes ZLP. O Andrzejewskim Stanisław Dygat mówił: „*typowy zapijaczony pedał*” i „*stara, bezczelna ciota*” (identycznie zwał Andrzejewskiego Iwaszkiewicz: „*zapijaczonym pederastą*”). Antoni Słonimski nazywał Iwaszkiewicza „*świętą świnia*” (zamiast „*świętą krową*”), myśląc nie tylko o jego służalczości wobec reżimu. Inny kolega-literat, Andrzej Kuśniewicz (TW „*Andrzej*”), radośnie informował Służbę Bezpieczeństwa jaki to straszny z Iwaszkiewicza „*pedzio*”, deprawator młodzieniaszków (Joanna Siedlecka: „*Donosił o «pederastycznych wyczynach» i partnerach Jarosława Iwaszkiewicza*”, „*Rzeczpospolita*” 2007). Jednak główny pedalsko-literacki donos ostatniego półwiecza — donos o noblowskim wręcz „*wyczynie pederastycznym*” — był dziełem... samego Iwaszkiewicza:

W roku 2008 wyszły drukiem „**Dzienniki**” Iwaszkiewicza. Tomiszcze, setki stron, a uwagę zszokowanych konsumentów przykuł jeden tylko akapit, którym autor opisał jak zerznął „*Czesia Miłosza*” latem roku 1936.. I to gdzie — w świętym miejscu (w legendarnej celi Konrada u wileńskich Bazylianów) — premedytacyjnie je plugawiąc. Użył staropolskiego czasownika „*chędożyć*” do opisu strony technicznej, nie szczędząc przy tym lirycznych nut („*Była cudowna noc z księżycem i słowikami*”, etc.), jednak odbiorcy usłyszeli jedynie nutę pedalską, dlatego westchnęli: „To i Czesław Miłosz!?! Horrendum!”, a salonowców krew załala ze złości, że ukochanemu nobliście doszedł kolejny „*garb*”, jakby

drapieżna an- typolskość, wytykana mu przez Antysalon, nie starczała. Ta diariuszowa notatka Jarosława Iwaszkiewicza z 1955 roku godna jest nagrodzenia może nie Noblem, Oscarem czy Cezarem, ale złotym Pedalem z całą pewnością.

14. Seks literacki

Treść poprzedniego rozdziału zezwala nam miękko przejść do bardzo ważnego tematu: seks w rodzimej literaturze współczesnej. Wiadomo, że jest go coraz więcej w całej współczesnej kulturze — w mediach, w filmie, w teatrze, w „*sieci*”, wszędzie — i że przybiera on już rutynowo formy arcyrealistyczne, fizjologiczne, wulgarne, pornograficzne, zwane „*hard-core 'owymi*”, obscenicznymi, „*rzeźniczymi*” itp. Odkąd kopulowanie wylazło spod kołdry, nie chce tam już wrócić, i ten ekshibicjonizm musiał wpłynąć na całą kulturę, także literacką, nie wyłączając języka medialnego tudzież publicznych dialogów. Podczas łubianego przez dzieci programu rozrywkowego TVP znana piosenkarka Doda kłuje znanego boksera frazą: „ — *Przemysław Saleta obciągnie ci fleta*”, ten zaś bez namysłu ripostuje: „ — *Doda Elektroda robi ci loda*”. Oklaski. W dobie kultu plastikowego Priapa hitem internetu jest utwór „*Ala nie wali mu pały*”, popularna wokalistka Agnieszka Chylińska publicznie zwie swój organ „*rozklepichą*”, wszyscy biją brawo, i jest „*coool!*”. To znaczy: jak dla kogo, ale co można zrobić — strzelać? Kiedy prawicowy węgierski rząd Victora Orbana chciał parlamentarnie (głosowaną przez sejm ustawą medialną) przynajmniej trochę ograniczyć nad Dunajem lawinę ekranowej pornografii i „*mięcha*” mikrofonowego — cała postępową Unia Europejska zawyla z oburzenia, nazywając ustawę

faszystowską!

W literaturze polskiej, i to tej wysokiej, seks istnieje od epoki Renesansu, a uskrzydłano go twórczo za czasów Baroku, Rokoka i Oświecenia, chociaż na ogół wymyślnie kodowano (Jan Kochanowski: „— *Czas wsiaść, panowie!*”), ale te szyfry („*murwa*”, „*dosiadać*”, itp.) były czytelne dla każdego. „*Dawać koniowi siana*” znaczyło: nakarmić wierzchowca lub konia pociągowego, lecz „*dawać koniowi sianka*” miało już zupełnie inne znaczenie. Obsce- na literackie wcale nie obrodziły nam w wieku XX („*Nowoczesna sztuka chędożenia*” Tadeusza Boya-Żeleńskiego i in.), tylko dużo wcześniej, w stuleciu XVIII (exemplum obscena Stanisława Trembeckiego „*Oda do Priapa*”, „*Na Elżbietę*”, „*Przypadek siostry starszej opowiedziany siostrze młodszym*”). Królem tego rodzaju „*tajemnej literatury*” był genialny komediopisarz Aleksander hrabia Fredro, autor m.in. „*Sztuki obławiania*”.

Najprzyzwoitszy fragment jego poemaciku „*XIII księga «Pana Tadeusza» — noc poślubna Tadeusza i Zofii*”, będącego małpowaniem rymów Mickiewicza, brzmi jeszcze quasi-niewinnie, choć już zmysłowo:

„Tak myśląc ją Tadeusz pieścić swą Zosieńkę.

Najpierw ją z galanterią pocałował w rękę,

Na łożu ją posadził i macając rękę,

Dwa cycuszki jak pączki wyczuł pod sukienką,

Rękę niżej przesunął, pod sukienkę wsadził,

I po nóżkach od kolan aż do udka gładził.

Wyciągnął się na łożu przy Zosi jak długi.

Wydobył jeden cycuś, a potem i drugi,

I począł je całować — długo, pożądliwie.

*Wreszcie usta oderwał, i w nagłym porywie Pół sukienki Zosieńce narzucił
na głowę,*

Ściągnął majteczki, długie, koronkowe,

Dar cioci Telimeny, ku nóżkom się schylił I zaciśnięte udka po trochu rozchylił,

Całując je namiętnie od wewnętrznej strony...”.

Wrodzony purytanizm każe mi urwać cytat w tym miejscu, bo dalej „*się dzieje*”, aczkolwiek to i tak „*małe piwo*” w porównaniu z innym bezwstydnym utworem Fredry („**Baśń o królownie Pizdolonie i o trzech braciach**”), gdzie najprzyzwoitszy (serio!) fragment o wyczynach szalejącej nimfomanki brzmi tak:

„Wszystkim dając bez wyboru, i rycerzom, paziom dworu, i kucharzom, i kuchcikom, poganiaczom i psiarczykom, na leżąco, na stojaka, w dupę, w cycki i na raka, czy na dworze, czy w salonie, czy w klozecie, czy na tronie, w każdej chwili, w każdym czasie wciąż myślała o kutasie. Raz ją tak swędziła dupa, że zgwałciła aż biskupa, a gdy ten ją zdupczył marnie, poszła dawać pod latarnie”.

Ale to była „*literatura tajemna*”, wyklęte porno, które krążyło tylko wśród wtajemniczonych chętnych, pod stołem, gdy na stole leżała literatura oficjalna, która musiała dosłowność zastępować metaforą. W kinie, kiedy on i ona przystępowali do czynu, obejmując się i całując — dalszy ciąg ukazywany był widokiem płomieni buzujących wewnątrz kominka lub widokiem splecionych gałęzi, którymi targa wiatr. W literaturze trzeba było szukać metafor werbalnych, które — nie przekraczając tzw. „*granic przyzwoitości*”, czyli nie obrażając Kościoła ani mieszczańskiego gustu — mówiłyby, że chodzi o stosunek lub genitalia. Czytelnikowi miało się „*kojarzyć*”. Marian Hemar wyśmiewał (1922) te szyfry psychoanalityków:

*„Śniła mi się szafa,
Zwyczajnie, dla hecy,
A ten Freud tłumaczy,
Ze organ kobiety”.*

Prowadzące do spółkowania dialogi między damą a dżentelmenem nie mogły mieć soczystości typowej dla literatury dzisiejszych czasów. Zresztą dzisiaj właściwie już żadne dialogi nie są konieczne do „*rżnięcia*” — „*Angora*” przedrukowała (2010) z portalu internetowego **onet.pl** wyznanie chłopaka, który chciał uwodzić dziewczynę rozmową o hitach muzycznych, lecz dziewczę go wyśmiało, parszając: „ — *Nie pierdol, tylko pierdol!*”. Dawniej wstępny dialog być musiał, choćby krótki. Najkrótszy znalazłem w mającym sześć wydań „*Pustelniku*” (1919) Heleny Mniszkówny, królowej romansidel pierwszych trzech dekad wieku XX: książę wszedł do komnaty i zbliżył się do księżnej, która „*otworzyła oczy, była gniewna*” — dialog leci tak:

„ — *Książę sobie życzy?*

— *Ciebie.*

— *Och!!!*”.

Tego rodzaju „*skandalizujący*” dialog ekscytował ówczesne czytelniczki, które się jednak szybko emancypowały i już w „*szalonych latach 20-ych*” pękał gorset obyczajowości tradycyjnej. Dzięki temu dżentelmeni mogli liczyć na połowy bardziej obfite, co uroczym wykipiał — małpując rymy Lechonia — Hemar:

„*Jedna, druga, dziesiąta... spotkamy się jutro?*

I podaje mu usta za kupione futro”.

„*Podawanie ust*”, czyli pocałunki, miały wtedy większą wartość aniżeli dzisiaj, kiedy seks się całkiem zoralizował i spomofutował, nie bez wydatnej pomocy mediów (zwłaszcza internetu). Nina Andrycz, głośna aktorka peerelowska, amantka wielu amantów, znaczy: dama bardzo doświadczona, opowiadała przeprowadzającej z nią wywiad Magdalenie Rigamonti, że jeden „*sanacyjny*” vel „*międzywojenny*” pocałunek „*był wart wielu tych płomiennych stosunków, za którymi*

przepadają panowie, a kobiety przeważnie udają” („Kobieta”, dodatek do „Newsweeka”, 2010).

Czy w PRL-u istniała oficjalna („*pierwszolitowa*”) literatura erotyczna, to jest taka, która była całkowicie przesiąknięta seksem bliskim pornografii, lub przynajmniej zawierała fragmenty „*ostre*”! Tak, istniała, ale dopiero w finalnej dekadzie PRL-u — w latach 80-ych. Za dwie główne „*świntuszące*” książki uchodziły: powieść Zbigniewa Nienackiego „**Raz w roku w Skirolawkach**” (1983)

i powieść Andrzeja Rodana (Andrzeja Józwiaka) „**Życie seksualne Papagejów**” (1988). Rzec Nienackiego (gdzie leitmotiwem jest rytualna orgia) krytyka uznała za „*tandetę porno*”, „*siernięzną pornografię*” itp., piętnując „*prymitywny naturalizm i fizjologizm wątków erotycznych*” (Maria Bujnicka 1997), a rzecz Rodana skopano jeszcze mocniej, jako „*literaturę wychodkową, grafomanię, prymitywną pornografię, tfu-rczość*” (Joanna Pyszny 1997). Kobiety były w tych powieściach traktowane — mówiąc językiem feministek — „*instrumentalnie*” czyli paskudnie, a propos ciupciana tudzież charakteryzowania (dla przykładu cytuję z „**Życia seksualnego Papagejów**”: „ — *Chuda jak sedesowa deska. Słychać jak w niej kołaczą jajniki*”). Szyld pornografii przylepiono też proreżimowej (anty- solidarnościowej) powieści Romana Bratnego (Romana Mularczyka) „**Rok w trumnie**” (1983), gdzie grafomańska pornografia polityczna była haftowana obscenami erotycznymi. Krytyk literacki Jan

Walc słusznie wyrokował, iż „*nie ma potrzeby zapewniać, że Brainsy to zły pisarz i na dodatek Świnia*” („Krytyka” 1984). Andrzej Roman w swej antologii „Paranoja — zapis choroby” (1990) cytuje jedno tylko zdanie z „Roku w trumnie” („*Patrzyło na mnie oślupiałego ślepe oko odbytnicy*”), komentując: „*Ten apetyczny frag- mencik to chyba wszystko co z tej książki*

ocaleje dla potomności”.

Można mieć niejaką pewność, że z literackich seksualistów dwóch pierwszych dekad III RP również „ocaleje” zero wartościowego dorobku. Czerpać z tej pulpy będą mogli wyłącznie historycy pornografii i twórcy antologii tandetnych obscenów. Ich jedynym problemem stanie się „*embarras de richesse*” — nadmiar. Jest bowiem takiego towaru mnóstwo, megatony i hektolitry, prawie każdy powieściopisarz wpycha „*rqbankę*” do swego arcydzieła, by stało się ono superbestsellerem i zyskało miano nowoczesnego (Igor Zalewski: „*Dzisiaj epatuje się seksem, żeby było nowoczesnie, artystycznie i postępowo*”, „Rzeczpospolita” 2011). Co znaczy: „*dzisiaj*”? Znaczy: od 1989 roku. Już po pierwszych kilku latach rymopis i literat Julian Komhauser bardzo surowo ocenił tę nową twórczość: „*Wkraczającą literaturę odbierałem przede wszystkim w kategoriach socjologicznych. Nie dziwiłem się, że bunt młodych przejawiał się w traktowaniu tematów erotycznych w sposób jaskrawo nieliteracki czy w używaniu słownictwa już nie tyle knajpianego, które obrosło dawno w legendę, ile po prostu wulgarnego, charakterystycznego dla pewnych grup nieformalnych. Był to przecież w dużym stopniu protest przeciw zakłamaniu, zakorzenionym stereotypom i wszelkiej oficjalności, która mogła pachnąć propagandą. Nowa epoka domagała się nowego języka i nowej postawy (...) Ale to, że z taką ostentacją promuje się literaturę nihilistyczną i co tu kryć — obsceniczną, że wrzuca się ją do jednego worka zupełnie bezmyślnie (a może właśnie z rozmysłem) z produktami subkultury, różnymi heavy—metalowymi bzdurami czy pornosami, nie wróży niczego dobrego. Kultura za sprawą młodych pisarzy oraz ich sprytnych promotorów, przy biernym najczęściej milczeniu innych twórców, staje się powoli zbiorowiskiem najprzeróżniejszych chorób społecznych (...) Okazało się, że sztuka «barbarzyńców» (przypominam numery «bruLionu») propagujące, tak właśnie, propagujące faszyzm, antysemityzm, pornografię, satanizm i*

narkotyki) nie tylko ma za zadanie odnowić kult prymitywu i dać kopa wszystkim «starym», ale i sprowadzić twórczość do poziomu rynsztoka" („Tygodnik Powszechny” 1995).

Czas już, by te ogólniki, dotyczące sprowadzania naszej literatury — m.in. prymitywnym (tandetnym lub wulgarnym) erotyzowaniem — do poziomu rynsztoka, okraścić konkretem. Wśród „konkretów” miano bezkonkurencyjnego zyskała powieść „Trans” (2011), której autorka, znana feministka, pupilka Salonu, Manuela Gretkowska, obficie raczy czytelników seksem arcybogatym figurowo (głównie hetero) i ekstremalnie wyuzdanym, z przegięciem ku erotyce skatologicznej (wydalanie na ciała łóżkowych partnerów, wężanie i lizanie odbytów, etc.). Plus smaczki techniczne (butelka w pochwie, masturbowanie się nożem do ostrzyg, et cetera). Tak na okrągło. Krzysztof Masłoń zrecenzował „Trans” jako „*obrzydliwą spowiedź dziewczęcia wieku*”, dodając: „*Nie jest to nawet książka kaleka — to książka gówniana*” („Uważam Rze” 2011). Pono mamy takich dużo. Oto kolejna, pierwsza z brzegu: książka Janusza Leona Wiśniewskiego „Zbliżenia” (2010). Cezary Polak w rubryce „*Równia pochyła*” zacytował kilka pikantnych fragmentów i skomentował całość: „*Rzecz składa się z 18 miniatur o tzw. sytuacjach męsko-damskich. Chciałem napisać nowel, ale uderzyłem się w palec. Określanie tych skrojonych jak płaszcz przez początkującego krawca, nieudolnych króciżn terminem literackim, byłoby nadużyciem.* *O twórczości Wiśniewskiego lepiej mówić w kontekście kolorowych magazynów, telewizji śniadaniowych i celebrytów. Czyli adekwatnie do rangi zjawiska*” („Kultura”, weekendowy magazyn „Dziennika/Gazety Prawnej”, 2010).

Ranga tego rodzaju literackich zjawisk jest niby oczywista, wa-

loryzacja wszakże mętnieje (lub, jak kto woli: obraz się zaciemnia), gdy zważymy fakt politycznego rozdarcia werdyktów opiniotwórczych w wojnie polsko-polskiej. Co dla Salonu jest „cacy”, dla Antysalonu bywa „be”, i vice versa. Cytowana wyżej „Kultura” (magazyn „Dziennika/Gazety Prawnej”) salonowym piórem Patrycji Pustkowiak wy chlostała kontrsalonowca Andrzeja Żuławskiego za erotyczne (czy raczej: erotyzujące) fragmenty w „Nocniku”: „*Niestety, autor funduje nam głównie niesmak (...), przekracza tysiąckrotnie granice nie tyle dobrego smaku, ile zwykłej kultury osobistej*” (2010). Jednocześnie teje „Kulturze” i całemu Salonowi nic a nic nie przeszkadzały zawarte w innej (równolegle wydanej) książce — w „Listach miłosnych Franciszka Starowieyskiego” — obsceniczne fragmenty, akty i „grafiki”, jak choćby „*odbicie członka w kolorowym tuszu*” („Sukces” 2010). Starowieyski pewnie nie przypuszczał, że gdy odbije swego penisa, to później (po jego zgonie) żona to opublikuje alias upubliczni, chyba że w trakcie ciągłego malowania aktów zatracił tę antyekshibicjonistyczną cechę, którą Jan Sztudynger wzmiankował fraszką „**Prośba o godność**”:

„ Bądźcie godni,

Nie wychylajcie się ze spodni”.

Nie wychylać się wstawkami pełnymi seksu radziła pravicowym publicystom uprawiającym powieściopisarstwo (patrz rozdział 20) „Gazeta Wyborcza” (2008), artykułem Wojciecha Orlińskiego. Tytuł: „**Prawica pisze porno**”, a dalej same klapsy, z rozkoszą cytowane przez inne lewicowe pisma („Angora” przedrukowała cały tekst „GW”, zaś kryptoendecki tygodnik „Wręcz Przeciwnie” opublikował trzy lata później powtórkę pióra Wiesława Kota, para- plagiatując i tytuł — „**Prawicowe porno**” — i treść). Już „lead” mówił wszystko: „*W czasach PRL radiowe skecze Marcina Wolskiego o filmach zaczynały się od*

sakramentalnego pytania: «Momenty były?». W prozie prawicowych publicystów momenty są — i odgrywają szczególną rolę (...) W powieściach prawicowych publicystów seks rzadko kiedy jest po prostu jedną z przyjemności życia. Stanowi główną motywację. To seks dopinguje polityków do robienia kariery i te kariery potem niszczy». Orliński bierze na widelec cztery powieści, które krótko a szyderczo streszcza, haftując liczne kpinki cytowaniem pikantnych „momentów”. „Żywinę” Rafała Ziemkiewicza, „Dolinę nicości” Bronisława Wildsteina, „Noblistę” Marcina Wolskiego tudzież „Umoczonych” Andrzeja Horu- bały. Przy okazji rozstrzyga, że „*ten model seksualności zaszczepiło środowisko «Gazety Polskiej»*”, oraz że „*wizja ludzkiej seksualności prezentowana w tych książkach jest infantylnie naiwna*”. Dlaczego naiwna? Gdyż „*Kobiety kierują się w nich najniższymi instynktami (...) Aby sprostać ich wyszukanywym wymaganiom higienicznym, Radek [bohater „Żywiny”] regularnie depiluje sobie narządy płciowe*”. Konkluzja Orlińskiego jest prosta jak wycior: te powieści to kupa „*oblędnej grafomanii*”, c’est tout.

Więcej obiektywizmu przejawiał Grzegorz Wysocki, autor dużego eseju o „*bezpruderyjnych polskich prozaikach*”, gdyż nie czepiał się literatów którejś strony politycznej, tylko literatów rodzimych, bez zaszeregowywania partyjnego piór: „*Nie ma większego znaczenia czy autorzy poszczególnych utworów to konserwatyści, skandaliści, feministki, hedonistki — seks jest obowiązkowo ostry (...) U większości autorów dominują pornograficzne opisy seksu oralnego (...) Nie brakuje też scen seksu analnego i grupowego, opisów praktyk BDSM i innych perwersji*” („*KSIĄŻKI — Magazyn do czytania*” 2012). Krytyczny esej Wysockiego pełen jest „*momentów*”, czyli cytatów, ergo: przykładów szczytowania wyobraźni i leksyki u literatów kraju ojczystego. Ich bohaterowie uprawiają „*ślizganie się w wyściółce pochwy*” (Grażyna

Plebanek 2010), „*walenie*” (Hanna Samson 2011) bądź „*mozolne rżnięcie w gównie*” (Manuela Gretkowska 2011), przed którym liżą „*miękką, czekoladową dziurę tyłka*”. Poza tym dostają „*szalu kutasa*” (Rafał Ziemkiewicz 2005), stosują „*namaszczanie śliną*” (Janusz Leon Wiśniewski 2011) i smakują części ciała partnerów niby „*cieple ciasto wielkanocne*” (Dawid Komaga 2005) — generalnie: sięgają „*pogranicza pornografii i nekrologu*” (Piotr Pietucha 2011). Wysocki, przytaczając dużo „*momentów*” i erofikuśnych sformułowań, nie zostawia żadnej wątpliwości, iż polska literatura współczesna jest przesadnie faszzerowana pomografomanią.

Piętnowani za „*grafomanię*” i ośmieszani cytowaniem „*momentów*” autorzy na ogół milczą, nie podejmując walki polemicznej. Znam tylko jeden sprzeciw, Rafała Ziemkiewicza, a propos jego powieści „*Ciało obce*”. Rzecz ta była przez Orlińskiego ledwie wzmiankowana (bez detalicznego zncęania się nad „*grafomańst- wem*” i cytowania „*momentów*”), ale rok później (2009) oberwała mocno od środowiska Krytyki Politycznej, gdy wydało ono książkę „*Polityka literatury*”. Wśród zamieszczonych tam esejów był tekst Błażeja Warkockiego, który przejechał się po „*Ciele obcym*” bez pardonu: „*Powieść Rafała Ziemkiewicza prowadzi nas z poważną miną po wszelkich stereotypach, robi mądre miny i sugeruje głębię. «Ciało obce» jest proste jak drut i płaskie jak prasownica*”. Rozwścieczony Ziemkiewicz „*odwinął*” całym felietonem („*Gazeta Polska*” 2009), perswadując czytelnikom, że jego powieść jest flekowana (za homofobię) przez homoseksualistów i homofilów.

Ta sprawa mi przypomniała, że muszę unikać pułapki „*hetero*”, gdyż seks nie jest mono, ino stereo — trzeba pamiętać także o amoro-ach „*homo*”. Literatura polska XX wieku była dubeltowo przesiąknięta pedałstwem: zarówno poezja, jak i proza. Z rymów najbardziej lubię

liczne strofy Mariana Hemara o „*evergreenowym*” ulubieńcu Salonu, królu literackich sługusów PRL-u (wieloletnim szefie ZLP), Jarosławie Iwaszkiewiczu. Choćby tę rymowankę:

„*A może Iwaszkiewicz?*”

On tam się dziś przypłaszcza,

Lecz kiedyś lubił Niemców,

Dwudziestoletnich zwłaszcza...

Albo ten wierszyk:

„*W pierwszym rządzie — Putrament. Choć pośledni pisarz, Lecz komunista przedni. Więc pisarz-komisarz.*”

Obok Leon Pasternak. Pisarz równie mierny,

Lecz w czerwonej chorągwi towarzysz pasterny.

A przy nich Iwaszkiewicz. Też się na satyrach Mniej zna, lecz on radziecki Baldureń von Schirach.

Amator pacyfizmu i młodzieży pilot.

Od dziecka kocha młodzież. I zna ją. Na wylot”.

„*Na wylot*” znał młodzież także inny „*evergreenowy*” pupil Salonu, Witold Gombrowicz, którego twórczość jest bezkonkurencyjnym przykładem prozy podbitej skłonnościami pederastycznymi, vulgo: jest supercasusem literatury kryptopedalskiej. Przez kilka dekad gombrowiczolodzy i gombrowiczofile udawali, że coś takiego nie ma miejsca; bańka owego faryzeuszostwa pękła dopiero w XXI wieku — jak ładnie zakonkludował pisarz i krytyk literacki Andrzej Horubała: „***Szlus. Skończyło się***”. Warto przytoczyć większy fragment tekstu Horubały, zwieńczony tą frazą: „***Skoro podjęto już temat dewiacji Witolda Gombrowicza, jego skazy, uczuciowego kalectwa, to trudno traktować jego wypowiedzi jako zobiektywizowane mądrości chłodnego intelektualisty. Rację mimowolnie przyznamy eksministrowi edukacji Romanowi Giertychowi, wyśmiewanemu dotąd za brutalne streszczenie «Trans-***

Atlantyku» jako opowieści

o uwodzeniu polskiego chłopca przez latynoskiego homoseksualistę. I przekonywani przez miłośników Lacana i innych postmodernistycznych szamanów o determinującym wpływie orientacji seksualnej na twórczość, możemy podjąć krytyczną refleksję na temat zawartości dzieł Gombrowicza. Inaczej spojrzymy na mądrości wypisywane o chłopcach, których przecież Witold zwyczajnie uwodził, a i cały «Dziennik» objawi się jako rzecz bardziej tragiczna i złożona. Oczywiście takie postawienie sprawy powoduje pewne zmieszanie zawodowych gombrowiczologów, którzy udawali, że dzieło to powstało w wolnym od namiętności laboratorium chłodnych analiz. Szlus. Skończyło się” („Uważam Rze” 2011).

„XXI wiek to całkowite wyjście z cienia homoseksualizmu Gombrowicza” (Horubała). I nie tylko. XXI wiek (jego pierwsza dekada: 2001-2010) to również całkowite wyjście (z nory, z sypialni, spoza maski) literatury już nie kryptogejowskiej, lecz jawnie homoseksualnej, a nawet więcej: ostentacyjnie pedalskiej i lesbijskiej. Koronnym dowodem — najbardziej wychwalaną i najsilniej promowaną przez Salon powieścią homoseksualisty stanowiącą pieśń triumfalną homoseksualizmu — jest „Lubiewo” (2006) Michała Witkowskiego. „Polityka literatury” głosiła: „Przełomowe znaczenie «Lubiewa» jest bezsporne. Ta powieść (...) niewątpliwie stanowi cezurę w literackim dyskursie homoseksualnym. Na tyle mocną, że w istocie można polską literaturę poruszającą tę kwestię podzie-

lić na tę sprzed i po «Lubiewie»” (2009). Jaką cezurę, to precyzuje Dariusz Nowacki: „Pod wpływem «Lubiewa» Witkowskiego takie słowa jak «ciota» czy «drutować» nabrały pewnej neutralności. Mniej się ich boimy, łatwiej nam rozmawiać...” („Tygodnik Powszechny” 2008). Gdyby ktoś jeszcze nie „kumał” o co chodzi, to pojmie, gdy zapozna się z dyrektywą, którą czołowa polska feministka, chluba Salonu, Kinga Dunin, wyłożyła w

tekście „Polska ho- moliteracka”: „*Najpierw musi zostać postawiony pod znakiem zapytania dotychczasowy porządek. Porządek heteronormatywny*” (2009). A później zbuduje się porządek homototalitamy. Co właśnie trwa — jest w toku. „*Literatura piękna inaczej*” służy temu lepiej niż publicystyka, liberalna telewizja, internet i marsze „*gay-pride*”.

15. Głupota w literaturze

Gdy już odwaliliśmy temat seksu w literaturze, możemy się zająć kolejnym farszem wypełniającym brzuch literatury — głupotą. Blisko końca 1989 roku zachodniemiecki pisarz Jurek Becker rzekł dla „*Die Zeit*”: „ — *Coraz bardziej kretynijące społeczeństwo wymusza coraz bardziej kretynską literaturę*”. Dokładnie dwie dekady później, w ostatnim numerze „*Rzeczypospolitej*” roku 2009, pisarz i publicysta Bronisław Wildstein zdefiniował panującą na niwie słowa drukowanego tendencję, pisząc klarownie i krótko: „*Im coś jest głupsze i bardziej prymitywne, tym lepiej się sprzedaje*”. Kropka.

Kropka to jednak zbyt mało — muszę rozwinąć temat, gdyż płacą mi nie za kropki, tylko za coś więcej. Pytanie: dlaczego ludzka głupota stymuluje zalew głupiej literatury i ciepły (masowy) odbiór głupiej literatury? — ma prostą odpowiedź, którą już starożytni sformułowali zadowalająco. Na cegielce wykopanej w ruinach Babilonu znajdowała się inskrypcja: „*Jeśli tak się dobrze rozejrzeć wokół, widać, że ludzie wszyscy razem są głupi*”. Formuła „*wszyscy razem*” jest słuszna, kiedy rozumiemy przez nią ludzkość, której głupotę zbiorową da się mierzyć liczbą wojen, hekatomb i masakr. Lecz wiadomo, że w tym stadzie durniów, w tej globalnej hordzie prymitywów, zdarzają się osobnicy mądry lub

przynajmniej inteligentni, czyli elita mózgowców. Ci raczej nie absorbują literatury dla ćwierćinteligentów i półanalfabetów. Taką literaturę konsumują wyłącznie barany, których godłem jest kliniczna głupota alias tępota.

Owa tępota była już tematem rozmaitych utworów: sejentycznych rozpraw, pamfletów, filmów, komediodramatów, artykułów, powieści, nowel czy satyr (najgłośniejsza jest wciąż „**Pochwała Głupoty**” Erazma z Rotterdamu). I nie chodzi tylko o głupotę agresywno-drapieżną (wojenną), lecz również o pokojową, pojedynczą, powszechną (codzienną ergo bieżącą), której liczne świadectwa zostaną jako memento ku rozwadze przyszłych generacji. Także świadectwa drukowane. Chociażby ostrzeżenia dla użytkowników sprzętu elektrycznego, elektronicznego, mechanicznego, motorowego itp. W konkursie na najgłupsze ostrzeżenie (aczkolwiek konieczne, gdyż zdarzają się — i to często — użytkownicy-idioci) wygrało: „**Nie wkładać do tej pralki człowieka**”. Drugie miejsce zajęło ostrzeżenie dla użytkowników łodzi motorowych: „**Nigdy nie sprawdzaj poziomu paliwa płonąca zapalką lub palącą się szmatą**”. Trzecie miejsce otrzymały ex aequo: nadruk na kuponie loterii {„**Nie prasować**”) i anons dołączony do telefonu komórkowego {„**Nie suszyć w kuchence mikrofalowej**”). Bez wątpienia 90% książek beletrystycznych oraz co najmniej 50% popularyzatorskich sprzedawanych w Polsce (i w każdym kraju) winno mieć nadruk: „Nie zaglądać do środka”, lub krócej: „Nie otwierać”.

W Polsce chyba jeszcze nie, ale w Stanach Zjednoczonych już można zdobyć fortunę oddając do sądu sprawę przeciwko edytorowi książki, która zawiadła czytelnika lub zde gustowała go swoją głupotą — prędzej czy później taki przypadek się wydarzy. Pewność, że powód/powódka zatriumfuje, dają precedensy, kapitalne wyroki amerykańskich sądów,

również będące drukowanymi świadectwami piramidalnej głupoty „*homines sapientes*” (tych noszących togi). Gigantyczne odszkodowania (do 3 milionów dolarów) chapnęło mnóstwo szczerwanych pań, między innymi kobieta, która przez własną nieuwagę oblała się gorącą kawą; kobieta, która goniąc szaleńczo swego niegrzecznego synka po pasażach sklepu wyrwała się; kobieta, która poślizgnęła się w restauracji na rozlanym przez siebie drinku; kobieta, która wybiła sobie ząb uciekając na widok kontrolera biletów; etc. A także mnóstwo szczerwanych panów, między innymi złodziej, który się podrapał uciekając z okradzionego baru przez okno toalety; złodziej, któremu, gdy kradł felgi samochodu, koło przejechało rękę; złodziej, który się zatrzasnął w okradanym garażu; głupek, który prowadząc wóz campingowy zostawił kierownicę (przy szybkości 110 km/godz.) i poszedł zrobić sobie kawę, bo nie wiedział, że w czasie jazdy trzeba trzymać ręce na kierownicy; itd., itp. — Stany Zjednoczone pełne są „*milionerów sądowych*”. A przecież te wyroki ferują nie menele, ino ludzie bardzo wykształceni, czyli z definicji inteligentni — środowisko, które winno pracować nie tylko przy użyciu paragrafu, lecz i rozumu. Co budzi szacunek dla maksymy La Rochefoucaul- da: „*Nie ma gorszych głupców od głupców wykształconych*”. I co skłania nas do konstatacji, że ludzi czytających literaturę głupią nie określa kryterium wykształcenia, a jedynie kryterium zdrowego rozsądku i zdrowego smaku.

Media alarmują, że rokrocznie coraz mniej ludzi czyta słowo drukowane na papierze (prasę oraz książki). Nie grozi to, rzecz prosta, zupełnym analfabetyzmem, gdyż mnóstwo ludzi czyta z ekranu komórki i ze szkła monitora telewizyjnego bądź komputerowego. Jest kwestią bezdyskusyjną, że utelewizyjnienie, komputeryzacja i gnijąca edukacja (coraz niższy poziom kształcenia na wszystkich szczeblach, zastępowanie egzaminów łatwusięnkami testami, etc.)

— odegrały decydującą rolę w uwiądzie dawnego nawyku czytania, jak również w degradacji kryteriów czytelniczych, vulgo: w dominacji literatury głupawej, zwanej niegdyś „*jarmarczną*”, „*brukową*” lub „*wagonową*”. Nie mogło być inaczej, gdy tradycyjne lektury dziewcząt (exemplum „*Ania z Zielonego Wzgórza*”) oraz chłopców (Verne, Cooper, Stevenson etc.) zostały wymiecione w intelektualnym „jadłospisie” nastolatków przez gry komputerowe, dziewczęce pisemka quasi-pomograficzne i tandetny film. Za jednej tylko dekady III RP dostrzeżono, iż poziom intelektualny uczestników teleturnieju „*Milionerzy*” drastycznie spadł. Głupie 10 lat — i przepaść między poziomami. Znaczy: idzie to szybko, niczym ogień trawiący suchy step. Jak w tej sytuacji ma się bronić literatura „*wyższa*”! „*Nie ma zmituj*” — walec głupoty rozjeżdża i ją.

Ogromna większość informacji tudzież rozrywki jest dziś absorbowana dzięki mediom elektronicznym, które, wiedząc o tym, produkują ile mogą, a że wiedzą również, iż ta strawa trafia głównie do debilów — produkują jak najwięcej dla debilów. Z jednej strony biegnie tedy twórczość dla nieźle wykształconych idiotów (salonowa papka propagandowa lansująca „*polityczną poprawność*” tudzież pseudooświeceniowe bzdety scjencyczne), a z drugiej strony, jeszcze szerszą (dużo szerszą) falą, twórczość dla gorzej wykształconych lub niewykształconych idiotów, przede wszystkim seriale „*tasiemcowe*” i rehotcomy (nędnawe sitcomy), będące papierkiem lakmusowym rosnącego skretynienia gatunku. Notabene: w dobie, kiedy bzdurne wieloodcinkowe/wieloletnie „*tasiemce*” zdominowały telewizję — seriale prawdziwie artystyczne (jak choćby „*Dynastia Tudorów*”, „*Rzym*”, „*Deadwood*”, „*Czas honoru*” lub „*Zakazane imperium*”) winny się zwać inaczej, bo słowo „*serial*” je obraża. Pod terminem „*serial*”

rozumiemy dziś papkę rzekomo „*familijną*”, serwowaną codziennie na tyłu kanałach, iż zawsze się dziwię jak miłośnicy takich produkcji dają radę oglądać każdy tytuł. Bo że oglądają, już się nie dziwię, i tylko staram się unikać kłopotów wynikających z faktu, że jako abnegat eliminuję się poza nawias normalnej społeczności. W praktyce oznacza to unikanie dialogów tego typu, jaki miałem z poderwaną przez kumpla nauczycielką, pracownicą szkoły podstawowej:

— Widział pan co zrobił ten Piprzycki!

— Nie widziałem.

— Nie widział pan?

— Nie. A gdzie miałem to widzieć?

— Jak to gdzie? No, w serialu „**D jak Durszlak**”.

— Nie oglądam seriali.

— Nie ogląda pan seriali?!

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo nie ma obowiązku.

— Pan sobie żartuje! Ale tak poważnie, dlaczego pan nie ogląda?

— Nie lubię seriali.

— Dlaczego pan nie lubi?

— Nie lubię też przesłuchań, a pani pyta mnie bez końca w tej sprawie, może już skończmy o tym mówić.

— Pytam, bo nie mogę tego pojąć, że pan jest taki... taki dziwny.

Wszyscy przecież oglądają seriale...

— Nie wszyscy, proszę pani.

— Ale niech pan mi powie...

— Nic już w tej sprawie nie powiem.

— Ale dlaczego?

—Bo musiałbym powiedzieć, że te seriale są robione dla półgłówków, i wtedy byłoby pani przykro, prawda?

Są robione dla półgłówków przez spryciarzy lub przez półgłówków, wszystko jedno. Niestety — produkcje półgłówków zyskują często fantastyczny poklask, jak choćby pełnometrażowy film animowany „**Ratuj**” (2007), który w niecały rok zarobił pół miliarda dolarów. Media chórem biły brawo reżyserowi Bradowi Birdowi (zdobywca Oscara), w polskiej prasie znalazłem tylko jeden głos piętnujący tę ohydę — głos zastępcy szefa działu kultury w „**Kulturze**” („**Dziennik**”), Jakuba Demiańczuka, który uznał, że film „*oparty jest na wyjątkowo obrzydliwym pomysle*”, bo „*idea szczonego kucharza jest mocno niesmaczna*” (2007). Niesmaczny jest również widok detalicznie pokazanej kopulacji analnej w filmie „*kultowego*” reżysera Kevina Smitha „**Zack i Miri**” (2008) — stosunek z niewiastą mającą zatwardzenie. Równie pyszny i mający równie dużą widownię jest film Zacha Creggera i Trevora Moore’a „**Miss marca**” (2009), gdzie delectujemy się serią niekontrolowanych wypróżnień, odgryzaniem genitaliów, piciem moczu i konkurencją „*rzut małym pieskiem*”. Takich filmów — kinowych, dla szerokiej widowni — są setki. Współczesne społeczeństwo to kupuje. Więc dlaczego miałyby nie kupować literatury dla bałwanów.

Twórczość bałwanów robiona dla bałwanów nie ma szans, by jakimś cudem okazać się dziełem wybitnym, gdyż — co wszyscy wiedzą — „*cud zdarza się tylko raz*”. Zdarzył się w 1942 i dano mu tytuł: „**Casablanca**”. To hołdowane dziś arcydzieło kina, gdzie Humphrey Bogart samą nieruchomą maską swej gęby przetworzył fatalną, zupełnie bezbarwną w głupawym scenariuszu partię Ricka Blane’a na wszechczasowy archetyp twardziela o złotym sercu — Marek Hłasko uznał za „*piekielną szmirę*” (1966), choć kochał ten film jak żaden inny. Dialogi „**Casablanki**”, nawet

przez jej scenarzystów, producentów i ekipę realizacyjną uważane za głupie, noszą dziś miano „kultowych”. Wojciech Kałużyński: „*Trudno w to uwierzyć, lecz amerykańska premiera «Casablanki» w 1942 roku okazała się... gigantyczną klapą. Zresztą już podczas kręcenia wszyscy na planie byli przekonani, że film będzie katastrofą. Reżyser Michael Curtiz słabo mówił po angielsku, ekipa nie bardzo rozumiała o co mu chodzi, a scenarzyści ciągle się między sobą kłócili, nie potrafiąc wymyślić sensownego zakończenia. Swoje dołożył też cenzor Joseph Breen, który okroił całość z wszelkich erotycznych podtekstów. Efekt był taki, że film pewnie w ogóle nie wszedłby na ekrany, gdyby nie spotkanie Roosevelta i Churchilla, które odbyło się na początku 1943 roku właśnie w Casablance. Producent postanowił pójść za ciosem, wprowadził «Casablankę» do kin i tym razem wywołał niemal histeryczne uwielbienie publiczności. Ludzie chodzili na ten film po kilka razy, znali na pamięć dialogi (najbardziej kultowa kwestia, « — Zagraj to jeszcze raz, Sam», w ogóle nie pada z ekranu, choć wszyscy ją słyszeli), bogartomania sięgnęła zenitu (...) Przez ostatnich 60 lat wielokrotnie dowodzone, że ten film kompletnie nie ma sensu, ale czy historia miłosna musi w ogóle mieć sens? (...) Sukces filmu najbardziej zaskoczył jego twórców. Jeden ze scenarzystów, Julius Epstein, konsekwentnie uważał «Casablankę» za idiotyzm, nawet kiedy trzymał za nią Oscara (razem z resztą scenarzystów i reżyserem)» („Kultura”, weekendowy magazyn „Dziennika”, 2009). Żaden literaturoznawca nie mógłby wskazać analogicznego przypadku książki, czyli dzieła uważanego przez samego autora za „idiotyzm”, okrzykniętego przez znawców „szmirą” i robiącego „klapę” po ukazaniu się na rynku, a później wędrującego na Olimp/Parnas w huku braw i dźwięku triumfalnych surm.*

Mariusz Cieślik, piszący o książkach m.in. dla „Rzeczypospolitej” (rubryka „*Najgorsze książki świata*”), wyraził taki sąd: „*Kto by się*

przejmował logiką, ważne że akcja toczy się wartko. Co parę stron następuje zwrot akcji i jak już się pogodzimy, że zasada rządząca jej rozwojem jest idiotyczna, da się to nawet czytać. A w trakcie lektury pamiętajmy, że w kulturze masowej zawsze może być jeszcze głupiej. I z całą pewnością będzie” (2010). To prawda, będzie. Choćby dlatego, że — jak stwierdził kolumbijski filozof Gómez Davila — „*Głupota szerzy się z prędkością światła*” (1986).

I dlatego, że — jak stwierdził francuski satyryk Cavanna — „*Idioci zawsze wygrywają. Mają przewagę liczebną*” (2009).

Brak sensu, logiki, konsekwencji, czy nadmiar bzdur obyczajowych, nieścisłości topograficznych, nonsensów ahistorycznych, kretynizmów faktograficznych itp. — nie jest grzechem głównym i nie niszczy dzieła („*Casablance*” wytykano dziesiątki nieprawdopodobieństw, pytając: czemu Niemcy honorują skradzione wizy?, dlaczego Strasser nie aresztuje Laszlo na samym początku?, etc., etc.), jeśli tylko przyjmiemy zasadę XIX-wiecznych francuskich „*parna- sistów*”, że forma jest wszechwładnym królem, a treść nędznym sługą. Świat krytyki generalnie akceptuje tę formułę (exemplum właśnie „*Casablance*”), pod jednym warunkiem: że nonsensy treściowe nie gloryfikują totalitaryzmu bądź nie lansują antysemityzmu (anty- polonizm można lansować, metodami choćby najgłupszymi, i robi się to w literaturze czy w filmie nie tak rzadko). Symptomatycznym przykładem formy deklasującej treść jest głośny film Quentina Tarantino „*Bękarty wojny*” (2009), w którym Żydzi eksterminują Hitlera odwiedzającego kino paryskie (razem z Goringiem, Gobbelsem i czołówką nazistowską), kończąc tym sposobem II Wojnę bez udziału aliantów. To oczywiście idiotyzm, więc powinien drażnić, bo film nie jest komedią, tylko serio ukazowanym dramatem wojennym. Lecz nie drażni, gdyż Tarantino odwalił perfekcyjną robotę

filmową, tedy smakujemy „*warsztat*” (formę), przymykając oko na purnonsensowną treść. Gdyby jednak ktoś poważał się na odwrotność (warsztatowo równie perfekcyjną) — ukazał szlachetnych komandosów hitlerowskich (Otto Skorzeny und seine Gruppe) wysadzających w powietrze Roosevelta, Churchilla and company, by błoga III Rzesza mogła „*ogarnąć ludzki ród*” — zostałby opluty, wygwizdany, wyśmiany, zmiążdżony, starty na mial przez krytykę i opinię publiczną, a rzucony wobec jego dzieła epitet „*stek głupot*” byłby eufemizmem wśród dużo cięższych epitetów. Przekładając to na literaturę, możemy rzec, iż głupia literatura (poezja i proza) wcale nie musi być artystycznie kiepska — bywa świetna od strony formy, będąc denną od strony treści. Klasyczne casusy to choćby proto- talitame (prostalinowskie/probierutowskie/probezpiecniackie) wiersze takich świetnych poetów jak Władysław Broniewski, Konstanty Ildefons Gałczyński, Wisława Szymborska czy Jan Brzechwa. I odwrotnie: świetna artystycznie literatura może być chórem flekowana jako bezdennie głupia, exemplum powieść Francuza Louisa-Ferdinanda Céline’a (Louis-Ferdinand Destouches) „*Podróż do kresu nocy*” (1932), zawierająca wtręty antysemityczne, czy pewne teksty wybitnego amerykańskiego poety Ezry Pounda (Ezra Weston Loomis Pound), który był przez krótki czas apologetą faszystów, bo nienawidził żydowskiej finansjery.

W naszej literaturze współczesnej, która jest — było nie było — tematem niniejszej książki Łysiaka (tymczasem Łysiak pierniczny o filmach, lecz za chwilę wyjaśni, że ma mocne alibi), są dwa duże etapy „*literatury pięknej*” głupiej, czy jak kto woli: dwie fazy szczególnego stężenia głupoty w beletrystycznych książkach. Etap pierwszy to wczesna komuna (1945-1960, plus minus), gdy najgłośniejsi literaci rodzimi produkowali łajno wedle wzorca żdanowskiego, a gwoli poprawiania

sobie tego bytu, o którym Marks zapewniał, iż kształtuje świadomość. Vulgo: żeby fortuna dziejowa im sprzyjała (honoraria, nagrody, ordery, talony, premie itp.). Marian Hemar drwił sobie z tego, klepiąc biedę emigranczką Londynu:

„*Jak przysłowie uczy:*

Fortuna kałem się tuczy”.

Już same tytuły, niczym tam-tamy, głośiły dudniąc słuźalczą wobec sowieckiego okupanta estetykę Socrealizmu: „**Płomień czerwonych krawatów**”, „**Ludzie rusztowań**”, „**W kamieniolomie**”, „**Traktory zdobędą wiosnę**”, „**Pokolenie**”, „**Obywatele**”, „**Ostatnie ognie**”, „**Brygada tokarza Firkuta**” (czy jakoś tak), „**Lewan- ty**”, itp., itd. Stare wygi umacniały tym kitem swą pozycję na literackiej estradzie „*robotniczo-chłopskiej*” Polski, a młode wilczki wdzierały się nim do jej literackiego panteonu. Jan Sztudynger ujął to fraszką „**Kariera pisarza**” (1959):

„*Gdy zacząłem pisać bzdury,*

Wszedłem do literatury”.

Później niektórzy z nich będą chcieli oczyścić się, wybielić, wytłumaczyć, sprawić, by im zapomniano tamte „*bzdury*” — by je wykreślono z życiorysów. Samooczyszczanie się jest wszakże trudne, gdy się dokonało zdrady, bez względu na to gdzie się jej dokonało: w kulturze, w polityce, czy w małżeństwie. Ciekawą frazę o samooczyszczaniu się dygnitarza Buzka napisał Krzysztof Różycki: „*Czytałem wniosek lustracyjny złożony w 1999 r. przez postów KPN-u w sprawie Jerzego Buzka. Był porażający, ale nie potrafię ocenić, czy prawdziwy. Rzecznik Interesu Publicznego nie uwzględnił wniosku o lustrację, a Sąd Apelacyjny utrzymał w mocy postanowienie Rzecznika. Formalnie wszystko jest w porządku. Premier Buzek publicznie zapewniał, że jest niewinny, i ja mu wierzę.*

Pamiętam jednak, że zobowiązał się wówczas, że sam oczyści się z zarzutów. Minęło wiele lat, i albo ja tego nie zanotowałem, albo były premier o obietnicy zapomniał” („Angora” 2011). Kwalifikujący się do pralni — znaczy: do oczyszczenia — „*ludzie pióra*” też łakną amnezji, jednak nie własnej, tylko społecznej (czytelniczej i recenzenckiej): żeby im nie przypominano sočaszenia się piórem. Na tej pralniczej estradzie awantury toczyły się już w PRL-u, czego ślicznym przykładem jest pupil Salonu Kazimierz Brandys. Wspomina Zbigniew Herbert: „*Brandys należał do salonu, w którym noszono się na rękach: Holoubek, Konwicki, Szymańska, Słonimski, nic lepszego nie można było znaleźć w całej Warszawie. Marzyło mu się, żeby zostać ulubionym pisarzem «Solidarności», ale całe kilogramy jego twórczości z «okresu błędów i wypaczeń» nie nadawały się do wznowienia. Zresztą doskonale zdawał sobie z tego sprawę. W latach 70. przychodził do dyrektora PIW, Andrzeja Wasilewskiego, i żądał: « — To ma być wydane w nakładzie 100 tysięcy, a tamto w nakładzie 50 tysięcy egzemplarzy». Wasilewski mówił: « — Dobrze, ale wydamy również „Obywateli”». Tu partyjny dyrektor trafiał w sedno, a Brandys trzepocząc rączkami wybiegał z krzykiem, że go szantażują (...)* Teraz mieszka w Paryżu, jak Norwid, tylko bardziej komfortowo. Wylądował tu, jak wielu innych, jako ofiara polskiego antysemityzmu i komunizmu. Ale nieskalane socjalistyczne serce nosi dalej po lewej stronie. Francuzi wiedzą o nim tylko tyle, że jest wielkim pisarzem prześladowanym przez rodaków, o czym zresztą pisze często i z zamięowaniem” („Tygodnik Solidarność” 1994).

Druga faza królowania paskudnej głupoty w rodzimej współczesnej literaturze to pierwsze dekady po zrzuceniu prawie, półwiecznych pęt komunizmu (1990-2010). O ile dawniej (faza pierwsza) był to taniec wokół bałwana (bożka) „*socjalizmu*”, o tyle teraz (faza druga) jest to równie upiorny pług wokół cielca „*politycznej poprawności*”, i trzeba

powiedzieć, że oba te bóstwa są totalitarne, aczkolwiek drugie narzuca kajdany nie polityczne, lecz obyczajowe/kulturowe, m.in. tolerancję dla wszelakich zbrodni i wyuzdań. Literatura III Rzeczypospolitej puchnie od tych gnilnych nowatorstw, jednak trudno przytaczać jakieś krytyczne uwagi recenzenckie, bo takowych brak. I to jest właśnie moje alibi.

Przyjąłem dla tej książki zasadę, że wyłącznie relacjonuję. To znaczy: sam nie recenzuję żadnej cudzej książki, nie mam zdania wobec żadnego tytułu, a jedynie czasami sugeruję mój generalny sąd względem jakiegoś typu literatury rodzimej. Dlaczego? Bo jestem pisarzem, więc nie wypada mi czekać po recenzencku — każda moja recenzja mogłaby być uznana za nieobiektywną, stronniczą, złośliwą itp. Gdy idzie

o werdykt wobec danego tytułu, posługuję się wyłącznie opiniami innych, tych, którzy chcą grać rolę arbitrów — cytuję ich. Problem w tym, że a propos literatury głupiej, której mamy zalew — konkretnych opinii brak (są tylko generalne, beznazwiskowo-beztytułowe, jak moja), więc nie mam cytatów. Czemu brak? Gdyż zawodowi jurorzy (krytycy, recenzenci, literaturoznawcy) boją się wskazywać palcem konkretne (pseudo)literackie erupcje głupoty — wolą generalizować, plując ogólnie na całą polską literaturę dzisiejszą. Temu strachowi poświęcę więcej miejsca w kolejnym rozdziale. Teraz tylko przytoczę jeszcze pytanie, jakie zadał francuski filozof Marcel Gauchet: „ — ***Czy koniecznie trzeba opowiadać głupoty tylko po to, żeby ludzie zainteresowali się tym co mówisz?***” („Dziennik” 2009).

16. Popularność „literatury tandetnej”

Jeśli dziwicie się Państwo czemu literaturze głupiej i literaturze tandetnej poświęcam osobne rozdziały — a dziwicie się, bo są one według Was zjawiskami synonimowymi, stanowią „jedno i to samo” — już wyjaśniam: nie zawsze stanowią to samo. Dużo jest dzisiaj (i zawsze było) literatury pchającej się na wyższe piętra (i pchanej tam przez niemądrych lub nieuczciwych krytyków), a godnej ledwie sutereny: literatury udającej górną półkę, lecz w istocie formującej ściółkę, dolne strefy literackiego kunsztu. Tymczasem „literatura tandetna” z założenia, zwana przez Niemców „*Trivallite-ratur*” („literaturą pospolitą”), a przez naszych literaturoznawców rozmaicie („popularną”, „brukową”, „wagonową”, dawniej również: „kramarską” lub „jarmarczną”), przeznaczona dla warstw mniej oświeconych, czyli „dla ludu” („dla kucharek” itp.) — jest od dawien dawna kategorią samoistną. O ile głupota w książce grającej pozycję parnasową raz — o tyle w „książce kramarskiej” lub w „książce wagonowej” niekoniecznie, tam bowiem, niczym w plotce lub w bajdzie, wszystko wolno i nikt nie szuka tam jakości artystycznej czy rozumu.

Badzwie literackie było i jest tematem licznych rozpraw naukowych i bibliofilskich (Antoni Mikulski, „**Polska literatura psychopatyczna. Przyczynek do psychologii twórczości**”, 1908; Tadeusz Żabski, „**Proza jarmarczna XIX wieku. Próba systematyki gatunkowej**”, 1993; Feliksa Bursowa, „**Brukowa powieść zeszytowa i jej czytelnictwo**”, 1998; i in.). Autor jednej z takich prac, Janusz Dunin („**Papierowy bandyta. Książka kramarska i brukowa w Polsce**”, 1974), pisze:

„Kiepska i tandetna literatura istnieje od niepamiętnych czasów. Wolno sądzić, że od czasów Homera. Twórcom towarzyszy zawsze zastęp mniej fortunnych amatorów ujeżdżania pegaza. Ponieważ jednak bibliografia i dokumentacja literacka rozwijały się później niż poezja, większość z nich uległa całkowitemu zapomnieniu. Inaczej jest w czasach nowszych: każdy grafoman, który widział swe słowa w druku, ma zapewnione miejsce na kartach dzieł bibliograficznych i w magazynach bibliotecznych. Niektórzy z nich potrafili nawet zdobyć pewną popularność”.

Gigantyczną popularność mają dzisiaj wśród bibliofilów broszurki zatytułowane: „**Straszna kara boska na niewdzięczną córkę, która uderzyła swą matkę w twarz i ręka jej przyrosła do twarzy matki**”, „**Prawdziwa opowieść o synowej, która zamordowała starego ojca Jakóba**”, „**Życie i czyny Rynalda Rynaldiniego, słynnego dowódcy opryszków**”, „**Diabeł i pół kwarty wódki, zajmująca i ciekawa opowieść**”, etc., etc.). Egzemplarze, których nie przemilił „*zab czasu*”, są rarytą rzadkością i bardzo trudno jest zbieraczom upolować te stareńkie perełki. Nie jest także łatwo o smakowite cudeńka z pierwszej połowy XX wieku, różniące się od XIX-wiecznych głównie dużo większą objętością (minimum 150 stron) i krótszymi tytułami. Wtedy rej wodziła Niemka Hedwig Courths-Mahler („*królowa kiczu*”), autorka mnóstwa światowych bestsellerów (m.in. „**Zagadka w jej życiu**”, „**Hańba**”, „**Tajemna miłość**”, „**Ofiary miłości**”, „**Miłość jest ceną miłości**”), a jej męskim odpowiednikiem był XIX-wieczny, lecz w XX wieku ciągle bardzo popularny Austriak Leopold Sacher-Masoch (m.in. „**Wenus w futrze**”, „**Don Juan z Kołomyji**”, „**Nasi niewolnicy**”, „**Messalina**”), który miał zresztą wielu konkurentów, jak chociażby Włoch Dino Serge Pitigrilli (m.in. „**Obraza moralności**”, „**Pas cnoty**”, „**18 karatów dziewictwa**”, „**Luksusowe zwierzątka**”). Ich wszystkich

nieustannie na polski tłumaczono, ale Polska miała też własne gwiazdy „romansu brukowego” i w ogóle literatury tandetnej, z sarmacką „*królową kiczu*”, Heleną Mniszkówną (m.in. „*Trędowata*”, „*Gehenna*”, „*Sfinks*”, „*Panicz*”), tudzież jej konkurentką, Ireną Zarzycką (m.in. „*Dzikuska*”, „*Muszla*”, „*Jawnogrzesznicza*”, „*Kłamstwo*”), a pośród panów dominował Antoni Marczyński (m.in. „*Przygoda w Biarritz*”, „*Ulubieniec seniorit*”, „*Jedna szalona noc*”, „*Kobiety nad przepaścią*”), któremu deptał piętę Stefan Kiedrzyński (m.in. „*Serce na ulicy*”, „*Krzyk w nocy*”, „*Trujący kwiat*”, „*Żona i nie żona*”).

Literatura dla ciemnowych mas, dla ćwierćinteligentów lub dla młodzieży niezbyt wyrobionej (absolutna większość) jest dziś równie popularna jak w „*międzywojniu*” czy w XIX wieku — jest niekwestionowaną monarchią rynku książkowego (Bronisław Wildstein: „*W XIX wieku wyłoniła się tzw. literatura dla kucharek, która funkcjonuje ciągle*”, „*Uważam Rze*” 2011). Literatura przez duże L zostaje daleko z tyłu. Lista megabestsellerów wszech czasów nie zostawia tutaj żadnych złudzeń — pierwszą dziesiątkę okupują Rowling, Tolkien, Brown, Coelho itp., rzeczy sprzedawane w dziesiątkach („*Kod Leonarda da Vinci*”), a nawet w setkach („*Harry Potter*”) milionów egzemplarzy. Nicolas Gómez Dávila skomentował ową nieśmiertelną tendencję frazą: „*Najlepiej sprzedają się książki, które zdołają przeniknąć do warstw czytelników niepotrafiących ich ocenić*” (1986). Chodziło mu o brak zrozumienia przez konsumentów literatury tandetnej, że łykają literaturę gównno wartą. Inni egzegeci bili brawo, kiedy w Japonii wydrukowano (2009) thriller na papierze toaletowym, czyli właśnie „*gównianym*” vel „*do dupy*” — potraktowali to jako ss: syndromatyczny symbol. Problem zresztą dotyczy nie jedynie literatury, również filmu; „*Der Spie-gel*” tak zdefiniował „*story*” pierwszej dekady XXI wieku: „*Najpopularniejszym na świecie*

filmem była trzecia część «Władcy pierścieni» [rok później rekord pobili „Avatar”]. Najpopularniejszym bohaterem literackim okazał się Harry Potter. Tymi opowieściami dla dzieci karmią się także dorośli. Ludzie uciekają do infantylnego świata” (2009). Tego samego roku „Rzeczpospolita”, piórem Pauliny Wilk, równie cierpko zdiagnozowała całą kulturową dekadę pierwszą XXI wieku, uznając za tendencję dominującą „rosnący współczynnik kiczu i bylejakości w głównym nurcie kultury”. Fakt — jej (kultury) splaszczenie muzyczne (triumf barbarii rapu alias hip-hopu), filmowe (infantyilizacja parakomiksowa) oraz literackie (harlequinizacja, okultyzacja, wampiryzacja etc.) nie podlegają dyskusji, to „real”. Noblista literacki roku 2010, Peruwiańczyk Mario Vargas Llosa: „ — Gdy idzie o jakość, doszło, niestety, do banalizacji i wulgaryzacji. Z tym wyzwaniem musimy się dziś zmierzyć, pragniemy bowiem kultury popularnej, ale bez banalności czy wulgaryzmu. Jednak przez globalizację standardy jakości ulegają równaniu w dół” (2009).

Nasz kraj jest ciekawym poligonem „literatury tandetnej”. Nie dlatego, że wielu rodzimych pseudopisarzy takową produkuje (to zjawisko — lichą produkcję własną — zna każdy kraj), tylko dlatego, że gigantyczną popularność zyskują u nas tandeciarze zachodni, którzy u siebie, na Zachodzie, nie mogą marzyć o identycznym (czy choćby zbliżonym połowicznie) wzięciu. Jerzy A. Rzewuski nazwał to „efektem Whartona” („Wprost” 2008), wskazując właśnie Williama Whartona, Jonathana Carrolla, Paulo Coelho i podobnych. Ciemnawi, chociaż czytający Lechici, którzy nie umieją odróżnić literatury dobrej od literatury kiepskiej, delektują się tego rodzaju papką, w świętym przekonaniu, iż konsumują rasową literaturę wybitnych zachodnich twórców. Rzewuski parsknął o tym szyderczo: „Przygarneliśmy Whortona, Carrolla czy Coelho tak, jakbyśmy w knajpie poprosili cygańską

kapelę o ulubiony kawalek do kotleta Rjzewuski zresztą wskazał również — słusznie bez reszty — iż ta tendencja (nadwartościowywanie pewnych literackich dzieł) jest tradycyjna u Polaków. Jako przykłady rzucił — słusznie bez dwóch zdań — dwie stare książki brane u nas za wielkie arcydzieła („**Grę w klasy**” Julio Cortáзара oraz „**Mistrza i Małgorzatę**” Michaiła Bułhakowa): „*Książka Cortáзара stała się u nas powieścią kultową (...) Najważniejsza książka Bułhakowa nigdzie poza Polską, nawet w rodzinnej Rosji, nie jest z taką nabożnością czytana, a tym bardziej uznawana za arcydzieło światowej literatury*” (2008).

Za arcydzieła światowej literatury duża część Polek i Polaków uważa również powieści Szweda Stiega Larssona, który nie mógł zrobić kariery (i „*kasy*”) jako dziennikarz, bo był fatalnym dziennikarzem, więc wziął się do beletrystyki (cykl kryminałów „**Millenium**”). Sam uważał, iż jego literackie plody są marne (nie krył, że tłucze je tylko dla zarobku), a recenzenci nie zostawiają na nich suchej nitki (Leszek Bugajski: „*Powieści Larssona mają się do prawdziwej literatury jak wyroby czekoladopodobne z czasów schyłkowej komuny do czekolady*”, „**Newsweek**” 2011), lecz to wcale nie przeszkadza rzeszom fanów. Nie przeszkadza im też nędza książek Rhondy Byrne (Łukasz Gołębiewski i Jakub Frołow: „*to literackie knoty*”, „**Wprost**” 2009) czy Dana Browna (Mark Lawson: „*Każdy, kto uznał międzynarodowe uwielbienie dla «Kodu Leonarda da Vinci» za przejaw obniżenia standardów kulturowych, może być pewien jednego: gdy idzie o prozę Dana Browna nic się nie zmieniło. Jego nowa powieść, «Zaginiony symbol», jest równie kiczowata — to stek bzdur (...) Najlepiej sprzedający się autor najwyraźniej jest także najgorszym pisarzem świata*”, „**The Guardian**” 2009). A kto jest najgorszą pisarką świata? Według Krzysztofa Masłonia niezwykle popularna (rozchwytywana) Stephenie Meyer: „*Sukcesy gniotów tej pisarki są dowodem na totalne zidiocenie*

ludzkości na obu półkulach” („Magazyn Literacki KSIĄŻKI” 2010).

Rzeczzone zidiocenie jest celną diagnozą psychiatryczną dotyczącą szerokich kręgów odbiorców, gdyż ludzie masowo kupują pierdoły, których bohaterami są zombi (nawet Beatlesów przerobiono na zom-bi), wampiry, roboty, kosmici, ninja i temu podobne osobniki „*nie z tej ziemi*”. Oczywiście połykacz takich głupot jest na tyle świadomy, iż wie, że „**Brytyjska inwazja zombie**” Alana Goldshera czy też „**Duma, uprzedzenie i zombi**” Seta Grahame-Smitha to półka niższa aniżeli „*dziela*” Williama Whortona czy Paulo Coelho. W tych drugich — wedle wspomnianego połykacza — jest głębia literacka, bądź wręcz filozoficzna. Ergo: konsumowanie prac takich twórców uszlachetnia człowieka. Tymczasem Coelho i jemu podobni wytwórcy „*intelektualną tandetę ubierają w pseudofilozoficzną refleksję*” (Mariusz Cieślak, „**Rzeczpospolita**” 2009), i to wszystko. Głupawa publika daje się nabierać na fałszywe maski artystyczne, które badziew zakłada, by ukryć swą badziewiastość, czyli nabiera się na pseudoartystyczną pseudogłębę. Cytowany wyżej Cieślak jest pesymistą a propos „*mechanizmów kultury masowej, Rządzi nią zasada, że nie ma tego złego, co by nie mogło wyjść na jeszcze gorsze, czyli że coś, co wydaje nam się chałwą i szmirą, z całą pewnością doczeka się kontynuacji, która będzie jeszcze bardziej szmirowata*” („**Rzeczpospolita**” 2010).

Powyższy generalny sąd Cieślak wyłożył przy okazji, recenzując (w rubryce „*Najgorsze książki świata*”) powieść... no, czyją? Zgadli Państwo, nie powieść autora znad Wisły, ino powieść cudzoziemską (Becca Fitzpatrick, „**Szeptem**”). Zupełnie mi brakuje cytatów dotyczących personalnie polskiej literackiej tandety. Recenzenci nasi bowiem — co już mówiłem — są strasznie odważni, kiedy batem bezkompromisowej krytyki leją konkretnych cudzoziemców, natomiast rodzime badziewie

chłosczą tylko generalnie, ogólnie, zbiorowo, nigdy po tytule czy po nazwisku. „*Nam strzelać nie kazano*” do konkretnych tubylczych (znaczy rodzimych) grafomanów. Tu ktoś może rzec: a pan, panie Łysiak — przecież pan robi dokładnie to samo! Pan też się boi karzącej ręki koncernów (wydawniczych, medialnych itp.) lub mafii Salonu? Nie, drodzy Państwo, tylko że ja jestem pisarzem, a nie recenzentem, krytykiem, dziennikarzem czy literatem równolegle uprawiającym recenzentwo. Powtarzam jeszcze raz: nie sprzedaję tu moich własnych sądów o warsztacie (klasie artystycznej) innych „*ludzi pióra*” — jedynie cytuję to, co ktoś zechciał o tym rzec. Więc właśnie brak personalnych cytatów o polskiej „*literaturze tandetnej*” teraz mi doskwiera.

Ów brak skutkuje również nieobecnością samoobrony grafomanów, która mogłaby być ciekawa dla czytelników i nader wartościowa dla badaczy życia literackiego tudzież dyskursu okołoliterackiego. Z całą pewnością przynajmniej część inkryminowanych (vulgo: krzyżowanych medialnie za niedostatek literackiego talentu lub za głupawe bajdurzenie, robienie „*wody z mózgu*” czytelnikom) chciałaby „*odwinąć*”, bądź tłumaczyć się, usprawiedliwiać czy polemizować. Możliwość jest tu bardzo dużo, analogicznie do reakcji wobec oskarżeń o współpracę z bezpieką. „**Warszawska Gazeta**” (a za nią „**Najwyższy Czas!**”) niedawno (2011) skodyfikowała listę poręcznych chwytów: można się ustosunkowywać do lustracyjnych oskarżeń kilkunastoma metodami, wśród których najgłupszą (i jak dotychczas przez nikogo niestosowaną) jest „*Na frajera*”, czyli zwykłe przyznanie się i uderzenie kułakiem we własną grzeszną pierś. Inne metody wyszczególnione przez gazetę tekstem „**Vademecum konfidenta**” to m.in.: „*Na Waltera*” (milczenie), „*Na Piwowskiego*” (kpienie), „*Na Wołoszańskiego*” (kozaczenie), „*Na Wolszcza- na*” (zdegustowanie), „*Na Solorza*” (unikanie) i „*Na Milewicz*”

(warczenie). Gdyby nasi zawodowi krytycy i recenzenci literaccy przełamali swój opór wobec personalnego chłostania grafomanów — można byłoby skodyfikować również wybielania się czy usprawiedliwiania trzeciorzędnych „*ludzi pióra*”.

Ciekawe, iż nasi krytycy filmowi nie odczuwają tej dziwnej blokady (tego strachu?) i przywalają tandetnym filmom bezpardonowo, nie szczędząc danych personalnych. Tylko ostatnio (w latach 2010-2012) zostały zmiażdżone przez krytykę prawie wszystkie rodzime komedie filmowe („*Weekend*” Cezarego Pazury, „*Och, Karol 2*” Piotra Weresniaka, „*Wojna żeńsko-męska*” Łukasza Pal-kowskiego, „*Jak się pozbyć cellulitu*” Andrzeja Saramonowicza, „*Wyjazd integracyjny*” Przemysława Angermana, „*Sztos 2*” Olafa Lubaszenko, „*Kac Wawa*” Łukasza Karwowskiego, i in.). Mirosław Winiarczyk: *„Okazało się, że ci panowie po prostu nie umieją reżyserować komedii (...) Najsmutniejsze jest jednak to, że wszystkie te nowe komedie mają charakter imitacyjny w stosunku do telewizyjnych «sitcomów» i rozmaitych innych telewizyjnych programów. Mamy w tych obrazach zatem do czynienia ze zlepkami różnych gagów, najczęściej głupawych i chamskich (...) Smutno to powiedzieć, ale wiele komedii PRL-owskich (Chęcińskiego, Barei, Chmielewskiego itd.) to przy nich arcydzieła”* („*Najwyższy Czas!*” 2011). Ba, w PRL-u arcydzieł wyprodukowano mnogo — takie superfilmy jak 3 x *Po* („*Pociąg*”, „*Pożegnania*”, „*Popiół i diament*”) długo jeszcze będą niedoścignionymi wzorami dla naszych filmowców (w pierwszym dwudziestoleciu III RP powstało ledwie kilka filmów bardzo dobrych — moim faworytem jest „*Jutro pójdziemy do kina*” Michała Kwiecińskiego). To zjawisko — „*wysoka*” kulturowo Polska Ludowa i „*niska*” III Rzeczpospolita — diagnozowano już wiele razy (Elżbieta Morawiec: „*U schyłku lat 80. wraz z odzyskaną wolnością zaczęły sztuką rządzić prawa kultury masowej, scho-*

dzenie kultury wysokiej w rejony kultury niskiej, zabawowej”, „Gazeta Polska” 2009). Także jeśli chodzi o literaturę. Pisarz Jerzy Pilch swym ostatnim (pożegnalnym) felietonem na łamach „Kultury” (weekendowy dodatek „Dziennika”) przekonywał, iż *„literatura nasza zawsze składała się z czered grafomanów i paru natchnionych szamanów”*, więc nie ma co rozdierać szat krzycząc, że *„dzisiaj czerń zupełna”* i że *„dzieje literatury polskiej to są dzieje jazdy w dół”* (2009), lecz sam został określony (po nazwisku) nieomal symbolem tej *„jazdy w dół”* (jego prozę nazwano grafomańską, do czego wróć szczegółowo w rozdziałach 22, 23 i 24).

A więc jednak chłoscze się po nazwisku! Owszem, są takie wyjątkowe przypadki, wszelako tyczą — dziwna sprawa — nie literatury tandetnej z definicji, ino literatury wysokiej z definicji Salonu, rozstrzeliwanej jako tandeta, którą hucpiarsko (salonowo) kreowano na wielką literaturę. Dam dwa przykłady — rozdeptywanie (w pismach antysalonowych) Głowackiego oraz Chwina, pupilów Salonu. Andrzej Waśko: *„Konsumpcyjny kapitalizm i modne ideologie zalały media i nobliwe niegdyś instytucje, takie jak teatry i muzea, swoistą papką kulturową, która stała się znakiem rozpoznawczym epoki po roku 2000. Na czym polega produkcja takiej papki znakomicie opisał ostatnio w «Rzeczpospolitej» Rafał Ziemkiewicz na przykładzie reklamowanej billboardami powieści Janusza Głowackiego «Good night, Dżerzi». Totalny konformizm zasłaniany dla niepoznaki obyczajowymi drastycznościami, miałość myślowa, żeby nie stawiać żadnych barier przed czytelnikami prasy kolorowej. W Empiku setki takich kolorowych książek, które trudno odróżnić od hamburgerów”* („Niezależna Gazeta Polska/Nowe Państwo” 2011). Poziom hamburgera przypisał też prozie Stefana Chwina na znany krytyk literacki Tomasz Burek, tak swój wywód zaczynając: *„Od dziesięciu lat jest mi wmawiane, że Stefan Chwin to gwiazda pierwszej*

wielkości na firmamencie odrodzonej polskiej literatury”. Dalej Burek udowadnia, że proza Chwina to „*Majaki i banialuki. Kalkomanie. Literackie smakoszostwo na krawędzi szmiry*”. Kończy Burek tak: „*Chcieliście podciągniętej do waszych kulturalnych standardów «Trędowatej», no to ją macie, skumbrie w toma- cie, Chwin*” („Gazeta Polska” 2000).

Ten powrót do Heleny Mniszkówny (patrz str. 164 i 188), symbolicznej królowej popularnego literackiego tandeciarstwa z pierwszej połowy XX wieku, zezwala mi miękko przejść do kolejnego rozdziału, którego heroiną (nomen omen) będzie dzisiejsza popularna literatura wychodząca spod piór płci nadobnej par excellence.

17. Literatura kobieca

Noblista Vidiadhar Surajprasad Naipaul (brytyjski pisarz pochodzenia hinduskiego) chwalił się: „*Starczy, że przeczytam jeden lub dwa akapity, i już wiem czy książkę pisała kobieta*” (2011). Znaczy: można rozróżnić. Ale ta umiejętność nie jest dana każdemu...

Od wieków panował fałszywy (mizoginiczny) pogląd, że kobiety nie lubią literatury i w ogóle książek. Przykładem są chociażby kontrfeministyczne fragmenty „*Philobiblonu*” („*Traktat o miłości do książek*”), dzieła średniowiecznego biskupa Richarda de Angerville (de Bury). Angol ten zwał niewiasty „*dwunożnymi zwierzętami żądzycielnej*” i kazał książkom tak się o nich wyrażać: „*Gdy tylko to zwierzę szkodliwe i nieustępliwe odkryje miejsce gdzie jesteśmy wtulone pod strażą pajęczy — wyrwa nas stamtąd, zasypując gradem obelżywych przewisk. Dowodzi, że najniepotrzebniej zabieramy tyle miejsca w mieszkaniu, że niezdolne jesteśmy do wprowadzenia pewnych oszczędności w gospodarstwie, i przemysł- liwa tylko nad tym jakby tu nas wymienić na*

piękne materie i futra"¹⁰ (1344). Jeszcze w pierwszej połowie stulecia XX księgoznawca Stefan Demby wygłosił na bankiecie bibliofilskim (1929) rymowany toast, zawierający też zwrotkę pełną antykobiecego jadu:
**„Kobiety zwykle książek nienawidzą I patrzą na nie nieprzychylnym okiem,
Z miłości naszej do nich często szydzą,
Drwiąc, że mężczyźni są pod ich urokiem”.**

Wszystko to bzdury — kobiety uwielbiają książki. Czytać i pisać książki. Zwłaszcza książki miłosne, vulgo: literaturę „*sercową*”. Już Renesans znał odczytane „*sawantki*” z wyższych sfer (i to sporo), a wiek XVIII przyniósł w Europie (najpierw we Francji) czytelnictwo żeńskie szalone wprost — furorę robiła wtedy „*powieść epistolarna*” typu „*Wertera*” lub „*Niebezpiecznych związków*”. Wiek XIX pogłębił owo zamięłowanie „*białych głów*” nie tyle może do „*białych kruków*”, ile do „*brukowych romansów*”, a wiek XX zbudował wręcz przemysł powieściowy dla dam (kilkadziesiąt lat wcześniej nim wymyślono „*harlequinadę*” seryjną). Jednocześnie stale rosła liczba pań nie tylko czytających, lecz i piszących, i nie tylko listy, lecz i literaturę. Wzrost ten przybrał u schyłku wieku XX i na początku XXI parametry ilościowe (tytuły i nakłady) dominujące rynek, ergo: rozmiary lawiny zwanej przez gynefobów katastrofą. Także u nas.

Gdy w styczniu 2010 „*Przeгляд*” zapytał różnych „*celebrytów*” o literackie „*perły*” i „*plewy*” roku 2009 — czołowa nasza feministka/terrorystka, Kazimiera Szczuka (kobieta, która zyskała rozgłos przedrzeźniając publicznie modlące się kalekie dziecko), wymieniła jako „*perły*” książki trzech godnych siebie autorek: Magdaleny Środy, Marii Janion i Olgi Tokarczuk. Ta sama Szczuka napisała dla lewackiej Krytyki Politycznej esej pt. „*Rewolucja jest kobietą*”, przywołując m.in.

rozprawę „**Literatura w czasie normalnym**”, gdzie autor (Przemysław Czapliński) negatywnie ocenił grono znanych polskich dzisiejszych literatek. Najciekawszy jest wszakże pierwszy akapit eseju Szczuki: „*Czy literatura ma pleć? Czy kobiety piszą inaczej? Czy kobiece to tyle co feministyczne? Te i temu podobne pytania w początkach lat 90. pojawiały się na łamach nieistniejących już dziś czasopism, takich jak «brulion», «ExLibris», «Nowy Nurt». Ostrożnie stawiano je na zajęciach akademickich, a gwałtownie podczas spotkań, jeszcze wtedy nazywanych wieczorami autorskimi, jako że aspirująca do klasy średniej inteligencja z trudem uczyła się słowa «promocja». Słowo «ideologia» uchodziło za obelgę, a wśród krytyków literackich krążył termin «literatura menstruacyjna», stworzony — jak głosiła legenda — przez samego profesora Jana Błońskiego*” (2009).

Kiedy zapytać współczesnego rodzimego mizogina/gynofoba: czemu bardzo popularną dzisiaj literaturę pisaną przez kobiety zwie wzdorliwie „*literaturą menstruacyjną*”? — dziewięciu na dziesięciu przywołuje powieść „**Kabaret mistyfikacji**” (autorka: Manuela Gretkowska), której bohaterka ma dwie lechtaczki („*Uklęknął przed nią i zaczął całować jej nabrzmięte lechtaczki*”). Zupełnie tego nie rozumiem (tego argumentu), bo jeśli facet może mieć dwa penisy (w Stanach Zjednoczonych są już chirurdzy rozcinający prącie tak, że klient staje się właścicielem dwóch penisów — sic!), to czemu ma mnie bulwersować dwulechtaczkowa baba, zwłaszcza że większość kobiet używa obecnie buzi jako drugiej wagi, czasopisma kobiece nawet ów „*oral*” polecają.

Stwierdziłem wyżej, że Manuelę Gretkowską wskaże dziewięciu mizoginów na dziesięciu. A co zrobi reszta, czyli jeden na dziesięciu? Otóż ten jeden na dziesięciu (zazwyczaj krytyk profesjonalny) wskaże jako charakterystyczny przykład „*literatury menstruacyjnej*” brawurową powieść Izabeli Filipiak „**Absolutna amnezja**” (1995), i doda, że

pionierskim źródłem tego rodzaju „*miesiączkowych wypocin*” jest „**Pierwsza krew**” Ireny Krzywickiej. Istotnie, w „*międzywojniu*” znana ówczesna feministka, mieniona „**Pierwszą Emancypantką II Rzeczypospolitej**” Irena Krzywicka de domo Goldberg, wydała powieść „**Pierwsza krew**” (1930) o pierwszej miesiączce dziewczęcia, i tutaj termin „*literatura menstruacyjna*” można uznać za adekwatny (przynajmniej fizjologicznie), jednak określanie nim wszelkich, dotyczących spraw męsko-damskich, płodów naszych dzisiejszych literatek uważam za ciężkie nieporozumienie, lub gorzej: za wstrętne pomówienie, a nawet więcej: za klasyczne prostackie grubiaństwo. Za tę niegrzeczność, o której przedwaskiewiczowski szef ZLP, Antoni Słonimski, pisał w wierszu „**Popiół i wiatr**”:

„Lecz gdy grzeczność się kończy, to mocno wystrzeli Ten zwrot co sugeruje nierząd po kądzieli”.

Wystrzela mocno zwłaszcza w „*sieci*” — w bezkresnym szambie internetu — gdzie autorka rzeczzonego „**Kabaretu mistyfikacji**” (1994) zbiera cięgi za swą dubeltową łechtaczkę, zwaną przez internautów „*łechtaczką stereo*”. Cała ta godna ubolewania złośliwość jest dowodem niezrozumienia duszy kobiecej. Mizogin vel gy-ntfob zwyczajnie nie pojmuje co jest ojczyzną kobiety. Tę ojczyznę głośna angielska pisarka Virginia Woolf zdefiniowała dawno temu: „**Jako kobieta nie mam ojczyzny. Jako kobieta nie chcę ojczyzny. Dla mnie jako kobiety ojczyzną jest cały świat**”. Już renesansowy włoski myśliciel Pietro Aretino i oświeceniowy francuski myśliciel markiz de Sade — wiedzieli, że chodzi o świat sterczących penisów, bezkresne pole żywych menhirów, las sekwojowy, te rzeczy (co udowodniła A. D. 2012 wystawa w londyńskiej galerii Tate Modern, gdzie awangardzistka Yayoi Kusama pokazała zestaw sof, foteli, stołków i pufów obrośniętych setkami penisów). Póź-

niej tę duchową tęsknotę niewiast zbrutalizowano, bo glob zaroił się od opinii wielce krzywdzących, naturalnie: męskich, exemplum żalodne kwilenie noblisty literackiego, Isaaka Bashevisa Singera: „*Szokowała mnie rozwiązłość kobiet (...) Kobiety żądają pieniędzy na stroje, pantofle, biżuterię, letnie domki, a potem oddają się pierwszemu lepszemu mężczyźnie (...) Po co się żenić, skoro kobiety tak się zachowują? Skąd współczesny mężczyzna może wiedzieć czy jego dzieci są naprawdę jego dziećmi? (...) Gdzieś na tym świecie muszą istnieć ludzie, którzy traktują miłość poważnie*”

•

Nie gdzieś, tylko dosłownie wszędzie już tacy ludzie egzystują, a imię ich: legion, o czym bezdyskusyjnie świadczy powodzenie literatury kobiecej „*wokrug mira*”!, „*all over the world*”. Zwanie jej u nas „*literaturą menstruacyjną*”, czy równie szyderczo w świecie anglosaskim „*chick lit*” („*literature for chicken*”, co można tłumaczyć: babskie powieścicdła, lub: damska pisanina), nie zatrzyma tej hossy, której prababkami były Hedwig Courths-Mahler i Helena Mniskówna (przed II Wojną), a babkami Barbara Caitland i Danielle Steel (po II Wojnie), autorki bestsellerów o nakładach menstrualnych... pardon, przejęczyłem się, rzecz jasna: monstualnych, wielkich. I o liczbie tytułów też wielkiej, imponującej. Leszek K. Talko: „*Barbara Cartland pisała książkę w tydzień i napisała ich prawie tysiąc. A wszystkie o miłości. Sama miała trudność z ich policzeniem. Nora Roberts, jedna z najbardziej znanych autorek romansów, jest bardziej powolna. W ciągu roku wydaje pięć romansów zwykłych, jeden specjalny, znacznie grubszy od zwykłych i wydawany w twardych okładkach, a resztę czasu poświęca pod pseudonimem J. D. Robb na pisanie powieści fantasy. W sumie wychodzi jej jedna książka na miesiąc*” („Duży Format”, magazyn „Gazety Wyborczej”, 2009). I wszystko to, cała ta masówka, świetnie się sprzedaje. Wszędzie, także w Polsce. Waldemar Kuligows- ki: „*Czytadła spod znaku Harlequina, oficjalnie degradowane, mają jednak masowego*

odbiorcę i ze wstydliwych przyjemności przestacają się w uznawaną formę uczestnictwa w kulturze popularnej. Dzieje się tak dlatego, że doskonale wpisują się w polskie myślenie

o miłości” („Wprost” 2010). Czy tylko dlatego?

Arcyważną przyczyną fantastycznej sprzedaży literackich produktów żeńskich jest feminizacja rzeszy czytelniczej. „*Chłopaki nie płaczą*” i nie czytają. Beata Stasińska (szefowa wydawnictwa W.A.B.): „ — *Generalnie heteroseksualni mężczyźni nie czytają. Czytają kobiety. Dlatego rośnie literatura kobieca*” („Duży Format” 2009). Arletta Kacprzak (z Wydawnictwa Otwarte): „ — *Książka, która chce być bestsellerem, musi być pisana dla kobiety*” („Duży Format” 2009). Niekoniecznie, Madame — każda moja książka była bestsellerem. Ale faktem jest, że krąg odbiorców się zmienia, bo rynek zalało damskie tsunami, co pokazują listy bestsellerów. Szokiem była dla mnie już lista bestsellerów roku 2008, ogłoszona w lutym 2009 przez „*Rzeczpospolitą*”. Kategorię „*Literatura obca*” wygrała, oczywiście, pani Joannę K. Rowling, a w pierwszej dziesiątce nie brakowało innych dam (Jennifer Lee Carroll, Cecilia Ahern i in.). Pierwsza dziesiątka kategorii „*Literatura faktu*” również pełna była pisarek (Rhonda Byme, Elisabeth Gilbert i in.) — moja „*Mitologia świata bez klamek*” zajęła tam ósme miejsce. Najciekawszą wszakże okazała się kategoria najważniejsza między Bugiem a Odrą: „*Literatura polska*”, gdzie w pierwszej dziesiątce było dziewięć pań (!) i tylko jeden facet („*Lider*” Łysiaka, 110 tysięcy sprzedanych egzemplarzy, na czwartym miejscu).

Czwarte miejsce jest wartościowe, ale — rzecz jasna — wolałbym zwycięstwo. Podstawy nadziei (która bywa „*matką głupców*”) dawało mi pierwsze półrocze roku 2008. Moja powieść „*Lider*” dokonała wówczas masakry priwiślańskiego wydawniczego rynku, bijąc wszelką konkurencję

(„Magazyn Literacki KSIĄŻKI” nr 7: „*Triumfalny powrót Waldemara Łysiaka na sam szczyt list bestsellerów z nową książką pt. «Lider»!*”), dlatego wedle zbiorczej (wszystkie kategorie razem) listy bestsellerów za pierwsze półrocze (sty- czeń-czerwiec) 2008 roku „Lider” przegrał tylko z kolejnym tomem „Harry’ego Pottera”, deklasując cały peleton polskiej i obcej literatury („Rzecz o Książkach”, dodatek literacki „Rzeczypospolitej”: „*Pierwsze półrocze 2008 należało w literaturze polskiej do Waldemara Łysiaka...*”). Wydawało mi się więc, że i za cały rok 2008 „Liderowi” przypadnie główny laur. Tymczasem przegrał z powieściami dwóch pań (Grocholi i Kalicińskiej), co zresztą furda, lecz totalna klęska samców w literackim meczu z damami (9 : 1) miała rangę syndromu. Kumpel mi wtedy poradził, żebym zmienił sobie płęć (chirurgicznie) tudzież imię (notarialnie — na Wala, Wal- kiria, czy coś takiego, fonetycznie bliskiego Waldy’emu), i będzie porządek, bo póki jakiś gość zakłóca niewiastom dominację/monopolizację, panuje chaos. Jednak nie zdecydowałem się na zabieg, gdyż nie lubię jak mi coś ucinają. Kolejny rok przyniósł poprawę sytuacji, lecz niewielką — w pierwszej dziesiątce kategorii „Literatura polska” listy bestsellerów roku 2009 („Rzeczpospolita” luty 2010) znalazły się dzieła „tylko” siedmiu pań pisarek, a moja powieść „4” („Czwórka”) zajęła siódme miejsce. I ów „trynd” trwa — piszące kobitki dalej quasi-monopolizują wierzchołki list bestsellerów, wyhamować ową tendencję będzie trudno, póki co.

Jedynym skutecznym hamulcowym mógłby być „elektorat” głosujący przy kasach księgarń, a ten —jako się rzekło — składa się głównie z kobiet. Tych samych kobiet, które dmuchają oglądalność wszelkiego badziewia TV, windują sprzedaż plotkarskich mediów i niesprawiedliwymi (często złośliwymi) werdyktami odbierają lau- ry najlepszym tancerkom („Taniec z gwiazdami”) czy piosenkarkom.

Rzadkie są dezawuuujące triumfującą „*literaturę kobiecą*” głosy podobne do wypowiedzi Jadwigi Kaczyńskiej (matki zamordowanego prezydenta): „ — *Przed snem lubię czytać rzeczy lekkie, ale nie znoszę szmiry. Nie mogę zrozumieć jak można czytać te panie, których nazwisk nie chce wymieniać...*” („*Wprost*” 2010). Nazwiska wszakże się wymienia, choćby wówczas, gdy prozaiczki, eseistki, poetki figurują na listach bestsellerów, lub gdy wręczane są im nagrody literackie, lub gdy salonowi klakierzy biją im gromkie brawa w mediach: Joanna Chmielewska, Sylwia Chutnik, Agnieszka Drotkiewicz, Izabela Filipiak, Natasza Goerke, Manuela Gretkowska, Katarzyna Grochola, Małgorzata Kalicińska, Julia Kamińska, Bożena Keff, Marzanna Kielar, Teresa Lubkiewicz-Urbanowicz, Dorota Masłowska, Magdalena Miecznicka, Małgorzata Musierowicz, Małgorzata Rejmer, Hanna Samson, Ewa Siarkiewicz, Izabela Sowa, Monika Szwaja, Olga Tokarczuk, Magdalena Tulli. Wymieniłem w porządku alfabetycznym (dla bezpieczeństwa osobistego) i tylko pierwszą dwudziestkę, a przecież piszących pań mamy dużo więcej — jest ci ich dostatek u nas.

Tłumaczenie popularności „*literatury kobiecej*” samym „elektoratem” kobiecym, który (w przeciwieństwie do mężczyzn) książki czyta — nie wyczerpuje tematu, vulgo: nie zamyka prób znalezienia odpowiedzi na dotyczące wzięcia tej prozy pytanie. Kobiety-analizyczki szukają głębszych przyczyn, nieomal filozoficznych, exemplum Patrycja Pustkowiak: „*«Kobiety mówią szeptem» — zauważa Izabela Filipiak w jednym z wierszy. A kończy go uwagę: «Kobiety mówią szeptem, a potem śmieją się głośno». Można chyba powiedzieć, że historia literatury — czy w ogóle kultury — współczesnej przyznaje jej słowom rację. Nastal, jak się zdaje, czas kobiet. «Czas drapieżnych dam» – jak niedawno wieścił tygodnik «Polityka». Słaba pleć pokazała swoją siłę i powoli spycha twórczych mężczyzn do narożnika*

(...) Po głośnych kobiecych debiutach lat 90. (weźmy choćby Olę Tokarczuk czy Manuę Gretkowską) nadeszła druga fala prozy pisanej przez kobiety. Od dobrych paru lat widać, że właśnie owa literatura osiąga większe sukcesy — artystyczne i komercyjne — niż ta firmowana przez mężczyzn (...) Czy jest to kwestia mody? Czy rzecz w zapotrzebowaniu na społecznie nośne tematy? A może chodzi o rzeczywistą jakość tej prozy? Zdania są podzielone (...)

Bliższe prawdy jest chyba stwierdzenie, że kobiety lepiej rozumieją wymogi współczesności — znacznie lepiej od mężczyzn rozumieją jak jest skonstruowany współczesny świat i jego kultura („Kultura”, weekendowy dodatek do „Dziennika/Gazety Prawnej”, 2010). W tym samym numerze „Kultury” pisarz Jerzy Franczak — konstatując, że „*istnieje teraz zapotrzebowanie na prozę kobiecą*” — sarka, iż jej większość to „*rzeczy przecięt- niutkie, pozbawione wartości*”, tymczasem my „*te kiepsciutki powieści młodych autorek traktujemy jako cenne znalezisko*”, chyba wskutek „*feministycznych i genderowych dyskursów*”.

Jedni traktują jako „*cenne znalezisko*”, a inni jako „*sucze gówno*” — to zależy od krytyka i jego smaku literackiego, choć często również od jego salonowości bądź antysalonowości. No i także od płci. Gdy cytowana wyżej Patrycja Pustkowiak recenzowała powieść Sylwii Chutnik „*Dzidzia*” — użyła mnóstwo pustkosłowio- wego bla-bla-bla, żeby niby to chwalić, a nie powiedzieć wprost, iż pisze o kiczu, jednak trzema ostatnimi zdaniem recenzji zabezpieczyła się, dając do zrozumienia, że „*Dzidzia*” to chała: „*Z całą pewnością «Dzidzia» jest jednak książką, do której podchodzi się ostrożnie. Może się podobać, może wywołać niechęć. Trzeba osobiście sprawdzić*” („Kultura” 2010). Panowie nie mają takich oporów, gdy chcą sflekwować „*literaturę kobiecą*”. W tym samym kulturowym dodatku „Dziennika/Gazety Prawnej” Cezary Polak nie miał litości dla Małgorzaty Kalicińskiej, czempionki rodzimych list

bestsellerów: *„Znajomy krytyk literacki od miesiący namawiał mnie, żebym na lamach popastwił się nad Małgorzatą Kalicińską. Autorką «Domu nad rozlewiskiem», która podobno odebrała Katarzynie Grocholi żółtą koszulkę liderki w peletonie twórczyń literatury dla gospodyń domowych. Ponoć nie tylko sprzedaje więcej książek, ale pisze jeszcze gorzej. Krótko mówiąc, należy bić w dzwony, bo matki, żony i kochanki bałamucą czas na czytanie powieściowych paszтетów, zamiast doznawać duchowych egzaltacji Pilchem, Tokarczuk i Stasiukiem (...) Przeczytałem, i choć nadal nie mam pojęcia na czym polega fenomen aktualnej królowej polskiego fraucymeru, jestem pewien, że alarm był przedwczesny. Bez obaw, od czytania Małgorzaty Kalicińskiej kobiety nie dostaną wodogłowia, a przynajmniej nie bardziej niż od lektury jej poprzedniczek na tronie. Twórczość Kalicińskiej jest konfekcją, książkowym odpowiednikiem disco polo, poszaleje na listach bestsellerów, a potem trafi na śmietnik. Tak jak twórczość Shazzy”* (2010).

Kalicińska odpowiada na takie zarzuty, iż ma świadomość, że jej pisarstwo wykazuje braki warsztatowe (wstęp do *„Widoku z mojego okna”* 2010). Katarzyna Grochola robi to samo, przyznając agresywnie (zaczepno-odpomie): „ — *Lubię być grafomanką, i nie chce mi się już niczego poprawiać*” (*„Angora”* 2009). Jeszcze ciekawiej zachowała się Izabela Filipiak, stwierdzając, że cała rodzima ofensywa *„literatury kobiecej”*, czyli *„fenomen przez jednego z siemieżnych recenzentów nazwany «babskim przełomem»”* (Kazimiera Szczuka 2009), *„w dużej mierze okazał się zmarnowaną szansą”* (cytat z *„Polityki Literatury”* 2009). Krytycy należący do płci brzydkiej wyrażają to samo zdanie, ino mniej oględnie, bez eufemizmów. Przyświeca im (niby bojowe hasło lub credo) dwuwierszowa fraza Mariana Hemara pomieszczona w wierszu *„Na pisarkę”*:

„ Tak pisze, jakby znała jakieś nowe Pigułki przeciw zachodzeniu w głowę”.

Exemplum: czołowy nasz krytyk Krzysztof Masłoń. 1 stycznia roku 2010 opublikował na łamach „**Rzeczypospolitej**” tekst pod tytułem „**Strach będzie czytać**”, a w nim passus: „*Reguła brzmi: każdy ma szansę zostać Kretynem Roku, wydawcy robią więc wszystko, by potencjalnym kandydatom do tego zaszczytnego miana zapewnić niezbędną literaturę pomocniczą (...) Jak w tym kontekście rysują się perspektywy na rok najbliższy i co nas w nim czeka oprócz*

— *oczywiście — kolejnych utworów Małgorzaty Kalicińskiej? Na pewno trafi się jedna lub dwie Grocholę, dwie lub trzy Szwaje, obowiązkowa Chmielewska i jakaś Sowa*”. Nie pomylił się ani ciut: ów prognozowany przezeń „rok najbliższy” (2010), i lata kolejne (2011, 2012) przyniosły zalew damskich bestsellerów, które nieszczęsny recenzent musiał chłostać (fantastycznie się sprzedającą „**Makatkę**” Grocholi ciężko schlaść w „**Uważam Rze**”: „*To, najzwyczajniej, przeraźliwy gniot*”, 2011), z pełną świadomością, iż rzuca grocholę o ścianę, vulgo: że nic nie wskóra.

Będąc profesjonalnym pisarkobójcą — Masłoń nie zostawia też suchej nitki na sławnych grafomankach cudzoziemskich. Królową wampirycznych serc, czyli władczynię światowego rynku wydawniczego, Stepheni Meyer, której pierdołami o miłości dziewczęcia i wampira zaczytują się od paru lat dziesiątki milionów nastolatków i dojrzałych kobiet (pobite zostały wszelkie ilościowe rekordy nakładów)

— Masłoń wdeptał w grunt wielokrotnie, pisząc m.in.: „*Meyer to ulubiona pisarka pokolenia zwanego emo. Taka generacja jest wymysłem tych samych idiotów, którzy doprowadzili do tego, że literatura stała się śmietnikiem przez normalnych ludzi obchodzonym z daleka*” („Magazyn Literacki **KSIĄŻKI**” 2009); „*Jej brednie sytuują się na wierzchołkach list bestsellerów. To, że Stepheni Meyer nie potrafi pisać, nie umie skonstruować fabuły ani pohamować wrodzonego gadulstwa — nie ma tu*

nic do rzeczy” („Rzeczpospolita” 2009). Inne cudzoziemskie grafomanki Masłoń traktuje nie mniej surowo, choćby bardzo poczytną Rhondę Byme: „*Od tylu lat znajdują się frajerzy wierzący, że lektura tych truizmów odmieni ich życie (...) Kup sobie «Sekret», naucz się go na pamięć, i głupiej do imentu*” („Magazyn Literacki KSIĄŻKI” 2009). Jednak, z natury rzeczy, to Polki częściej obrywają piórem Masłonia. Literaturę Kalicińskiej zwie on „*literacką gumą do żucia*” („Angora” 2009) i literaturą kuchenną, zaznaczając kpiarsko, że „*nie są to książki kucharskie*”, ale dodając: „*W książkach Małgorzaty Kalicińskiej najczęściej przesuwa się gary z potrawami rodzimej kuchni*” („Rzeczpospolita” 2010).

Powie ktoś: łatwo jest obśmiewać rodzimą „*literaturę dla kucharek*”, ale trochę trudniej „*literaturę kobiecą*” z wyższej półki, czyli prawdziwą żeńską literaturę — dzieła Tokarczuk, Masłowskiej, Gretkowskiej i podobnych. Jednak robi się to równie ostro. Krzysztof Masłoń o „*Miłości po polsku*” Manueli Gretkowskiej rzekł, iż „*rozważania autorki mogą co najwyżej znudzić. I powiem więcej, przyjdzie taki czas, że odbiorcy tego rodzaju literatury zapytają o sens podobnie zapisywanych kartek*” („Magazyn Literacki KSIĄŻKI” 2010). Noszona przez Salon na rękach twórczość Doroty Masłowskiej też się spotyka z bardzo surową krytyką — Michał Ogrodziński rozjechał ją wprost („*Czym się ludzie zachwycają?*”) na łamach „*Angory*” (2009). Olgę Tokarczuk, inną pupilkę priwiś-łańskiego Salonu, Zbigniew Bidakowski zdiagnozował w „*Rzeczypospolitej*” (2007) dużym tekstem analitycznym jako ewidentną grafomankę. Itd., itp. — piszące baby mają sympatię nabywców, ale nie mają szczęścia u pozasalonowych recenzentów.

Kończąc ten rozdział, warto jeszcze zauważyć, iż literatura kobieca nie zawsze bywa pisana przez kobietę. Dowodem jest choćby twórczość szwedzkiego lewaka (trockisty-feministy) Stiegra Larssona. Jego trylogia

„Millenium” („Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet”, „Dziewczyna, która igrała z ogniem”, „Zamek z piasku, który runął”) robiła na całym świecie furorę w drugiej połowie pierwszej dekady XXI wieku, a krytycy i literaturoznawcy nie mieli cienia wątpliwości, że wyłącznym kluczem do tego megasukcesu jest postać współbohaterki, feministki o zepsutej duszy i hakerskim talencie, Lisbeth Salander. Ta biseksualna autystka twardo (nawet okrutnie) rozprawia się z mężczyznami, a czytelniczki to uwielbiają. Pisarz Par Ström: „*Salander, którą nienawidzić do mężczyzn motywuje rażąco jednostronnie, stała się ikoną ruchu feministycznego*” (portal Newsmill 2009). Dziennikarz Jean-Paul Pouron zapewnił Annę Nowacką-Isaksson: „ — *Gdyby nie Lisbeth, trylogia «Millenium» z pewnością nie odniosłaby takiego sukcesu*” („Rzeczpospolita” 2010).

Gdyby nie klimat feminizmu — wiele pisarek nie odniosłoby sukcesu. Także polskie „*młode literatki*”, które gorąco lansuje lewacki Salon. Ich krytycy twierdzą, że te gwiazdki nie nauczą się już pisać, i że za dwie dekady będzie o nich można mówić to samo, co australijska feministka Germaine Greer parsknęła o wokalistce Madonnie w 2009 roku: „ — *Ponieważ nie umiała śpiewać ani tańczyć jako dwudziestopięcioletka, nikt nie będzie się jej czepiał, że po pięćdziesiątce również nie umie tego*”.

18. Literatura „nowoczesna, eksperymentalna, awangardowa”

Jacek Cieślak: „*Im bardziej bezmyślna staje się nasza cywilizacja, im mniej ma do powiedzenia, tym większą popularnością cieszy się taniec. W*

tańcu najłatwiej jest milczeć i uśmiechać się („Rzeczpospolita” 2C09). Śmierć również milcząco się uśmiecha szczerbatym użębieniem w mediewalnych Tańcach Śmierci („*danse ma- cabre*”), których wizerunki rozsiane po starych kościołach i klasztorach radują historyków. Natomiast obecny płas tanatoidalny nie powinien radować nikogo.

Ten dzisiejszy taniec to stan zapaści kulturowej (m.in. literackiej) współczesnych nam dekad. Kij, który zabija literaturę współczesną, ma dwa końce, oba gangrenogenne: wierzchołek prostactwa popowego (tandeciarstwo literatury dla mas) i wierzchołek lu- zactwa awangardowego, czy raczej niby awangardowego (dziwolągi silące się koślawo na cenną artystycznie modernę). Ta druga tendencja — według salonowych krytyków ożywcza, budująca, wyszła- chetniająca literaturę, kreująca literacką postępowość — obejmuje każdą nowoczesność realizowaną par force, przybierając dziurawe szaty artystycznej reformy/rebelii, chociaż to jedynie ekstrawagancko-ekshibicyjna pseudoawangarda. Vulgo: pseudonowoczesność tego rodzaju, co reklamowana przez piarowców Platformy Obywatelskiej (tuskowców) rzekoma nowoczesność współczesnej Polski, o której prof. Jadwiga Staniszkis rzekła słusznie: „ — *U nas wciąż traktuje się Polskę jako sytuację wyjątkową, nie zdając sobie sprawy jak bardzo upodabniamy się pod względem infrastruktury, łąpnięcia cywilizacyjnego, do krajów, które jeszcze niedawno nazywaliśmy Trzecim Światem*” („Gazeta Polska” 2011).

W kwestii wspomnianego kija o dwóch końcówkach — popowej i modernistycznej — warto zacytować diagnozy dwóch znanych rosyjskich pisarzy współczesnych, Stogoffa i Aksionowa. Wasilij Aksionow, udzielając wywiadu tygodnikowi „Ogoniok” (pytającym był też pisarz, Dmitrij Byków), krytykował „*literaturę komercyjną*”, a żądał literatury

głębszej: „ — *Typem dominującym dzisiaj są dziewczyny gigantyczne, wysokie, smukłe, długonogie, które wszystkie siły i środki tracą na podtrzymywanie swojego wyglądu. To samo dzieje się dzisiaj z powieścią. Powieść też chce jak najszybciej stać się towarem. Z tym, że wskutek takich dążeń ulatnia się gdzieś sens i treść. Gdy książki są zainteresowane jedynie własną atrakcyjnością komercyjną — nie pozostaje w nich nic z głębi, z wieloznaczności*” (2006). Tę „*głębłą i wieloznaczność*” ma, rzecz jasna, literatura awangardowa, której słabością jest wszelako mniejsza lub większa hermetyczność. O czym wypowiedział się Ilja Stogoff dla „*Niezawisimoj Gaziety*”: „ — *Co to znaczy literatura? Nie istnieje coś takiego jak jedna spójna literatura. Do kryzysu nadprodukcji kryminalów nigdy nie dojdzie, bo są one towarem codziennego użytku. Im więcej, tym lepiej. Podobnie ma się sprawa z romansidłami czy z fantastyką — z całą literaturą popularną. Ale funkcjonuje również produkcja literacka konsumowana przez — proszę mi wybaczyć to słowo — «inteligentów».* *Literatura dla «inteligencji*».

A to już całkiem inna historia — w tym segmencie widzimy kryzys nadprodukcji. Czemu? Bo każdy autor z tego kręgu napisał już przynajmniej jedną powieść, i oni tam teraz nie nadążają czytać wzajemnie tych swoich produktów. Wzajemnie, gdyż innych czytelników nie będą mieli” (2009).

Na pytanie: czemu literatura awangardowa, ta z „*głębłą i wieloznacznością*”, ma (już od czasów „*Ulissesa*” Joyce’a) tak niewielu chętnych odbiorców — padają dwie odpowiedzi. Jej zwolennik tłumaczy, że jest to produkt przeznaczony docelowo dla elity umysłowej, a ta elita to ledwie drobny ułamek społeczności. Wróg modemy mówi krócej: nuda. Tym pierwszym (elicie) kłopot sprawia fakt, iż literaturę „*głęboką i wieloznaczną*”, nudzącą gros czytelników, besztają lub wykpiwają okrutnie również najświatlejsze umysły, do jakich bez wątpienia zalicza

się kultowy dzisiaj (w kręgach konserwatywnych) filozof kolumbijski Nicolás Gómez Dávila. Cytuję niżej cztery jego „*scholia*” dotyczące „*głębi*”, nudy oraz żenującej (bądź komicznej) nicości literatury, która wbrew swej miernocie pragnie uchodzić za godną szacunku awangardę literacką („*Nuevos escolios a un texto implícito*” 1986): „*Dzisiejsze czasy należą do tych epok, w których fałszywa głębia jest brana za wybitną literaturę*”, „*Zdobądźmy się, wbrew modom, na odwagę uznawania książek nudnych za złe książki, nie szukając pretekstów dla znudzenia, które nam dopieкло*”, „*Wystarczy, że awangarda literacka trochę się postarzeje, a już trudno powstrzymać się na jej widok od śmiechu*”, „*Współczesna krytyka przedkłada książki, których nie da się powtórnie czytać, nad te, które można czytać w nieskończoność*”*. Dzisiaj jest jak wtedy, kiedy Dávila to pisał — nic się nie zmieniło; Michał Zygmunt trafnie konstatuje, że u arbitrów literackiej elegancji „*na poklask i nagrody może liczyć wyłącznie literatura nieatrakcyjna czytelniczo*” („*Wprost*” 2008).

Nagrodę literacką zdobyłem raz (1970), raz tylko bowiem wystartowałem w konkursie literackim. Konkurs był bardzo szumny: na 50-lecie Związku Literatów Polskich i 25-lecie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Pracowałem wówczas jako konserwator zabytków i pisywałem artykuły o zabytkach, o sztuce i o historii, a kiedy ogłoszono ten konkurs, uznałem, że to niezła okazja, by sprawdzić czy mógłbym być pisarzem. Moją powieść „*Kolebka*” nagrodzono (wydano ją dopiero cztery lata później, bo miała duże kłopoty z cenzurą, przez m.in. takie kwiatki, jak widniejąca przy końcu fraza o „*Polsce Polską zwanej, z pozorami wolności jeno*”), lecz nie zostałem zwycięzcą. Zwyciężył Jan Drzeżdżon, o którym ćwierć wieku później Piotr Kuncewicz napisze w literackim kompendium, że jego twórczość była „*pisarstwem psychodelicznym*” („*Leksykon polskich pisarzy współczesnych*” 1995), zaś Krystyna Jakowska, że „

niektórzy krytycy są zrażeni nieczytelnością jego utworów” („**Podręczny słownik pisarzy polskich**” 2006). Mówiąc krótko: Drzeżdżon uprawiał prozę awangardową par excellence, modernistyczną do bólu, czyli właściwą, bo polscy krytycy i jurorzy tamtych lat klęczeli (tradycyjnie) przed modami zachodnimi (głównie francuskimi), bez względu na to jak były one głupie bądź poronione. A cóż wówczas uchodziło za literackie „*nec plus ultra*” w Europie zachodniej (głównie we Francji)? Tzw. „*nouveau roman*” — „*nowa powieść*”. Ki diabeł? Sięgnijmy do encyklopedii. Z „**Nowej Encyklopedii Powszechnej PWN**” dowiadujemy się, że „*nowa powieść*” to „*antypowieść, awangardowy nurt we współczesnej powieści francuskiej lat 50. i 60.*”, i że jej przedstawiciele (Nathalie Sarraute, Alain Robbe-Grillet, Michel Butor, Claude Simon, Roger Pinget czy Claude Mauriac) „*traktują powieść jako swoiste laboratorium, w którym eksperymentowanie z językiem i kompozycją jest zarazem próbą oddania wieloznaczności i nieprzejrzystości świata*” (1996). Otóż to — jak już mówiłem: chodzi o „*głębłą i wieloznaczność*”. Sięgnijmy jeszcze (dla upewnienia się) do „**Małej Encyklopedii PWN**”: „*Nowa powieść (antypowieść) to francuska powieść eksperymentalna, odrzucająca tradycyjne reguły realistycznej fabuły powieściowej (zwłaszcza przyczynowość i ciągłość czasową fabuły, psychologiczną spójność bohatera) na rzecz analizy możliwości artystycznych i poznawczych gatunku (tzw. auto-tematyzm)*” (1995).

Dzieje literatury po II Wojnie Światowej to historia nieustannego pojedynku: twórczość „*awangardowa*” (vel „*eksperymentalna*”) vs twórczość „*tradycyjna*” (vel „*nienowoczesna*”). Tę pierwszą ćwiczyło i praktykowało wielu pisarzy (zwłaszcza młodych, początkujących) — wskutek dwóch przyczyn. Primo: było to równie łatwe jak uprawianie „*awangardowej sztuki*” (zwłaszcza wszelakich abstrakcjonizmów, gdzie

kilka kresek, kropek czy plam rzuconych beładnie na płótno dawało sukces/prestiż i konto w banku), bo arbitrzy sztuki (krytycy) byli pseudokoneserami, handlarze sztuką (marszandzi) byli cwaniakami, muzealnicy (wystawcy) byli konformistami, a klienci (nabywcy) byli idiotami. Wszyscy oni ulegali najgłupszym modom. Podobnie reagowała literatura: zaroila się od płodów „*awangardowo*” bełkotliwych, „*eksperymentalnie*” nieczytelnych, „*postępowo*” bla-bla-blagowatych, „*modernistycznie*” koślawych, „*nowocześnie*” wydziwiających, przy których dawny modernistyczny „*strumień świadomości*” Joyce’a zdawał się grzeczną bajeczką dla przedszkolaków, a kilkustronicowe zdania Prousta wzorem dyscypliny literackiej. Na arenie ścigania się w konkurencji: kto jeszcze bardziej dziwacznie? — dochodziło do takich aberracji jak pisanie powieści samymi cyframi (sic!) lub garściami niemają- cych związku, przypadkowo rzucanych słów czy fraz (sic!). Drugą przyczyną hossy „*antypowieści*” tego rodzaju był cielecy aplauz wpływowych recenzentów, krytyków ogarniętych manią „*postępu*”. Gdyby tylko chcieli utrzymać te swoje zboczenia w sferze subiektywnej, intymnej — w enklawie prywatnego prawa wyboru. Zrobili jednak coś innego: próbowali narzucić tę literacką hucpę jako kanon obiektywny/obowiązujący, zaprowadzić prymat „*awangardy*”, vulgo: rozpęтали opiniotwórczy terror.

Terror kulturowy to zjawisko znane od niepamiętnych czasów. W czasach współczesnych (XX wiek) wiąże się ono z szeroko pojętym lewactwem jako źródłem, czyli producentem, czyli sprawcą — z komunizmem (bolszewizmem, stalinizmem itp.), z socjalizmem (nazizmem, faszyzmem itp.) czy z goszyzmem chowu francuskiego (jakobińsko-marksistowskiego). Uwielbiający burzenie tkanki starych miast (czyli tradycji) francuski architekt Le Corbusier (Char- les-Edouard

Jeanneret) narzucił całej Europie i części innych kontynentów betonowe blokowiska do mieszkania — swoiste budy dla ludzi á la budy dla psów — co było ewidentnym kulturowym terrorem, szpecącym przestrzeń społeczną i krajobrazy homines sapientes. Brytyjski psychiatra Anthony Daniels przyrównał go do ludobójcy kambodżańskiego: „*Le Corbusier był w architekturze tym, kim był Pol Pot w dziedzinie reform społecznych. Spełniał się metodą destrukcji*” („*City Journal*” 2009). Destrukcyjny charakter w muzyce ma rap vel hip-hop (zwłaszcza gangsta-rap) — jego szerokie lansowanie to także terror kulturowy, muzyczny totalitaryzm. Terror szerzonej przez międzynarodowy Salon „*wielokulturowości*” („*mul-ti-kulti*” itp.) zaczął się kruszyć po dwóch dekadach, gdy niektórzy przywódcy świata zachodniego (pierwsza jęknęła kanclerz Niemiec, Angela Merkel) publicznie ogłosili krach tej inicjatywy (ponieważ rzesze muzułmańskich imigrantów zupełnie nie chcą się asy- miłować), i gdy kontrsalonowi intelektualiści ogłosili w interaecie (pierwsi zrobili to Amerykanie), że dżuma „*wielokulturowości*”, podobnie jak „*moralny relatywizm*”, została wykoncypowana przez Żydów dla osłabienia chrześcijaństwa i dlatego, że „*tylko w takim społeczeństwie mniejszość żydowska czuje się bezpiecznie*” (Krzysztof Kłopotowski, portal salon24.pl 2011).

Salonowi krytycy, którzy opiniotwórczym terrorem już kilkadziesiąt lat (przejrzyjcie roczniki branżowych literackich periodyków!) szerzą mit o literaturze „*awangardowej*” (vel „*eksperymentalnej*”, vel „*nowoczesnej*”) jako jedynie słusznej — przypominają mi dowcip z czasów PRL-u, o milicjantach: „*Dlaczego milicjanci chodzą trójkami? Bo jeden umie pisać, drugi umie czytać, a trzeci pilnuje tych dwóch intelektualistów*”. Salonowi dyrygenci pilnują „*nowoczesnych*” pisarzy, by nie zbaczali (lub by mocno nie zbaczali) z drogi „*postępu*”. Już wtedy, kiedy się to zaczynało, a więc

dużo wcześniej niż powstały terminy „*political correctness*” czy „*nouveau roman*” — Marian Hemar obśmiał ów terror przepysznie:

„Światem rządzi sekretna międzynarodówka agresywnego durnia i nadętego półgłówka, trade union grafomanów, tajna loża bęcwałów, klub ćwierćinteligentów, konfederacja cymbalów, areopag jelőpów, jałowych namaszczeńców, pompatycznych waźniaków, indycznych napuszczeńców.

To oni — sprzymierzeni w powszechnym związku, który rozstrzyga o powodzeniu teatru, literatury.

Gramofonowej płyty, filmu, obrazu, symfonii.

To oni decydują o kulturze, to oni przydzielają posady, stypendia, nagrody, szanse, order, remuneracje, bonusy i awanse.

Samym instynktem głupoty odnajdują się wzajem. Rozumieją się wspólnym językiem i obyczajem,

1 hasłem, które woła z ochotą raźną i rączką: «Kretyni wszystkich krajów, łączcie się!» — więc się łączą. (...)

My skłóceni, więc słabi — durnie zgodni, więc silni.

My się często mylimy — durnie są

nieomylni.

My sceptycy, zbląkani na ziemi i na

niebie — a ONI tak aroganccy

i tacy pewni siebie,

i tacy energiczni, że serce z trwogi mdleje.

Ach, nie znam żadnej rady...

Mam tylko jedną nadzieję.

Żyję tylko tą drobną otuchą i nadzieją, że my umiemy śmiać się.

A durnie — nie umieją.

Kto wie... może po wiekach, kto wie... może w oddali, to jedno przed durniami obroni nas i ocali”.

Fakt — śmiech stanowi bezbłędną broń (znowu muszę zacytować maksymę Kolumbijczyka: „*Wystarczy, że awangarda literacka trochę się postarzeje, i już trudno powstrzymać się na jej widok od śmiechu*”). A bezbłędną karę stanowi zapomnienie — nikt dziś nie czyta Robbe-Grilleta, Drzeżdżona czy ich kolegów równie „*awangardowych*”, dopiero co wychwalanych. Przycichli też trochę (w Polsce i gdzie indziej) apologetci literackich „*eksperymentów*”, żądający nowatorskiej („*postmodernistycznej*”) „*głębi i wieloznaczności*”. Charakterystyczny passus z eseju literata Jerzego Pilcha: „*Liczni współcześni pisarze polscy uważają, że owszem, ich dzieła są niezmiernie, a przynajmniej wystarczająco gęste, wieloznaczne, zagadkowe i ciemne, tylko płytka krytyka tych walorów nie jest w stanie zauważyć i docenić*” („Kultura”, magazyn „Dziennik”, 2009). Otóż to. A czemu? Bo płody naszych dzisiejszych „*nowoczesnych*” są tak miałkie, że nawet salonowi krytycy ręce opuszczają — bronić się

tego za żadną cholereą nie da. Klasyczny przykład to twórczość dwóch literatów: Kuczoka i Shuty'ego. Debiuty obu (zwłaszcza „Gnój” Kuczoka) były przez Salon gromko oklaskiwane, ale później robiło się coraz gorzej — tak źle, że nawet salonowy recenzent, Piotr Kofta, nie zdzierzył: *„Rok 2008 przyniósł dwa dość poważne rozczarowania w polskiej literaturze, oba związane z nazwiskami twórców obwołanych parę lat temu głosem pokolenia. Okazało się, że sama sława zdecydowanie nie wystarcza do napisania przyzwoitej prozy, o czym najboleśniej przekonał się Sławomir Shu- ty, wydając absolutnie niestrawną powieść «Ruchy» — bełkotliwą, rzekomo dekadencją historię seksualno-miłosną, rzecz nieporadną językowo i pustą jak wydmuszka. W przeciwieństwie do Snutego Wojciech Kuczok pisać potrafi, ale nie ma o czym. Wobec tego postanowił napisać o tym, że nie ma o czym pisać. Jego «Senność» niestety działa na czytelnika zgodnie ze swoim tytułem...”* („Kultura” przy „Dzienniku” 2008).

W powyższym cytacie kluczowymi wydają się słowa: *„bełkotliwą, nieporadną językowo”*. Większość bowiem tych pisarzy, co chcą tworzyć literaturę „nowoczesną”, „awangardową” — *„eksperymentuje”* (wydziwia) z językiem. Ze składnią, gramatyką, leksyką, gwarą, grypsersą — ze wszystkim czym się da. Efekty są na ogół katastrofalne i później Salon (przychylni recenzenci) musi się nagim- nastykować, by komentując to nie wyrządzić pupilowi krzywdy. Jak choćby Patrycja Pustkowiak, gdy recenzuje „Dzidzię” Sylwi Chutnik: *„Ale Sylwia Chutnik robi w tej książce inną ciekawą rzecz — szuka nowego języka (...) Stawia na ton ironiczny, czasem zapędzający się nawet w rejony bluźnierstwa, pełno mowy potocznej, miejskiej gwary i współczesnego języka przefiltrowanego przez media. Te zabiegi, ożywcze i kontrowersyjne, zgrabnie latają więc to, co nie do końca wyszło przy kreśleniu obyczajowego tła”* („Kultura”, magazyn

„Dziennika/Gazety Prawnej”, 2010). Komentatorzy niesamolonowi biją dużo ostrzej we wszystkie językowe piruety, co „nie do końca wyszły”. Exemplum Rafał Ziemkiewicz: *„Łatwo zauważyć, że im gorzej pisarz bełkocze, im bardziej lejący się z niego słowotok przypomina biegunkę, tym więcej zbiera recenzenckich pochwał”* („Rzeczpospolita” 2008); *„Jeśli młoda pisarka udatnie wystylizowała knajpiany język dresiarzy i «plastików», albo ktoś wykazał się elementarnym słuchem na mowę potoczną czy język mediów, zachwycano się tak, jakby stylistyka była jedynym sensem literatury, a szyk przestawny jej najwyższym osiągnięciem”* („Rzeczpospolita” 2011). Notabene Ziemkiewicz za praojca pseudoawangardowych tortur dla języka Lechitów uważa Gombrowicza, do którego są rozmodleni wszyscy „nowocześni” literaci, co posługują się *„chachmę- cieniem pokręconą w strukturach narracją, wygibasami języka pełnego nowotworowych wtrąceń i złożzeń, szyków przestawnych i spadających kaskadami przymiotników, uwolnionych z rygorów logicznych zdania, spiętrzanych jedynie przecinkami w zdolne zatopić wszelką treść rozlewiska. Ten wzorzec narzucany jest i narzuca się krytyce, do niego przymierzane są dzieła, podług zgodności z nim rozdawane są punkty i laurki”* („Rzeczpospolita” 2008). Trzy lata później Ziemkiewicz nazwał ów paragombrowiczowski modernizm *„malpowaniem szyków przestawnych Gombrowicza”* tudzież *„rozcieńczaniem Gombrowicza”*, łącznie: *„zwulgaryzowaną palikotyzacją Gombrowicza”* („Rzeczpospolita” 2011).

Również inny znany pisarz, Marek Nowakowski, oceniając literaturę pierwszego dwudziestolecia III RP bardzo surowo, jako chorobę wskazał pseudoawangardowe językowe eksperymenty: *„Rodzą się surogaty literatury. Płaskie, tendencyjne, wypreparowane (...) Umysły i wyobraźnię twórców zaprzętnęło łapczywe chłonięcie i przetwarzanie nowinek intelektualno—artystycznych z Zachodu, wyśmiewanie się z tradycji, burzenie wielu tabu rzekomo hamujących rozwój nowoczesnego człowieka,*

apoteoza laicyzacji, penetracje rozmaitych dewiacji, pogoń za efektowną i bulwersującą formą, skrywającą absolutną pustkę. Modne stały się eksperymenty językowe, budowanie utworu literackiego z rozmaitych zbitek współczesnej nowomowy, slangów ulicy, narzecza stosowanego w korporacjach, żargon polityków, w którym znajduje odbicie chaos pojęciowy, etyczny, zatrata wartości, trywializacja i materializacja życia. Badacze języka nazywają ten nurt nihilizmem epistemologicznym (...) W takim stanie rzeczy o randze osiągnięć artystycznych decyduje medialna reklama i siła kręgów opiniotwórczych, która z niczego potrafi wykrzesać sukces, triumf (...) Twórczość staje się wypadkową pozorów (...) To literatura na niby” („Rzeczpospolita” 2010).

Pytanie: co chcą przede wszystkim osiągnąć eksperymentatorzy uważający się za awangardę literacką? Pieniądze i sławę, czyli kasę i rozgłos? Nie — ich głównym celem (który ma prowadzić do wszystkich pozostałych) jest osiągnięcie absolutnej perfekcji, krystalicznej kunsztowności, brylantowej doskonałości, bezwzględne optimum — stworzenie arcydzieła. Ergo: celują w dziesiątkę. Lecz celowanie w dziesiątkę zazwyczaj prowadzi ku zeru. Ładnie się o tym wypowiedział dla „Guardiana” znany kompozytor, dyrygent, aranżer i pianista, André Previn: „ — *Gdy się celuje w dziesiątkę, można zupełnie nie trafić w tarczę. Wiele razy zdarzyło mi się tak pudłować — chciałem za dużo. Jedyne, co często się udaje, to przeciętność. Los wszakże sprawia, że kiedy nie nadymasz się zbyt mocno, udaje się czasami stworzyć fajną rzecz...*” (2008).

19. Krytyka literacka

W cytowanym wyżej tekście Marka Nowakowskiego autor współwiną za „*literaturę na niby*” (można ją też zwać, drwiąc z politpo-

prawnych: „*literaturą inaczej*”) obarczył „*reklamę medialną i siłę kręgów opiniotwórczych, która z niczego potrafi wykrzesać sukces, triumf*”. Ta druga to krytyka literacka — środowisko recenzentów. Dodajmy wszakże od razu, że te „*wykrzesane sukcesy*” są rynkowe, w kategoriach artystycznych złudne, wątpliwe, czyli doraźne, efemeryczne. Krzysztof Masłoń, omawiając książkę znanego krytyka literackiego, Tomasza Burka („*Niewybaczalne sentymenty*” 2011), słusznie zauważył, iż nawet nietuzinkowi krytycy bywają bezradni, bo pasowanie prozy na arcydzieło przez renomowany autorytet może trafić w próżnię: „*Gdyby krytyk był demiurgiem, czytalibyśmy «Nie wierz nikomu» Stanisława Czycza jak Polska długa i szeroka*” („*Rzeczpospolita*” 2011). Czy ktoś wie kto to jest Czycz?...

Zawód krytyka literackiego (mówię o krytyce z prawdziwego zdarzenia — o tej starającej się być obiektywną) nie jest łatwym fachem. Jest to bowiem profesja wielostronnie uwarunkowana (choć winna być warunkowana tylko smakiem vel gustem, plus erudycją recenzującego). Wojciech J. Podgórski wzmiankuje ten problem w rozprawie „*Poeta, nauczyciel, uczeń*” (2006): „*Trudności obiektywnego widzenia kultury współczesnej biorą się z naszego głębokiego w niej uwikłania: osobistego, światopoglądowego, społecznego, pokoleniowego, regionalnego, wreszcie — kulturowego (...)* Krytyka literacka zbiera więc żniwo wszelkich swych ograniczeń, świadomych bądź nieświadomych, i wszelkiego, programowego lub mimowiednego, subiektywizmu. Na niej spoczywałaby zatem największa odpowiedzialność. Czyż jednak warto mówić o odpowiedzialności przed historią, gdy rzecz dotyczy dnia dzisiejszego, z jego prawami podaży i popytu, z jego polityką wydawniczą, z jego autorytetami, z jego atmosferą rywalizacji i przetargu?”. Dodajmy do tego jeszcze „*prawa*” gry partyjnej, „*atmosferę*” dintojry środowiskowej, „*politykę*” zwykłej

ludzkiej odwagi i „rywalizację” profesjonalnej recenzenckiej biegłości pióra, ilorazu inteligencji tudzież poczucia humoru recenzenta, itp. A gdy mówię o odwadze — trzeba też pamiętać, że istnieje zagrożenie jurysdykcją. Niedawno producent filmu pozwał krytyka (Tomasza Raczka) przed trybunał, żądając horrendalnie wysokiego odszkodowania za negatywną opinię

o filmowym bzdecie, i ten głośny casus uświadomił także literackim recenzentom, że recenzowani mogą się mścić przy pomocy Temidy, co zresztą miało już swój precedens w PRL-u. A.D 1981 Maciej Rybiński stanął przed sądem, bo nazwał pewnego literata grafomanem, i został skazany na 5 tysięcy złotych grzywny (z zamianą na 3 miesiące aresztu), bo powód, wymachując legitymacją Związku Literatów Polskich, upewnił sędzinę, iż jest artystą. Czytająca wyrok sędzina oznajmiła pozwanemu, że jest zbyt młody aby karcić starszych od siebie twórców. Rybiński spytał więc kiedy będzie mu wolno to robić, za co sędzina wlepiła mu dodatkowo 500 złotych „*kary porządkowej*”.

Gdybym ja był sędzią, kary porządkowe wlepiałbym krytykom, którzy lekceważą standardy rzetelnej krytyki. Takich jest wielu. Krytyk literacki z prawdziwego zdarzenia to skarb. Zdjąłem kapelusz, gdy Krzysztof Masłoń, recenzując powieść Dawida Kamagi „*Cięcia*” (2011), gdzie najczęściej (bez ustanku) pada słowo „*chuj*” — jako konkluzję oceny wartości literackiej tego „dzieła” zacytował w ostatnim, puentującym zdaniu recenzji frazę (szczerą deklarację) autora: „*chujnia wychodzi mi najlepiej*”, i zgodził się z tym („Uważam Rze” 2011). Przed laty też miewaliśmy krytyków potrafiących tak celnie punktować:

Wśród najciekawszych (i najbardziej kontrowersyjnych) figur środowiska literackiego doby peerelowskiej czołową rolę grał Artur Sandauer, prozaik i tłumacz, lecz przede wszystkim krytyk literacki i

literaturoznawca. Krytykiem był bardzo drapieżnym, o czym mówi nie tylko jego recenzencki dorobek, ale i jego credo recenzenckie, warte przytoczenia, jeżeli nie wyrycia w kamieniu: „*Krytyka — jak ją pojmuję — nie jest zajęciem dla miłych i uczynnych ludzi. Jest ona bezustanną rezygnacją z dobrych stosunków na rzecz bezlitosnej analizy, jest ofiarą z własnego życia na rzecz prawdy*”. Istotnie, popsuł sobie piórem stosunki z rzeszą literatów, zwłaszcza poetów, którzy mścili się, ganiąc u niego co tylko można, exemplum Stanisław Barańczak flekujący Sandauera następująco: „*Czemu, wytykając (słusznie) płytkość myślową Rudnickiemu, nie zarzucił jej nigdy Dobraczyńskiemu? Czemu, piętnując (bez sensu) rzekomy antysemityzm Strykowskiemu, nie dostrzegł całkiem autentycznego antysemityzmu w Stanisławie Ryszardzie Dobrowolskim? Czemu, atakując (znowu nie bez racji) niekonsekwencje «przełomów» ideologicznych Ważyka, nie dostrzegł tego samego zjawiska u Zukrowskiego? Czemu, pisząc (znowu bez sensu) o «wtórności» Herberta i «błędach językowych» Grochowiaka, nie wytknął wtórności Bohdanowi Drozdowskiemu i nie dostrzegł błędów językowych u Bratnego, Sokorskiego, Gaworskiego, Machejka, Kabatca? Rozkład sympatii i antypatii Sandauera nie ma nic wspólnego z gustem literackim i troską o literacką jakość. Jest w nim natomiast konsekwencja innego rodzaju: żelazna konsekwencja jednostronności. Konsekwencja całkiem pozaliterackiej strategii, która, stanowiąc rzekomo wyzwanie rzucone «układom», sama staje się tych «układów» elementem i narzędziem. Jeśli nawet nasz weredyk wygłasza jakieś nieprzyjemne oceny, to — jak zepsuty megafon — wygłasza je donośnie i zapalczywie, ale tylko w jedną stronę*” („Kultura” paryska nr 10/1982).

Subiektywizm nie może być wszelako uważany za grzech krytyka, chyba że jest to subiektywizm klanowy (partyjny, środowiskowy, sitwowy), gdyż stuprocentowy obiektywizm nie istnieje, podobnie jak

stuprocentowy spirytus. Trzy — moim zdaniem (choć pewnie nie tylko moim) — zasadnicze wady złego krytyka literatury to:

1. Kompleks niespełnionych literatów.
2. Żurnalizacja (alias „*felietonizacja*”) krytyki literackiej.
3. Koteryjność, czyli frakcyjna (alias mafijna) interesowność krytyki literackiej.

Przyjrzyjmy się kolejno każdemu z tych grzechów:

Marian Hemar w swym „**Wstępie do bajek**” (1919) wyliczył/wy-mienił baśniowe, nieziszczalne marzenia, ergo: niemożliwości, między innymi: karanie skorumpowanych urzędników, miłość edytorów do autorów, godziwe pensje dla nauczycieli, tanie komfortowe mieszkania, codzienną czystość ulic, itp. Wśród tych rojeń znalazło się i takie: „*Był krytyk teatralny bez autorskiej weny*”. Celne trafienie, wszelacy bowiem recenzenci (teatralni, literaccy itp.) sami mają się za literatów. Nicolás Gómez Dávila rzekł o tym jak zwykle słusznie i lapidarnie: „*U krytyków literackich najgorsze jest to, że wielu z nich uważa się za pisarzy*” („*Nuevos escolios*” 1986).

I jeszcze bardzo mądre zdanie reżysera i pisarza, Andrzeja Żuławskiego: „*Tylko pisarz może być krytykiem literackim, a tylko pisarz nie powinien nim być*” („*Nocnik*” 2010). Summa summarum: gdy krytyk literacki potrafi wzniesić się nad swój kompleks wobec pisarzy, nad swoje przekonanie wewnętrzne, że umie władać piórem lepiej niż pisarz, czyli że tworzyłby lepszą poezję bądź prozę — to recenzja ma szansę być werdyktem obiektywnym.

Z kolei żumalizacja krytyki literackiej jest gangreną ostatnich dekad. Dawniej istniał klarowny podział ról: dziennikarz był żurnalistą (publicystą, newsowcem, reporterem itd.), a krytyk literacki recenzował literackie dzieła. Naraz jednak dziennikarze uznali, że sami mogą ferować

werdykty literackie, wskutek czego dzisiaj medialnie recenzuje literaturę każdy komu przychodzi chętka. Poeta Julian Komhauser wiąże to zjawisko głównie z erupcją tzw. „*młodej literatury*” po obaleniu PRL-u, czyli po roku 1989: *„Dziennikarze przejęli rolę krytyków literackich, którzy nagle zniknęli z powierzchni ziemi. Dzięki ich zapobiegliwości z dnia na dzień wykreowano gwiazdy literackie. Wszystko przypominało zawody sportowe: na mecie czekało podium z wypisanymi miejscami dla zwycięzców. Kim są zwycięzcy tego dziwnego rankingu? Najbardziej utalentowani, a może najpoczytniejsi? Nie sądzę, żeby w grę wchodziły te same kategorie, wszak trudno przypuścić, że dziennikarze przeczytali całą bieżącą produkcję literacką. Zadziałało prawo reakcji łańcuchowej: ktoś powiedział, że X jest najlepszy, w takim razie i my to powtórzymy. W ten sposób, idąc po linii najmniejszego oporu, nie wnikając w szczegóły i nie troszcząc się o fakty, zbudowano sztuczną hierarchię (...) Obraz młodej literatury został wykreowany, a tym samym zafalszowany przez dziennikarzy, zresztą najczęściej z tego samego pokolenia. Więcej w ich enuncjacjach dobrego samopoczucia niż zdrowego rozsądku (...) Nigdy wcześniej nie spotkałem się z sytuacją, aby autora jednej książki kreowano, poprzez masowe wywiady i entuzjastyczne omówienia, na jakąś niebotyczną wielkość, choć on sam — mimo bezspornego talentu — niewiele najczęściej ma do powiedzenia, poza irracjonalnymi oskarżeniami nieco starszych pisarzy o indolencję twórczą”* („Tygodnik Powszechny” 1995).

Wypowiedź Komhausera to głos sprzed kilkunastu lat, trzeba tedy przywołać głosy świeższe, bo nic się nie zmieniło — żumaliza- cja krytyki literackiej rozwija się galopująco. Pisarz i krytyk Jarosław Klejnocki nazwał ją (esej pt. **„Lobbyści i felietoniści w szponach profitariatu”**) *„felietonizacją krytyki literackiej”*, pisząc: *„Felieton, gatunek niejako programowo zakładający dezynwolturę autora, zastępuje*

teraz szkic, esej czy rzetelną krytycznoliteracką rozprawę. Jednoznacznie kreuje zwycięzców, bezdyskusyjnie naznacza pokonanych. Oddala warunek odpowiedzialności za słowa. Jego bronią jest agresja (choćby przywdziewająca maskę ironii), niekoniecznie zaś wartość interpretacyjnych rozpoznań” (tom „Literatura w czasach zarazy” 2006). Krytyk Piotr Kofta wyraził identyczne zdanie, tak samo jak Klejnocki bolejąc „*nad upadkiem profesjonalnego dyskursu o literaturze, upadkiem związanym z ogólną degrengoladą i mcdonaldyzacją prasy kulturalnej*” („Kultura” przy „Dzienniku” 2009). Pamiętać wszakże należy i to, że lepsza uczciwa recenzja literacka spod pióra niefachowca (np. dziennikarza), aniżeli nieuczciwa (stronnicza) spod pióra krytyka literackiego, który realizuje dyrektywy partii lub koterii. Wspomniany przez Kom- hausera wysyp (po roku 1989) dziennikarzy zastępujących krytyków nie był zresztą dziełem przypadku czy tylko wszechstronnej kulturowej „*wolnoamerykanki*” III RP, lecz dziełem rozprowadzających z „*różowego*” kulturowego Salonu, którzy chwycili stery kapitańskie i batuty dyrygenckie III RP. Tu dochodzimy do kolejnego grzechu dzisiejszych arbitrów literackich — do ich służebności wobec bos- sów- oligarchów, a więc do koteryjności, frakcyjności, sitwowości krytyki literackiej:

Mieszkający w Stanach pisarz Henryk Skwarczyński udzielając „*Rzeczypospolitej*” wywiadu stwierdził, że trzeba wreszcie napisać „*historię literatury polskiej po roku 1989, nacechowanej nagłaśnianiami przez wpływowe media mieliznami, po których brodzą coraz mniej wymagający czytelnicy*” (2009). Ten przytyk pod adresem nieuczciwej i niekompetentnej krytyki literackiej współgra z wypowiedzią głośnego specja od reklamy i PR (promował kilku znanych rodzimych dostojników) Jacquesa Seguela: „, —*Ach, ci wszyscy ludzie pozbawieni talentu! Nigdy*

byśmy o nich nie usłyszeli, gdyby nie lansowali ich ludzie pozbawieni smaku” (2007). Czy tylko smaku? Czy również kręgosłupa? Zbyt wielu rodzimych jurorów biega na smyczy i przynosi „panu” rzuconą kość, bo dobrze ich „ułożono Tomasz Burek: *„Nasza ułożona jak trzeba krytyka lewituje bez zastanowienia. Ta krytyka ma oczy szeroko zamknięte”* („Gazeta Polska” 2000). Rozzłoszczony Rafał Ziemkiewicz nazwał ten stan rzeczy „litbraderyzacją”: *„Niech Państwo zwróć uwagę: skutek i przyczyna zostały odwrócone. Nie jest się pisarzem dlatego, że się ma do napisania coś ciekawego. Pisarzem zostaje ten, kogo media owołają pisarzem. A kiedy już nim zostanie, każda brednia i najbardziej nawet żaloszny banał, jaki wygłosi, uznany będzie za ciekawy. W dawnych czasach pisarz zyskiwał rozgłos, kiedy jego książka sprzedawała się w wysokim nakładzie albo zyskała pochlebne opinie liczących się krytyków. Dzisiaj książka sprzedaje się, a krytycy, czy raczej podszywający się pod to miano wyrobownicy mediów, zaczynają się zachwycać, kiedy pisarz zyska rozgłos. Działa to dokładnie według tych samych mechanizmów co telewizyjny «Big Brother». Weź grupę najzupełniej przeciętnych ludzi i każ im opowiadać rzeczy, które może powiedzieć każdy: co sądzą o życiu, co im się przydarzyło, co jedli na śniadanie. Rozreklamuj to odpowiednio, nadmij, a znajdziesz krocie odbiorców, którzy tych wynurzeń będą słuchać z zapartym tchem, wierząc, że obcuje z osobami ważnymi, bo pokazywanymi w telewizji (...) Polskie życie literackie od pstro- kacizny kolorowych pisemek różni tylko tak zwany target. Frytka i Ken, w odróżnieniu od Andermana i Pilcha, epatować mają widownię bez inteligentnych pretensji. Przestańmy, proszę, pisać, że w Polsce jest jakiś literacki salon. W Polsce jest tylko literacki bigbrader, w skrócie: Lit-brader” („Frajerzy” 2003).*

Ziemkiewicz broni więc dosyć popularnej tezy, że literackie wydumuszki osiągają sukces dzięki zmasowanej promocji w wykonaniu zblatowanych recenzentów, pracujących dla zgniłych mediów, które

wykonują polecenia złowrogich centrów. Ta piętrowa „*teoria spiskowa*” jest słuszna (czyli nie jest teorią, lecz praktyką), chociaż — jak zazwyczaj — bywają wyjątki potwierdzające regułę. W ogóle stajemy tu przed problemem, który Wojciech J. Podgórski ujął tak: „*Złudny problem oddziaływania autorytetów. Wiele sądów historii literatury ma jedynie moc obowiązującą w kręgu wtajemniczonych. Czy pochwała bądź nagana krytyka-literaturoznawcy może wywrzeć wpływ na odbiorców literatury?*” („*Poeta, nauczyciel, uczeń*” 2006). Może, zwłaszcza w czasie bieżącym (w historii literatury rolę grają też inne mechanizmy), bo bieżąca reklama jest przysłowiową „*dźwignią handlu*”. Piszę to z sardonicznym uśmiechkiem, gdyż zupełnie obywam się bez reklamy czy promocji i nie narzekam na liczbę sprzedawanych egzemplarzy moich książek. Marcin Wolski: „*Łysiak jest niereklamowany, niepokazywany, nienagłaśniany, ba, nawet z rzadka atakowany, bo to też reklama. A jednak sprzedaje się świetnie, zaś jakość jego produkcji sprawia, że ludzie się go domagają*” („*Niezależna Gazeta Polska/Nowe Państwo*” 2011). Rafała Ziemkiewicza już dużo wcześniej niepomrotnie to dziwiło: „ — *W czasach, gdy nawet chrupiących bułeczek nie da się sprzedać bez odpowiedniej kampanii reklamowej, każda książka Łysiaka, od lat konsekwentnie zamilczanego, z punktu staje się bestsellerem. Bez recenzji, bez promocyjnych wywiadów, nawet bez informacji, iż rzecz się ukazała. Jest to fenomen...*” („*Kultura i Biznes*” 2004).

Fakt, że bez recenzji, bo co prawda czasami antysalonowe media recenzują jakąś moją książkę, lecz zawsze wyprzedza te recenzje doskonała sprzedaż, więc nie one napędzają popyt. Przykłady to choćby historyczny esej „*Talleyrand*” lub powieść „*Ostatnia kohorta*”. Najpierw zajął „*Talleyrand*” na liście bestsellerów roku 2007 („*Rzeczpospolita*”) miejsce siódme w kategorii „*Literatura faktu*” (na tej

samej liście drugie miejsce w kategorii „*Literatura polska*” zajęła moja powieść „*Najgorszy*”), a dopiero później zaczęły się ukazywać entuzjastyczne recenzje — roku 2008 dwie (Bohdan Urbankowski w „*Niezależnej Gazecie Polskiej*” i Marek Baterowicz w „*Kultura i Biznes*”); roku 2010 jedna (Marcin Wolski w „*Gazecie Polskiej*”); roku 2011 też jedna (Krzysztof Mas- łoś w „*Rzeczypospolitej*”). „*Ostatnia kohorta*” była trzecia na liście bestsellerów grudnia 2005, a dopiero potem ukazała się recenzja Marcina Wolskiego („*Gazeta Polska*”), który określił tę dwu- tomówkę mianem „*wspaniała powieść*”. Notabene: „*Ostatnia kohorta*” zajęła piąte miejsce na liście bestsellerów roku 2005, mimo że sprzedawano ją w tamtym roku jedynie przez kilka ostatnich tygodni (trafiła do księgarń 24-XI-2005)! Jeszcze półtora roku po ukazaniu się robiła furorę — zajęła szóste miejsce na liście bestsellerów „*Rzeczypospolitej*” za pierwsze półrocze 2007! Recenzji miała tyle, co kot napłakał, prawie nic. A więc to nie one decydowały.

Jakie przyczyny decydują, iż generalnie rzecz biorąc: pisarze nie lubią (albo wprost nienawidzą) literackich krytyków i w ogóle prasowych recenzentów? Czy to zwykła ludzka złość, bo jakaś recenzja (jedna, druga, trzecia) była surowa lub szydercza? Czy może jest to rodzaj niechęci międzygatunkowej, której gmach ma fundamenty psychologiczne? Zjawisko zna cały glob, a tradycja tego zjawiska sięga starożytnych czasów. Pisarze wielu krajów uważają, że krytycy/recenzenci są ludźmi tak płaskiego formatu jakby jedli tylko naleśniki, a gdy zapytać czy z wiekiem zmądrzeją, pada odpowiedź: — Na pewno, z wiekiem trumny. Noblista Ernest Hemingway, autor diagnozy: „*krytycy śmierdzą jak pot pod pachami*”, prosił „*Boga lub Naturę*” o jakąś straszną epidemię rzuconą na krytyków i recenzentów — o nieuleczalną chorobę, która dotknie ich wszystkich bez wyjątku. Gdy „*postępowi*” krytycy polscy lansowali

modernistyczny „*drzeżdżonizm*” (dekada Gierka) — tradycyjny pisarz Adolf Rudnicki klął, że najmodniejszym kierunkiem w literaturze polskiej jest miażdżenie i niszczenie autorów.

Dzisiaj niejeden z autorów też tak uważa, lecz mało który odważa się piętnować krytyków. A już zwłaszcza gromić ich ostro. Najostrzejsze, jakie znam, wystąpienie przeciwko krytykom literackim zostało sformułowane w „Hustlerze” (bo prawdopodobnie nigdzie indziej nie chciano by opublikować tak drastycznego rąbnięcia). Jest to wywiad z publicystą i prozaikiem Piotrem Giedrowiczem („Bessa-Lala”), który mówi m.in.: „ — *Stanie w poczekalni sławy nasunęło mi pomysł, żeby napisać coś w rodzaju «Miazgi» Andrzejewskiego, a będzie to powieść zatytułowana «Cwele», której bohaterami uczynię krytyków literackich (...)* *W ciągu ostatnich lat przekonałem się, że jedną z najbardziej skorumpowanych grup branżowo-zawodowych w Polsce jest grupa krytyków literackich. Chętnie piszą tylko o swoich koleśkach, natomiast o innych autorach albo za pieniądze, albo za seks lub dla innych korzyści. Niekiedy młode pisarki, te wyglądające na sierotki początkujące poetki o wielkich oczach i tajemniczych uśmiechach, chcąc mieć jakiegokolwiek szansę na sukces, muszą najpierw porządnie się napracować ustami i językiem. Czasami dopiero jak zrobią np. loda któremuś z decydentów, którzy trzęsą półświatkiem krytyki literackiej, mogą liczyć na przychyłność i ewentualną pomoc w lansowaniu książeczki. Znam parę takich przypadków. Jak masz pisemko, choćby nawet niskonakładowy tytułek, to łaszą się do ciebie różne osoby i to obojga płci. Krytyka literacka jest jak handel narkotykami, a środowisko krytyków przypomina środowisko dilerów w relacji z policją, gdzie jedni mają pozwolenie na handel dużymi ilościami dragów i nie ponoszą żadnych konsekwencji, a inni za jedną działkę idą do pierdła. Ktoś wydaje bzdet, ale ma od razu recenzję w «Gazecie Wyborczej», «Rzeczpospolitej» i «Polityce», a arcydzieła przechodzą bokiem*

niezauważone i nikomu nie zależy na ich wyłowieniu i popularyzowaniu. Prawica lansuje prawicowców, a «Gazeta Wyborcza» ma swoich pupili» (2006).

To ostatnie zdanie jest bezwzględnie prawdziwe: wojna „*różowego*” vel „*micznikowskiego*” Salonu III RP z „białogwardyjskim” Antysalonem III RP jest nad Wisłą faktem już ponad dwudziestoletnim i krytyka literacka ma w tym swój duży udział. Że jest to walka bardzo nierówna, wzmiankowałem na kartach niniejszej książki parę razy, a nierówność tę łatwo określić matematycznie, nie tylko wymieniając nazwy głównych telewizji (A.D. 2012 wszystkie duże stacje, co do jednej), lecz także wyliczając tytuły wpływowych pism Salonu i Antysalonu zamieszczających recenzje. Antysalono- we gazety wykruszały się w boju jedna po drugiej (kilka tytułów padło, m.in. „Spotkania”), inne zmieniały front („Wprost” przeszło z Antysalonu do Salonu firmowanego przez osławionego Tomasza Lisa), a „Tygodnik Solidarność”, który w ostatnich latach XX wieku był świetnym pismem polityczno-kulturalnym (z okazji 30-lecia „Tysola” rocznicowym artykułem na łamach „Rzeczypospolitej” podkreślano: „*Drukowali tam Zbigniew Herbert, Waldemar Łysiak i Jarosław Marek Rymkiewicz*”, 2011), stał się biuletynem związkowym li tylko. Recenzenci są dzisiaj harcownikami dwóch walczących stron konfliktu. Przykładów można wskazać mnóstwo, tak osobowych (dla prawicowych komentatorów Łysiak to „*wielki pisarz*”, „*największy współczesny twórca*”, „*literacki geniusz*” itp., a dla salonowców to „*trzeciorzędny grafoman*”, „*Lepper polskiej literatury*”, „*literacki poziom froterki*”, itp.), jak i woluminowych (konkretnych tytułów). Weźmy pierwszy z brzegu, biografię świetnego satyryka/aktora, Jerzego Dobrowolskiego, pt. „Dla mnie bomba” (2009), napisaną przez Romana Dziewońskiego (syna sławnego „*Dudka*”). Kontrsalonowa „Gazeta

Polska” chwaliła tę pracę, zaś salonowa „Kultura” (magazyn „Dziennika”) określiła ją (piórem Magdaleny Michalskiej) jako zwykłe grafomaństwo („*niezgrabne*”, „*wołające o pomstę do nieba*”, „*stylistycznie koślawe*” itp.). Michalska dała recenzji tytuł parafrazujący („Dla mnie... niewypał”) i spuentowała tekst morderczo: „**«Dla mnie bomba» to dowód na to, że człowiek zbyt przejęty sobą nie powinien brać się za portretowanie wielkiego ironisty**” (2009).

Ciekawostka: wojna Salonu z Antysalonem (i vice versa) — tak dobrze obserwowalna w werdyktach dotyczących literatury — w ocenach dzieł filmowych jakby się rozmywa, lub raczej nie istnieje prawie wcale. Werdykty speców od filmów mogą być wkurzające, gdy na przykład ci, co redagują tygodniowy program telewizyjny, przydzielają „*pedalskiemu*” filmowi Anga Lee „Tajemnica Brokeback Mountain” (2005) więcej gwiazdek niż genialnemu „Apocalyp- to” (2006) Mela Gibsona — wszelako recenzje filmów nie różnią się tak drastycznie jak recenzje produktów literackich. Ludzie z jednej strony barykady, z tego samego obozu, wypowiadają się diametralnie odmiennie gdy wyceniają robotę filmową. Przykładem głośny „Rewers” Borysa Lankosza: Hanna Bakuła uznała go za perełkę, a Barbarę Hoff za „*całkowite nieporozumienie*” („Przegląd” 2010). Podobnie „Wojna polsko-ruska” wychwalana (i książka Doroty Masłowskiej, i film Xawerego Żuławskiego) przez jednych jako ósmy cud świata, a przez innych — także salonowców — uznana za kompletne „*shit*”\ w salonowej było nie było „Angorze” Beata Klaps rozjechała oba utwory: „**Mamy do czynienia z rzadkim gównem, niezależnie od tego, w jakiej formie jest podawane: literackiej czy filmowej (...) Belkot, bezmiar infantylnych bredni, arcypre- tensjonalne pieprzenie po próżnicy**” (2009). Trzech autorów salonowego „Newsweeka” (Lech Kurpiewski, Filip Łobodziński, Robert Ziębiński)

wskazało chore wzajemne relacje rodzimej literatury i rodzimego filmu, dowodząc dużym analitycznym tekstem jak fatalne były współczesne polskie filmy robione na bazie współczesnej polskiej prozy, vulgo: iż z plew nie da się zrobić smacznego chleba: „... *tym szerszym tukiem omijają nasi filmowcy polską prozę współczesną. Pamiętają, że sparzyli się na niej mistrzowie. Chociażby Andrzej Wajda, który adaptacji «Panny Nikt» Tomka Tryzny z pewnością nie może zaliczyć do dzieł udanych. Podobnie Wojciech Marczewski, który przenosząc na ekran «Weisera Dawidka» Pawła Huellego, nakręcił jeden z najbardziej nijakich filmów w karierze. Nie lepiej też poszło w swoim czasie Jerzemu Stuhrowi ze «Spisem cudzołożnic» Jerzego Pilcha. Tak to w środowisku filmowców zaczęło się ucierać przekonanie, że polski film nie będzie miał pożytku z polskiej prozy, bo nie ma w niej dialogów do wypowiedzania na głos, ani atrakcyjnych historii, które dałyby się przełożyć na filmową akcję. Coś na rzeczy pewnie jest...*” (2011).

Zupełnie nie mogłem zrozumieć co jest na rzeczy, gdy salonowy „Newsweek”, piórem Filipa Łobodzińskiego, zakrzyknął całkowicie niesalonowo, druzgocząc — jako pierwszy w Polsce — nimb twórczości Krzysztofa Kieślowskiego. Łobodziński (brawa za odwagę!) wyraźnie deklarował, że „*przekłuwa balon*”, a zaczął przekłuwać tak: „*Ilekoć w rozmowie ze znajomymi pojawia się temat Kieślowskiego, tylekoć słyszę to samo: wiedzą, że wielkim reżyserem był, ale oglądać nie mają ochoty, bo uważają to za stratę czasu. Lecz głośno nikt tego nie powie*” (2011).

Łobodziński tedy głośno mówi, że Kieślowski „*nie zachwyca, nie porusza, ale irytuje lub, co gorsza, nudzi*”, bo jego filmy są po prostu kiepskie („*nudne i wyrachowane*”, „*pretensjonalnie minoderyjne*”, „*pseudometafizyczne*”, „*zmanierowane piły*”, „*rozprawy filozoficzne dla ubogich*”, itd., itp.). To samo zarzucał Kieślowskiemu przywołany przez

„Newsweeka” wybitny japoński pisarz Kazuo Ishiguro, który jako juror festiwalu filmowego w Cannes dał, razem z całą paczką jurorów, rekuze forowanemu przez francuski Salon dziełu Polaka. I dokładnie to samo — używając tych samych sformułowań — można zarzucić scenariuszowej prozie Krzysztofa Piesiewicza (według której Kieślowski kręcił), człowieka, co robił z siebie superautorytet moralny, cichcem wciągając zrolowanym banknotem „cukier puder” (twierdził, że medykamenty sproszkowane) ubrany w damskie łaszki golasowato. Istotnie, coś chyba jest na rzeczy między kamerą, literaturą i krytyką u nas. Nikt inny, tylko salonowi krytycy wypromowali pseu- dofilozofa na półboga, geniusza tout court.

20. Pisarstwo niepisarzy

Do zrobienia z siebie pajaca służą różne drogi, na przykład Stefan Niesiołowski wykorzystał w tym celu swoją pchłą szachrajkę (czy też muszkę owocówkę lub inną glistę, wszystko jedno), Ludwik Dom swoją sukę Sabę, a Jan Maria Rokita swą żonę Nelly. Wielu wszakże znanych ludzi używa do tego celu pióra literata; wspomniany Dorn jest tu także przykładem, pisuje bajki (bajki pisuje też redaktor Tomasz Sakiewicz, szef „Gazety Polskiej”, zresztą nie on jeden). Inaczej mówiąc: pisarstwem zajmują się nie tylko pisarze ergo literaci. Książki własnego autorstwa wydaje kto chce, funkcjonariusze rozmaitych branż, i na ogół są to błędy życiowe dużego kalibru, gdyż ci ludzie umieją rozmaite rzeczy, ale poprawnie bądź mądrze i ciekawie pisać nie umieją. Stąd filozof Nicolas Gó- mez Davila kpił: *„Wiele osób publicznych, dopóki nie popelni tej nieostrożności i nie sięgnie po pióro, uchodzi za inteligentne”*. A dalej puentował: *„Są różne sposoby dobrego pisania, lecz wszystko co źle napisane — jest podobne do siebie bliźniaczo”* (1986).

Istnieje proceder literacki oparty na istnieniu literackiej profesji „*murzynów*”. Czyli pomagierów, którzy piszą co trzeba za kogoś, kto pisać nie umie lub nie chce. Z „*murzynów*” korzystał sam wielki Aleksander Dumas-ojciec (notabene — nomen omen — wnuk Murzynki), bo dzięki popularności swych romansów miał zbyt dużo zamówień, więc wzorem Rubensa (który, by opędzić wszystkie zamówienia, utworzył „fabrykę” malarską, gdzie współpracownicy produkowali hektary „*rubensów*”) podpisywał swym nazwiskiem produkty angażowanych przezeń wyrobników pióra, dając im wcześniej wskazówki co do treści i rozwoju akcji. Dzisiaj „*murzyni*” akademicy piszą tysiące magisteriów i doktoratów dla nieuków — ten tryb zdobywania stopni naukowych (plus kupowanie dyplomów, m.in. przez internet) zupełnie je zdewaluował. Literatura piękna i (głównie) pamiętnikarska również powstaje dziś często dzięki taśmowej pracy „*murzynów*”. Taki zawodowy „*ghostwriter*” (autor widmo), François Forestier (krytyk filmowy, który rocznie płodzi około 10 książek dla tych, co go najmują), opublikował w „Le Nouvel Observateur” felieton wspominkowy. Wyznał tam, że pisze dla analfabetów („*zamieniam ich melancholię na gramatykę*”), aktorów, pilotów, biznesmenów, polityków, ekonomistów, stylistów czy futbolistów (pewnemu piłkarzowi trzeba było też zrobić ściągawkę, bo kopacza zaproszono do telewizji, gdzie miał mówić o „swej” książce, której nigdy nie przeczytał). Ale — co szczególnie ciekawe — Forestiera wynajmują także zawodowcy, których ogarnęła impotencja twórcza: „

Wśród moich klientów są poeci, powieścio- pisarze, eseści, którzy akurat mają z pisaniem kłopot. Cóż, wyciągam do nich pomocną dłoń, klient nasz pan" (2011).

Gdy mowa o nieprofesjonalistach (ludziach uprawiających inny zawód, jednak pragnących uprawiać pisarstwo), którzy wydają książki pod swoim nazwiskiem — myślimy przede wszystkim o politykach. I nie bez racji; Mariusz Urbanek: „*Coraz więcej polityków pisze. Już nie tylko przemówienia i donosy na przeciwników politycznych, ale także książki*” („Odra” 2009). Złośliwcy (zwłaszcza „*antyklerykalni*”) szydzą, że motorem jest ten sam literacki i aktorski kompleks, który kazał papieżowi Wojtyłe lansować swoje poezje i dramaty, tak jakby waga sprawowanego urzędu nie wystarczała, ale puśćmy to mimo uszu i skupmy się na politykach kalibru mniejszego. Ich pisarstwo jest, rzecz prosta, bardzo upolitycznione, lecz powiedzmy sobie szczerze: kiedy polskie pisarstwo upolitycznione nie było? Emigracyjny prozaik i krytyk literacki, Jan Bielatowicz, kilkadziesiąt lat temu słusznie pisał: „*Talent beletrystyczny winien jak najbardziej stronić od polityki, zaś publicystyczny od beletrystyki*”, ale „*literatura polska była zawsze, i pozostała, przesycona polityką*”. I tłumaczył, że to zadawniona sarmacka tradycja: „*Literatura polska od samych początków aż po dzień dzisiejszy posiadała niemal nieprzerwanie charakter polityczny, na skalę niespotykaną u innych narodów. Historia literatury polskiej uznała ogrom dzieł publicystycznych za arcydzieła sztuki pisarskiej. Dość wspomnieć Kadłubka i Długosza (to*

byli historycy-publicyści), Modrzewskiego i Orzechowskiego, Hozjusza i Kromera, księdza Skargę, Górnickiego, Lubomirskiego, Opalińskiego i Leszczyńskiego, a po utracie niepodległości Staszica, Kollątaja, Mochnackiego. Dopiero pod koniec XIX stulecia pisarze nasi zaczęli przestrzegać granicy między piśmiennictwem pięknym (beletrystyką) a politycznym (publicystyką). Jeszcze w czasach romantyzmu poezja i dramaty przepojone były problematyką polityczną (żeby wspomnieć «Dziady»), a potem powieść polska stawiała ochoczo do służby publicznej (...)

— każdy pisarz polski uważał za elementarny obowiązek służyć ojczyźnie przynajmniej piórem. Te dobre chęci na ogół nie wychodziły na dobre ani literaturze, ani polityce..." (cytat z przedruku w „Literaturze na emigracji” 1998).

Dzisiejsi przywiślańscy politycy rwą się do pisania literatury jak niedźwiedzie do miodu. Michał Kamiński (frontman PiS-u, a później PJN-u) oznajmia: „ — *Marzę o tym, żeby pisać kryminały. Jeden już nawet zacząłem. To kryminał polityczny*” („Wprost” 2009). Kazimierz Kutz (niegdyś zacięty ujadacz Platformy Obywatelskiej, dziś wspiera Ruch Palikota) to samo: „ — *Być może przekształcę się z reżysera w pisarza*” („Wprost” 2010). Z jakiego reżysera? Reżyserem już dawno przestał być, odkąd został politykiem (sejmowym), czy raczej politykiem, reżyserem politycznych hucp, partyjnym propagandystą, rekordowo pokręconym członkiem rodzimej politycznej menażerii. Ozdoba tej menażerii (jeszcze bardziej niechlubna), Janusz Palikot, miał deklarować, że zostanie

pisarzem

— pisze i wydaje własne książki zupełnie bez wstydu. W jednej z nich, zatytułowanej „Pop-polityka” (2009), recenzujący ją Michał Karnowski szukał śladów myśli: *„Jakiś ślad myśli? (...) Owszem, ale tylko ślad. Tak wąty i belkotliwie wyrażony, że budzący skojarzenia z literaturą pisaną przez nastolatki. Z natury swej gra- fomańską i skierowaną na pokręconą analizę własnego ja, zazwyczaj przewrażliwioną i nielogiczną (...) Palikot tak bezwstydnie, że aż śmiesznie, snuje wizje własnej wielkości, opluwając jednocześnie dorobek wszystkich przeciwników (...) Trudno o bardziej złośliwy, grafomański i demaskatorski autoportret. Bo choć napis na okładce tej kiepskiej książki reklamuje ją jako «wyzwanie rzucone polskiej powierzchowności, łatwo przyjętemu konsumpcjonizmowi i wtór- ności, trywialnemu naśladownictwu i duchowej płaskości» — to w rzeczywistości jest wszystkich tych cech potwierdzeniem i obnażeniem. U autora właśnie”* („Magazyn DZIENNIKA” 2009).

Hitem pierwszego dwudziestolecia III Rzeczypospolitej nie było wszakże piarstwo publicystyczne rodzimych polityków, jak chociażby płody europośła Ryszarda Czarneckiego (primo voto ZChN, secundo voto Samoobrona, tertio voto PiS) czy jemu podobnych — lecz piarstwo beletrystyczne rodzimych żurnalistów. Mnóstwo znanych dziennikarzy, głównie politycznych komentatorów (publicystów), aczkolwiek zdarzał się i recenzent kulturowy (na przykład krytyk filmowy), i reporter sportowy — rozpoczęło flirt z literaturą piękną. Jakby mieli kompleks

nizszości publicystyki i dziennikarstwa, uważając, iż w królestwie machania piórem (laptopem raczej) proza (nie licząc poezji) jest monarchinią. Więc postanowili zostać pisarzami pełną gębą, autorami tzw. literatury pięknej. Prawie wszyscy znani (do kompletu brakuje Olejnik, Lisa, Semki, Karnowskich i paru innych, którzy zresztą prędzej czy później również zechcą się nobilitować powieścią). Niektórzy trzasnęli już kilka powieści, lecz ja, prezentując niżej listę osobową (alfabetycznie, by nikt się nie czuł urażony), wymienię tylko po jednym beletrystycznym tytule przy każdym nazwisku, dla smaku. Lista jest oczywiście mocno niekompletna, ale moja książka to nie kompendium sejentyczne — tych kilkanaście nazwisk też rzucam ino dla smaku: Marek Barański („Nogi Pana Boga”), Czesław Bielecki („Scenarzysta”), Andrzej Horubała („Farciarz”), Aleksandra Jakubowska („Najpiękniejsza”), Michał Komar („Wtajemniczeni”), Paweł Lisicki („Przerwa w pracy”), Cezary Michalski („Gorzkie światy”), Grzegorz Miecugow („Przypadek”), Maciej Parowski („Twarzą ku ziemi”), Sebastian Reńca („Z cienia”), Maciej Rybiński („Bruderszaft z Belzebubem”), Tomasz Terlikowski („Operacja «Chusta»”), Bronisław Wildstein („Dolina nicości”), Piotr Zaremba („Romans licealny”), Wojciech Zawioła („Jest takie miejsce”), Robert Ziębiński („Dżentelmen”).

Otakich literatach (konkretnie o Kazimierzu Koźniewskim) antykomunistyczny szyderca Leopold Tyrmand pisał w swym diariuszu: **„Doskonały dziennikarz, który ubrdał sobie, że jest pisarzem, zwłaszcza**

powieści” („Dziennik 1954”). A o literaturze pisanej przez rasowych publicystów wypowiedziała się bardzo celnie 82-letnia matka „*Kaczorów*”, Jadwiga Kaczyńska: „ — *Wydaje mi się, że literatura lat ostatnich jest mało literacka...*” („Wprost” 2010). To fakt — zbyt wiele powieści pachnie nie beletrystyką, ino publicystyką (kłania się znowu mój ulubiony Kolumbijczyk, Nicolas Gómez Davila: „*W literaturze dzisiaj się rozprawia, rzadko pisze*”), do tego stopnia, iż Andrzej Waśko dał esejowi o takim rodzaju pisarstwa tytuł: „Publicystyka to czy literatura?” („Niezależna Gazeta Polska/Nowe Państwo” 2012). Przy czym to upublicyśczenie beletrystyki (zbyt mała zawartość prozy w prozie) dotyczy nie jedynie powieści pisanych przez publicystów, lecz i powieści pisanych przez prozaików-modemistów. Recenzenci wytykają to autorom (i beletryzującym dziennikarzom, i żumalizującym beletrystom) bez pardonu. Nawet salonowcy salonowcom, gdy rzecz jest zupełnym (rażącym) badziewiem. Piotr Kofta o „Przypadku” Grzegorza Miecugowa: „*Znany dziennikarz, Grzegorz Miecugow, zadebiutował jako prozaik. Niestety, jego «Przypadek» jest książką słabą, stylistycznie nieporadną i pozszywaną na siłę. W sumie szkoda (...) Książka Miecugowa jest napisana suchym, nieporadnym, mechanicznym stylem prasowej notki, wymieszanym z pensjonarską erotyką*” („Kultura”, dodatek „Dziennika/Gazety Prawnej” 2010). Cezary Polak o „Scenarzyście” Czesława Bieleckiego: „*Niedawno zaprojektowany przez Czesława Bieleckiego gmach TYP wygrał plebiscyt na architektonicznego gargamela.*

«Scenarzysta» jest garga-melem literackim (...) Tekst powieści grzeszy nachalną publicystyką, aluzjami do politycznych antypatii autora, a przede wszystkim konstrukcyjnym niechlujstwem („Kultura” przy „Dzienniku” 2009). Dużo ostrzejszą rozprawę z *„politycznymi antypatiami autora”* zarzuca Rafał Ziemkiewicz *„znanemu komunistycznemu kolaborantowi”,* Markowi Barańskiemu, w którego powieści „Nogi Pana Boga” bohater publicystycznej fabuły, dziennikarz telewizyjny, jest ewidentnym alter ego Barańskiego: *„Wyglaszane przezeń tyrady, stanowiące zdecydowaną większość objętości, sprawiają wrażenie własnych, niedbale zamaskowanych szczątkową fabułą porachunków”* („Rzeczpospolita” 2010).

Wytykanie prozie publicystyczności przez recenzentów miewa rozmaite formy, od *„soft”* (łagodnej) do *„hard”* (ciężkiej), czy jak kto woli: od klapsa do kopa. Wersję łagodną prezentuję na przykładzie Marcina Wolskiego recenzującego powieść Pawła Lisickiego „Przerwa w pracy”: *„Lisicki, który 90 procent czasu poświęca rozterkom duchowym polskiego inteligenta z przełomu tysiąclecia (...), poszedł na całość i tylko przez przyzwoitość wobec wydawcy dorzucił jakąś fabułę”* („Gazeta Polska” 2010). Mniej delikatny jest Mateusz Straszewski recenzujący „Mój prywatny Sąd Ostateczny” Daniela Koziarskiego: *„Koziarski przekracza subtelną granicę między literaturą a publicystyką, ze szkodą dla tej pierwszej. Nieco mniej nachalna autorska akwizycja jedynie słusznego punktu widzenia na rzeczywistość sprawiłaby, że czytałoby się to wszystko bez zażenowania i poczucia, że oto ktoś próbuje nas na siłę*

pouczać” („Kultura” przy „Dzienniku” 2009). A już zupełnie niedelikatny — wręcz brutalny (zważywszy „normalne” standardy naszych recenzentów) — jest Marek Jan Chodakiewicz, gdy pisze o powieści Piotra Zaremby „Romans licealny”, że to książka „*dla fetyszystów przeciętniactwa*”, i tak uzasadnia swój sąd: „*Prze- ciętniactwo ma to do siebie, że raczej nie inspirowuje, nie podnieca. Jaki materiał, taka powieść. «Z fekaliiów bicza nie ukręcisz» — jak mawiano przed wojną*” („Najwyższy Czas!” 2010).

Może przed wojną (Światową) nie dawało rady, ale dzisiaj kręcą aż miło, zwłaszcza z telewizyjnych fekaliiów. Myślę o powieściach bazujących na tych romansowych i komediowych serialach, które są chlubą i kopalnią złota rodzimych telewizji. Piszą tę literaturę „*ghostwriterzy*”, ale dzieła wychodzą pod nazwiskami serialowych bohaterów i nazwiskami aktorów grających tychże bohaterów. Exemplum: „Kaktus w sercu” Barbary Jasnyk (rodem z serialu „Teraz albo nigdy”) lub książczyny Julii Kamińskiej (grała w „BrzydUli”) oraz Frani Maj (grana przez Agnieszkę Dygant bohaterka „Niani”). „*Pozycje*” te fantastycznie „*schodzą*” i zawojują wierzchołki list bestsellerów, mimo że krytyka ma o nich (o tych książkach) zdanie dużo gorsze niż o powieściach pisanych przez dziennikarzy. Czemu? Bo te „*produkty książkopodobne*”, których autorzy „*próbują ze swych tekstów robić literaturę, lecz z takim materiałem, niestety, się nie da*”, są „*okropnymi gniotami*” i każdego inteligentnego czytelnika „*śmieszą już na poziomie*

językowym” („Rzeczpospolita” 2009). Mariusz Cieślak solidnie (wnikliwiej) zrecenzował tego rodzaju „*książkopodobny produkt*”, powieść Darka Jankowskiego (grany przez Tomasza Karolaka bohater serialu „39 i pół”) zatytułowaną „39 i pół. Jak poznałem Ankę”, konkludując: „*Nieistniejący autor ma talent do pisania jak Karolak do śpiewania*”, i puentując: „*Jeśli słowo «żenada» może stać się ciałem, to właśnie się nim stało*” („Rzeczpospolita” 2009).

Talent pisarski miewają prawdziwi aktorzy, czego dowodem chociażby felietony Andrzeja Łapickiego (niestety już nieobecnego w „Rzeczypospolitej”), a kiedy idzie o tę grupę nieprofesjonalnych ludzi pióra — ja najchętniej przeczytałbym (gdyby istniała) beletrystykę Gustawa Holoubka, bo był to opowiadacz (gawędziarz, anegdotciarz, facejcionista, humorysta, wręcz satyryk) pierwszej wody. Bardzo ciekawa figura ten Gołąbek. Że Holoubek to Gołąbek dowiedziałem się jako bibliofil — z „Kalendarza Ilustrowanego dla Polek na rok 1865”, gdzie przytoczono wiersz Czecha Karola Jaromira Erbena „Holoubek” („Gołąbek”):

*„Na pahorku trawa,
U hlawy mu doubek,
Na doubku sedawa Bielouczky holoubek”.*

Figura bardzo ciekawa, jako rzekłem, gdyż obdarzona przez Polaków nimbem/kultem (wskutek talentu aktorskiego i poczciwości), na który chyba niezbyt zasługiwał. Dość niezależny mentalnie i towarzysko pisarz

(w erze PRL-u bardzo rzadkie zjawisko), Stanisław Dygat, wyrzucał Kutzowi oraz Holoubkowi, że spotykają się z czerwonymi kacykami, i krzyczał na obu, że „*zaprzedali Polskę, wprzęgając się w służbę socjalizmu*”. Samego Holoubka beszał, iż ten „*biega radzić I sekretarzowi jak sprzedać Polskę Związkowi Radzieckiemu*” (Joanna Siedlecka, „Kryptonim *«Liryka»*” 2008). Innym mówił Dygat, że Gustaw Holoubek jako prezes SPATiF-u robi tylko jedno: „*bezwstydnie załatwia swoje sprawy*”. Równie bezwstydnie maszerował Holoubek w niejednym pochodzie 1-Majowym (identycznie jak Łapicki oraz mnóstwo innych znanych aktorów, artystów i twórców), wdzięcząc się do sterczących na trybunie honorowej aparatczyków. No i zapomniano już, że komediant Holoubek był przez 6 lat (1976-1982) posłem komunistycznego sejmiku (tak jak zapomniano, że Andrzej Łapicki entuzjastycznie czytał teksty do stalinowskich Kronik Filmowych). A.D. 1980, gdy obalono (wraz z Gierkiem) faraona TVP, Macieja Szczepańskiego, i zaczęli go kopać wszyscy podlizujący się generałowi Jaruzelskiemu — Jan Walc (literaturoznawca, publicysta) i Zenon Pałka (drukarnia) ułożyli balladę o tej nagonce, gdzie m.in. była taka zwrotka:

**„Kopie dziś Bratny i Horodyński,
Rakowski, poseł Holoubek,
Wczoraj z Maciejem robili świństwa,
A dzisiaj kopią go w dupę”.**

I tu dochodzimy do właściwych słów. Słowo „*dupa*” było jednym z

pieszczoszków we frazeologii Gustawa Holoubka, aczkolwiek jeszcze chętniej posługiwał się synonimem penisa (sławne: „—*A bramkarz jak ch.. stoi!*” podczas meczu). Nie on jeden. Według reżysera Jerzego Gruzy popularny wokalista Czesław Niemen, rozmawiając z popularną piosenkarką Marylą Rodowicz, używał słowa ch.. jako przecinka („Bluszcz” 2010). Alibi dla nich budowało tyle wielkich figur! Chociażby Komendant Józef Piłsudski, który miał język tak „*niewyparzony*”, że słuchać było hadko. Lub wielki poeta Mikołaj Rey, który w „*Utworach rubasznych*” dawał językowi kolokwialnemu (zwłaszcza „fizjologicznemu”) folgę bardzo solidną (ergo soczystą). Nie mówiąc już o Aleksandrze hrabim Fredro, którego obscena są krynicą rzeźniczych wprost wulgaryzmów. Antoni Słonimski umiał mięsiście kląć przez trzy minuty bez przerwy, nie powtarzając ani jednego wyrazu! „*Ludzie pióra*” dawali radę wykrzesać z wulgarności kunsztowność, a Jan Kochanowski, pisząc „*Fraszki do Mikołaja Firleja*”, tłumaczył:

*„Jeśliby w moich książkach co takiego było,
Czego by się przed panną czytać nie godziło,
Odpuść, mój Mikołaju, bo ma być stateczny,
Sam poeta; rym czasem ujdzie i wszeteczny”.*

„*Wszeteczeństwa*” u piszącego Holoubka byłyby pyszne, czy to w powieści, czy (może nawet bardziej) w zbiorze anegdot. Skąd to wiem? Choćby dzięki jego opowiastce takiej: „— *Na próbie Kalina Jędrusik zapaliła na scenie papierosa. Zbliżył się strażak i powiedział: «Proszę zgasić*

papierosa, bo tu nie wolno palić». A Kalina, jak Kalina, z wdziękiem odparła: «Odp..... się strażaku». On strasznie się zamyślił, poszedł za kulisy i tam trwał jakiś czas. Potem nabral powietrza, wrócił na scenę, ale tam już nie było Kaliny, tylko Basia Rylska. On jednak tego nie zauważył, bo oczy zaszyły mu bielmem z wściekłości, i krzyknął do Rylskiej: «Ja też potrafię przeklinać, ty k stara!»». Zdumiona Basia pobiegła do Edwarda Dziewońskiego, który był reżyserem spektaklu, i powiedziała mu, że strażak zwariował, bo ją zwyzywał bez żadnego powodu.

Dzewoński strasznie się zezłościł, poszedł do strażaka i powiedział: «A pan jest ch..!»». Przy czym strażak był inny” („Rzeczpospolita” 2008). Czy znacie lepszą ilustrację dla hasła „qui pro quo” niżli ta anegdota?

Redakcja gazety wykropkowała tu kolokwializ- my/wulgaryzmy, lecz Holoubek używał soczyście pełnych słów, by przekaz zachował pełny smak. Notabene: dzisiaj wykropkowuje się już coraz rzadziej. To dawna tradycja druku, w której mizernym sygnałem postępu było zachowywanie pierwszej litery „brzydkiego słowa”. Wcześniej — przed stuleciem XX — wykropkowywano wszystkie litery, pierwszą też, exemplum warknięcie biskupa Ignacego Krasickiego à propos pytlującego wroga:

„Póty dzban wodę nosi, aż się ucho urwie.

Czytelnicy pozwolą, że odpowiem tej.....”,

21. Dolina nicości?

Czy pisarstwo niepisarzy sprzedaje się słabiej niż profesjonalne pisarstwo? A może lepiej? Odpowiedź brzmi: dokładnie tak samo. Nie ma tu różnic, z których można by sformułować jakąś ewidentną prawidłowość. Ciekawą natomiast prawidłowość zaobserwowano w przypadku literackich debiutów pierwszego dwudziestolecia III RP: że bardzo często ów debiut, mocno nagłaśniany przez lobby recenzenckie sterowane od kulis sponsoringowo-producencyjnych, to jedyny wzlot autora, gdy kolejne jego książki to kłapa. Tę prawidłowość dobrze opisał Rafał Ziemkiewicz: *„Zwykle sukces spowodowany był intensywnym marketingiem, działającą na wyobraźnię sumą nagrody literackiej, umiejętnie wykreowaną modą. A ceną za wylansowanie bestselleru okazywało się kompletne załamanie sprzedaży kolejnych sygnowanych przez jego autora tytułów. Przed tą prawidłowością nie ma ucieczki, przypomnijmy sobie pokrótce głośnie w dwudziestoleciu bestsellerowe pozycje, choćby ((Pannę Nikt) zapomnianego dziś Tryzny, rekomendowaną przez Miłosza i ekranizowaną przez Wajdę, ((Pod mocnym aniołem) Pilcha, «Gnój» Kuczoka, «Wojnę polsko-ruską» Masłowskiej i kilka podobnych; za każdym razem bestsellerowa sprzedaż okazywała się numerem na raz. Następne pozycje wylansowanego autora lądują już na taniej książce, ciesząc się większą liczbą pochwalnych recenzji niż sprzedanych egzemplarzy (...) Tak jakby czytelnik w duchu uznawał, że znowu dał się oszukać macherom od reklamy — iż kupując okrzyczany bestseller, znowu dostał nie to, czego oczekiwał — i mścił się za to odrzuceniem ”* („Rzeczpospolita” 2011).

Odrzucanie współczesnej polskiej literatury przez masowego czytelnika jest spowodowane przyczyną banalnie prostą: poziomem tej literatury. Natomiast ów poziom jest determinowany różnymi przyczynami, wśród których bez wątpienia na pierwszym miejscu trzeba wymienić to, co zwiemy

„talentem”, a na ostatnim miejscu („*last but not least*”) to, co zwiemy „piórem”. Otóż dzisiaj „pióro” faworyzowane przez literatów to laptop, stąd mamy zalew literatury, którą Łysiak już dawno temu nazwał „*literaturą laptopową*”. Klasyczna konsekwencja McLuhana: „*środek przekazu staje się przekazem*”. Vulgo: sprzęt, plus szybkość operowania tym sprzętem, determinują jakość produktu. Produktu elektronicznego, o którym wybitny włoski krytyk, Federico Zeri, parsknął komentując twórczość Umberta Eco, autora „Imienia róży”: „*Komputer Umberta — bo to on pisze, a nie Eco — pisze coraz gorzej. Ale drobnomieszczanin, czytając te książki, ulega złudzeniu, że wstępuje w świat wyższej kultury. Na tym polega sekret sukcesu wielu dzisiejszych dzieł: dać analfabetom możliwość spoufalania się ze świętym Tomaszem z Akwinu*” („L’Express” 1995).

Zeri użył tu ładnego sformułowania: „*sekret sukcesu*”. Jaki jest prawdziwy sekret sukcesu literackiego? Wielki (choć przelęty) francuski pisarz Céline (Louis-Ferdinand Destouches) twierdził, że jest nim *styl* czyli oryginalna maniera: „*Interesujący są tylko pisarze, którzy posiadają swój styl. Pisarze bez stylu są nieciekawi. Historyjki leżą na ulicy, można je czerpać zewsząd — z komisariatów, z sądów, z życia. Lecz styl jest rzeczą rzadką, zdarza się najwyżej trzy razy na pokolenie, a pisarzy jest pełno. Nie są nic warci, czepiają się słów, mozolnie kleją zdania, powtarzają to, co napisali inni, opisują niedobre historyjki i udają, że wiedzą wszystko. To nic ciekawego*”. Wszakże norma „*trzy razy na pokolenie*” jest nie do zaakceptowania dla edytorów — wydawcy potrzebują wielu pisarzy. O ile to możliwe — dobrych pisarzy. Wraca więc generalne pytanie: jak stworzyć dobrą literaturę? Czy można się tego nauczyć? Według jednych znawców: absolutnie nie, z tym trzeba się urodzić, talent to dar od Boga. Według innych: ależ owszem, jak najbardziej, nasza uczelnia (nasze kursy, nasze studium, itp.) kształci świetnych literatów, wpisowe wynosi tyle, zaś chesne tyle, płac i studium! W USA i Kanadzie

obrodziły szkoły oraz kursy (również korespondencyjne) pisania, a poradniki pisania sprzedają się lepiej niż powieści absolwentów tych szkół i eseje samouków korzystających z tych poradników. Weźmy, przykładowo, ułożone przez Mario Puzo (autora „Ojca chrzestnego”) „10 reguł dla pisarzy” (1979). Nie wszystkie są ciekawe, ale cztery spośród nich warto zacytować: „*Nigdy nie mów o zamiarze napisania czegoś nim tego nie napiszesz*”, „*Nigdy nie pokazuj komukolwiek tego co piszesz*”, „*Nie miej zaufania do nikogo prócz siebie, a zwłaszcza do krytyków, przyjaciół i w szczególności wydawców*”; „*Nie pozwól aby domowa kłótnia z żoną zepsuła ci dzień pisania. Jeśli następnego ranka nie możesz rozpocząć świeży pisania — pozbądź się żony*”. To, oczywiście, było trochę ironiczne, lecz pełno jest regulaminów, kodeksów, poradników i przewodników pisanych całkowicie serio, exemplum „A Field Guide to Writing Fiction” (1991). Autor tego renomowanego „Przewodnika po sztuce pisania prozy”, amerykański powieściopisarz Alfred Bertram Guthrie (laureat Nagrody Pulitzera), umiał całą mądrość zawartą w swym poradniku streścić ośmioma radami fundamentalnymi:

1. Nie opowiadaj, tylko pokaż.
2. Rola powieści polega na pobudzaniu, a nie na krępowaniu wyobraźni czytelnika.
3. Zadaniem pisarza jest utrzymywanie czytelnika w nieświadomości o istnieniu autora, a nawet w niewiedzy, że czyta książkę.
4. Każde dzieło sztuki musi przede wszystkim opowiedzieć jakąś historię.
5. Dobry pisarz liczy się z każdym słowem.
6. Jeśli masz do opowiedzenia jakąś historię, opowiedz ją. Wprowadzenia typu: „*nigdy nie zapomnę*” kaleczą tekst.
7. Napisz dobrą scenę, a wiele będzie ci wybaczone.
8. Niezłe nigdy nie jest niezłe. Najlepsze, na jakie cię stać, może okazać się niezłe.

Punkt 8 przypomniał mi się, gdy eurodeputowany Marek Migalski, eksPiSowiec mający dług wdzięczności wobec znanego publicysty/dziennikarza/pisarza Bronisława Wildsteina, rzekł o Wildsteinie: „*pisze niezłe powieści*” („Super Express” 2011). Ale przecież „*niezłe nigdy nie jest niezłe*”. Ta fraza Migalskiego daje mi okazję, by uczynić z głośnej powieści Bronisława Wildsteina „Dolina nicości” (2008) przykładowy casus analityczny. Dlaczego właśnie z niej? Bo uważam tę „*pozycję*” za szczególnie cenną dla każdego badacza rynku recenzenckiego i środowiska medialnej krytyki literatury. Odbiór „Doliny nicości” przez świeżak komentatorski skupia jak w soczewce gros problemów, które już sygnalizowałem niniejszą książką. Zarazem mamy tu przykład prozy napisanej przez dziennikarza, czyli niepisarza (tak twierdzi wielu), bądź przez pisarza profesjonalnego, literata pełną gębą (tak twierdzi sam Wildstein, rozsierdzony spychaniem go na szczebel dziennikarski lub publicystyczny). Można to ująć rymem: chce być beletrystą — zwą go publicystą. Słowem: casus cymes, warto się tedy przyjrzeć opiniotwórczemu zderzeniu poglądów i gustów, które trwało na łamach drukowanych mediów trzy lata!

„Dolina nicości” to proza polityczna par excellence. Kontrsalonowa oraz kontresbecka. Leitmotivy to problemy współpracy konfidenckiej z bezpieczeńką, meandry walki bezkompromisowej z „*mich-nikowszczyzną*”, wredność Salonu, itp. Szyfry personalne dość łatwo rozpoznawalne: zdradziecki dziennikarz Return to Lesław Maleszka (autentyczny TW „*Return*”), parszywy redaktor Niecnota to Jerzy Urban, dzielny publicysta Wilczycki to Bronisław Wildstein — czytelne wcielenie goni klarowne „*alter ego*” i vice versa. Prawica nadwiślańska, łykając tę beletrystykę, oszalała ze szczęścia, gruchnęły drukowane brawa, jednak znaczna część komentatorów wykazała daleko posuniętą rezerwę. Zwłaszcza wobec literackiej formy, bo treść była nienaganna dla Antysalonu (tak jak dla Salonu była stekiem bzdur). Anty

salonowi komentatorzy, którym nie wypadalo kwestionowac warsztatu beletrystycznego Wildsteina, uciekali w sferę eufemizmów, stąd owo „niezłe” Migalskiego. Jednak bardziej bezkompromisowi antysalonowcy otwartym tekstem negowali prozatorski talent Wildsteina, exemplum Andrzej Horubała, który uznał „Dolinę nicości” za „świątą powieść publicystyczną”, lecz za kiepską beletrystyczną, vulgo za słabą prozę: „*Gdy czytam rozsiane po prawicowych tytułach zachwyty nad «Doliną nicości» Bronisława Wildsteina zestawiające tę świetną publicystyczną powieść z arcydziełami polskiej literatury — to naprawdę nie wiem co sądzić o stanie krytyki literackiej. Owszem, zrozumiała jest gest obywatelski: zareklamować dzieło (...) Do stwierdzenia, że Wildstein pisarsko jest dość mało finezyjny, nie trzeba zbyt głębokich analiz (...) Wymuszone opisy przyrody i poetyzowanie, silenie się na «literackość», powinien z «Doliny nicości» wykreślić mu sprawny redaktor czy kolega*” („Rzeczpospolita” 2008).

Prawicowe kręgi wokół PiS-u, prezydenta Kaczyńskiego, „Rzeczpospolitej” bądź „Gazety Polskiej” zawsze — ciszej lub głośniejsz — wyznawały tezę, że Wildstein to doskonały publicysta, lecz pisarz miernego sortu. Matka braci Kaczyńskich, Jadwiga Kaczyńska (wieloletnia pracownica Instytutu Badań Literackich), mówiła bez ogródek: „ — **Wildstein, którego bardzo wysoko cenię jako publicystę, rozczarowuje mnie jako powieściopisarz**” („Wprost” 2010). Ale prawicowe kręgi innej proveniencji, choćby neoendeckiej, nie pieściły się (bo nie musiały po koleżeńsku) również z publicystyką Wildsteina, kwestionując jego talent żurnalistyczny bardzo ostro; Krzysztof M. Mazur: „**«Drętwe pióro» Bronisława Wildsteina zwykle odstręcza mnie od czytania tekstów jego autorstwa, ale w związku z tym, że — z zupełnie niezrozumiałych dla mnie powodów — w oczach wielu prawicowców uchodzi on nadal za «szpicę» tegoż prawicowego dziennikarstwa, oddaję się czasami, chcąc nie chcąc, masochistycznemu studiowaniu tekstów redaktora <(Rz)>**” („Najwyż-

szy Czas!” 2011).

Tym bardziej trudno się dziwić, że priwiślański Salon, nienawidząc Wildsteina, gromi Wildsteina; „Dolinę nicości” salonowi krytycy rozdeptali wprost. Exemplum Piotr Kofta, który przy okazji dywagował generalnie: *„Tak się osobliwie składa, że zawodowi dziennikarze przeważnie nie radzą sobie z pisaniem prozy. W drugą stronę to też działa: prozaicy z rzadka bywają dobrymi dziennikarzami. Nie wiem dokładnie, skąd bierze się ta reguła (od której zresztą zdarzają się wyjątki), może chodzi o trudność w przerzucaniu się z fikcji na fakty i odwrotnie, może o problem z kompetencją językową — dziennikarstwo wymaga jednak innych umiejętności niż literatura”* („Kultura”, weekendowy dodatek „Dziennika/Gazety Prawnej”, 2010). Kofta pisał to recenzując powieść Grzegorza Miecugowa (*„nieporadny”* „Przypadek”) — lecz z rozpędu jeszcze mocniej kopnął Wildsteina, uznając poziom „Doliny nicości” za *„koszmarny”*.

W literaturze koszmarny poziom ma swój kolokwialny, trochę już zapomniany termin, który brzmi: szmira (z niemieckiego *„schmieren”* — bazgrać, pisać brzydko), oraz swój termin fachowy, który brzmi: grafomania vel grafomaństwo. Zerknijmy do odpowiedniego słownika: *„Szmira [niem. «Schmiere»] — utwór literacki bez żadnych wartości artystycznych i ideowych”; „Grafomania — mania pisania utworów literackich u osób pozbawionych talentu”; „Grafoman — człowiek opanowany manią pisania utworów literackich, a niemający zdolności w tym kierunku”* („Słownik wyrazów obcych PWN” 1980). Na temat grafomanii i grafomanów pisano od stuleci. Dla smaku zacytuję tylko Antoniego Słonimskiego, który w tomie „O dzieciach, wariatach i grafomanach” (1928) tak rozpoczął esej tyczący grafomanów: *„Každy prawie z ludzi piszących zetknął się kiedyś w życiu z grafomanami. Dzieje się to w sposób dwojaki: albo sam piszący jest grafomanem i styka się stale z sobą, nie wiedząc, że ma do czynienia nie ze sobą, ale z grafomanem — albo też*

nie jest grafomanem i wtedy musi się stykać z innymi ludźmi piszącymi, którzy są przeważnie grafomanami". Dalej Słonimski wymienia tudzież omawia różne typy grafomanów, i kończy esej następująco: „**Oczywiście, wszystkie te kategorie tyczą się grafomanów początkujących. Grafoman zaawansowany, ceniony, ba, nawet czasem sławny, to już temat wykraczający poza ramy mej kompetencji. Ciekawych odsyłam do podręczników historii literatury**".

„**Ramy kompetencji**” każdego literackiego krytyka czy recenzenta obejmują prawo zwania dowolnego utworu grafomanią lub grafomańszczyzną, jak również prawo zwania dowolnego autora grafomanem. Jest to prawo względności, bardziej hermetyczne niżli teoria Einsteina, gdyż gust, smak czy kryteria oceny „**warsztatu**” są względne — piękno i szpetota mają różne twarze, zależnie od norm i wartości wyznawanych przez arbitrów. Dlatego: o ile epitety „**złodziej**” czy „**łapówkarz**” są karalne kiedy nie zostanie dowiedziona ich zasadność, o tyle epitetem „**grafoman**” można miotać całkiem bezkarnie, nawet nie próbując tłumaczenia zasadności obelgi. Problem jednak w tym, że ten epitet — niby stare futro — wytarł się wskutek zbyt częstego używania. Dlatego, gwoli wzmocnienia efektu, coraz częściej ozdabiany jest przymiotnikiem. Adam Michnik, wyjąkując Monice Olejnik swą nienawiść do Waldemara Łysiaka, zwie go nie „**grafomanem**”, tylko „**trzeciorzędnym grafomanem**” (taki werdykt ma już rangę bardziej sejentyczną). Pracownik Michnika, Wojciech Orliński, flekując w „Gazecie Wyborczej” prozę publicystów uważających się (według niego) za literatów („Dolinę nicości” Bronisława Wildsteina, „Żywinę” i „Ciało obce” Rafała Ziemkiewicza, „Umoczonych” Andrzeja Horubały, „Noblistę” Marcina Wolskiego, nowele Pawła Solskiego), rzuca terminem „**oblędna grafomania**”. I każdorazowo, dla dobicia ofiary, streszcza powieściowy produkt, przy niektórych cytując złośliwie fragmenty, głównie erotyczne, bo artykuł zatytułowany jest: „Prawica pisze porno”.

Wildstein i Ziemkiewicz oberwali piórem Orlińskiego najmocniej, bo najobszerniej. „Dolinę nicości” autor pamfletu streścił tak: „*W świecie powieści Wildsteina politycy zabierają się do działalności społecznej motywowani tym, że chcą sobie nawzajem odbijać różne Jole, które cenią sobie działaczy. Dziennikarze nie demaskują nieprawości, bo się boją, że układ odbierze im różne Marie, które nie cenią sobie bezkompromisowych Wilczyckich (...)* Negatywnym głównym bohaterem jest redaktor Return, który kiedyś podjął współpracę z SB, chcąc odbić niejaką Jolę, wówczas dziewczynę kumpla z opozycji, Daniela Struny. SB niszczy życie Danielowi, a Returnowi sprawia to satysfakcję, którą Wildstein wyraźnie opisuje jako erotyczną: «Pieści jej piersi, kiedy ona sama zdejmuje spodnie i majtki. I wreszcie, pewnie za prędko, Return wsuwa się w nią, ale czuje już, że nadpływa rozkosz, i nawet sam nie wie, czy to skurcz jego jąder, czy świadomość, że wypiera z niej Daniela, którego już nie ma, który jest już nikiem» (...) Tu też oczywiście mamy feministkę. U Wildsteina jest nią Martyna, która całkiem serio uważa, że najlepiej byłoby, żeby od mężczyzn «brać spermę do banku i kastrować». Inna feministka, Dominika Bies, zazdrości Martynie radykalizmu, ale wzdycha, że jej łatwiej, «wystarczają jej kobiety». Dominika Bies, niestety, lubi mężczyzn, zwłaszcza gdy ci posiadają ją brutalnie. W efekcie Dominika wciąż naraża się na przykre przygody — poznany w Paryżu na genderowej konferencji przystojny Achmed wykorzystał ją i zniknął z jej portfelem. Swą złość na Achmeda Dominika przenosi na cały rodzaj męski, nawet na redaktora Returna, z którym styka ją fantazja autora” („Gazeta Wyborcza” 2008).

Czynnik pt. „*fantazja autora*” zdaje się tu być kluczowy, jako wyznacznik przynależności do kręgu rasowych publicystów bądź kręgu rasowych prozaików, dziennikarskiemu publicyście bowiem służy bardziej faktografia, gdy fantazja (wyobraźnia) usługuje pisarzom. Niejeden z parających się prozą żurnalistów dużo łatwiej (spokojniej) przeżyła surową krytykę jego literackiego warsztatu (beletrystycznego kunsztu), niż rejestrowanie go w

getcie żumalistycz- nym. Świetnym dowodem jest tu gniewna reakcja Bronisława Wildsteina podczas wywiadu, jakiego udzielił Krzysztofowi Masłoniowi. Gdy ukazała się „Dolina nicości”, Masłoń, czołowy polski krytyk literacki, oceniał ją nie bez ironicznego dystansu: „*Bronisław Wild- stein w pisanych przez siebie scenach erotycznych wykazuje tak toporny wdzięk, czy raczej wdzięk tego całkowity brak, że czytelnik marzy tylko o tym, by bohaterowie «Doliny nicości» przestali się pieprzyć, a zaczęli z powrotem robić to, co potrafią najlepiej, czyli politykować za redakcyjnymi biurkami. Choć niektórzy utrzymują, że to też pieprzenie*” („Magazyn Literacki KSIĄŻKI” 2008). Rok później Masłoń przeprowadził z Bronisławem Wildsteinem wywiad („Rzeczpospolita” 2009), z którego cytuję cztery pytania i cztery odpowiedzi (właściwym słowem byłoby chyba: riposty):

Masłoń: — Zetknąłeś się zapewne z pozornie przyjaznym dla ciebie zdaniem: „*Bronisław Wildstein to znakomity publicysta, tylko po co zajmuje się literaturą?*”.

Wildstein: — Nie, to nie jest dla mnie zdanie przyjazne. W bardziej otwartej formie brzmi następująco: „*Wildstein jest fatalnym publicystą, a na domiar złego jeszcze przenosi swoje złe nawyki pisarskie na grunt literatury*”.

Masłoń: — A do czego potrzebna ci jest literatura?

Wildstein: — Odwróć pytanie: do czego potrzebna mi jest publicystyka? Bo jeśli chodzi o literaturę, to piszę ją od zawsze (...) Literatura jest dla mnie najgłębszą możliwą formą opisanego świata, odwołującą się do całościowego jego przeżycia. Twórca usiłuje przekazać odbiorcy całość swojego doświadczenia (...) Literatura odnosi się do emocji, buduje coś, co Eliot nazywał korelatem obiektywnym, jest w stanie zbudować językowy ekwiwalent świata.

Masłoń: — Dla mnie jednak „Dolina nicości” pozostanie powieścią stricte polityczną, w której nie doszukuję się tych innych wymiarów...

Wildstein: — Już o tym mówiłem: „Wesele” pokazuje problemy krakowskich inteligentów w roku 1900 (...) Zawsze uważałem się za pisarza.

Masłoń: — Masz do tego prawo, jak nie możesz mi zabronić uważać „Doliny...” za książkę polityczną.

Wildstein: — Nie mam możliwości ci tego zabronić — ujmę to w ten sposób. Bo już o prawie nie będę mówił.

Tymi słowami kończy się ów wywiad. Wywiad będący fenomenalnym syndromem/symptodem, czymś niezbędnym dla zrozumienia wielu wzmiankowanych w niniejszej książce problemów. Cóż bowiem pokazuje kluczowa część dialogu? Masłoń mówi (najpierw oględnie, później wprost) o co chodzi, a Wildstein broni się tak za- dziomie i tak „filozoficznie”, że momentami popada w śmieszność lub zwyczajnie bredzi — rozpaczliwie chciałby, żeby uznano jego beletrystykę za uniwersalną (niby „Wesele”), nadszycową, transcendentną, termin „*polityczna*” uważa za obrażę, bo to znaczy publicystyczna, bieżąca, aktualna. Jednak Masłoń nie daje się przekonać, co Wildsteina wkurza i boli. Gdy Krzysztof M. Mazur zarzucał mu publicystyczne „*drętwe pióro*”, można się było nie przejmować, tylko doszukiwać wrogości neoendeka wobec masona czy eksmasona (roku 2007 neoendecki „Najwyższy Czas!” wywłócił masonską, i to dygnitarską, przeszłość Wildsteina, czerpiąc z pracy Ludwika Hasa „Wolnomularze polscy [...] 1921-1999” i z tekstu masonologa Stanisława Krajskiego w „Nowym Dzienniku”). Lecz gdy literaturoznawca Masłoń za żadną cholerę nie chce przyznać Wildsteinowi statusu literata (prozaika), bo widzi go publicystą — Wildstein ma realne powody, by się złościć. I nie tylko on...

Notabene, ta złość kipi w Wildsteinie do dziś, i co pewien czas daje on temu wyraz, jednocześnie odplacając Masłoniowi ciężkim słowem. Exemplum wywiad, jakiego udzielił Grzegorzowi Górnemu, oto fragment końcowy: „ — *Sądzę, że jednym z zadań literatury jest zobaczenie poprzez wydarzenia nas*

otaczające sensów głębszych. Różni pseudokrytycy, którzy nawet nie są w stanie pojąć ich istnienia, belkoczą coś o «literaturze publicystycznej». Moja literatura jest zaprzeczeniem publicystyki, gdyż ujmuje wydarzenia polityczne w perspektywie historycznej, a nawet metafizycznej. Moja powieść opowiada więc o zasadniczym starciu kulturowym, a może głębiej, antropologicznym, które obserwujemy w Polsce, a które ma charakter uniwersalny” („Uważam Rze” 2012).

Kiedy przeczytałem opinię Marcina Wolskiego (pisarza, publicysty, krytyka literackiego, satyryka), że „Dolina nicości” jest „*źle napisaną, fascynującą książką*” {„*źle*” tyczyło formy ergo literatury, „*fascynującą*” tyczyło treści ergo idei) — przypomniałem sobie baśń Hansa Christiana Andersena „Historia najmniej prawdopodobna”. Jest to opowieść o konkursie: król chce dać rękę swej córki i pół królestwa temu, kto dokona „*czegoś najbardziej nieprawdopodobnego*”. Pewien młodzieniec zbudował tedy zegar, który w magiczny sposób mieści cały świat. Nie zdążył wszakże odebrać nagrody, ponieważ pewien siłacz roztrzaskał zegar, twierdząc, że zniszczenie tak cudownego urządzenia to coś jeszcze bardziej nieprawdopodobnego niż jego zbudowanie. Kiedy sędziowie chcąc nie chcąc przyznali mu rację — rozbite fragmenty zegara złączyły się, zegar wrócił do życia i przystąpił do odwetu. Ta bajka była podczas niemieckiej okupacji Danii „*bibułą*” rozprowadzaną przez tamtejszy ruch oporu, albowiem wynikało z niej, że można zniszczyć przedmiot, lecz idei zniszczyć nie można. „Dolina nicości” ma warstwę literacką łatwo ulegającą niszczycielskiej krytyce, jednak głosi ideę bardzo ważną. Wolski: „*W tej źle napisanej, fascynującej książce mamy demaskację ubeckich mechanizmów III RP i analizę metod, jakimi Salon odwleka moment osądu*” („Gazeta Polska” 2008). Lecz co się odwlecze, to nie uciecze — jeśli nie osądzą ich zwykłe trybunały ziemskie, osądzi ich trybunał niebieski i historia, bo ta idea — idea sprawiedliwości — nie da się unicestwić

wszeczasowo. Wartość książki Wildsteina tkwi w jej duchu.

22. Kolega koledze kolegą

„Dolina nicości” nie była jedyną prozą Wildsteina braną pod but. Kinga Dunin obśmiała na łamach „Gazety Wyborczej” (artykuł „Prawicowe stany świadomości” 2003) zbiór nowel Wildsteina „Przyszłość z ograniczoną odpowiedzialnością” (1999), równocześnie szydząc z prozatorskich dzieł dwóch innych publicystów — z powieści Andrzeja Horubały „Farciarz” (2003) i z powieści Cezarego Michalskiego „Siła odpychania” (2002). Każdorazowo krytyczka (pani krytyk) skupiała się nie tyle na publicystyczności (żurnalizacji) manieri prozatorskiej, ile na politycznej prawo skrętności i autorów (Michalski wkrótce zmienił „wyznanie”, stał się aktywistą lewactwa i Salonu) tudzież na sprawach seksu, demaskując (cytatami) co bardziej kulawe „momenty” inkryminowanych prac. Osiem lat później (2011) Dunin i Michalski wystąpili już w tandemie flekującym Wildsteina, gdy ukazała się jego powieść „Czas niedokonany”. Bliskie Wildsteinowi kręgi prawicy piły nad tą książką z zachwytem; Włodzimierz Bolecki: „*Mistrzowsko opowiedziane, skomplikowane historie poszczególnych postaci, ich wielostronne, wnikliwe portrety psychologiczne, znakomite dialogi, intelektualny rozmach przedstawianych w powieści problemów, a przede wszystkim niecofanie się przed żadnym tabu, czynią z powieści Wildsteina wydarzenie artystyczne i intelektualne, stawiając autora «Czasu niedokonanego» wśród najwybitniejszych współczesnych pisarzy*” („Uważam Rze” 2011). Lecz przeciwnicy nie odpuścili. Neoendecki „Najwyższy Czas!”, piórem Krzysztofa M. Mazura, warczał szydlerczo: „*Wildstein naprawdę uwierzył w swój pisarski talent i zaczyna mnożyć dzieła literackie niczym Kraszewski (...)* Trudno jednak nie dostrzec, że król jest nagi. Zamiast «Czasu niedokonanego» wołę już «Tomka

na tropach Yeti»” (2011). Lewica zaś (Krytyka Polityczna) zorganizowała kontrwildsteinowski panel, na którym mikst Du- nin-Michalski dowodził, że *„prawicowe książki są nudne i pozbawione literackich wartości, nazbyt publicystyczne”* („Rzeczpospolita” 2011). Wildsteina mogło to nie zboleć o tyle, że atak ze strony frontmenki Salonu, czołowej feministki (femichnistki) polskiej i ze strony czołowego apostaty, co zdezerterował do lewicy — zawsze można kwalifikować jako ideologiczny, dyktowany walką partyjną, polityczną tout court. Gorzej się robi, kiedy przywalają koledzy z tej samej strony barykady, i jeszcze gorzej, gdy robią to koledzy literaci, bo wówczas mamy naparżankę wewnątrzbranżową, a od dawna wiadomo, że wojny domowe są najstraszliwszymi z konfliktów.

Pisarz/publicysta/historyk Stanisław Cat-Mackiewicz rzekł: *„Miarą indywidualności człowieka będzie zawsze nienawiść jego wrogów. Jeśli jest potężna — człowiek jest dużo wart”*. Przyjmując tę maksymę jako prawdę objawioną — flekowani literaci winni zacierać ręce, a już szczególnie żarliwie dziękować Panu Bogu, że flekują ich również koledzy po piórze, bo to przecież nieomylny znak zazdrości ze strony konkurencji. Jan Sztudynger kpił (1959) a propos:

*„ Używam lutni po Bekwarku,
By konkurencję bić po karku”.*

Wszelako nie wydaje mi się, by zbyt wielu rodzimych literatów cieszyła praktyka dosuwania im przez kolegów. Reagują gniewnie, zrywają przyjaźnie, piszą odwetowe teksty, głosząc, iż zjadliwy kolega nie powinien oceniać, bo się nie zna, nie umie, nie dorósł. Ładnie to sformułował publicysta i poeta Waldemar Żyszkiewicz, frazą wiersza „Kolega Q. robi ważne rzeczy” (tomik „Passim” 1997):

„Kolega Q. ma tylko jedną piętę: nie posiadał — to doprawdy dziwne — daru rozpoznawania jakości”.

Większość polskich literatów nie dostrzega jakości w utworach swych kolegów i lubi wbić koledze szpilę. Magdalena Miecznicka przypomniała nam opinię Miłosza tyczącą tej kwestii: „*Czesław Miłosz życie literackie kwitował taką metaforą: chodzi tylko o to, by nakłuć balonik kolegi*” („Magazyn Dziennika” 2009). To tradycja nie wyłącznie polska. Całe woluminy można budować z anegdot o pojedynkach międzyliterackich, nie tylko merytorycznych — również fizycznych, czy nawet fizjologicznych! Sławny XIX-wieczny francuski krytyk literacki Charles-Augustin Sainte-Beuve nienawidził głośnego powieściopisarza Victora Hugo, więc uwiódł mu żonę Adelę. Lecz to było mało, gdyż Sainte-Beuve, jak wielu krytyków literackich, miał kompleks prozatorski (zazdrościł powieściopisarzom), dlatego sam został beletrystą, opisując swe karesy z Adelą romansidłem „*Rozkosz*” (1834). Nasi też używali kończyn, głównie górnych. Mickiewicz, chwytając brutalnie za ramię, wyrzucił Słowackiego z sali, gdzie odbywała się sesja Towiańczyków, rycząc: „— *Paszol won, durak!*”. Dzisiejsze czasy odnotowały kuksaniec galicyjski: Michał Paweł Markowski dał publicznie po twarzy (w krakowskim teatrze) Antoniemu Liberze, tłumaczowi i krytykowi, który — zazdroszcząc prozaikom — napisał powieść „*Madame*” (1998). Obaj dżentelmeni znieawidzili się nie tylko przez prasową (m.in. „*Tygodnik Powszechny*”) wymianę wrogich literackich poglądów, lecz i przez „*madame*” (czyli znowu francuskie „*cherchez la femme*” zyskało status celności); Magdalena Miecznicka kpiała: „*Do dzisiaj pamiętamy smakowity artykuł z «Faktu» z wizerunkami obu literatów jako zapaśników*”, dodając, że cały konflikt „*był inspirowany wizytą żony Markowskiego w domu tłumacza i pisarza, z którym współpracowała*” (2009). Bez kobiety bywa spokojniej — gdy Libera wyraził o znanym krytyku literackim, Henryku Berezie, sąd: „*bełkot, mętniactwo, idiotyzm*” (notabene: całkowicie słuszny) — Bereza nie dał mu w pysk, bo jego (Berezy)

„orientacja” wykluczała w aferze jakikolwiek udział białogłów.

Prace naukowe tudzież antologie, których tematem jest nienawiść wzajemna między literatami, ukazują się od stu lat. Najnowsze hity to w Polsce praca Doroty Kozickiej „«Chamuły», «Gnidy», «Przemilczacze»... antologia dwudziestowiecznego pamfletu polskiego” (2010), a na Zachodzie praca Anne Boquel i Etienne’a Kerna „Historia nienawiści wśród pisarzy: od Chateaubrianda do Prousta” (2009). W antologii rodzimego literackiego pamfletu cytowani są liczni głośni poeci i prozaicy dokopujący kolegom (Borowski, Gałczyński, Słonimski, Herling-Grudziński, Żuławski, Bobkowski, Boy-Żeleński, Miłosz, Przyboś, Barańczak, Gombrowicz, Różewicz, Ziemkiewicz, Pilch i wielu innych; Łysiaka tam nie ma, gdyż ten nigdy nie uprawiał krytyki literackiej, a tym bardziej literackiego pamfletu — nie zajmuję się waloryzowaniem konkurencji, ino, jak niniejszą książką, relacjonuję czasami wzajemne mordobicia „*ludzi pióra*”). Praca duetu Boquel-Kern daje mnóstwo prze-smaczných przykładów okładania się literatów, jednak tylko francuskich. Dowiadujemy się, że Emila Zolę („*Germinal*”) nienawdził prawie cały literacki świat Francji (na jego pogrzeb nie przyszedł żaden znany konkurent, gdyż radośnie opijano szampanem zgon Zoli), a Gustave Flaubert (ten od „*Pani Bovary*”) zwał literaturę Zoli „*głupotą w czystym kształcie*”, że Balzac zgnoił niechętnego mu Sainte-Beuve’a, pastiszując tak genialnie jego powieść „*Rozkosz*”, iż pierwowzór stał się makulaturą; że Hugo przeżywał Chateau-brianda „*szczekającym lwem*”; że poeta Charles Baudelaire („*Kwiaty zła*”) o sławnej literatce George Sand (kochance Chopina) mówił bez ogródek: „*Jest głupia, ma niezgrabny i przegadany styl. Jej moralne idee odznaczają się tą samą głębią osądu i delikatnością uczucia co wyznania dozorczyń i sprzedajnych kobiet. Najlepszym dowodem upadku naszego stulecia jest fakt, iż kilku męzczyzn zakochało się w tej latrynie*”; że powieściopisarz Jules Vallès

określał twórczość Baudelaire'a jako „*głupawy i smutny mistycyzm*”. Et cetera, et cetera. Mottem tych kilkuset stron winno być zdanie Baudelaire'a: „*Nienawiść to wykwinnty trunek, trucizna cenniejsza niż wynalazki Borgiów. Trzeba jej pożądać*”.

Owym trunkiem Sarmaci (piszący Sarmaci) upijali się bardzo chętnie. Mickiewicz przeklinał Słowackiego, Koźmian pluł na Mickiewicza, i tak dalej — to już zbyt zamierzchłe gierki, weźmy raczej te nowsze, z XX i XXI wieku. Dramatopisarz i publicysta Adolf Nowaczyński tekstem „Boyszewizm” (1931) głosił o Boyu, że „*jego cała mentalność nastawiona jest na rezonans w kawiarniach, gdzie tłoczą się panny Puszczalskie*”. Z kolei Antoni Słonimski, zwący Nowaczyńskiego „*szumowiną*”, swój pamflet-paszkwil wymierzony przeciw Nowaczyńskiemu („*Rudy do budy!*” 1923) zaczął od słów: „*Zbankrutowany autor makagigistycznych mętnych sztuczy- del...* Tenże sam Słonimski kilkadziesiąt lat później określi „*kultowe*” dla pokolenia hippisów poezje Edwarda Stachury jako „*klikowe brednie*”. Jeszcze bardziej „*kultowy*” dla Salonu Witold Gombrowicz był przez Józefa Mackiewicza nazywany „*pluskwą, z której robi się geniusza*”, „*podleciem patentowanym*” i „*wielką świnią*” (1970), ale trzeba pamiętać, że bezkompromisowość Mackiewicza nie uznawała żadnych „*świętych krów*”, nawet Janowi Pawłowi II wytykał, że miast widzieć go „*całującego ładną Włoszkę, w meksykańskim kapeluszu, z rakiętą tenisową w ręku*”, wołałby go zobaczyć „*przed ołtarzem, odprawiającego mszę żalobną za dusze ofiar katyńskich, akurat w rocznicę mordu*” (1979). Wobec kolegi Gombrowicza jeszcze dalej posunął się kolega Jerzy Andrzejewski, bo w książce „*Idzie skacząc po górach*” (1963) wyszydził kolegę, robiąc aluzję do jego homoseksualizmu (choć sam był również pederastą!). To zresztą normalne, gdyż pederasta Jarosław Iwaszkiewicz w swych „*Dziennikach 1994-1980*” (wydane 2011) bardzo źle pisał o kilku kolejnych kolegach pederastach, m.in. o Andrzejewskim („*... ten zapijaczony*

pederasta, sam fałsz”), o Julianie Strykowski (, *Ten ohydny Strykowski, największe rozczarowanie mego życia*”) i o innych, nie szczędząc mocnych sądów mentalnych (, *Paweł Hertz — głupi*”, , *Parandowski — idiota*”) czy rasowych (, *Karol Modzelewski, Żyd rosyjski nie mający w sobie ani kropli krwi polskiej w żyłach*”). Wróćmy wszakże do ocen literackich. Stanisław Dygat prozę Andrzejewskiego ujął frazą: „*jedna wielka grafomania*”, podobnie jak prozę Adolfa Rudnickiego (, *grafoman, zarozumialec, dostał się do literatury tylko dzięki partii i rządowi*”), ale Dygat nigdy nie używał eufemizmów (np. reżysera Kazimierza Kutza nazwał, nie bez racji, „*cwaniakiem i karierowiczem*”). Poeta Stanisław Barańczak swej recenzji tomiku poety Ernesta Brylla dał tytuł: „*W samym środku gówna*” (1977), a z kolei inny poeta, Zbigniew Bieńkowski, wyraził sąd o poecie Barańczaku, że „*nie ma talentu za grosz*” (1993). Et cetera, et cetera.

Bardzo bogatą kopalnią opinii kolegów o kolegach są archiwa IPN-u, ściślej „*teczki*” literatów. A więc waloryzujące literaturę opinie tych literatów, którzy donosili na innych literatów, plus opinie tych literatów, na których donoszono. Częściowo wykorzystana zawartość „literackich” „*teczek*” Joanna Siedlecka (, *Kryptonim «Liryka» — Bezpieka wobec literatów*” 2008). Felietonista i pisarz Maciej Rybiński był zszokowany lekturą tego woluminu: „***W pewnym momencie lektury dostrzegłem zdumiewającą symetrię pomiędzy raportami tajnych współpracowników o postawach politycznych, ale i o braku zdolności, grafomaństwie czy wręcz głupocie pisarzy niepokornych czy podejrzewanych o odstępstwo, a zaraportowany- mi czy nagranyymi wypowiedziami pisarzy podlegających inwigilacji o kolegach partyjnych, o rzeczywistych lub tylko rzekomych entuzjastach reżimu. Że grafomani, durnie, pozbawieni uzdolnień chał- turnicy. Obie strony, współpracownicy i ofiary SB, oceniały twórczość innych z pełną szczerością albo w raportach, albo w rozmowach prywatnych, których treść trafiała na biurko***”

pulkownika Majchrów skiego, tego Belzebuba literatury PRL (...) Zastanawiam się też, ile nam zostało z tamtych lat. Trochę na pewno tak. Jak choćby oceny książek..." („Wprost” 2009).

Się zgadza: zostało. Również dziś koledzy przykolegowują kolegom złym słowem niby kułakiem lub butem. Co bardzo boli pisarza Jerzego Pilcha, który wykrzyczał swój sprzeciw wobec takich praktyk: *„Niepisana zasada tego fachu mówi, że o kolegach jak o nieboszczykach: albo dobrze, albo wcale. To jest prawo cechowe. Nie tylko w literaturze obowiązuje, czy raczej powinno obowiązywać”* („Kultura”, weekendowy dodatek do „Dziennika”, 2009). Krzyk ten jednak wydał się co niektórym lekko podejrzanym (jako „sztama salonowa”), albowiem eksplodował z trzewi pisarza Pilcha wskutek gniewu, że pisarz/poeta Marcin Sendeccki na łamach „Przekroju” *„zaszlachtował, oskórował i sprawił”* trzech pisarzy (Janusza Andermana, Andrzeja Barta i Daniela Odię), salonowych kumpli Pilcha. Wobec czego pisarz Pilch zgromił pisarza Sendecckiego ego jako *„człowieka pióra, który odsądza od czci i umiejętności innych ludzi pióra”*, i wytknął mu, że *„całkowicie myli czytanie z dymaniem książek”* (sic!). Sam jednak Pilch został „wydymany” jako pisarz przez pisarza Rafała Ziemkiewicza jeszcze mocniej niż pisarz Sendeccki „wydymał” pisarzy Andermana, Barta i Odię, a przy okazji pisarz Ziemkiewicz „wydymał” też kolegę Andermana jako grafomana, lecz te ziemkiewiczowskie „dymania” przytoczę w rozdziale następnym, którego bohaterem heroicznym będzie właśnie pisarz Ziemkiewicz. Tutaj tylko zauważę, iż warsztat literacki pisarza Pilcha „wydymało” już wielu „ludzi pióra” (znaczy: kolegów), m.in. kolega Krzysztof Feusette, który nazwał twórczość Pilcha *„wypocinami pisarza Jerzego Pilcha”* („Rzeczpospolita” 2011).

Gdyby ktoś nie wiedział: koleżanki przywalają koleżankom nie gorzej niż koledzy kolegom, exemplum pisarka Małgorzata Musierowicz, która w „Przekroju” (2008) zdezwuowała prozę pisarki Doroty Masłowskiej. Inne

koleżanki pisarki, czerpiąc z sugestii pisarza Michała Witkowskiego w kwartalniku „FA-art”, rozsiewały plotki, że pierwszą powieść pisarki Masłowskiej, „Wojnę polsko-ruską”, napisali wspólnie trzej „murzyni” (Krzysztof Varga, Paweł Du- nin-Wąsowicz i Marcin Świetlicki). Panowie także — od pisarza Tomasza Piątka, autora powieści „Heroina”, po rymopisa Wojciecha Młynarskiego, autora songu „Jesteśmy na wczasach” — wymierzili koleżance Masłowskiej dużo klapsów (Młynarski: „ — *To jest jakiś bełkot biednej panienki*”). Dość często pada też werdykt: „*grafoman*”, poeta Wojciech Wencel o pisarzu Stefanie Chwinie: „*Skądinąd przemylił człowiek. Choć grafoman*” („Gazeta Polska” 2011). Temuż koledze Wencelowi natomiast dostało się od pisarza Andrzeja Horubały, który twórczość Wencela określił mianem „*horrendum*”, parokrotnie sięgając również po wyraz „*aberracja*”:
„Zabawne, że to, co niedawno wyczytywałem ze zgromadzenia z wierszy Wencela, ten oddał w manifestie, którego aberracja i heretyckość objawiły się nawet tym, którzy dotychczas gotowi byli życzliwie traktować jego twórczość (...) Już nie trzeba wczytywać się w wiersze pana Wojciecha, by ostrzegać przed jego aberracjami” („Rzeczpospolita” 2011).

Horubale szło tu o „*aberrację*” nie tylko formalną, lecz i polityczną, i podobnie rozliczył się z kolegą Jarosławem Markiem Rymkiewiczem (artykuł: „Zachód rozumu w Milanówku”), przypominając dawny gorący afekt Rymkiewicza do Michnika, tudzież jego wrogość wobec „*prawdy*”, „*prawcowego zdrowego rozsądku*” i „*faktów*”: „*Narracyjna maszyna Rymkiewicza jest w stanie generować dowolny w zasadzie przekaz, gdyż forma eseju, jaką przez lata wypracował, pełna złudnego, autoironicznego z pozoru dystansu, uwalnia się od logiki wywodu, jawnie lekceważy prawdę historyczną i narzuca wolę pisarza z dezynwolturą pomijającego niewygodne fakty, mieszącą prawdę z historycznych kronik z poetyckim zmyśleniem, z zaciśniętymi zębami cedzącego przekleństwa pod adresem inaczej myślących (...)*”

Wskreszać germańskie miazmaty duchowe, głosić religię krwi i rzezi — to kolejne świadectwo słabości Rymkiewicza („Rzeczpospolita” 2011).

Wypunktował też kolega Horubała (artykuł: „Na zmarnowanie”) słabość kolegi Janusza Głowackiego, który zbyt łatwo „*godzi się na drugorzędność swego pisarstwa*”. A nawet trzeciorzędność, czego dowodem powieść Głowackiego „Good night, Dzerżi”: „*Zmarnować taki temat! Tak banalnie napisać o «czarnym ptasiorze»! (...) Głowacki na początku swojej drogi twórczej założył sobie przestrzeganie emocjonalnej higieny i przez to nie wychodzi z drugiej ligi, w finale «Dier-ziego» z niemieckim producentem oferującym miłość francuską Jerzemu Kosińskiemu spadając nawet do trzeciej, jeśli nie do trampkarzy*” („Uważam Rze” 2011).

Przykłady można mnożyć (cytować) w nieskończoność, lecz moja książka to nie antologia, więc idźmy merytorycznie dalej. Skąd się bierze okołoliterackie zjawisko wykołegowywania kolegów przez kolegów? Sam fakt, że rynek książkowy jest podtapiany zalewem grafomaństwa, nie stanowi wyjaśnienia problemu, bo mogliby piętnować to grafomaństwo fachowi arbitrzy (krytycy literacy, recenzenci), nie zaś szanowne koleżeństwo czyli konkurenci. Ostatnie słowo (konkurenci) już wyjaśnia trochę — chodzi o zawiść wzajemną i o prestiżowe tudzież gotówkowe wpływy („*kasa, misiu, kasa!*”). Z kolei idealistów motywuje do rozdawania klapsów gniew na grafomanę, która się bezwstydnie pełni i która urąga poczuciu estetyki idealistów. Inny jeszcze motor to odwet: ty mnie ugryzłeś, ja ugryzę ciebie! Wśród takich rewanzów szczególnie się wyróżniła zemsta czołowej autorki kryminałów doby PRL-u, Anny Kłodzińskiej. Jej powieść milicyjna „Czy pan pamięta, inżynierze?” (1975) została schlastana jako kliniczne grafomaństwo przez poetę Stanisława Barańczaka na łamach krakowskiego dwutygodnika „Student”. Co prawda Barańczak lał tam grafomanów (rubryka: „*Książki najgorsze*”) pod pseudonimami Feliks Trzymałko i Szczęsny Dzierżan-kiewicz,

ale Kłodzińska bez trudu dowiedziała się kto jej nakopał i w swym kolejnym kryminale („Taniec szkieletów” 1977) głównym szwarczakiem tutaj pederastą uczyniła osobnika o nazwisku Barańczak.

Proces „kolegizowania” werdyktów literackich nie byłby możliwy bez mediów, a ściślej: bez takich a nie innych gustów (przekonań politycznych lub biznesowych) danego „organu”. Rzecz stara jak świat; już kilkadziesiąt lat temu wybitny emigracyjny publicysta Jan Bielatowicz tak owe „procedury” charakteryzował: *„Podstawowym założeniem jest wzajemna reklama i zwalczanie konkurencji (...) Tego rodzaju krytyka szyta jest grubymi nićmi. Oczyszczając sobie pole i spychając łokciami ze świecznika prawdziwych pisarzy, można zalecić z powodzeniem płody własnego pióra i piór przyjaciół. Samoreklama i reklama kumoterska w czasopiśmiennictwie przekraczają granice przyzwoitości i zakłócają dobre pisarskie obyczaje. Zwłaszcza że do tego dochodzi prostackie przemilczanie (...) W niektórych pismach obowiązuje po prostu mechaniczny zakaz wymieniania w druku niemiłych redakcji nazwisk”* (cytat z antologii „Literatura na emigracji” 1998).

Ta wspomniana przez Bielatowicza „reklama kumoterska” kwitnie dzięki mediom III RP aż miło. Monika Małkowska: *„Wielu krytyków omawia beznadziejne książki w taki sposób, żeby nie pochwalić, lecz też nie zganić. Dotyczy to zwłaszcza rodzimej produkcji”* („Rzeczpospolita” 2009). Ale wielu innych chwali bez skrępowań, „na chama”, nie przejmując się faktem, iż bredzą w komiczny sposób. Cytowana Monika Małkowska miała z tym do czynienia parę razy; exemplum powieść Jacka Dukaja „Wroniec” (2009). Małkowską zdumiało, że „krytycy cmokają nad nowym utworem Dukaja”, gdy według niej ta książka została trzaśnięta „bez wdzięku, humoru, oddechu”, więc rezultatem są „infantylnizm” oraz „prymitywizm” („Rzeczpospolita” 2009). Antysalonowcy byli równie zniesmaczeni entuzjazmem salonowych krytyków wobec grafomańskiej (według Antysalonu) powieści „kulturowego

politruka” Michała Komara „Wtajemniczenia” (2009). Ergo: za bezwstydną lanie wazeliny („po koleżeńsku”) uznali recenzję Jacka Bińkowskiego („*Michał Komar napisał rzecz niezwykle smaczną*”, „Angora” 2009) tudzież recenzję Malwiny Wapińskiej („*Powieść Komara to prawdziwa opera... Komar zrobił to z niebywałym wdziękiem. Tę książkę czyta się z ogromną przyjemnością*”, „Kultura”, weekendowy dodatek do „Dziennika”, 2009). Nie mówiąc już o recenzji Piotra Kępińskiego z „Transu” (2011) Manueli Gretkowskiej („*Gretkowska w me- gaformie*”, „*dzieło mistrzowskie, fantastyczne*”, „*książka znakomita, odważna, czadowa*”, itp. — „Newsweek” 2011), gdzie najbardziej dają „*czadu*” sceny wydalania przez samice ekskrementów na ciało kochanka podczas karesów łóżkowych. Kularowo szeptano, że „Trans” to zrealizowany piórem Gretkowskiej odwet Salonu na Andrzeju Żuławskim (główny męski bohater to alter ego reżysera) za kontrsalonowy „Nocnik”, plus osobista zemsta Gretkowskiej za umieszczenie jej przez Żuławskiego w galerii polskich grafomanów.

Prócz literackich zemst (jak te Kłodzińskiej czy Gretkowskiej), ciekawe są też „alibi”, które umieszczają koledzy w recenzjach książek kolegów, by sumieniu stało się zadość. Koleżeńskie recenzje pochlebne bywają czasami bardzo obszerne (pełnokolumnowe lub nawet dwukolumnowe), a recenzent wtyka w ten ocean miłych zdań jedno maleńkie ziarnko pieprzu, dwa ledwie gramy dziegciu — to jest właśnie „alibi” mówiące: przecież dałem klapsa! Ciąg koleżeńskich recenzji z książki Bronisława Wildsteina „Dolina nicości” (2008) był istnym festiwalem takich „alibijnych” drobiazgów. To samo działo się z kolejną powieścią tego autora, „Czas niedokonany” (2011): masa koleżeńskich superlatywów i „alibijne” „*ziarnka pieprzu*”. Exemplum dwukolumnowa recenzja w rodzimej gazecie Wildsteina, „Rzeczypospolitej” — Tomasz Bocheński chwalił i słodził, lecz „*en passant*” mruknął, iż pomysły fabularne Wildsteina „*czasem nkną w rzece słów*”, „*bohaterowie nieraz*

powtarzają swe analizy”, „konieczność opisanie wszystkiego czasem przeszkadza tej powieści”, itp. Ledwie pół akapiciku zawiera garstkę piołunu, z taką puentą: „Gdy Wildstein wpadał w koleiny abstraktów, dopowiadał sensy jak w felietonie, wzywał na pomoc nieobecny redaktor, ale robiłem to o wiele rzadziej niż w czasie lektury **«Doliny nicości»**. Nie potrafię docenić też scen erotycznych...” (2011). Podobnie Marcin Wolski, wychwalając „Czas niedokonany”, dezawuuje wcześniejsze dzieło autora: „Wildstein napisał bardzo dobrą książkę. Najlepszą z dotychczas opublikowanych! Klarowniejszą i precyzyjniejszą niż poprzednie” („Gazeta Polska” 2011). Rozumiemy więc: poprzednie to kupa chłamu. Żeby było dowcipniej — sam Wolski też oberwał w identyczny sposób, bo Piotr Gociek, chwalać jego „Skecz zwany morderstwem” (2012), na końcu recenzji zamieścił takie „alibi”: „Do pełni szczęścia książce brakuje tego samego, czego innym książkom Wolskiego w ostatnich latach — paru miesięcy dodatkowego szlifowania oraz kilku ostrych kłótni z bardzo wymagającym i upartym redaktorem. Autor pisze bowiem tak wiele, że przysłaca to lekkim bałaganem i niedoróbkami” („Rzeczpospolita” 2012). Równie wirtuozowsko wybrnął (z ewentualnego konfliktu pomiędzy sobą a własnym sumieniem) Andrzej Waśko; chwalać analitycznym esejem „publicystyczną literaturę” Wildsteina i Ziemkiewicza — głównie „Czas niedokonany” i „Zgreda” („Zwracam tylko uwagę, że snobistyczne wybrzydzenia nad publicystycznością literatury nie muszą być takie mądre jak się może niektórym wydają”) — umieścił przy samym końcu zdanko „alibijne”: „Podoba mi się prostota monologu Ziemkiewicza i pewna surowość, a nawet toporność kompozycyjna **«Czasu niedokonanego»**” („Niezależna Gazeta Polska/Nowe Państwo” 2012). Niezłym przykładem jest też recenzja Krzysztofa Kłopotowskiego z powieści Andrzeja Horubały „Przesilenie” (2010). „Ziarnkiem pieprzu” była tam fraza: „Postać bohatera jest mało przekonująca”, zaś garstką dziegiu fragment: „To nie powieść,

ale nowela interwencyjna. Szybki strzał Dawida w oko Goliata «cywilizacji śmierci». Celny? Raczej celowo chybiony” („Rzeczpospolita” 2010). Reszta to już beczka miodu.

W jeszcze trudniejszej sytuacji znajduje się krytyk, któremu przyszło recenzować książkę swego szefa. Tego zaznał m.in. Krzysztof Masłoń. Jego duża recenzja z powieści ówczesnego naczelnego redaktora „Rzeczypospolitej”, Pawła Lisickiego, „Przerwa w pracy” (2009), ślizga się po generalnym problemie (problemie jakości recenzowanego dzieła), nie dając klarownego werdyktu. Może to budzić skojarzenia z popularnym dowcipem o gratulacjach. Pod mu- rem pawilonu handlowego stoi żebrak. Zatrzymuje się przy nim elegancki przechodzień i mówi:

—Czołem, Tadius! Chciałem ci pogratulować. Wszyscy w biurze nie znajdujemy słów podziwu dla twojej odwagi. Wspaniale wygarnąłeś szefowi prawdę!

Jednak Paweł Lisicki nie musi narzekać — jego powieść została przyjęta ciepło, exemplum głos Joanny Filipiak: „*Celem Lisickiego było napisanie dobrej, inteligentnej powieści sensacyjnej, i to się udało*” („Wprost” 2010).

Tak więc sformułowanie: „*kolega koledze kolega*” obejmuje dwa końce literackiego kija: koledzy pisarze wazelinują piszących kolegów, lecz również (chyba częściej) flekują. To drugie świetnie sy- nonimuje/syndromizuje krytyczna fraza znanego hiszpańskiego prozaika, Carlosa Ruiza Zafóna, o kolegach prozaikach: „*Ludzi mających dobrą technikę i talent trudno dziś spotkać w środowiskach literackich*” („Le Nouvel Observateur” 2009).

23. Casus: Ziemkiewicz

Stara to prawda, że najlepszym kolegą człowiek jest sobie sam. Wychodząc z tego założenia kolega Rafał Ziemkiewicz postanowił

zrecenzować książkę kolegi Rafała Ziemkiewicza, paraautobiograficzną powieść „Zgred” (2011). Umieścił o niej bardzo duży (pół-torakolumnowy) tekst w swej macierzystej „Rzeczypospolitej”, pytając buńczucznie: „**Mam tego nie robić, bo narażę się na oskarżenie, że próbuję reklamować własną pracę? (...) Nie widzę powodu, by nie zdobyć się na zuchwałość**”. No i się zdobył, a jakże.

Rafał Ziemkiewicz to nader interesujący przykład „człowieka pióra”, którego publicystyczna kariera w III RP stanowi rejestr zuchwałości pierwszorzędnego rozmiaru, aż do umieszczenia na frontowej okładce własnej książki autoreklamy, że jest „**najlepszym polskim publicystą**”. Mocne! Ale — jak to mówią — „**ten typ tak ma**”; Ziemkiewicz lubi pracować mocno (kolegów) i okłaskiwać mocno (nie tylko siebie). Na temat literatury polskiej pierwszego dwudziestolecia III RP często wyrażał się bardzo krytycznie („**literatura «pseudo»**”, „**literatura pseudomodernistyczna**”, itp.), m.in. w lutym 2011 roku („Rzeczpospolita”): „**Przejrzymy krytyczne opracowania, recenzje, szkice z tych 20 lat. Dominujące wrażenie to uporcezywe zasłanianie kilkoma drzewami faktu, że nie ma żadnego lasu. Połączone z lekceważącym pomijaniem milczeniem dzieł, które do budowanej w mediach hierarchii nie pasowały (...) Natomiast tam, gdzie, wydawałoby się, najwięcej było wrzawy i krzątania, po jej ucichnięciu wyziera głęboka dziura zasypana tekstami nijakimi, mialkimi, nieistotnymi, niepotrzebnymi nikomu, niczego niezaświadczającymi ani nieprzekazującymi niczyjej prawdy. Nic na poważnie. Konfekcja, która w zestawieniu z zachwykami lansującymi ją krytyków sprawia wrażenie po prostu groteskowych, porzuconych masek**”.

Dwa miesiące później (kwiecień) Ziemkiewicz rozprawił się ze wspomnianą już wyżej krytyką literacką (czy raczej: sferą recenzentką), ale tym razem w szerszy sposób, bo usprawiedliwiał fakt, że sam musi reklamować/recenzować własne płody: „**Krytyka towarzysząca literaturze**

istnieje w mediach już właściwie tylko z rozpadu, i tylko dzięki temu, że zastałych przyzwyczajęń nie chce się weryfikować. Wychodzi książka, ukazują się recenzje. Potem, w pismach bardziej fachowych, dłuższe eseje (...) Tylko że ten stereotyp jest już nieaktualny. To, co kiedyś było krytyką literacką, stało się częścią dominującego w całym życiu publicznym i dyskursie medialnym systemu «dystrybucji szacunku». Chodzi o wskazanie czytelnikowi, że autor jest nasz, więc czytać, a przynajmniej poważać go wypada (...) Zwycięża przekonanie, że niepoprawnych lepiej w ogóle przemilczać. Rubryki kulturalne wypełniły się przesłodzoną recenzencką tapioką, w coraz większym stopniu powstała z cytowania i miksowania przysyłanych przez wydawcę «press-kitów» (...) Czytelnik o tym wie. Wie, że zwykle książki poleca mu nie krytyk, ale jakiś redakcyjny wyrobnik bez nazwiska, że zresztą i krytycy z nazwiskami częściej są przywódcami środowiskowych koterii niż strażnikami wartości, że redakcja firmuje daną pozycję jako patron prasowy (inaczej by nie recenzowała), więc nawet gdyby recenzent chciał, szczerzy być nie może, że wreszcie autor jest albo kolegą z redakcji recenzenta, albo twarzą jednego z polityczno-plemiennych obozów uświetniających bliższe danej redakcji komitety honorowe, a wydawca ma swoje interesy z koncernem kontrolującym dane medium” („Rzeczpospolita” 2011).

Równie bezkompromisowo kolega Ziemkiewicz ocenia kolegów twórców, ergo: wartość literatury produkowanej przez pisarzy polskich. I tych dawnych, już pogrzebanych, i tych dzisiejszych, wciąż polecanych (przez Salon). O Marku Hłasce: „*Proza Hłaski jest ejek- ciarska, płytka i pusta, a i co do samego pisarza, który tak zręcznie ufryzował i udrapował swoją legendę, trzeba się zgodzić z bezlitosną diagnozą Andrzeja Bobkowskiego: «tchórz, gówniarz i pozer»”* („Rzeczpospolita” 2010). O Eustachym Rylskim: „*Jak Państwo zapewne wiedzą, mamy w Polsce aż dwa związki pisarzy. Samych pisarzy natomiast mamy trzech, może czterech (...) Z rzadka przeleci przez rynek jakaś godna uwagi książka. Od lat nie pojawił się żaden naprawdę ciekawy debiutant — lansowanie takich na siłę (np. Eustachego Rylskiego) kończyło się szybko i sromotnie. Sło-*

wem — zero, nul, zdechło i nie rodzi się na polskiej glebie" („Najwyższy Czas!" 1993). O Jerzym Pilchu: „krańcowo zła polszczyzna", „rozwlekła gadanina" i „biegunka słowna (...) równie głęboka co serial «Na dobre i na złe»". O Januszu Andermanie: „postawangardowe badziewie (...), bardzo mierne". O Wojciechu Kuczoku: „bezdyskusyjna chała" i „na poły grafomański słowotok". O Michale Witkowskim: „wysilona w każdym zdaniu, kompletnie pusta". I tak dalej: to samo o Krzysztofie Vardze, Andrzej Stasiuku i innych. Cytaty z „Rzepy" (2010 i 2011) tudzież z „Gazety Polskiej" (2002), w której kolega Ziemkiewicz zamieścił batożący gra- fomaństwo kolegów pamflet pt. „Lit-Brader", tłumacząc ów tytuł tak: „Zamiast o literackim salonie, można mówić u nas tylko o literackim Big Brotherze. W skrócie: Lit-Braderze".

Bezkompromisowość Ziemkiewicza nie oszczędziła też uznanych encyklopedycznie „mistrzów", takich idolów Salonu jak Gombrowicz, Miłosz czy Kapuściński. Tekstem pt. „Cichy morderca pisarzy" opisał „**pewien mechanizm, który wypracowały salony na użytek swych autorytetów. Otóż wedle salonowej etyki, mistrzów się tylko chwali na najwyższym diapazonie — mistrz nigdy nie ma słabych chwil (...)** Głupie to i w sumie wyrządzające mistrzom szkody, ale tak właśnie w naszym bezmyślnym życiu literackim jest (...)

To część obyczajowości naszej pseudoelity, widzącej w książce bibelot, którego ustawienie na półce świadczyć ma o przynależności do warstwy lepszej, niewymagającej za to czytania, bo to już by było wobec oklaskujących salon półinteligentów wymogiem zbyt daleko idącym " („Rzeczpospolita" 2010).

Notabene: Rafał Ziemkiewicz powinien wycalaować tudzież ozłocić kolegów i sympatyków (jak Cezary Michalski, Roman Graczyk, Stanisław Michałkiewicz, Antoni Dudek i in.), którzy rozpoczęcie wojny publicystycznej z Salonem i Michnikiem przypisują właśnie jemu, bo w roku 2006 opublikował książkę pt. „Michnikowszczyz- na". Jakby nie było „Lepszego" (1990) i kilku innych moich anty- michnikowskich książek (na czele z

„Salonem” 2004), plus kilkudziesięciu artykułów (na czele z rozstrzelującym „GW” tekstem „Ministerstwo Prawdy” w „Tygodniku Solidarność” 1994)! O takim zjawisku pisał już XVII-wieczny poeta Wacław Potocki:

*„Inszymi słowy nowi mędrkowie piszą,
Chociaż dla chluby w cudze się pstrzą pióra.
Chwali ich kto pierwszego nie czytał autora”.*

Na szczęście nie wszystkich pocięło, tak za granicą, jak i u nas: głosy prostujące dętą chronologię kotrŁysiakovą (dowodziła ona, że łacińskiej maksymie „*Nemo propheta in patria sua*” — „*Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju*” — trudno coś zarzucić) odezwały się i wśród Polonii, i wśród rodaków. Krzysztof Masłoń (recenzja z „Michnikowszczyzny”): „*W gruncie rzeczy autor nie napisał nic, czego nie bylibyśmy świadomi wcześniej*” („Magazyn Literacki KSIĄŻKI” 2006). Marek Baterowicz: „*Ziemkiewicz pamiętamy z krytyki Adama Michnika wyrażonej książką «Michnikowszczyzna», choć na tym polu prekursorem w kraju był Waldemar Łysiak*” (australijski „Tygodnik Polski” 2008). Kolega Rafał Z. był łaskaw zapomnieć o tym i wyciepał kolegę Łysiaka ze swej książki (z tekstu i załączonej bibliografii antymichnikowskiej), bo wtedy darzył go już silną niechęcią.

Ludzie ewoluują, o czym poinformował nas Darwin. Rafał Ziemkiewicz jako młody publicysta był wyznawcą Waldemara Łysiaka. Gdy A.D. 1992 media Salonu próbowały mnie ukrzyżować za krytykowanie Michnika — Rafał w swym artykule (tygodnik „Spotkania”) określił jako „*wścieklistą*” tę nagonkę na „*jednego z najwybitniejszych pisarzy polskich*”. Poznaliśmy się kilka lat później, i wtedy gratulowałem mu felietonowej werwy, a szczególnie chwaliłem pyszne pamfletowe sformułowanie „*zionąc miłosierdziem*”, co Rafał przyjął w milczeniu, spuszczając skromnie wzrok (dopiero po następnych kilku latach

dowiedziałem się, że nie Ziemkiewicz, lecz pewien ksiądz wymyślił tę pikną frazę). Owe mijające lata przyniosły u kolegi Z. zmianę stosunku do mnie (ewolucyjną), bo obrastał w literackie pióra, wykluwał się z jaja twórcy science-fiction w autora powieści współczesnych, vulgo: przestałem być dlań „jednym z najwybitniejszych pisarzy”, a stałem konkurentem dla najwybitniejszego. Tę ewolucję przyspieszyła publicystyczna wojna między nami o ministra Balcerowicza, którego ja charakteryzowałem piórem jako króla gospodarczych i finansowych szkodników, a Rafał gloryfikował jako króla ekonomistów, zbawcę Polski. Jeszcze w roku 2005 „Gazeta Polska” opublikowała napisaną przez Ziemkiewicza recenzję mojego „Salonu” (noszącego podtytuł: „Rzeczpospolita kłamców”), formalnie entuzjastyczną, ale praktycznie... Ziemkiewicz balansował wówczas — stał okrakiem między Salonem a Kontrsalonem, przynajmniej etatowo, bo pracował m.in. dla springerowskiego lewackiego „Newsweeka” i dla uważanego za michnikowskie radio TOK-FM, więc choć recenzja „Salonu” była pochlebna — tytuł recenzji był dla Łysiaka niezbyt miły: „Z brzytwą na salony”. To mnie dotknęło, bo wiadomo, że rycerz walczy szablą, a z brzytwą rzuca się na kogoś tylko przysłowiowa małpa, ergo: człowiek niespełna rozumu. A ubawiło mnie coś innego: pokorne ziemkiewiczowskie kajanie się publiczne (drukem) wobec Michnika (Ziemkiewicz przegrał rozprawę sądową, gdyż formułując swoje myśli niezbyt zręcznie stylistycznie i merytorycznie, wszedł na minę, którą adwokaci Michnika bezlitośnie zdetonowali). Wyśmiałem to „odszczekiwanie”, którym Ziemkiewicz zapewniał, że nie wolno krytyką sprawać, by „dobra osobiste Adama Michnika doznały przez to uszczerbku Ta formuła wydała mi się równie sensowna co próby wykasowywania przez koleśków Rafała pionierskiej (siedemnastoletniej już wtedy) kontrmichnikowszczyzny Łysiaka, i równie celna jak twierdzenie kontrsalonowca Piotra Semki o „chwalebnej przeszłości Adama Michnika”

(„Rzeczpospolita” 2007). Zemstę wziął sobie kolega Z. „Michnikowszczyzną”.

„Michnikowszczyzna” ma 400 stron. Ogromne jej partie są poświęcone ludziom, którzy sprzeciwiali się tej gangrenie, tudzież ludziom, których Michnik mniej lub bardziej bezwzględnie sekował. Autor wymienia sporo nazwisk i przytacza sporo rozmaitych personalnych casusów. Wyjąwszy Waldemara Łysiaka. W wojnie z Michnikiem po prostu nie było żadnego Łysiaka. Zero, nul! Kliniczny przypadek „*wykluczenia*”, czyli proceduru, który Rafał Ziemkiewicz stale pryncypialnie piętnował (przez wiele lat), twierdząc: „*Inteligencją bronią był zawsze argument, a nie wykluczenie*”. Żeby było dowcipniej — książka Ziemkiewicza pełna jest passusów o skandalicznym zamilczaniu niektórych „*ludzi pióra*” przez represyjny Salon. Autor „Michnikowszczyzny” zwie to rozmaicie: „*wykluczaniem*”, „*rugowaniem pewnych osób*”, „*odmawianiem prawa*”, „*anatemą z klauzulą natychmiastowej wykonalności*”, itp. Padają nazwiska „*wykluczonych*”, czasami dość bulwersujące, bo między innymi nazwisko poety/publicyisty/pisarza Jarosława Marka Rymkiewicza, który zaraz otrzymał michnikowską nagrodę Nike. A „*jeden z najwybitniejszych*” — fru! — zniknął. Jak ci dygnitarze sowieccy, którzy w kolejnych edycjach stalinowskiej „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej” wyparowywali z dawnych zdjęć dzięki kunsztowi krem- lowskich retuszerów. Kłania się przewrotnie podtytuł książki Ziemkiewicza: „*Zapis choroby*”, bo któż, jak nie Ziemkiewicz, kiedy jeszcze całkiem zdrowy był, kontestował gromko wyrok rzucony przez Salon na Waldemara Łysiaka, mianując to haniebną „*zmową milczenia*”? Wszelkie wątpliwości czy chodzi tylko o amnezję, czy raczej o małostkową mściwość, rozwiewa w „Michnikowszczyż- nie” posłowie zatytułowane „**Polecanka**”. Czytelnikom, którzy łakną innych (wzbogacających, uzupełniających) lektur o „*michnikow- szczyźnie*”, Ziemkiewicz poleca tam książki innych autorów. Dwadzieścia tytułów. Bez Łysiaka, bo wiadomo, że Łysiak na ów temat nie

odważył się zabierać głosu, a jeśli się kiedyś może i odważył, to tak głupio, że przywoływać jego książek nie warto. Jak wykluczenie, to wykluczenie — do imentu! Pomyśleć, że ten sam facet, tuż przed pokłóceniem się z Łysiakiem o ekonomię rodzimą i o własną kryptozłościwość — zalecał publice „Salon” Łysiaka jako „*bez dwóch zdań lekturę obowiązkową*” (sic!).

Wykluczenie/przemilczenie to byłoby .wszakże zbyt mało. Tylko wyszła „Michnikowszczyzna” — w przezywanym wówczas „*gazetą ubecką*” vel „*ubolską*” „Życiu Warszawy” ukazał się duży (peł- nokolumnowy) tekst Artura Górskiego (nie mylić z posłem o tym samym imieniu i nazwisku). Dziś wiem, że to naczelny redaktor kryminalnego periodyku „Focus Śledczy” i autor powieści „Al Ca- pone w Warszawie”, lecz wtedy nie miałem bladego wyobrażenia kto zacz, więc spytałem ludzi lepiej kojarzących dziennikarskie środowisko. Odpowiedź brzmiała:

— Gość o IQ przeciętnej blondynki z dowcipów o blondynkach, taki jamnik.

Tenże Górski poświęcił kolumnę druku na dowodzenie, że Ziemkiewicz to geniusz, a Łysiak przy nim to grafoman. Stwierdził, że kiedy porównać prozę obydwu, to „*bardziej atrakcyjna literacko fraza Ziemkiewicza*” wprost deklasuje pisaninę Łysiaka, ale trudno się temu dziwić, zważywszy, iż Łysiak jest planktonem: „*trochę jak polityczny folklor, plasujący się gdzieś pomiędzy Leszkiem Bulem a Jerzym Robertem Nowakiem z Radia Maryja*”. Kiedy czytałem tę diagnozę produkowanych przeze mnie bubli, co ośmielają się pałętać pod nogami majstersztyków produkowanych przez kolegów — z łamów patrzyły na mnie uzbrojone okularami inteligenta oczy Rafała Ziemkiewicza, bo dali wielkie zdjęcie jego fizys. Nie mam żadnych konkretnych dowodów (prócz plotki), że on i Górski to kumple, vulgo: że kolega koledze zrobił koleżeńską przysługę gwoli nadymania ego. Notabene, wielki pisarz lubi sam sobie robić dobrze, znaczy: nadymać się samodzielnie, czego przykładem

(wyżej już wzmiankowanym) okładka powieści „Zgred” (2011), którą wytape-
tował konstatacją, iż jest „*najlepszym polskim publicystą*”. Po czym napisał z
tej książki wielką recenzję do gazety. Wielkim ludziom więcej wolno, tak było
zawsze.

Przekonanie, że wielkim ludziom więcej wolno, a największym wolno
najwięcej, trawi Ziemkiewicza już od paru lat. Szczebel (kliniczny)
„*najlepszego/największego*” osiągnął Rafał Z. wiosną (plus minus) 2011.
Latem 2011 roku bez cienia skrupułów (zero żenady) oznajmił publicznie, iż
Michnika w III Rzeczypospolitej piętnował piórem jedynie on, a wszyscy inni,
którzy mogliby to robić, truchleli ze strachu. Serio! Oto cytat z tygodnika
„Uważam Rze” (lipiec 2011): „*Do dziś nie wiem, czym tłumaczyć, że moja
próba oddania sprawiedliwości Michnikowi i jego formacji praktycznie po-
zostaje odosobniona. Lękiem, wszechobecnym w środowiskach twórczych,
które spod terroru policyjnego przeszły gładko pod terror politycznej
poprawności?...*”. Zważywszy, że kilka moich antimichni- kowskich książek i
mnóstwo moich antimichnikowskich artykułów wyprzedziło
„Michnikowszczyznę” Ziemkiewicza o dobrych parę lat — cytowany wyżej
passus można uznać za istne cudeńko mega- lomańskiej czelności delikwenta,
któremu przewróciło się już w biednym baniaczku tak tromtadracko, że nie
dostrzega jak bardzo robi się autokomiczny.

Pewien mój znajomy ma własną teorię à propos faktu, że Ziemkiewicz jest
„*chory na Łysiaka*”, i bardziej generalnie: że tyłu pravicowców czuje do
Łysiaka wrogość nie mniejszą niż czerwoni:

— Bo to neoendecy oraz kryptoendecy, a ty jesteś piłsudczyk, więc dla
nich „*bête noire*”. Wśród naszych publicystów antysalo-
nowców istnieje
zatrważająco wiele bękartów Dmowskiego...

Że nie musi to być dalekie od prawdy — zrozumiałem, gdy odsłonił się
jako endek Rafał Ziemkiewicz. Dzisiaj to już żadna tajemnica. Jeden z

publicystycznych frontmanów „Najwyższego Czasu!” (będącego jawną pepinię neoendecji), Krzysztof M. Mazur, gdy rozwijał temat, iż „*nie tylko politycy zwariowali od obłudy*”, jako symptomatyczny przykład wskazał „*redaktora Ziemkiewicza pozującego na nowoczesnego endeka*” (2011). Ale trzy lata wcześniej było dla mnie szokiem, gdy Ziemkiewicz opublikował paszkwil gnojący Marszałka Piłsudskiego. Ohydny, powtarzający wszelkie plugastwa, które niegdyś „*komuna*” miotła przeciw Piłsudskiemu. Agen- ciak wywiadu zaborców, pyszałek, zarozumialec i bufon samochwała, brutalny antydemokrata, niemiecki mianowaniec do rządzenia Polską, warchoł wojskowy, gwałciciel praw człowieka (zwłaszcza endeka), skrytobójca mordujący przeciwników politycznych (m.in. gen. Zagórskiego) i katujący ich kastetami bojówkarzy, tępy etatys- ta, strategiczny zacofaniec, patron „*bandy oprychów*” i „*degeneratów*” (określenia Ziemkiewicza) władających z jego ramienia Rze- cząpospolitą, tyran uprawiający „*miażdżenie polskiego parlamentaryzmu*” — ogólnie: kanalia makabryczna. I te „przesmaczne” porównanka: z Leninem (gdy mowa, że Niemcy uczynili go władcą), z TW „*Bolkiem*” (gdy mowa, że konfident habsburskich „*szużb*”), z Wałęsą (gdy mowa, że pyszałek-bufon), itp. Tytuł: „*Plamy na pomniku*” („*Rzeczpospolita*” 2008) — istotnie, brudna ślina Ziemkiewicza poplamiała monument, już wcześniej plugawiony identycznie śliną czerwoną. To pokrewieństwo jest bardzo dawne i nieomal rytualne; Bohdan Urbankowski: „*Sowieci wprowadzie stawiali na komunistów, ale na wszelki wypadek chcieli mieć też pod ręką tradycyjnie prorosyjskich endeków. Stąd rozmowy Piaseckiego z Siero- wem...*” („*Gazeta Polska*” 2009).

Dwa lata po „*Plamach na pomniku*” Ziemkiewicz wręcz prowokacyjnie zrzucił maskę, publikując wielki artykuł „*Myśli nowoczesnego endeka*” („*Rzeczpospolita*” 2010), gdzie zgodnie z betonową endecką tradycją przeklął „*nasz odwieczny patriotyzm wariacki insurekcyjny*” czyli „*rzucanie się na*

stos” (określenia te padają w co drugim akapicie), wyśmiał polskie jęczenie, że byliśmy zdradzani i krzywdzeni, wreszcie ostatnim zdaniem zawyrokował: „*Dmowski musi nadejść*” (sic!). Niech nadejdzie, Rafałku, dostanie takiego samego kopa, jakiego dawaliśmy wszystkim rusofilom. Ty zaś, biedaku, nawet owym dmowskorodnym (treściowo i tytułowo) artykułem (dziś już książką, tytuł ten sam) nie zdołałeś się wkupić neoendekom pana Mikke, i dostałeś od nich kopa, który musi boleć bardzo. Krzysztof M. Mazur, wyśmiawszy „Myśli nowoczesnego endeka”, uznał Ziemkiewicza (2011) za specę od „*sączęnia głupot*” i od „*bałamucenia narodu*”, sugerując kłopoty zdrowotne („*stan psychiczny «nowoczesnego endeka»*”, który „*tak dalece odpłynął*”, itp.). Wydaje mi się, że Rafał Z. równie daleko „*odpłynął*” zwalczając Waldemara Ł.

Ten mój personalny (dobrze udokumentowany, bo intymnie mi znany) casus wojenki z Rafałem Ziemkiewiczem, która nie została wywołana przeze mnie, ino przez ambicje tudzież kompleksy mojego byłego wielbiciela, a dzisiaj adwersarza — prezentuję jako przykład międzykoleżeńskich zawiści, co rozdzierają polskie środowisko literackie, gdzie koledzy koleżeńsko wykołogowują kolegów. A gdy do zawiści branżowej (o styl, o „*warsztat*” literacki) dochodzi jeszcze spór historiograficzno-ideologiczny — to mamy już wojnę domową kalibru ciężkiego. Nim odłożę pióro, muszę i temu poświęcić parę słów.

Ekstremalnie odmienny stosunek do Powstań narodowych kopie między dwoma rodzajami Polaków już nie rów, lecz gigantyczny parów, swojski Grand Canyon. Każda ze stron uważa tutaj drugą za. wyzbytą rozumu. Moja strona dodatkowo uważa przeciwników za wyzbytych honoru, lecz polemizować jest gotowa na płaszczyźnie czysto rozumowej, rzucając nie metafizyczne czy emocjonalne, tylko racjonalne argumenty. Chociażby ten, że każde Powstanie było niezbędne, gdyż kultywowało (odgrzewało, umacniało)

antyniewolniczą tożsamość narodową w czasie braku suwerenności — w ciemnej nocy zaborów. Reaktywowało poczucie podmiotowości (a więc godności), bez którego tożsamość narodowa przestałaby istnieć. Bez tych buntów zostałyby nam jedynie targowice, swary, plus smród haniebnego poddaństwa, niezakłócanego żadnym gestem oporu. Każde z tych „*rzucań się na stos*”, panie Ziemkiewicz, przedłużało nam życie — każde było tym słowem „*Nie!*”, o jakim starożytni Grecy powiadali, że „*tylko człowiek, który umie mówić: nie!, jest naprawdę wolny*”. I druga kwestia, ważniejsza według reguły pragmatyzmu — kwestia kartograficzna: bez tych „*samobójczych wariactw*” zabrakłoby Polski na mapach XX wieku. Dzięki regularnym insurekcjom tzw. „*sprawa polska*” vel „*kwestia polska*” była — mimo braku państwowości polskiej — permanentnie obecna w europejskiej dyplomacji i dyplomacji całego świata, nie schodziła z ust i umysłów, nasze rebelie nie zezwalały, by ją zapomniano. Właśnie dlatego stała się ona po I Wojnie Światowej primadonną wersalskich targów i ustaleń kartograficznych. Czołowy polski myśliciel XX stulecia, pisarz Jerzy Narbutt, słusznie głosił: „*Naród, który nie posiada dostatecznej siły, by wywalczyć sobie wolność i zapewnić suwerenność państwową — musi jednak znaleźć w sobie dość siły, aby przynajmniej przypomnieć światu o swoim prawie do wolności. Taki był sens nieudanych powstań polskich w XIX wieku*” („Dwa bunty” 2003). Sto kilkadziesiąt lat wcześniej Juliusz Słowacki pomyślał to samo i westchnął: „*Niechaj nas przecie widzą — gdy konamy!*”. Zobaczyli, i zapamiętali. Wyśmiewana tubami Neoendecji i Salonu rebeliancka „*bohaterszczyzna*” naszych przodków, w końcowym rezultacie wskrzesiła Polskę — żelazem i ołowiem regenerowała polskość. Na negację owej zasługi nie ma zgody, panie Z.

24. Trociny, wydzieliny, bździny

Ostatni rozdział poświęcam ostatnim miesiącom, tygodniom i nawet dzionkom przed oddaniem książki (jest połowa września 2012, za cztery dni trzeba oddać skład drukarzom). Krótki rzut oka: czy w tyczących III RP tematach, które poruszyłem, coś się zmieniło, coś zyskało nową jakość, nowy kształt lub kierunek? Nic. Wciąż obowiązuje szeroko pojęta diagnoza Olafa Deriglasoffa (muzyka naszej sceny alternatywnej): „*Jesteśmy w kulturowej dupie*” („Angora” 2012). Ciągłe, jak przez minione dwie dekady, pseudoawangardziści „*eksperymentują*” na modłę deklaracji naszych „*międzywojennych*” Futurystów: „*Hcemy szczać we wszystkich kolorach*” (1921), tylko że tamto było zgrywem, a dzisiejsi postmoderniści literaccy bełkoczą serio. Ciągłe „literaturę” uprawia wielu, którzy sądzą, że mogą, bo w szkole nauczono ich pisać, czemu szczególnie sprzyja fakt, iż — jak podniosła Paulina Wiktorska — „*Każdy chce pisać błoga*” („Rzeczpospolita” 2012). Ciągłe Krzysztof Masłoń, który od lat wykpiwał „*literackich koneserów lansujących bezwartościową gównianą prozę*” („Rzeczpospolita” 2009) — chłoszcze taką prozę bez litości, exemplum jego recenzja najnowszej powieści Ma-nueli Gretkowskiej „Agent”, gdzie czytamy, iż ta wielokrotna laureatka salonowych mediów (nagroda Nike, wyróżnienie Fenomen, „*Polka Roku*”, „*Osoba Publiczna*”, itp.) „*pozbawiona jest daru narracji — jeśli zaczyna coś opowiadać, to z finezją blondynek z popularnej serii kawałów*”, „*nie umie pisać dialogów*”; „*w ogóle pisać nie umie*” („Uważam Rze” 2012). Ciągłe dziennikarze i politycy przywdziewają szaty literatów, płódząc powieści tak fatalne, iż nawet jeśli robi to salonowiec — salonowe media wlepią mu baty, czego przykładem gorzka recenzja Rafała Kalukina z książki Igora Ostachowicza (bliski współpracownik i piarowiec premiera Tuska) „Noc

żywych Żydów”: „*Historyczne klisze autor miesza z konwencją horroru klasy C oraz literatury porno (...) Po co on to napisał?*” („Newsweek” 2012). No właśnie.

Pytanie „*po co on to napisał?*” (lub ona) będzie się jeszcze wielokrotnie powtarzało przez najbliższe lata, i nie ma znaczenia kiedy wyświeclicze skasują papier, za pięć czy za pięćdziesiąt sezonów. Każdy tydzień przynosi jakieś perełki, więc aż żal odkładać pióro. Właśnie je odkładałam, bo drukarnia czeka (napięty terminarz), ale przed odłożeniem zdążyłem jeszcze zerknąć do kilku tygodników z pierwszej połowy września („Uważam Rze” nr 37 i 38, „Angora” nr 36, „Najwyższy Czas!” nr 37), a tam mnóstwo ciekawego adekwatnego materiału. W 37 „Uważam Rze” aż cztery pozycje: m.in. kolejny odcinek nowej książki Bronisława Wildsteina („Ukryty”), pochlebna recenzja Rafała Ziemkiewicza z należącej do „*fantastyki*” książki „Demokrator” Piotra Goćka (współpracownika „Uważam Rze”), i rozprawa Krzysztofa Masłonia z Kubą Wojewódzkim, który dał się przyłapać na kompromitującej (typowo salonowej) wpadce a propos literatury, kłamiąc, iż coś czyta (ogłosił, że Roman Dmowski, pisząc „Myśli nowoczesnego Polaka”, zajmował się „*analizą fenomenu Hitlera*”, tymczasem nie ma tam słowa o Hitlerze, dzieło to powstało, gdy Hitler miał 15 lat).

Ten numer (37) „Uważam Rze” kojarzy mi się z neoendecją i przez artykuł Masłonia, i przez osobę Ziemkiewicza, który ostatnio lansuje się jako guru priwiślańskiej neoND (kilka artykułów i wywiadów, plus książka „Myśli nowoczesnego endeka”), sui generis spadkobierca Dmowskiego, co jednak tradycyjni (by tak rzec) nasi neoendecy, ci z „Najwyższego Czasu!”, niekoniecznie tolerują. Numer 37 „NCz!” przyniósł kolejną już reprimendę dla Ziemkiewicza, tym razem spod pióra Marcina Adamczyka, który kwestionuje „*poziom merytoryczności*” Rafała Z. „*w ciągu ostatnich pięciu lat*”, zarzuca mu stosowanie nonsensownych „*hiperbol*”, „*ignorowanie*” realiów,

„przeczenie oczywistym faktom”, dodając konkluzje takie: „Argumentacja p. Ziemkiewicza rozsypuje się całkowicie”, „Kolejnym wielkim nieporozumieniem powtarzanym zwykle bezrefleksyjnie...”, itd., itp. Oto puenta tekstu Adamczyka: „Rafał Ziemkiewicz chciałby — jak deklaruje — odbudować w kraju «nowoczesną endecję», twierdząc równocześnie, że endecja jest nowoczesna z definicji. Jeżeli nowoczesność ma polegać na traktowaniu rzeczywistości nie taką, jaką jest, ale taką, jaką według wyznawanej ideologii powinna być, to faktycznie można się z tym zgodzić. Ale tylko w takim przypadku”.

Kolejny numer „Uważam Rze” (38) serwuje pochlebnią recenzję Antoniego Libery z książki Wildsteina „Ukryty” (*„wartkie narracje”, „jasny, logiczny język”, „zarzuty, jakie tej prozie stawiają niektórzy krytycy — że «płaska», «publicystyczna» — są nierzetelne lub głupie”*), ale już trzy strony dalej, w tekście Andrzeja Horu- bały, czytamy: *„Jasne, można wykić Wildsteina, który nie ma lekkiego pióra, oj, nie ma...”*. Tenże Horubała zamieścił w tym i poprzednim numerze tygodnika (37 i 38) obszernie (kilkustronicowe) recenzje z książek Krzysztofa Vargi („Trociny”) i Jerzego Pilcha („Dziennik”), świetnie pasujące do reguły *„kolega koledze kolega”*. O Vardze Horubała pisze, że to *„pieszczoch salonu”* i że jego produkt to *„upstrzony różnego rodzaju fekaliami i wydzielinami słowotok”,* który *„nie jest niczym oryginalnym po niesmacznych książkach Kuczoka czy obrzydliwym «Dzienniku pisany później» Stasiuka”*. Pilcha potraktował Horubała też bezlitośnie: *„Pilch to fenomen pisarza, który im więcej pisze, tym bardziej widać, że nie ma kompletnie nic do powiedzenia (...) Pisarza, który chciałby może i być poważnym twórcą, o tak, czasem nawet bardzo się stara, ale, spętany różnych stylów naśladowaniem, tchórzy (...) Owszem, nagrodzili go nagrodą Nike. Bo jak mieli nie nagrodzić wiernego sojusznika, przeciwnika lustracji i patriotycznych uniesień? Pilch i katolikom przywali, i tradycjonalistów zdeformuje. Jak mogli nie nagrodzić, skoro Pilch tworzy pozór literatury (...), a Michnik to dlań bohater, wielki człowiek? (...) Pilch kompromituje poważną*

literaturę (...) Uważam go za efekciarskiego literackiego hochsztaplera". Padają tu wobec prozy Pilcha rozmaite plastyczne zarzuty, jak „*makaron zdań*” i „*makaron słów*”, „*nieznośna maniera*”, „*poziom pism dla kobiet*”, czy też „*słowotok*” („*dawał ujście swemu słowotoko- wi*”, „*te słowotoki, do których przyzwyczaił swoich czytelników*”). Masakra tout court.

Ciężko się po setkach takich opinii uwolnić od niewesołej konstatacji, iż dzisiejszą literaturę polską najlepiej charakteryzują tytuły trzech powieści: „*Trociny*” (Vargi), „*Dolina nicości*” (Wildsteina) i „*Gnój*” (Kuczoka). Czytelnicy już wystawiają tej zapaści rachunek, nabywając coraz mniej książek. Publiczność bowiem — jak słusznie konkluduje pisząca w „*Angorze*” (nr 36) „*Plotkara*” — „*wybacza zdrady, ale nigdy nie zapomina grafomanii*”.

Spis treści

1. Wstęp o dekadencji	7
2. Sen nocy czerwonej	14
3. Sen nocy różowej: neocenzura	26
4. Maskowy bal wszystkich świętych	41
5. Jak to na wojence ładnie	52
6. Wokół nocnika	63
7. Karuzela rankingów	75
8. Upolityczniony ring nagród	86
9. Czy Nobel to bubel?	97
10. Wycena generalna	109
11. Dojmujący smrodek	123
12. Niedyskretny urok Lustracji	136
13. Skandale obyczajowe (hetero-libero i homo-wiadomo) —	148

14. Seks literacki	161
15. Głupota w literaturze	174
16. Popularność „literatury tandetnej”	186
17. Literatura kobieca	196
18. Literatura „nowoczesna, eksperymentalna, awangardowa” ..	209
19. Krytyka literacka	221
20. Pisarstwo niepisarzy	235
21. Dolina nicości?	246
22. Kolega koledze kolegą	258
23. Casus: Ziemkiewicz	272
24. Trociny, wydzieliny, bździny	284
* — Tłum. Elżbieta Petrajtis-O’Neil.	
* — Tłum. Krzysztof Urbanek.	